

CZASEM MIŁOŚĆ TRWA DŁUŻEJ NIŻ ŻYCIE

NIGDY
INI
ZAWSZE

ANN BRASHARES

ANN BRASHARES

NIGDY I NA ZAWSZE

tłumaczenie Anna Gralak

Wydawnictwo
OTWARTE
Kraków 2012

Tytuł oryginału: My Name is Memory

Copyright © 2010 by Ann Brashares. All rights reserved A

Copyright © for the translation by Anna Gralak

Projekt okładki: Tal Goretsky

Modyfikacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Katarzyna Bućko

Fotografie na okładce:

mężczyzna na pustyni - © Silvia Otte / Digital Vision / Getty Images /

Flash Press Media, kobieta - © Andy Ryan / Stone+ /

VGetty Images / Flash Press Media

. Opieka redakcyjna: Eliza Kasprzak-Kozikowska i i

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta, łamanie: Zespół- Wydawnictwo PLUS

ISBN 978-83-7515-198-5

WYDAWNICTWO o

o t w a r t e

www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,

tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,

W której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Dla mojego najdroższego Nate'a,
który ma dar pamiętania

„Nie prosząc nieba, by opadło dla mej dobrej woli,
Rozsiewam ją swobodnie po wieki”.
Walt Whitman,
Pieśń 0 sobie, tłum. Anna Gralak

Żyję od ponad tysiąca lat. Umierałem wiele razy. „
Zapomniałem, ile dokładnie. Mam niezwykłą pamięć, ale na-
wet ona nie jest doskonała. Jestem człowiekiem.

Pierwsze życia pamiętam trochę niewyraźnie. Łuk, po którym
podaża dusza, jest odzwierciedleniem wspólnych cech poszcze-
gólnych wcieleń. To makrokosmos. Najpierw dzieciństwo. Wiele
razy byłem dzieckiem. I nawet jako młoda dusza wielokrotnie
osiągałem dorosłość. Wspomnienia wracają już w niemowlęc-
twie. Jednak zachowujemy pozory. Ze zdziwieniem patrzymy na
otaczający nas świat. Przypominamy sobie. ' .

Mówiąc „my”, mam na myśli siebie, swoją duszę, swoje Ja,
swoje liczne życia. Mówiąc „my”, mam też na myśli takich ludzi
jak ja, którzy też mają Pamięć, świadomy zapis doświadczeń na
tej ziemi zdolny przetrwać każdą śmierć. Wiem, jest nas niewie-
lu. Może na sto lat rodzi się jeden, jeden na miliony. Rzadko się
odnajdujemy, ale wiercie mi, nie jestem sam. Co najmniej jeden
z nas ma pamięć znacznie bardziej niezwykłą niż moja.

Rodziłem się i umierałem ywiele razy, W wielu miejscach. Łączy
je ten sam kosmos. Nie byłem w Betlejem, gdy Chrystus przy-
chodził na świat. Nigdy nie widziałem Rzymu w pełni chwały.
Nie kłaniałem się Karolowi Wielkiemu. W tamtych czasach ha-
rowałem W polu W Anatolii, posługując się dialektem niezrozu-
miałym dla mieszkańców wiosek położonych na północ i na po-
łudnie od mojej. Wszelkie urozmaicenia W historii można przy-
pisać jedynie Bogu i diabłu. Większość zwykłych ludzi W ogóle
nie zauważa przełomowych wydarzeń. Czytam o nich W książ-
kach, tak jak wszyscy. ‹

Czasami czuję się bardziej podobny do domów i drzew niż do
bliźnich. Stoję i patrzę, jak fale ludzi przychodzą i odchodzą. Ich
życie jest krótkie, ale moje długie. Czasami wyobrażam sobie, że
jestem palem wbitym na brzegu oceanu.

Nigdy nie miałem dzieci i nigdy się nie zestarzałem. Nie
Wiem dlaczego. Widziałem piękno w niezliczonych postaciach.
Zakochałem się i moja miłość trwa nadal. Raz zabiłem ukochaną
kobietę, umierałem za nią wiele razy, lecz nic mi jeszcze z tego nie
przyszło. Ciągłe jej szukam. Ciągłe ją pamiętam. Noszę W sobie
nadzieję, że pewnego dnia ona też mnie sobie przypomni.

Hopewood, Wirginia, 2004

Znała go od niedawna. Pojawił się na początku jedenastej klasy. Mieszkała W małym miasteczku i chodziła do małej szkoły. W takiej szkole ciągle widuje się te same twarze. Kiedy się pojawił, zaczął chodzić do przedostatniej klasy, tak jak ona, ale z jakiegoś powodu wydawał się starszy. i

Słyszała wiele opowieści na temat tego, gdzie i jak spędził siedemnaście wcześniejszych lat życia, ale wątpiła, czy którakolwiek z nich jest prawdziwa. Ludzie mówili, że zanim przyjechał do Hopewood, leczył się w szpitalu psychiatrycznym. Że jego ojciec siedział W więzieniu i chłopak radził sobie sam. Mówili, że jego matka została zamordowana, najprawdopodobniej przez ojca. Podobno nosił koszulę z długim rękawem, żeby zasłonić blizny po poparzeniu. O ile wiedziała, nigdy nie bronił się przed tymi plotkami, ale też nigdy nie wyjaśniał, jak było naprawdę.

Lucy nie wierzyła plotkom, lecz wiedziała, dlaczego powstają. Daniel był inny, mimo że próbował wtopić się W tłum. Miał dumną twarz, ale przebijał z niej jakiś tragizm. Odnosiła wrażenie, że nikt się o niego nie troszczy, a on nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Pewnego razu widziała, jak stał przy oknie W stolówce. Ludzie przechodzili obok, potrącając go, brzdąkając tacami i paplając jak najęci, a on wyglądał jak ktoś, kto zupełnie się pogubił. Gdy zobaczyła go W tamtej chwili, wydał jej się najbardziej samotnym chłopakiem na świecie.

Kiedy po raz pierwszy zjawił się W szkole, wywołał wielkie poruszenie, bo był niesamowicie przystojny. Wysoki, dobrze zbudowany i powściągliwy, a W dodatku ubrany trochę fajniej niż większość licealistów. Z początku trenerzy, widząc tak mocną sylwetkę, zachęcali go do gry W futbol, ale nie okazał zainteresowania. A ponieważ miasteczko było małe, znudzone i spragnione sensacji, dzieciaki zaczęły gadać i pojawiły się plotki. Z początku go wychwalano, ale potem popełnił kilka błędów. Nie pokazał się na imprezie z okazji Halloween zorganizowanej przez Melody Sanderson, mimo że zaprosiła go osobiście na korytarzu i Wszyscy to widzieli. Przez cały doroczny piknik dla uczniów dwóch najstarszych klas rozmawiał z Sonią Frye, która dla takich osób jak Melody była niedotykalnym odmieńcem. Licealiści tworzyli delikatny społeczny ekosystem, więc nim nadeszła zima, większość ludzi zdążyła się do niego zrazić.

Ale nie Lucy. Sama nie Wiedziała dlaczego. Nie szanowała Melody ani jej zgrai potakiwaczek, lecz mimo to zachowywała ostrożność. Przede wszystkim sama nie była bez skazy i nie chciała zostać wyrzutkiem. Nie mogła tego zrobić matce - nie po tym, co ją spotkało ze strony starszej córki. A przecież Lucy nie gustowała w chłopakach z problemami.

Przyszła jej do głowy dziwna myśl - w zasadzie coś w rodzaju ę fantazji - że mogłaby mu pomóc. Znała zasady panujące W szkole i wiedziała, co trzeba robić, żeby W niej przetrwać. Czuli, że ten chłopak niesie większy ciężar niż inni, a to wzbudziło W niej dziwną, przejmującą empatię. Przypisywała sobie wyjątkową moc, myśląc, że być może on jej potrzebuje, że może to Właśnie ona potrafiłaby go zrozumieć.

On jednak W żaden sposób nie okazał, że myśli podobnie. W ciągu bez mała dwóch lat ani razu się do niej nie odezwał. Chociaż nie, raz nadepnęła mu na sznurówkę i przeprosiła, a wtedy on utkwiał W niej wzrok i coś wymamrotał. Później czuła się jak natręt i ciągle z niepokojem wracała do tego zdarzenia, próbując rozszyfrować, co powiedział i co miał na myśli. W końcu doszła do wniosku, że nie zrobiła nic złego i że to jego problem, bo W środku dnia łąził po korytarzu z rozwiązany butem.

- Myślisz, że za bardzo się przejmuję? - zwróciła się do Marnie.

Marnie spojrzała na nią tak, jakby powstrzymanie się od uduszenia Lucy wymagało niezwyklej powściągliwości.

- Tak. Myślę, że tak. Za bardzo się przejmujesz. Gdyby ktoś nakręcił o tobie film, zatytułowałby go Za bardzo się przejmuję.

Wtedy się roześmiała, ale później zrobiło jej się smutno.

Marnie wcale nie próbowała być złośliwa. Marnie kochała ją bardziej i szczerzej niż ktokolwiek na świecie, może tylko z wyjątkiem matki, która kochała ją głęboko, nawet jeśli nie zawsze to okazywała. Marnie nie mogła patrzeć, jak przyjaciółka przejmuje się chłopakiem, któremu wcale na niej nie zależy.

Lucy podejrzewała, że on jest kimś w rodzaju geniusza. Nie żeby powiedział coś, co by o tym świadczyło. Pewnego razu usiadła jednak obok niego na angielskim i zerknęła W jego stronę, kiedy dyskutowali o Szekspirze. Widziała, jak pochyliwszy szerokie ramiona nad zeszytem, zapisuje sonety z pamięci, jeden po drugim, pięknym pochyłym pismem, które przywiodło jej na myśl Thomasa Jeffersona piszącego Deklarację niepodległości. Miał wtedy taką minę, jakby znajdował się bardzo daleko od małej, zatłoczonej klasy z bzyzczącymi jarzeniówkami, szarym linoleum i jednym malutkim okienkiem. „Ciekawe, skąd się tutaj wzięłeś - pomyślała. - Ciekawe, jak tu trafiłeś”.

Kiedyś w przypiływie odwagi zapytała go, co jest zadane z angielskiego. Bez słowa wskazał tablicę, na której było napisane, że mają przygotować esej o Burzy, ale wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć. Wiedziała, że on potrafi mówić - słyszała, jak rozmawiał z innymi ludźmi. Zamierzała zachęcić go spojrzeniem, ale gdy popatrzyła mu w oczy koloru groszku konserwowego, nagle obezwładniło ją tak peszące skrępowanie, że spuściła wzrok na podłogę i podniosła go, dopiero gdy lekcja dobiegła końca. Zwykle się tak nie zachowywała. Była dość pewna siebie. Wiedziała, kim jest, i znała swoje miejsce. Dorastała głównie wśród dziewcząt, ale w samorządzie uczniowskim, na warsztatach z ceramiki i dzięki dwóm braciom Marnie znała mnóstwo chłopaków. Żaden z nich nie budził W niej takich uczuć jak Daniel.

Gdy pod koniec przedostatniej klasy opróżniła swoją szafkę, zdarzyło się coś jeszcze. Doskwierała jej myśl, że nie zobaczy go przez całe lato. Żle zaparkowała zardzewiałego białego blezera taty - dwoma kołami na chodniku parę przecznic od szkoły. Postawiła na ziemi stosy kartek, zabrane z szafki książki i pudełko glinianych garnków, a potem spróbowała delikatnie otworzyć drzwi. W kątem oka zauważyła Daniela. Nigdzie nie siedł i niczego nie niósł. Stał nieruchomo z rękami bezwładnie zwisającymi po bokach i patrzył na nią z zagubionym wyrazem twarzy. Miał smutną, trochę nieobecną minę, jakby spoglądał nie tylko na nią, ale także W głąb siebie. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Tym razem żadne z nich się nie spieszyło. Stał tam, jakby próbował coś sobie przypomnieć.

Zwyczajna część niej chciała mu pomachać i powiedzieć coś, co wydałoby się mądre albo godne zapamiętania, ale inna część wstrzymała oddech. Lucy czuła się tak, jakby naprawdę się znali - a nie jakby od roku miała na jego punkcie obsesję. Odniosła wrażenie, że on pozwala jej tak stać, że mogliby sobie wyznaczyć ważne rzeczy, iż ostatecznie nie musieli mówić nic. Potem zawahał się i odszedł, a ona zastanawiała się, co to znaczy. Później próbowała wytłumaczyć Marnie, że to dowód na istnienie prawdziwej więzi, ale Marnie zbagatelizowała całe zajście jako kolejne „zdarzenie bez znaczenia”. -

Marnie uważała, że powinna studzić nadzieje Lucy i w tym celu zaczęła nawet stosować specjalną mantrę: „Gdybyś mu się po-

dobą, tobyś o tym wiedziała” - powtarzała bez końca. Lucy podejrzewała, że Marnie wzięła to z jakiejś książki.

Nie chodziło jedynie o to, że Lucy chciała mu pomóc. Nie była aż taką altruistką. Oszalała na jego punkcie. Oszalała na punkcie jego wszystkich zwyczajnych cech, a potem także na punkcie tych, które go wyróżniały, na przykład jego karku, kciuków wiecznie opartych na krawędzi ławki i włosów sterczących z jednej strony jak małe skrzydełko nad uchem. Raz poczuła jego zapach i zakreśliło jej się w głowie. Tamtej nocy nie mogła zasnąć.

Tak naprawdę chodziło o to, że miał coś, czego nie mógł mieć żaden inny chłopak w szkole: nie znał Dany. Z Dany zawsze było „niezłe Ziółko”, jak oględnie mawiała jej matka, ale w dzieciństwie starsza siostra była dla Lucy bohaterką: najmądrzejszą i najszybciej mówiącą osobą, jaką знаła. Poza tym zawsze była odważna. Odważna i zarazem Zuchwała. Kiedy Lucy pakowała się w kłopoty, nawet z jakiegoś głupiego powodu - bo na przykład naniosiła błota do domu albo rozlała keczup na podłodze - Dana brała winę na siebie. Robiła to, nawet gdy Lucy błagała, żeby dała spokój. Dana mówiła, że poczucie winy jej nie doskwiera, a Lucy owszem.

Kłopoty z Daną zaczęły się, kiedy Lucy była w piątej klasie, a Dana w dziewiątej. Na początku Lucy nie rozumiała, co znaczą te wszystkie szeptki starszych uczniów i dorosłych, ale wiedziała, że chodzi o coś, czego należy się wstydzić. „Uczyłem twoją siostrę” - mówili niektórzy nauczyciele znaczącym tonem. Niektóre dzieci przestały do niej przychodzić, a nawet zapraszać ją do siebie, więc domyśliła się, że jej rodzina zrobiła coś złego, choć nie wiedziała co. Jedynie Marnie pozostała jej wierną przyjaciółką.

Gdy Lucy była w siódmej klasie, Dana słynęła już w szkole jako czarna owca, którą wskazywano innym ku przestrodze. Bez przerwy snuto domysły na temat jej rodziców. Czy piją? Czy w domu są narkotyki? Czy matka pracowała, kiedy dziewczynki były małe? Zazwyczaj domysły kończyło zdanie: „A wydają się tacy mili”. I

Jej rodzice przyjmowali to wszystko z głowami pochylonymi tak nisko, jakby prosili o więcej. Ich wstyd nie miał granic, a łatwiej było mieć poczucie winy niż siedzieć beczynn timer. Dana trzymała głowę wysoko, ale reszta rodziny chodziła sponiewierana i skruszona.

Czasami Lucy próbowała być lojalna wobec siostry, a innym razem żalowała, że nie nazywa się Johnson, jak czternaście dziewczyn w szkole. Próbowała rozmawiać z Daną, ale gdy nie przyniosło to żadnego skutku, wmówiła sobie, że nic jej to nie obchodzi. Ile razy można sobie odpuszczać ukochaną osobę? Kiedy poszła do liceum, przypadkiem usłyszała, jak nauczycielka matematyki mówi do szkolnej pedagog: „Lucy to inna kategoria Bowardów”. Poczuli się okropnie, gdy zauważyła, jak rozpaczliwie ucze piła się tego osobliwego komplementu. Myślała, że jeśli wystarczająco mocno się postara, ztrze złe wrażenie.

Dana kilka razy powtarzała klasę za wagary i wszelkie inne przestępstwa, które wykraczały poza zwykłe szkolne przewinienia: za narkotyki, przemoc, obciążanie chłopaków w toalecie. Pewnego razu Lucy zauważyła na biurku ojca pismo, w którym informowano, że Dana zdobyła stypendium National Merit Scholarship Corporation przyznawane na podstawie wyników matury. Jej siostra wybrała jednak inną drogę. I

Odpadła na dobre w jednym z ostatnich dni szkoły, zaledwie tydzień przed ukończeniem liceum. Zjawiła się na uroczystości wręczenia dyplomów. W samym środku ceremonii zrobiła scenę i wyszła. Daniel był chyba jedynym znanym Lucy chlo-

pakiem, który nie widział, jak Dana zdiera z siebie ubranie na trawniku przed szkołą otoczona przez sanitariuszy próbujących uchronić swoje oczy przed wydrapaniem, kiedy po raz ostatni wieźli ją do szpitala.

Dana przedawkowała w Dniu Dziękczynienia w tym samym roku i zapadła w śpiączkę. Zmarła spokojnie, w Boże Narodzenie.

Pochowano ją w sylwestra. W pogrzebie uczestniczyła rodzina oraz Marnie, dwie babcie i stuknięta ciotka Lucy z Duluth. Jedynym przedstawicielem szkoły był pan Margum, który uczył fizyki i był najmłodszym pedagogiem w liceum. Lucy nie wiedziała, czy przyszedł dlatego, że Dana miała u niego same szóstkę, czy dlatego, że zrobiła mu loda. Może jedno i drugie.

Dana zostawiła skomplikowaną spuściznę, której najbardziej namacalnym elementem był studwudziestocentymetrowy wąż zbożowy o imieniu Tartak. Lucy musiała się nim zająć. Bóg coś innego mogła zrobić? Jej matka nie chciała się nim opiekować. Tydzień po tygodniu Lucy rozmrażała myszy i karmiła węża z nieprzemijającą odrazą. Sumiennie zapalała i gasiła światło. Miała nadzieję, że Tartak zdechnie pozbawiony ożywczego ducha Dany. Pewnego dnia zobaczyła w terrarium jego Wyschnięta, nieruchomą wersję i przez chwilę myślała - czując przerażenie zmieszane z ulgą - że rzeczywiście zdechł. Okazało się jednak, że tylko zrzucił skórę. Wylegiwał się w swoim wydrążonym pieńku i wyglądał rześko jak nigdy przedtem. Nagle Lucy przypomniała sobie szare, suche skóry, które Dana przypinała pinezka do ściany w swoim pokoju - to był jej jedyny wkład w dekorowanie domu.

W jedenastej klasie Lucy po raz pierwszy pozwoliła sobie na bycie kimś innym niż siostrą Dany. Była ładna, więc chłopcy zapomnieli szybciej niż dziewczyny, ale ostatecznie wszyscy się do niej przekonali.

Pod koniec jesieni Lucy została wybrana na sekretarza jedenastej klasy. Dwa z jej glinianych dzieł - wazon i miska - wysłano na stanową wystawę. Jednak po każdej chwili wyzwolenia albo sukcesu następował moment poczucia winy i smutku. Nie mogła znieść, że cokolwiek potrzebuje od tych ludzi, ale potrzebowała.

- Wiesz, Lu, nie mam w szkole ani jednego przyjaciela - wyznała jej kiedyś Dana, jakby naprawdę ją to dziwiło.

*

- Pewnie nawet nie zamierza się pokazać - oznajmiła Marnie przez telefon, kiedy obie szykowały się na bal maturalny, ostatnią szkolną imprezę.

- Jeśli chce odebrać dyplom, nie będzie miał innego wyjścia - zauważyła Lucy, a potem odłożyła słuchawkę i znowu podeszła do szafy.

Marnie zadzwoniła jeszcze raz.

- Nawet jeśli się pokaże, na pewno cię nie zagadnie.

- Może ja zagadnę jego.

Lucy ostrożnie wyjęła nową jedwabną halkę w kolorze lawendy i zdjęła foliowe opakowanie. Delikatnie położyła ją na łóżku, a potem zmieniła stanik ze zwyczajnego na kremowy z koronki. Spędziła nad umywalką pełne piętnaście minut, próbując wyczyścić paznokcie z gliny i ziemi, a potem pomalowała je jasnoróżowym lakierem. Użyła lokówki, wiedząc, że za godzinę jej śliskie włosy znowu będą proste. Gdy rysowała kreskę na krawędzi górnej powieki, wyobraziła sobie Daniela, który patrzy na nią i zastanawia się, dlaczego postanowiła kluczyć się kredką w oko.

Często o nim rozmyślała. Żenująco często. Cokolwiek robiła, wyobrażała sobie Daniela, jego opinie i myśli. I choć tak napraw-

dę nigdy ze sobą nie rozmawiali, zawsze dokładnie wiedziała, co on by powiedział. Wiedziała na przykład, że nie spodobałby mu się mocny makijaż. Suszarka wydałaby mu się hałaśliwa i zbędna, a zalotkę uznałby za narzędzie tortur. Podobało mu się skubanie nasion słonecznika, ale dietetyczna pepsi już nie. Gdy iPod serwował jej kolejne piosenki, wiedziała, które by mu się spodobały, a które uznałby za głupie.

Doszła do wniosku, że sukienka przypadłaby mu do gustu.

Właśnie dlatego ją wybrała. Ostrożnie wciągnęła ją przez głowę i pozwoliła, by delikatny materiał dopasował się do ciała.

Marnie zadzwoniła jeszcze raz.

- Trzeba było pójść ze Stephenem. Ładnie poprosił.

- Nie chciałam iść ze Stephenem - odpowiedziała. .

- No Wiesz, Stephen przyniósłby ci kwiaty. Dobrze byście wyglądali na zdjęciach.

- On mi się nie podoba. Po co mi takie zdjęcia?

- Nie wspomniała o najważniejszej wadzie Stephena, czyli o tym, że Marnie najwidoczniej go podziwia.

- Poza tym by z tobą tańczył. Stephen umie tańczyć. Daniel też go nie robi. Nie obchodzi go, czy W ogóle będziesz na tym balu.

- Skąd, wiesz? Może obchodzi.

- Nie. Mnóstwo razy mógł ci okazać zainteresowanie, ale nie okazał.

Lucy odłożyła słuchawkę i po raz ostatni stanęła przed lustrem. Trochę żałowała, że nie dostanie kwiatów. Zerwała trzy małe fiołki z doniczek na parapecie: dwa fioletowe i różowy.

Przymocowała je do wsuwki i wpięła dwa centymetry nad uchem.

Od razu poczuła się lepiej. i

Marnie zapukała do drzwi za piętnaście ósma. Schodząc po schodach, Lucy widziała minę matki, która po cichu liczyła na jakąś wersję Stephena, na przystojnego faceta w smokingu i z bukietem w dłoni, a nie na to, że jak zwykle zjawi się Marnie w podartych czarnych rajstopach. Miała dwie urocze jasnowłosa córki, a na próżno wypatrywała choćby jednego chętnego chłopaka w smokingu. W jej czasach uroda Lucy wystarczałaby w zupełności.

Lucy poczuła znajome ukłucie. Już wiedziała, do czego przydałyby jej się te zdjęcia. Pokazywałyby jej matce los lepszy niż ten, który faktycznie spotkał jej córkę. Lucy uspokoiła się tradycyjną litanią argumentów zmniejszających poczucie winy: nie bierze narkotyków, nie przekłuta sobie języka ani nie wytatuowała pająka na szyi, ma lawendową sukienkę, różowe paznokcie i fiołki we włosach. Przecież nie może być idealna.

- O Boże - powiedziała Marnie, przyjrawszy się Lucy. - Musiałaś to wszystko robić?

- To znaczy co?

- Nieważne.

- To znaczy co?

- Nic. , .

Lucy za bardzo się starała. Ot co. Spojrzała na swoją sukienkę i na złote buty. „Możliwe, że zobaczę go po raz ostatni

- W życiu - pomyślała z żalem. - Nie wiem, co będzie potem. Muszę się postarać, żeby mnie zapamiętał”.

*

- Nienawidzę tej piosenki. Wyjdźmy na zewnątrz. .

Lucy wyszła za Marnie ze szkolnej auli. Marnie nienawidziła wszystkich piosenek. Lucy kołysała się na podszwach skrzypiących złotych pantofli W przód i w tył, patrząc na ciemnoczerwony ślad szminki na filtrze papierosa przyjaciółki. Marnie przygarbiła się, żeby go podpalić, a Lucy zobaczyła wzdłuż jej przedziałka jasnożółte odrosty rozpychające ufarbowane na ciemno włosy.

- Jakoś nie widzę Daniela - powiedziała Marnie, nie tyle zwycięsko, ile zrzędliwie.

- Z kim przyszedł Stephen? - zrewanżowała się Lucy, bardziej złośliwie, niż powinna.

- Przymknij się - syknęła Marnie, bo ona też miała swoje powody do rozczarowania.

Lucy na chwilę się przymknęła, patrząc, jak dym papierosa pnie i się w górę i rozplywa w powietrzu. Pomyślała o dyplomie Daniela, który został na stole pod ścianą sali gimnastycznej. Ten dyplom był dla niej jak nagana. Daniel naprawdę nie zamierzał przyjść na bal. Naprawdę go nie obchodziła. Lucy miała wrażenie, że maki-
jaż krzepnie jej na twarzy. Chciała go zmyć. Spojrzała na sukienkę, która kosztowała ją cały semestr pracy w soboty w sklepiu z obwar-
zankami. A jeśli już nigdy nie zobaczy Daniela? Na tę myśl ogar-
nęła ją strach graniczący z paniką. Nie, to nie może się tak skończyć.

- Co to było? - zapytała Marnie, odwracając się gwałtownie
w jej stronę.

Lucy też to usłyszała. W szkole ktoś krzyknął, a potem rozległ się wrzask. Tam, gdzie imprezują licealiści, słychać wiele wrza-
sków, ale ten wszystkich zmroził.

Marnie zrobiła zdziwioną minę, którą Lucy rzadko widywała na jej twarzy. Ludzie tłoczyli się przy drzwiach i znowu rozległy się krzyki. Słyszając brzęk tłuczonej szyby, Lucy aż podskoczyła. A
- Działo się coś bardzo niedobrego.

O kim myślisz, ~kiedy tłucze się szkło i ludzie krzyczą z prawdziwego przerażenia? Odpowiedź Lucy mówiłaby o niej wiele. Marnie stała obok, a matka była w domu, więc Lucy pomyślała o Danielu. A jeśli to on? Tłum przy drzwiach gęstniał. Musiała się dowiedzieć, co się stało.

Weszła bocznymi drzwiami. Wewnątrz było ciemno, więc pobiegła na oślep w stronę krzyków. Zatrzymała się w pobliżu sal, gdzie odbywały się lekcje uczniów ostatniej klasy. W oddali znowu rozległ się brzęk szkła. Na posadzce zobaczyła ciemne smugi i instynkt od razu jej podpowiedział, co to takiego. Dalej była jeszcze większa kałuża krwi, która spływała po pochyłej nawierzchni. Czując odrętwienie, Lucy zdziwiła się, że podłoga nie jest płaska. Zrobiła kilka kroków i zamarła. Ktoś, jakiś chłopak, leżał pod ścianą spowity cieniem. To jego krew pełzła po korytarzu.

- Co się tutaj dzieje? - zawołała w stronę oddalających się z krzykiem osób. i

Drżącymi rękami poszukała w torebce komórki. Zanim zdążyła ją znaleźć, usłyszała syreny, mnóstwo syren naraz. Ktoś złapał ją za rękę i pociągnął, ale się wyrwała. Krew wolno płynęła w stronę czubka jej złotego pantofla. Ktoś w nią wdepnął i uciekł, zostawiając ślady na linoleum, a to wydało jej się po prostu nie w porządku.

Podeszła do leżącego na ziemi ciała, próbując nie wejść w kałużę. Pochyliła się, żeby zobaczyć twarz. To był chłopak z przedostatniej klasy, rozpoznała go, chociaż się nie znali. Przykucnęła przy nim i dotknęła jego ręki. Z każdym oddechem z jego ust wydobywał się jęk. Przynajmniej żył.

- Wszystko w porządku? - Od razu było widać, że nie. - Zaraz przybędzie pomoc - zapewniła go słabym głosem.

Nagle usłyszała eksplozję krzyków i tupot biegnących w jej stronę stóp - przyjechała policja. Policjanci bez przerwy się wydzierali. Zatarasowali drzwi i kazali wszystkim się uspokoić, mimo że sami nie byli spokojni.

- Jest już karetka? - zapytała.

Powiedziała to niewystarczająco głośno, więc powtórzyła. Nie

zdawała sobie sprawy, że płacze.

Dwaj policjanci podbiegli do chłopaka, a ona się odsunęła. Znowu nastąpiła erupcja krzyków do krótkofalówek. Zrobiono przejście dla ratowników medycznych.

- Nic mu nie będzie? - odezwała się zbyt cicho, żeby ktokolwiek usłyszał.

Odsunęła się jeszcze bardziej. Nic już nie widziała.

W tej chwili policjantka mocno pociągnęła ją za rękę.

- Nie ruszaj się stąd - rozkazała, mimo że Lucy nigdzie się nie wybierała. Poprowadziła ją korytarzem i wskazała drzwi po prawej. - Wejź tam i czekaj, aż przyjedzie detektyw i cię przesłucha.

Nigdzie się nie ruszaj, słyszysz?

Lucy otworzyła drzwi do laboratorium chemicznego, w którym w dziesiątej klasie robiła eksperymenty z palnikami Bunsena. Najpierw zobaczyła przez okno czerwień świateł radiowozów. Brnęła przez morze ciemnych ławek, żeby wyrzeć na zewnątrz. Z dziesięć samochodów zaparkowało pod dziwnymi kątami na trawniku za szkołą, gdzie przy dobrej pogodzie licealiści spędzali przerwy. W błyskach kogutów widziała, że opony zryły trawę, i to też wydało jej się okropne.

Podeszła do umywalki, polegając nie tyle na wzroku, ile na pamięci. Mogła poszukać włącznika światła, ale nie miała ochoty wystawiać się na spojrzenia tych wszystkich ludzi stłoczonych za oknami. Odkręciła kran i pochyliła się, żeby zmyć makijaż i łzy. Osuszyła twarz sztywnym brązowym papierowym ręcznikiem. Jej fiołki przywiędły. Myślała, że w klasie jest pusto, ale kiedy się odwróciła, zobaczyła postać siedzącą w ławce w rogu. Wystraszyła się. Podeszła bliżej, próbując dostrzec coś w ciemności.

- Kto tu jest? - zapytała głosem tylko odrobinę głośniejszym niż szept.

- Daniel.

Zatrzymała się. W czerwonej poświacie ukazała się część jego twarzy.

i" - Sophia - powiedział.

Podeszła bliżej, żeby lepiej ją zobaczyć.

- Nie, to ja, Lucy. _

Głos lekko jej drżał. Na korytarzu wykrwawiał się jakiś chłopak, a ona czuła rosnące rozczarowanie tym, że Daniel nadał jej nie kojarzy.

- Chodź, usiądź. - Mówiąc to, zaprosił ją gestem.

Miał stoicki, zrezygnowany wyraz twarzy, jakby wolał, żeby to była Sophia.

Prześlizgnęła się pod ścianą, omijając krzesła oraz zostawione przez uczniów kurtki i plecaki. Jej sukienka wydawała się zbyt zwiewna jak na taki wieczór. Siedział pod ścianą w jednej z tych ławek składających się ze stolika na stałe połączonego z krzesłem.

Założył nogę na nogę, jakby na coś czekał.

Nie była pewna, jak blisko powinna usiąść, ale przysunęła do niego drugą ławkę, tak że dwie jednoosobowe ławki dla praworęcznych stanęły naprzeciw siebie jak jin i jang. Usiadła i zadrżała. Na nagich ramionach poczuła gęsią skórę. Z zażenowaniem wyjęła fiołki z włosów.

- Zmarzaś - powiedział. Spojrzał na małe kwiatki na ławce.

- Nic mi nie jest - odparła. Większość gęsiej skóry to była jego zasługa. -

Rozejrzał się, patrząc na rzeczy piętrzące się na stołkach, krzesłach i blatach. Sięgnął po białą bluzę z sokołem i podał ją Lucy. Narzuciła ją na ramiona, ale nie zwracała sobie głowy wkładaniem rękawów ani zapinaniem zamka.

- Wiesz, co się stało? - zapytała, pochylając się, a jej włosy ze-

ślizgnęły się z ramion i prawie dotknęły jego dłoni.
Rozłożył ręce płasko na ławce, tak jak często robił na lekcjach angielskiego. Miał ręce mężczyzny, a nie chłopca. Wyglądało to tak, jakby opanowywał W ten sposób drżenie dłoni.

- Jacyś kolesie z jedenastej klasy wpadli na korytarz i zaczęli demolkę. Paru z nich miało noże i wywiązała się bójka. Chyba dwóch pochlastali, a jednego dźgnęli.
- Widziałam go. Leżał na podłodze.
Pokiwał głową. _
- Nic mu nie będzie. Dostał W nogę. Pokrwawi, ale wyjdzie z tego.
- Na pewno?
Zastanawiała się, skąd on to wie.
- Przyjechała już karetka? - zapytał. Pokiwała głową. - W takim razie na pewno. Wyliże się.
Wyglądał, jakby myślał o czymś innym.
- To dobrze - ucieszyła się.

Wierzyła mu bez względu na to, czy zasługiwał na zaufanie, i dzięki temu poczuła się lepiej. Szczękała zębami, więc zamknęła usta, żeby przestać.

Pochylił się i wyjął coś z torby na podłodze. Była to opróżniona do połowy butelka bourbona.
g - Ktoś porzucił swój zapas. - Podeszedł do umywalki i wziął z półki plastikowy kubek. - Należę ci. i
Nalał, zanim zdążyła powiedzieć tak albo nie. Postawił kubek naprzeciw niej na ławce, pochylając się tak nisko, że poczuła ciepło jego ciała. Zabrakło jej tchu i zakręciło jej się W głowie. Przyłożyła dłoń do ciepłej szyi, wiedząc, że jej skóra w tym miejscu robi się czerwona, jak zawsze W chwilach dużego poruszenia. I p
- Nie przypuszczałam, że tu jesteś - wypaliła, nie pomyślawszy nawet, że może się tym zdradzić.
Pokiwał głową.
- Spóźniłem się. Już na parkingu usłyszałem krzyki. Chciałem zobaczyć, co się dzieje. '

Miała ochotę napić się bourbona, ale trzęsły jej się ręce i nie chciała, żeby to zauważył. Być może się tego domyślił, bo odsunął się W stronę stołu i włączył palnik. Patrzyła, jak plamki ognia migają na krawędzi. P0 chwili rozbłysnął płomień, odbił się W szklanych drzwiach i Wypełnił klasę delikatnym, drżącym światłem. Szybko pociągnęła łyk, czując W zimnych ustach szczypanie i pieczenie. Towarzyszył temu gryzący zapach, ale starała się nie krzywić. Nie przywykła do picia Whisky.

- Chcesz trochę? - zapytała, kiedy znowu usiadł W sWoj ej ławce. Dotknęli się kolanami. Sądziła, że nie będzie chciał pić. Spojrzał jednak na nią, a potem na kubek. Sięgnął po niego i ze zdumieniem patrzyła, jak przystawia go do ust tym samym miejscem, gdzie wcześniej były jej usta, a potem pociąga długi łyk. Myślała, że należy sobie do drugiego kubka, ale nie przyszło jej do głowy, że napije się z tego samego co ona. Co powiedziałyby na to Marnie? Lucy ledwie mogła uwierzyć W tak Wielką poufalskość. Siedziała z nim, rozmawiała z nim, piła z nim. Wszystko działo się tak szybko, że z trudem nadążała.
Upiła następny łyk, zuchwale. Nie obchodziło jej, czy Daniel zauważy drżenie. Jej dłoń spoczywała tam, gdzie Wcześniej jego dłoń, a usta tam, gdzie jego usta.
„Masz pojęcie, jak bardzo cię kocham?”
Znowu się odsunął. Przechylił głowę i przyjrzał się jej twarzy. Ich kolana znowu się zetknęły. Czekala, aż coś powie, ale milczał. Nerwowo ścisnęła W. dloni plastikowy kubek, zginając koło

W owal i puszczając z powrotem.

- Myślałam, że ten rok się skończy, każde z nas pójdzie W swoją stronę i nigdy ze sobą nie porozmawiamy - Wyznała odważnie.

Miała Wrażenie, że jej słowa odbiły się echem W ciszy, i czuła się okropnie uwięziona z nimi na tak długo. Chciała, żeby Daniel zrobił coś, co je odgoni.

Uśmiechnął się do niej. Pomyślała, że nigdy nie widziała jego uśmiechu. Był piękny. i

- Nie dopuściłbym do tego.

- Nie dopuściłbyś? - Była tak szczerze zaskoczona, że nie mogła się powstrzymać i zapytała: - Dlaczego?

- Nadal jej się przyglądał, jakby miał wiele rzeczy do powiedzenia i nie wiedział, czy jest gotów je ujawnić.

- Chciałem z tobą porozmawiać - zaczął powoli: - Nie byłem pewien... czy nadeszła odpowiednia chwila. - Ogarnął ją zupełnie niedojrzały, dojmujący żal, że Marnie nie może tego usłyszeć.

- Ale to dziwny wieczór é ciągnął. - Chyba nie najlepsza pora. Dzisiaj chciałem się tylko upewnić, że nic ci się nie stało.

- Naprawdę?

Martwiła się, że przejęcie malujące się na jej twarzy wygląda żałośnie.

Uśmiechnął się jeszcze raz, tak samo jak wcześniej.

- Oczywiście.

Upiła następny łyk bourbona i drżącą dłonią podała mu kubek, jakby byli starymi przyjaciółmi. Czy miał pojęcie, ile czasu o nim rozmyślała, fantazjowała o nim i analizowała każde jego spojrzenie, każdy gest? i

- O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Próbował coś wyczytać z jej twarzy. Nie wiedziała co. Pociągnął następny długi łyk.

- Chyba nie powinienem tego robić. Sam nie wiem.

Pokręcił głową i spoważniał. Nie była pewna, co ma na myśli: picie bourbona czy rozmawianie z nią.

- Czego nie powinieneś robić?

Zmierzył ją tak przenikliwym spojrzeniem, że prawie się wystraszyła. Niczego nie pragnęła równie mocno jak tego, by patrzył jej W oczy, ale nie była W stanie przyjąć aż tyle. Jak spalona słoncem ziemia, w którą nie Wsiąkają wiadra Wody.

- Dużo o tym myślałem. Jest tyle rzeczy, o których pragnę ci powiedzieć. Nie chcę cię... - zamilkł, szukając właściwego słowa

- przytłoczyć. I

Jeszcze Żaden chłopak nie mówił do niej W taki sposób. Nie było żadnej zasłony z bzdur, żadnego flirtu, żadnego czarowania - jedynie świdrujące spojrzenie. Był inny niż wszyscy, których znała.

- Głośno przełknęła ślinę, żeby nad sobą zapanować. Miała Wrażenie, że jeśli nie będzie ostrożna, obnaży przed nim całe swoje wnętrze. Postanowiła, że będzie się pilnowała, ale nie pozostanie obojętna.

- Wiesz, ile ja o tobie myślałam?

Siedzieli, stykając się kolanami, Więc gdy rozsunał nogi, jej kolana poleciały do przodu, aż niemal się zakleszczyli: jej kolano zbliżyło się do jego krocza, a jego kolano do jej. Jej kolano było nagie, a jego Wsunęło się głęboko pod jej sukienkę i napierało na halkę. Krew dudniła jej W uszach. Czuła niedowierzanie. Podejrzewała, że jej wyobraźnia tworzy to wszystko z czystego pożądania i że W rzeczywistości nic takiego się nie dzieje.

- Naprawdę? - zapytał. ę

Nagle zrozumiała, po prostu zrozumiała, że W niego wsiąkła,

że on jest równie spragniony jak ona.

Podniósł dłoń, dotknął jej karku i przyciągnął ją do siebie.

Zaczerpnęła powietrza, zaskoczona tym, że on chce zbliżyć usta do jej ust. Pocałował ją. Zatraciła się W jego oddechu, W jego ciepłe i zapachu. Tak bardzo się pochylała, że poczuła, jak krawędź ławki wbija jej się między żebra tuż pod piersiami, obok których łomocze serce. ~

Potrącił ręką kubek zbourbonem, który spadł na podłogę.

Niewyraźnie poczuła płyn, który rozprysł się i utworzył kałużę pod jej stopą, ale nic jej to nie obchodziło. Pragnęła całować Daniela aż do śmierci, gdyby tego chciał, ale nagle doświadczyła czegoś niesamowitego, pędziło do niej dziwne doznanie: silne przeczucie. Przez chwilę była w stanie je ignorować, aż W końcu uderzyło w nią z całą siłą.

Było to uczucie i zarazem wspomnienie: fale dwóch eksplozji przenikały się i narastały. Coś jak déjà vu, tyle że znacznie bardziej intensywne. Zakręciło jej się W głowie i nagle się wystraszyła. Otworzyła oczy i odsunęła się od niego. Spojrzała mu W twarz.

Na policzkach poczuła łzy, zupełnie inne niż te wcześniejsze.

- Kim jesteś? - szepnęła.

- Rozszerzyły mu się źrenice i ponownie skupił na niej wzrok.

- Przypomniłaś sobie?

Nie była w stanie zobaczyć jego twarzy. Pomieszczenie zawirowało tak gwałtownie, że zamknęła oczy, a on był tam, pod jej Śl powiekami, jakby wyłonił się z pamięci. Leżał na łóżku, a ona v l:* na niego patrzyła, czując gdzieś w głębi rozpacz, której nie rozumiała. *

Teraz zdała sobie sprawę, że Daniel mocno trzyma ją za ręce. 'lj

Kiedy otworzyła oczy, wpatrywał się w nią tak intensywnie, że chciała się odwrócić. :i

- Przypomniłaś sobie?

Wyglądał tak, jakby od jej odpowiedzi zależało jego życie.

Poczuła strach. Jej umysł nawiedziła następna scena. Znów on, ale w jakimś dziwnym, nieznanym jej miejscu. Miała wrażenie, że to jawa i jednocześnie sen.

- Znałam cię już wcześniej?

Była pewna, że tak. Oraz że to niemożliwe. Poczuła przerażenie. Nie Wiedziała, gdzie dokładnie jest.

- Tak.

Zobaczyła łzy w jego oczach.

Pociągnął ją za rękę, a kiedy wstała, przytulił ją tak, że przygłęła do niego całym ciałem. Poczuła kołysanie w piersi, ale nie wiedziała, czyje to serce: jego czy jej.

- Masz na imię Sophia. Wiesz o tym?

Wtulając twarz W jego szyję, poczuła wilgoć na czubku głowy.

Pomyślała, że gdyby jej nie trzymał, nie ustałaby na nogach. Poczuła, że mu się Wyślizguje. Nie wiedziała, gdzie jest ani kim jest, nie wiedziała, co sobie przypomniała. Zastanawiała się, czy bourbon nie zadziałał przypadkiem jak coś w rodzaju halucynogenu. A może po prostu traciła rozum. "3

Czy to Właśnie takie uczucie? Dana uwielbiała tracić nad sobą kontrolę, ale Lucy tego nie znosiła. Wyobraziła sobie karetkę, która przyjedzie ją zabrać. Pomyślała o matce.

Pospiesznie się od niego odsunęła.

- Coś jest ze mną nie tak - powiedziała płaczącym głosem.

Nie chciał jej puścić, ale zauważył bladość jej twarzy i strach.

_V x - Jak to?

a - Muszę już iść. A '

- Sophia.

Zdała sobie sprawę, że zacisnął dłonie na jej sukience i nie

I: chce jej wypuścić.

- Nie, mam na imię Lucy - poprawiła go.

Może mu odbiło? Na pewno tak. Zdezorientowany wziął ją za kogoś innego. Dostał czegoś w rodzaju psychozy. Był tak stuknięty

- ty, że ona też przy nim wariowała.

Nagle ogarnęło ją przytłaczające poczucie zagrożenia. Za bardzo jej na nim zależało, a on był niebezpiecznym obiektem uczuć. Nie kochałby jej tak, jak ona jego. Wessałby ją W stan czystej dezorientacji i uznałaby się za kogoś innego. Tak bardzo chciałaby mu uwierzyć, że nie wiedziałaby, kim jest.

- Proszę, puść mnie.

~ Ale... Zaczekaj. Sophia. Pamiętasz. '

- Nie. Nie pamiętam. Przerażasz mnie. Nie wiem, o co ci chodzi. - Mówiąc to, łkała.

Poczuła, że drżą mu ręce. Nie potrafiła spojrzeć na rozpacz w jego oczach.

- Chciałbym ci o wszystkim opowiedzieć. Chciałbym, żebyś wiedziała. Proszę, pozwól mi wyjaśnić. - Odsunęła się tak gwałtownie, że rozdarł się przód sukienki. Spuściła oczy, a potem znowu spojrzała na niego. Wydawał się zaskoczony i przerażony tym, że nadal ściska W dłoniach materiał. - O Boże. Przepraszam. -

Próbował ją otulić bluza, zasłonić. - Tak mi przykro. - Nie wypuszczał jej z objęć. Nie pozwalał jej odejść. - Tak mi przykro.

Kocham cię. Wiesz o tym? - Trzymał ją i rozpaczliwie wtulał twarz W jej włosy. - Zawsze cię kochałem.

Wyrwała mu się. Uderzyła nogą W ławkę, która się przewróciła. Potykając się o sprzęty i plecaki, szła do drzwi. Nie mogła być aż tak kochana. Nawet ona. Nawet przez niego.

- Wcale nie - krzyknęła, nie odwracając się. - Nawet nie Wiesz, kim jestem.

Nie pamiętała, jak się dostała do głównych drzwi szkoły, ale tam znalazł ją policjant. Płakała i nie mogła wyjść, bo wszystkie drzwi były zamknięte. Tak powiedział ten gliniarz jej matce, kiedy po nią przysłała, a Lucy naprawdę niczego nie pamiętała.

.>+

Gdy wyszła, przykucnął i długo siedział sam W takiej pozycji. Nadal czuł na ustach jej smak, a na ciele ciepło jej ciała, lecz teraz te doznania działały na niego jak wyrzut. Gapił się na trzy zwędłe kwiaty leżące na ławce, W której siedziała. Nadal trzymał W dłoni kawałek jej sukienki.

Pozostał mu tylko żal. I obrzydzenie do siebie. Nie chciał się „fl poruszyć z obawy, że otworzy się więcej szczelin i dopadnie go si, to wszystko. Albo jeszcze więcej. Wolałby się pławić W jej dotyku i zapachu zamiast we własnej porażce, ale ta porażka go przytłoczyła. Zaprzepaścił wszelkie nadzieje. Zranił ją i zasmucił. Jak mógł jej to zrobić?

„Przypomniała mnie sobie”.

To była jego najgorsza słabość, najbardziej toksyczny narkotyk. Tak bardzo chciał, żeby sobie przypomniała, że był gotów powiedzieć wszystko. Był gotów zrobić wszystko, uwierzyć we I wszystko i Wszystko sobie wyobrazić. '

„Przypomniała sobie. Wiedziała”. o .i

Oszołomiony wyszedł ze szkoły znacznie później niż inni. ' W budynku zostało kilku woźnych, którzy sprząтали bałagan. Nikt I nie zwrócił na niego uwagi. Jego porażki były osobiste i niewidzialne.

„Ale nie dla niej”.

Chwył ją. Wystraszył. Napadł na nią. Przysięgł sobie, że tego nie zrobi, ale zrobił. Tak sumiennie, tak długo się pilnował, ale kiedy stracił panowanie nad sobą, zrobił to z siłą stuleci. Nienawdził

- siebie oraz wszystkich zamiarów i pragnień, jakie kiedykolwiek miał. Nienawidził wszystkiego, co kiedykolwiek planował i czego pragnął.
„Kocham ją. Potrzebuję jej. Wyjawilem jej wszystko. Po prostu chciałem, żeby mnie poznała”.
Szedł, aż znalazł się bardzo daleko od obrazów i dźwięków. Wszedł na polankę w zagajniku za boiskiem do piłki nożnej i położył się w mokrej trawie. Nie mógł iść dalej. Nie miał dokąd iść, nie miał nikogo, z kim chciałby się zobaczyć, ani niczego, czego mógłby pragnąć lub na co mógłby mieć nadzieję. Od wielu lat cierpliwie budował swoją wizję, a zniszczył ją w ciągu kilku chwil.
„Ona mnie stworzyła i ona mnie zgubiła”.
Jak zawsze. Też zapłaciła za to wysoką cenę.
Nie mógł zostać na tej polanie. Nadal widział czerwien policyjnych świateł bijącą w ciężkie czerwcowe niebo. Wstał. Plecy miał mokre od rosy. „Zszedł ze wzgórza, oddalając się od szkoły. I o koniec, nie chciał wracać. Zostawiał to *miejsce W stanie ruiny, jak chyba wszystko w swoim życiu. Powinien był opuścić świat i w samotności.
Zdał sobie sprawę, że zapomniał zabrać dyplom. Wyobraził go sobie, jak leży samotnie na długim, starannie udekorowanym stole W sali gimnastycznej wśród serpentyn i flaczających balonów. Dyplomy były dla ludzi, którym zależy, którzy cenią je tak, jakby były dla nich pierwsze i ostatnie. On wiedział, że nie są. Co znaczył dla niego kolejny świstek? Dlatego jego dyplom dalej leżał w sali gimnastycznej, z jego pieczołowicie wykaligrafowanym nazwiskiem.”
Dlaczego musi to ciągnąć, gdy wszyscy inni zaczynają od nowa? Dlaczego zostaje, a ona zawsze odchodzi? Czasami czuł się jak jedyny człowiek na ziemi. Jest inny. Zawsze był inny. Jego próby życia W normalnym świecie wydawały się głupie i fałszywe.
„Znowu ją straciłem”.
Mogłoby się wydawać, że ktoś, kto żyje tak długo jak on, kto tyle widział, powinien patrzeć na świat z szerszej perspektywy i mieć więcej cierpliwości. On jednak za długo tłumił W sobie emocje, był zbyt spragniony. Gdy znalazła się W pobliżu, nie zdołał się powstrzymać. Wmówił sobie, że wystarczy jedno spojrzenie W jego oczy, żeby sobie przypomniawszy, że miłość przewycięży wszystko. Bourbon nie ułatwił sprawy.
„Nikt oprócz mnie nie pamięta”. Trzymał tę myśl w zamknięciu, ale tej nocy ją uwolnił. Czasami samotność była nie do zniesienia.
X'
Przeszedł przez łąkę i ruszył dwupasmówką. Szedł wzdłuż rzeki i dobrze się czuł blisko czegoś starszego niż on sam. Ta rzeka miała długą przeszłość, ale w przeciwieństwie do niego roztropnie zachowała ją dla siebie. Pomyślał o bitwie nad Appomattox, o walkach o High Bridge. Ile krwi wsiąkło w tę rzekę? A mimo to nadal płynęła. Oczyszczała się i zapomniała. Jak można się oczyścić, skoro nie sposób zapomnieć?
„Nie chcę tak dłużej żyć. Nie chcę dłużej jej tego robić. Chcę z tym skończyć”.
Nic go tutaj nie trzymało. Nie miał prawdziwej rodziny. W poprzednim życiu dopisało mu szczęście i trafił do naprawdę wspólnych ludzi, lecz lekkomyślnie ich porzucił, żeby podążać za Sophią. Nic dziwnego, że W tym życiu spotkał go taki paskudny los: narkomanka, która odeszła, zanim on zdążył skończyć trzy lata, a potem rodzina zastępcza - pod każdym względem tak okropna, na jaką zasłużył. Od dwóch lat był sam, żył tylko dzięki nadziei. Wyrzekł się błogosławieństw, których był wart, w zamian

za szansę bycia z nią, a teraz ją również stracił.

Jak by to było już nie wrócić? To jedno z nielicznych doświadczeń, których nigdy nie zaznał. Czy śmierć wyglądałaby inaczej?

Czy W końcu spotkałby Boga?

Usiadł na brzegu rzeki, czując jego zimną, błotnistą Wilgoć i zastanawiając się, dlaczego nie można się uwolnić od tych

- małych pragnień. Bez względu na to, jak długo się żyje. Niczym skazany na śmierć, który spogląda na zegarek tuż przed egzekucją. Ruch małych Wskazówek nigdy nie współgra z ruchem tych i większych, prawda? i

Wygrzebał z ziemi ubłocone kamienie, wystarczająco małe, by zmieściły się wkieszeni. Większe rzucał na oślep, słuchając głuchego stuknięcia kamienia o kamień albo łaskawego chłupnięcia wody. Wpychał kamienie i błoto do kieszeni wyjściowych spodni, zastanawiając się, czy głupi, niezależny mózg odważy się temu sprzeciwić. Wsadził kilka ukruszonych kamieni do kieszonki na piersi, trochę speszony swoim kunsztem dramatycznym. Żadna chwila nie jest aż tak doniosła, by stłumić zwyczajne odruchy.

„Oprócz tej, W której ją pocałowałeś”. y

Takie decyzje jak ta miały więcej godności, gdy myślało się o nich W czasie przeszłym albo przyszłym - lub gdy chodziło o życie innych ludzi. Małostkowe knowania ptasiego mózdzku doprowadzają człowieka do upadku i jedynym zbawieniem okazuje się zapomnienie. Pamiętanie całych żyć takich knowań było jego przekleństwem.

Odpowiednio obciążony powlókł się W stronę drogi i wszedł na most. Ciemne powietrze przesuające się nad wodą było chłodniejsze i szybsze. Na drugim brzegu rozbłysły przednie światła samochodu. Rosły, ale W końcu zniknęły, omijając most. Dotarł do najwyższego punktu, wdrapał się na barierkę i usiadł na niej twarzą do rzeki, machając nogami nad wodą. Czuł się dziwnie młody. Patrzył na rany na swoich dłoniach pozostawione przez ostre kamienie, jakby sprawiały ból komuś innemu.

Powoli wstał, balansując na barierce w butach na sztywnej podszewie. Machał rękami, żeby się nie poślizgnąć. Dlaczego liczy się to, żeby skoczyć, a nie spaść, skoro skutek jest taki sam? Ciężka wilgoć W powietrzu zmoczyła mu twarz. Przejechał następny samochód. I

Mógł zabrać ze sobą miliony różnych rzeczy, a miał tylko zgnieciony W dłoni kawałek miękkiej, fioletowej sukienki Lucy

- i kwaśny smak bourbona W gardle. Przechowywał w umyśle przeobrażenie na jej twarzy, gdy próbowała się od niego uwolnić, a on nie chciał jej puścić, przekreślając wieki starannie zywionej nadziei - wiedząc, że je przekreśla, a mimo to nie mogąc się od tego powstrzymać. i

To wystarczyło, żeby złapał równowagę i skoczył.

Afryka Północna, 541

Kiedyś byłem zupełnie normalnym człowiekiem, ale nie trwało to długo. Mam na myśli swoje pierwsze życie. Wtedy świat był dla mnie nowy i ja też byłem nowy dla siebie samego. Zaczęło się to około 520 roku naszej ery, ale nie jestem pewien kiedy dokładnie. Wtedy nie przywiązywałem do wszystkich wydarzeń tyle wagi co teraz. Działo się to dawno i nie wiedziałem, że to zapamiętam.

Uważam to życie za pierwsze, bo żadnego wcześniejszego nie zachowałem w pamięci. Całkiem możliwe, że żyłem już wcześniej. Kto wie, może jeszcze przed narodzinami Chrystusa, lecz właśnie w tym konkretnym życiu wydarzyło się coś, przez co nabyłem tę dziwną pamięć. To nie do końca pewne, ale nie wykluczone.

Właściwie moje pierwsze życia są trochę zamglone. Parę razy umarłem chyba już w dzieciństwie na którąś z częstych wówczas chorób i nie jestem pewien, jakie znaczenie mają tamte losy w porządku zdarzeń. Zapamiętałem z nich tylko kilka fragmentów i urywków, postępujący żar gorączki, znajomą dłoń albo znajomy głos, lecz zanim moja dusza zdażyła na dobre osiąść w tym ciele, I: ruszyłem w dalszą drogę. ?

Myśl o tym pierwszym życiu i próba opowiedzenia go są dla mnie bolesne. Byłoby lepiej, gdybym w dzieciństwie umarł na odrę albo ospę.

Odkąd zacząłem rozumieć swoją pamięć, inaczej patrzę na własne działania. Wiem, że cierpienie nie kończy się wraz ze śmiercią. To dotyczy nas wszystkich, bez względu na to, czy pamiętamy czy nie. Wtedy jeszcze nie byłem tego świadomy. Może dzięki temu łatwiej mi będzie wyjaśnić, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem, lecz wcale nie umniejsza to mojej winy.

*

Po raz pierwszy urodziłem się na północ od miasta, które w tamtych czasach zwano Antiochią. Pierwszym niezatartym i wspomnieniem w mojej długiej przeszłości jest trzęsienie ziemi i w 526 roku. Wtedy niewiele o nim wiedziałem, ale w późniejszych latach czytałem wszystkie relacje, które udało mi się znaleźć, i porównywałem je ze swoimi wspomnieniami. Moja rodzina przeżyła, ale zginęło wiele tysięcy ludzi. Tamtego dnia rodzice poszli na targ, a ja zostałem sam ze starszym bratem i podczas trzęsienia ziemi łowiliśmy ryby w Orontes. Pamiętam, że kiedy ziemia zafalowała nam pod stopami, upadłem na kolana. Z przyczyn, których nie potrafię wyjaśnić, podniosłem się i chwiejnym krokiem wszedłem do rzeki. Nadal pamiętam, jak stałem po szyję w wodzie, czując synkopowe przetaczanie się jednej warstwy pod drugą, a potem nagle zanurkowałem z szeroko otwartymi oczami, rozpościerając ręce dla utrzymania równowagi. Oderwałem stopy od dna i unosiłem się, aż zacząłem dryfować na powierzchni wody. Przekręciłem się twarzą do góry i przez warstwę wody ujrzałem niebo. Zobaczyłem, jak pod wodą światło traci swoją pewność, i poczułem, że coś z tego rozumiałem. Znałem pewnego prawdziwego mistyka na tyle dobrze, by wiedzieć, że sam nim nie jestem, lecz na chwilę tykanie czasu ucichło i przez tkaninę tego świata ujrzałem wieczność. Wtedy jeszcze tego nie analizowałem, ule od tamtej pory śniłem o tym tysiące razy.

Brat przeklinał, krzycząc, żebym wracał, a gdy nie posłuchałem, wszedł do wody, żeby mnie z niej wyciągnąć. Chyba chciał mnie sprać i wywlec na brzeg, ale te wszystkie doznania były tak niezwykle, że zatrzymał się kilka metrów ode mnie. Jego twarz zawisła nad wodą, tworząc abstrakcyjny obraz. Wynurzyłem się i obaj czekaliśmy, aż brzeg się uspokoi. Pamiętam, że gdy potem _

szedłem do domu, ze zdumieniem obserwowałem ziemię przesuwającą się pod moimi stopami.

>('

Byliśmy wówczas dumnymi obywatelami Bizancjum. Przynależność do wielkiego imperium miała znikomy wpływ na nasze zwyczajne domowe życie, ale idea tej przynależności nas odmieniała. Dzięki niej nasze Wzgórza były trochę większe, jedzenie trochę smaczniejsze, a dzieci trochę ładniejsze, bo przecież to dla nich walczyliśmy. Krzepcy mężczyźni z mojej rodziny walczyli daleko u boku słynnego wodza Belizariusza. Wódz bardziej niż ktokolwiek inny przydawał chwały i godności naszemu życiu, w którym poza tym brakowało chwil świetności. Mój wuj, ściany przez nas wszystkich czią, zginął podczas kampanii, której celem było stłumienie berberyjskiego powstania w Afryce Północnej. Nieliczne informacje, jakie do nas wtedy dotarły, wystarczyły, byśmy uznali tamte tereny za piekło, a wszystkich ich mieszkańców za diabły wcielone. PO jakimś czasie odkryłem, że wuj najprawdopodobniej został zadżgany przez towarzysza broni za kradzież kurczaka, ale jak już wspominałem, to było dopiero później.

Razem z bratem i setką innych żołnierzy imperium przepłynęliśmy Morze Śródziemne, kierując się do Afryki Północnej. Rozpalała nas żądza zemsty. Jak wiele młodych dusz, nigdy nie nadawałem się na żołnierza bardziej niż W tamtym życiu. Wykonywałem rozkazy z absolutną dosłownością. Nie kwestionowałem słów przełożonych nawet W zaciszu swojego umysłu. Byłem W pełni zaangażowany, gotów zabijać, gotów zginąć za naszą sprawę.

Gdybyście mnie wtedy zapytali, dlaczego to czy inne berberyjskie plemię, niemające nic wspólnego z naszą kulturą, religią i językiem, musi zginąć albo pozostać w Bizancjum kilka lat dłużej, nie byłbym w stanie odpowiedzieć. Nie my pierwsi i nie ostatni podbiliśmy te ziemie, lecz byłem wtedy młody i pełen wiary. Nie musiałem znać dokładnej przyczyny swojej zaciekłości. Sama zaciekłość była przyczyną. I równie ślepo, jak wierzyłem, że racja jest po mojej stronie, wierzyłem też W złe serca wrogów. To cecha bardzo młodej duszy oraz dowód - choć nie niepodważalny - że to faktycznie było moje pierwsze życie. Taką mam nadzieję.

Okropnie byłoby pozostać takim głupcem.

W każdym późniejszym życiu od początku wiedziałem, że jestem inny. Wiedziałem, że moje życie wewnętrzne jest czymś, co należy ukrywać. Zawsze trzymałem się na uboczu, zawsze unikałem otwierania się przed innymi, nie licząc bardzo rzadkich sytuacji. Na początku byłem jednak zupełnie inny.

Przepełniony gorliwością nie mogłem się doczekać pierwszego żołnierskiego zadania i miałem wrażenie, że poświęcamy zbyt wiele czasu, całe tygodnie, na urządzenie wygodnego obozu dla naszego dowódcy. Dokładaliśmy wszelkich starań, by podporządkować mu afrykańską pustynię, czyniąc ją równie wygodną jak jego dom na wzgórzu w Tracji. Wtedy nie snułem jednak takich myśli. Nie wiem, czy W ogóle nad czymkolwiek się zastanawiałem. Nie miałem wówczas pojęcia, jak długo będę musiał o tym rozmyślać ani jak długo będą mnie nękały wyrzuty sumienia.

Nawet miejsca kojarzone z nieustanną aktywnością są za zwyczaj nudne. Wojny. Plany filmowe. Izby przyjęć. Była to jedna z wielu wojen, podczas których przeważnie nie robi się nic

F

@prócz uprawiania hazardu, przechwalania się, upijania i patrzenia. juk najpodlejsze moczymordy wszczynają bójkę - W tym wy-

, padku najpodlejszym moczymordą okazywał się zazwyczaj mój brat. Było prawie tak samo jak na Wszystkich innych wojnach, na j których walczyłem, aż do pierwszej wojny światowej. Chwile zapadające W pamięć - te, W których zabijasz albo zostajesz zabity zajmują bardzo mało czasu.

Wreszcie przydzielono nam zadanie. Mieliśmy zaatakować nóż oddalony o jeden dzień marszu na zachód od Leptis Magna. (idy zbliżał się dzień ataku, okazało się, że to nie tyle obóz Wojskowy, ile zwyczaj na wioska. Powiedziano nam, że stacjonują W niej żołnierze.

- Czy to Wioska Tuaregów? - zapytałem otwarcie spragniony krwi.

Winiłem to plemię za śmierć Wuja.

Mój bezpośredni przełożony potrafił zmotywować podwładnego. Wiedział, jaką odpowiedź chcę usłyszeć.

- Oczywiście. o

Wyruszyłem z nożem i ze zgaszoną pochodnią. Pamiętam, że trzymałem ten nóż W zębach, ale to wspomnienie oparte na emocjach, a nie na prawdzie. Staram się jak najlepiej odsiewać takie wspomnienia, ale zdarzają się wyjątki, niektóre przyjemniejsze niż inne.

Gdy Widzę się w tamtym życiu, przeważnie patrzę z zewnątrz. (Izuję się tak, jakbym bez świadomości swojej pamięci nie był jeszcze sobą. jakby to był zwyczajny człowiek, który miał zostać Inną, obserwowany przeze mnie z oddali. Może W ten sposób łatwiej mi z tym żyć. Przeciwstawiam postrzępioną, pryszczatą, nieporadną powierzchowność tego młodego mężczyzny burzy zaciętości i zadufania, która szalała wtedy W jego głowie.

Moi towarzysze byli podobni do mnie: najmłodsi, najbardziej prymitywni i bynajmniej nie niezastąpieni. Przydawaliśmy się, gdy trzeba było widzieć świat W czarno-białych barwach i Wrócić cało albo Wcale. Rozpierzchliśmy się W dolinie gotowi do walki.

O bezksiężycowej godzinie tamtej nocy mniej więcej jedna czwarta naszego oddziału odbiła w bok w poszukiwaniu wody. Na czele tej garstki postawiono mojego brata, a ja ruszyłem razem z nim. Znaleźliśmy wodę, ale potem nie mogliśmy znaleźć oddziału. Było nas około dwudziestu, snuliśmy się wśród suchych i zarośli. Widziałem, że mój brat jest skołowany, ale nie chce tego przyznać. Był tak żądny władzy, że natychmiast stracił wszelkie skrupuły.

Zwołał swoją grupkę. i

- Pomaszeruj emy prosto do wioski. Wiem, gdzie to jest.

Rzeczywiście wyglądał, jakby wiedział, dokąd idzie. Gdy na horyzoncie zobaczyliśmy wioskę, na niebie widać było zaledwie zapowiedź świtu.

- Dotarliśmy tu pierwsi - chełpił się mój brat;

Na chwilę zbiliśmy się w grupkę, by odpalić pochodnie od wspólnego płomienia. Pamiętam chciwe spojrzenia w świetle ognia. Każdy z nas chciał dobrze zarobić.

Wioska była jedynie cienistym skupiskiem prostych ścian i dachów krytych strzechą. Wyobrażałem sobie przyczajonych wśródku złych wrogów. Zbliżyłem pochodnię do suchego dachu pierwszego domu, do którego podszedłem. Strzecha była stworzona dla ognia. Poczulem przyływ zadowolenia, patrząc, jak płomień bucha i zaczyna się rozprzestrzeniać. Przygotowałem nóż, czekając na mężczyzn, którzy wybiegną, żeby stawić mi czoła. Podszedłem do następnej chaty i zbliżyłem do niej pochodnię. Gdzieś za moimi plecami rozległy się krzyki, ale uszy miałem przytkane własnym rykiem i podnieceniem.

Przy trzecim domu pewne zapachy W nosie i dźwięki w uszach

zaczęły przenikać do mojego umysłu, przekopując się do niego jak dżdżownice. Ogień stworzył pozory gorączkowego świtania, lecz teraz słońce obdarzyło nas prawdziwym porankiem. Zobaczyłem dom stojący dokładnie naprzeciw mnie. Odruchowo ruszyłem w jego kierunku z pochodnią i podпалиłem kawałek dachu, który jednak nie zaczął płonąć równie szybko jak poprzednie.

Wdszedłem od tyłu, żeby spróbować z drugiej strony, i natknąłem się na naprężoną linkę. Oczami wyobraźni widziałem pułapki zastawione przez wrogów, lecz gdy się odsunąłem, zauważyłem, że zarówno na tej, jak i na drugiej linie wiszą ubrania. Wiatr ćmchnął mocniej i na chwilę zabrał dym, a wtedy zobaczyłem, że stoję w ogrodzie poprzecinanym sznurami, na których w szarym powietrzu schną małe ubranka.

Wróciłem przed dom zdeorientowany i zły na te małe ubranka wiszące na sznurze i na dach, który trzaska, ale nie chce się palić. Pochodnia, która w ciemności wydawała się taka wspaniała, w jaśniejszych promieniach słońca wyglądała słabo i fałszywie. Wiatr przegonił kłęby dymu i zobaczyłem sznury w wielu ogródkach. Nie skrywały żołnierzy. Uprawiano w nich dynie i melony, stłszono pranie. Część ogrodów stała już w płomieniach.

Nie wiedziałem, co robić. Doszedłem do wniosku, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko spalić ten dom. Nie miałem innych pomysłów. Na dezorientację zareagowałem działaniem. Podпалиłem dom od dołu, od solidnie wykonanej drewnianej ramy. Niechcący pomyślałem o drewnianej ramie, na której stawialiśmy własny dom. Pobiegłem na drugą stronę i zauważyłem postrzępiony kawałek strzechy, który też można było podpalić. Wreszcie ogień przyjął to, co mu dałem, płomienie oblizały dach i strzeliły w górę. Zdawało mi się, że słyszę dobiegający ze środka płacz dziecka. i

Ogień rozszalał się na dobre. Nie wiedziałem, czy uczucie, które mnie wypełniło, jest przerażeniem czy dumą. Ledwie mogłem się ruszyć. Z trudem odsunąłem się od zacierającego wszystko ognia.

Dom wydał mi się głową z rozwianymi, płonącymi włosami.

Dwa okna były oczami, a drzwi ustami. Ku mojemu zdumieniu usta się otworzyły i ktoś stanął w progu. To była młoda dziewczyna w koszuli nocnej.

Gdy o tym myślę, staram się patrzeć na nią z dystansem jak na obcą mi osobę, którą wówczas była, a nie jak na ukochaną. We wspomnieniach trochę ją zmieniam, wiem o tym.

Miała długie, rozpuszczone włosy i spojrzała na mnie z przedziwnym wyrazem twarzy. Wiedziała, co zrobiłem. Stałem przed jej płonącym domem. Pochodnia w mojej dłoni zgasła. Zdażyła jednak zniszczyć ten budynek odebrać życie jego mieszkańcom.

W głębi domu płakało dziecko. `

Chciałem wydostać stamtąd dziewczynę. Chciałem, żeby uciekła. Była piękna jak łania. Miała ogromne zielone oczy, w których migotały pomarańczowe płomienie. Poczułem paniczny strach.

Kto jej pomoże?

Zmieniłem front. Byłem przerażony. Chciałem ugasić ten pożar. W domu umierało dziecko. Może jej siostra albo brat. Czy była tam także jej matka? Chciałem zawołać: „Musisz ją obudzić! Pomogę ci!”.

Czułem się tak, jakbym zapomniał, kto zrobił tę okropną rzecz. Ale ona wiedziała. Ogień huczał. Wiatr targał płomienie, rozsiewając je jeszcze bardziej. Tańczyły wokół niej. `

- Musisz uciekać! - krzyknąłem. `

jej oczy wyrażały zdumienie i smutek, ale nie były wystraszone, rozbiegane i oszalałe jak moje. Spokój na jej twarzy kontrastował z grymasem przerażenia na mojej. Zrobiłem krok w jej stro-

nę, ale ogień był nie do pokonania. Płomienie wiły się i strzelały między nami. „ i

Spojrzała na płonące domy i ogrody sąsiadów, a potem na mnie. Odwróciła głowę i zajrzała do palącej się chatki. Modliłem się, żeby wyszła, ale nie zrobiła tego. Nie mogłem pojąć, że to będzie jej koniec. Wróciła do środka. i

- Nie idź tam! - zawołałem do niej.

Usta domu znów były puste. W ciągu kilku sekund cała konstrukcja zakołysała się i runęła, ale płomienie zostały i karmiły się dalej.

- - Przepraszam! - Usłyszałem własny krzyk. - Przepraszam. .
- Powtórzyłem to po aramejsku, bo pomyślałem, że dziewczyna może znać ten język. - Przepraszam. Przepraszam.

Gdy maszerowaliśmy z powrotem do obozu, prawie nic do mnie nie docierało, jednak dym na horyzoncie był tak gęsty, że Inusiałem go zobaczyć. Pamiętam niewyraźnie, że nie odnaleźliśmy w obozie reszty oddziału i gdy zbliżyliśmy się do tego dymu, zrozumiałem dlaczego. Byłem zbyt odrętwiały, by myśleć albo zważać na słowa.

- Spaliliśmy inną wioskę - Wyszepiałem.

Usłyszał mnie tylko brat. Widocznie zobaczył to co ja i wiedział równie dobrze jak ja, co się stało.

- Wcale nie - odpowiedział lodowato.

W tamtej chwili czułem tak wszechogarniającą rozpacz, że nie myślałem o niczym innym.

- Tak.

- Nie - powtórzył.

Nie zauważyłem u niego żadnego poczucia winy, żadnej wątpliwości, żadnych wyrzutów sumienia. Widziałem jedynie skierowaną na mnie wściekłość. Postąpiłbym lepiej, gdybym ją zapamiętał i nigdy więcej nie wspominał o tamtej nocy.

Byłem świadkiem wielu śmierci i tragedii. Kilka z nich spowodowałem osobiście. Nigdy więcej nie zniszczyłem jednak takiego piękna i nie czułem tak wielkiego wstydu. Próbuję zachować dyktans, ale moja dusza nadal cierpi na wspomnienie tamtego poranka. Ten ból nie słabnie z upływem czasu.

Woń spalonego drewna, smoły i ciał W moich nozdrzach była lak mocna, że chyba pozostała tam na zawsze. Mętny, szary dym dostał mi się do oczu i na wieki odmienił moje zmysły.

Charlottesville, Wirginia, 2006

- Ale z ciebie niedowiarek. Daj spokój, chodź.

- Nie spałam od dwóch dni - zaprotestowała Lucy. - Poza tym straszny tu chlew. Muszę posprzątać.

Marnie rozejrzała się po ich małym pokoju w akademiku.

- Nie możesz sprzątać beze mnie, bo miałabym poczucie winy. Posprzątam jutro. No, chodź. Jackie i Soo-mi czekają już na dole. Musimy to uczcić. '

- A jeśli nie mam ochoty świętować? - Lucy naprawdę była niedowiarkiem, na dodatek przesadnym, więc wołała zaczekać ze świętowaniem do chwili ujrzenia ocen. - A' jeśli Lawdry zauważy, że oddałam pracę dwa dni po terminie? i

Opór Lucy był ledwie westchnieniem przy tej funie woli Marnie.

- Trzymaj. Włóż te buty. - Marnie rzuciła jej jedną japonkę, a potem drugą. - I weź trochę forsy.

- Muszę płacić za coś, czego nawet nie chcę?

- Dwadzieścia dolców. Ludzie płacą za mnóstwo rzeczy, których nie chcą. Za dentystę. Za wojny w Iraku. Za martwe myszy dla węża Dany.

- Wcale mnie nie zachęcasz. - Lucy sięgnęła po torebkę i włożyła buty. Jednak nie japonki, które rzuciła jej Marnie. Miała siłę jedynie na małe rewolty.
 - Nie przejmuj się Lawdrem. On cię ubóstwia. - Marnie otworzyła drzwi i wypchnęła Lucy na korytarz.
 - Wcale nie.
 - Obawiam się, że tak.
 - Czyim samochodem jedziemy?
 - Twoim. I
 - Aha.
- Gdy jechały drogą 53 W stronę Simeon, słońce wślizgiwało się na płaski dach Bed Bath 8: Beyond. Marnie wzięła jedną z okropnych rapowych składanek swojego brata Alexandra i puściła ją, a siedzące z tyłu Jackie i Soo-mi zaczęły otwierać piwo.
 - Mówiłaś, że do kogo jedziemy? - zapytała Lucy, przekrzykując hałas.
 - Do madame Esme - odpowiedziała Marnie, studiując w zapadającym mroku narysowaną na kartce mapkę. - Za dwie mile skręć W stronę Bishop Hill.
 - Nie chcesz być trzeźwa podczas seansu u madame Esme za dwadzieścia dolarów? - Lucy zerknęła na twarz Soo-mi we wstecznym lusterku.
 - Soo-mi uniosła butelkę Miller Lite.
 - Nieszczęśliwie.
 - Dobrze jedziemy? - Lucy skręciła w żwirową drogę upstrzoną przyczepami i ich zardzewiałymi zwłokami.
 - Marnie próbowała dojrzeć nazwę ulicy.
 - Widzisz jakieś numery? - zapytała. - Szukamy dwa tysiące trzysta trzydziestego drugiego.
 - To chyba tam. - Lucy skinęła głową w stronę starej przyczepy otoczonej kratkami, po których pięły się róże. Może kiedyś miała ona kółka, ale wyglądało na to, że w najbliższym czasie nigdzie nie pojedzie. - Te róże są prawdziwe czy sztuczne?
 - Marnie zmrużyła oczy.
 - Chyba prawdziwe. 1
 - Moim zdaniem sztuczne - orzekła Lucy, parkując na podjeździe.
 - Madame Esme powitała je W drzwiach. Lucy zobaczyła mniej więcej to, czego się spodziewała. Długą zieloną suknię. Nastrożone włosy. Mnóstwo różu. Przesadną gestykulację.
 - Która pierwsza? ~ chciała wiedzieć madame Esme.
 - Marnie, to był twój pomysł. Idź - powiedziała Jackie.
 - Wy możecie usiąść tutaj. - Madame wskazała małe łóżko i kuchnię W jednym. Były tam cztery krzesła, każde z innego kompletu, i drewniany stół pokryty farbą. - Ty chodź ze mną
 - zwróciła się do Marnie.
 - Patrzyły, jak Marnie wychodzi do pokoju pulsującego słabym światłem świec. Madame zamknęła drzwi.
 - Co my wyrabiamy? - zapytała Lucy, siadając na metalowym składanym krzeselku.
 - Alicia Kliner twierdzi, że ta babka jest naprawdę niesamowita ~ szepnęła Soo-mi.
 - Lucy nie wiedziała, co może być W tym niesamowitego. Jej matka chodziła do wróżek co parę lat i była zachwycona, słysząc takie rzeczy jak: „Masz W sobie spokój Wody. Karmią cię książki. Nie umiesz się powstrzymać o.d pielęgnowania innych”. Matkę Lucy fascynowały także: biegunowość, czakry, masaże stóp i liczne produkty do kupienia W TV markecie. Lucy podejrzewała, że jest bardziej odporna na takie zachwyty.

Lucy bez sprzeciwu zajęła ostatnie miejsce W kolejce do wspa-
niałej madame Esme, ale musiała się bardzo starać, żeby nie za-
snąć. Zwłaszcza że Marnie Wróciła, kipiąc samozadowoleniem,
lecz oświadczyła, że nie może rozmawiać o tym, co usłyszała, do-
póki madame Esme nie powróży im Wszystkim.

- Oj, daj spokój.

- Nie mogę. Poważnie.

i_ - Na kim ci bardziej zależy: na mnie czy na madame Esme?

I - Nie każ mi wybierać.

_ ' w Lucy pokręciła głową i położyła ją z powrotem na stole.

W końcu madame Esme wynurzyła się z pokoju po raz trze-
ci i wypuściła Jackie.

- Jestem gotowa - zwróciła się do Lucy.

` Lucy ziewnęła i wstała. W małym pokoiku było prawie cał-
kiem ciemno. Migotały jedynie płomienie trzech świec na karcia-
nym stoliku, przy którym stały dwa składane krzesła. Gdy wzrok
I Lucy przyzwyczał się do mroku, zauważyła pootwierane szafki
z ubraniami. Swetry, sterty majtek i górę skarpetek. Wolałaby ich
a nie widzieć. Bardzo nadwątląły pozory tajemniczości. Pod ścianą
' stało wąskie łóżko z jedną poduszką. Na ścianie wisiał jakiś pla-
: kat, ale Lucy nie widziała, co na nim jest, bo zasłaniała go półka.

Madame Esme zamknęła drzwi i usiadła. Lucy zajęła miejsce
V naprzeciwko niej. Wróżka zamknęła oczy i wysunęła dłonie od-
wrócone wewnętrzną stroną do góry. Lucy nie była pewna, co po-
. winna robić. .

- Podaj mi ręce - poleciła madame.

Lucy zrobiła to skrzępowana. Dłonie kobiety były ciepłe i za-
cisnęły się na jej rękach z zaskakującą siłą. Przez ten cały maki-
i jaż Lucy nie mogła mieć pewności, ale siedząc tak blisko i doty-
kając tych dłoni, poczuła, że madame Esme jest niewiele starsza
i od niej. Lucy zastanawiała się, jak ta dziewczyna została wróżką.

Taka profesja wymagała pewnej odwagi.

Esme zamknęła oczy, a potem zaczęła się kołysać W przód
i W tył. „Jeśli chodzi o umiejętności aktorskie - pomyślała Lucy
- radzi sobie średnio”. A ona płaciła za to dwadzieścia dolarów.

Próbowała się powstrzymać od kolejnego ziewnięcia.

Wróżka otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, a po-
tem znowu je zamknęła. Milczała przez nieznośnie długą chwi-
lę. Lucy wyteżyła słuch, zastanawiając się, co porabiają jej przy-
jaciółki za drzwiami.

- - Widzę płomień, czerwone światła, wielkie zamieszanie -
odezwała się w końcu Esme. - To szkoła?

- Nie wiem - odparła Lucy.

Czuła, że z powodu zmęczenia jest opryskliwa, ale nie miała
ochoty się wysilać.

- Wygląda jak szkoła - ciągnęła Esme. - Wokół biega mnó-
stwo osób, ale ty jesteś sama. ~ Lucy była na to przygotowana.
„Czujesz się osamotniona W tłumie. Jesteś bardziej nieśmiała, niż
innym się wydaj e”. Typowa przynęta wrózek. Oczy madame Esme
drgały pod powiekami, ale nagle przestały. Twarz Wróżki zmieni-
ła wyraz. - Nie, nie jesteś sama. On jest przy tobie.

- Aha. - Lucy zastanawiała się, czy dochodzą już do części
o spełnieniu romantycznych marzeń.

- Czeka na ciebie. Nie tylko teraz, od dawna. - Esme przez
chwilę milczała. Cisza się przedłużała i Lucy zaczęła się zastana-
wiać, czy to już koniec. Wróżka odezwała się jednak ponownie
itym razem jej głos brzmiał inaczej, był niższy i bardziej przeję-
ty. - Nie chciałaś go słuchać.

- Proszę? - zapytała grzecznie Lucy.

- Próbował ci coś powiedzieć. Potrzebował cię. Dłaczego go

nie Słuchałaś? - Głos madame Esme stał się bardziej piskliwy, płaczliwy. V

- Kogo nie słuchałam? - Lucy odchrząknęła. - Nie wiem, o czym pani mówi.

- Na tańcach. Na imprezie. Na czymś W tym rodzaju. Czuję, że się bałaś. Ale mimo to... - Esme ścisnęła rękę Lucy trochę mocniej, niż Lucy by chciała. Lucy była niespecjalnie ciekawa, o czym p mówi ta kobieta. Esme nie wiedziała, co wygaduje. Po prostu zarzucała przynętę. Sypała typowymi formułkami i czekała, aż Lucy połknie haczyk. ~ Powinnaś była tego wysłuchać.

- Czego?

Czy wróżce wolno wyrażać własne opinie? ›

~ Tego, co ci mówił. - Głos Esme był jeszcze głębszy i dziwniejszy. Jej trans stawał się coraz bardziej przekonujący. Najwidoczniej

- już się rozkręciła. Lucy poczuła sadystyczną ochotę, żeby kopnąć ją pod stolikiem. - Bo on cię kochał.

- Kto mnie kochał?

i Wróżki nigdy nie podają imion. Czekają, aż ty je podasz.

- Daniel - oznajmiła madame Esme.

Lucy gwałtownie się odsunęła. Starła się normalnie oddychać.

- Kto?

- Daniel.

- Aha - powiedziała powoli.

Usiadła prosto, czując, jak skrzypiące krzesło nieco się ugina. Co ta kobieta o niej wie? Może zna ją ze szkoły? Może Marnie podsunęła jej jakiś trop?

- Daniel chciał, żebyś sobie przypomniała. Pocałował cię i na chwilę sobie przypomniłaś, prawda? Ale uciekłaś. - Tego Marnie nie mogła jej powiedzieć. Nikt nie mógł. Lucy poczuła falę strachu, po której przyszła fala mdłości. Jej umysł gorączkowo szukał racjonalnego wyjaśnienia. Nie chciała nic więcej mówić. Czekala, aż to się skończy, ale Esme jeszcze z nią nie skończyła. - Mówiłaś, że spróbujesz. Kiedy byłaś Constance, obiecałaś, że sobie przypomnisz, ale odwróciłaś się od siebie samej. Nawet nie spróbowałaś.

- Lucy poczuła szczypanie łez. Dwa lata temu pogrzebała tę noc W pamięci. Zapakowała ją starannie i szczelnie. Iak ktokolwiek mógł się o tym dowiedzieć? - Był samotny. Wiesz o tym. A ty jesteś Sophią, jego wielką miłością. Obiecałaś, że spróbujesz.

- Co miałabym sobie przypomnieć? - zapytała Lucy.

Mówiła głosem, który ledwie poznała. Wyrwał się z jakiejś części jej ciała, nie potrafiłaby określić, z jakiej - wystraszony, cienki i syczący jak woda, która tryska przez szczelinę.

- Miałaś sobie przypomnieć... o nim. - W głosie Esme zabrzmiało oburzenie. - Miałaś sobie przypomnieć, jak go kochałaś. Przysięgł, że wróci, a ty Obiecałaś, że go sobie przypomnisz.

- Głowa Esme prawie wibrowała i choć wróżka trzymała Lucy za rękę, dziewczyna miała niewyraźne poczucie, że reszta ciała - madame znajduje się gdzieś indziej. - Na wojnie. Zaopiekowałaś się nim. Nie mógł oddychać. Wiedziałaś, że umiera. Nie chciał cię opuszczać, ale zarzekałaś się, że nigdy nie zapomnisz. Ty zapominasz, a on pamięta. Opowiedział ci o sobie. Zaufał ci. Wiesz o tym, prawda?

Lucy wzdrygnęła się. Czula się zbesztana i skrytykowana.

- Nie wiem.

Ta wróżka sforsowała jej mury obronne.

- Wiesz, kim on jest. Rozumiesz.

- Nie. Kim on jest?

- Proszę. Ty jesteś Sophia, a on cię potrzebował.

- Przestań! Kto to jest Sophia? Czemu ciągle o niej mówisz?

Daniel też o niej mówił. Wtedy wystraszyła się tak samo jak teraz.

- Mówię o tobie.

- Nie, wcale nie. Mam na imię Lucy - powiedziała z wściekłością. i

Kiedyś oglądała film o dziewczynie z rozdwojeniem jaźni. Esme mówiła tak, jakby w Lucy siedział ktoś inny, kto słucha, a nawet odpowiada. Ta myśl napawała Lucy przerażeniem.

- Teraz jesteś Lucy. Ale mówię o tym, co było wcześniej.

- Jak to: wcześniej?

- Powinnaś go odszukać.

- Jak miałabym go odszukać? Rozmawiałam z nim tylko raz. Nawet go nie znam.

- Owszem, znasz. Nie powtarzaj tego kłamstwa.

Lucy gwałtownie odsunęła rękę. '

- Przestań, dobrze? i

Usłyszała lzy własnej dezorientacji, dźwięk oznaczający zdradę siebie samej. Od kiedy to wróżki strofują klientów? Oplotła się rękami. Musiała wziąć się W garść.

Esme otworzyła oczy i spojrzała na Lucy, jakby jej obecność ją zaskoczyła. Kilka razy zamrugnęła. Gapily się na siebie jak obcy ludzie.

- Powinnaś go odnaleźć, bo on cię kocha - oznajmiła Esme słabym głosem, stopniowo dochodząc do siebie.

Otwarte, skupione na Lucy oczy Esme jeszcze bardziej pogarszały sytuację. Lucy nie chciała, żeby te słowa trafiły tam, dokąd trafiły. A

- już nawet o nim nie myślę - powiedziała Lucy, mając cichą nadzieję, że Esme zawrze z nią milczący układ i zapomną o wszystkim, co się wydarzyło. Wiedziała, że to było dziwne dla nich obu. Poza tym musiała jeszcze zapłacić za wróżbę.

Esme patrzyła na nią z wyraźnym wyrzutem. Nie wyglądała jak dwudziestoparolatka, która przesadziła z zielonym cieniem do powiek i niecierpliwie czeka na zapłatę. Wyglądała jak najstarszy sędzia na świecie.

- Jak możesz tak mówić? - zapytała madame Esme. „

Lucy pokręciła głową. Nie zdołała powstrzymać łez. Żałowała, że nie potrafi udawać, że nie czuje strachu i że wcale w to wszystko nie wierzy.

-Nie wiem. i

I mówiła szczerze.

Nicea, Azja Mniejsza, 552

Opowiedziałem wam o dziewczynie W wiosce niedaleko Leptis Magna W Afryce Północnej, W moim pierwszym życiu. Moje drugie życie rozpoczęło się mniej więcej trzydzieści jeden lat po pierwszym winnej części Anatolii. Widzicie, życia mają tendencję do skupiania się w podobnym czasie i miejscu. To drugie było nieciekawe z zewnątrz, ale W moim umyśle działały się nadzwyczajne rzeczy. Zaczęło się dość zwyczajnie. Nie wiedziałem jeszcze, jaki jestem.

Gdy tylko podrosłem wystarczająco, żeby myśleć - albo wystarczająco, by pamiętać myśli - wspomniałem dziewczynę z małej chatki krytej strzechą. Zobaczyłem jej twarz w drzwiach. i Później ujrzałem płomień i zrozumiałem, co się dzieje i co jej zrobiłem. `

Nawiedzała mnie za każdym razem, kiedy zamykałem-oczy. W nocy krzychałem. Krzychałem w snach. Zacząłem o niej rozmyślać także w ciągu dnia. Mogłem mieć zaledwie dwa albo trzy

lata - za mało, by zrozumieć swoją winę i wstyd oraz znaczenie, jakie miała dla mnie twarz tej dziewczyny. Codziennie dręczyło mnie jednak najczystsze przerażenie, prawie jakby to mnie spalono dom. i

W tamtym życiu miałem matkę o dobrym sercu, ale nawet ona W końcu się mną zmęczyła. Żyłem W innym świecie. Nie umiałem o nim zapomnieć.

Moja pamięć jest niezwykła, lecz wielu ludzi ma podobną - tyle że mniej rozwiniętą. Znałem kiedyś W Saksonii chłopca, który mieszkał z rodziną kilka domów dalej. Pewnego dnia, kiedy Karl był mały, przyszedł do nas z matką, która coś przyniosła albo chciała coś pożyczyć - nie zwróciłem na to uwagi - i zobaczył mój nóż. Byłem ztego noża bardzo dumny. Miałem wówczas jakieś dziesięć-jedenaście lat, a Karl niespełna trzy. Ten malec nie potrafił jeszcze dobrze mówić, ale poszedł za mną do ogrodu, bo rozpaczliwie chciał mi opowiedzieć o tym, jak pewien złodziej, rabuś, napadł go w drodze na Śląsk i trzykrotnie dźgnął nożem w żebra. Chłopiec zauważył moje zmieszanie, ale-bardzo chciał, żebym go dobrze zrozumiał. -

- Nie teraz, ale wcześniej, kiedy byłem duży - powtarzał, wyciągając ręce W górę, żeby mi pokazać. - Kiedy byłem duży. Podniósł koszulę i wciągnął brzuch, pokazując mi nieregularne znamię biegnące wzdłuż klatki piersiowej. Nie muszę dodawać, że jego opowieść zafascynowała mnie i zaskoczyła. Zadałem mu wiele pytań. Sądziłem, że spotkałem pokrewną duszę. _Gdy przyszła po niego matka, zobaczyła poruszenie swojego synka i spojrzała na mnie udręczonym wzrokiem.

- Opowiadał ci o rabusiu na drodze? - zapytała zmęczonym głosem.

Wkrótce potem wyjechałem. Zacząłem terminować u kowala w wiosce oddalanej o kilka mil. Nie widziałem Karla przez następne pięć lat, ale myślałem o nim setki razy. Gdy w końcu go spotkałem, natychmiast zagadnąłem go o tamtego rabusia. Spojrzał na mnie z zaciekawieniem, ale chyba już go nie pamiętał.

- Mówię o tamtym napadzie w drodze na Śląsk - przypominałem mu. - O tej bliźnie na twojej piersi.

Tym razem to ja rozpaczliwie chciałem go przekonać. Spojrzał na mnie i pokręcił głową.

- Naprawdę ci to mówiłem? - spytał, a potem pobiegł bawić się z przyjaciółmi. i

Później przekonałem się, że bardzo małe dzieci często pamiętają swoje wcześniejsze. życia, zwłaszcza jeśli ostatnie z nich zakończyło się morderstwem. A może przemoc rodzi większą potrzebę mówienia o tym? Zazwyczaj dzieci wyrażają dawne przeżycia, gdy tylko nauczą się mówić, i przez parę lat często o nich wspominają, a ich rodzice zaczynają się bać albo po prostu mają tego dość. Zwykle z upływem czasu dusza coraz bardziej oddala się jednak od śmierci. Wspomnienia blakną i są odsuwane na bok. Ich miejsce zajmują nowe doświadczenia. Gdy zaczyna rządzić rozum, w wieku lat siedmiu albo ośmiu, większość zapomina i nie wraca więcej do przeszłości. `

To wszystko jest dość dobrze udokumentowane, a ja uważnie śledzę wyniki badań. Naukowcy przeprowadzili tysiące wywiadów i opisali tysiące takich przypadków. Ci najlepsi niechętnie mówią jednak o tym, co to naprawdę oznacza. Lecz któż może ich winić? Sam doskonale wiem, jak daremne są próby przekonania racjonalnie myślących ludzi.

Ze mną było inaczej niż z Karlem. Im byłem starszy, tym Wyraźniej sze były te wspomnienia i tym bardziej mnie przepełniały. Im mocniejszy był mój umysł, tym więcej sobie przypominałem

rzeczy błahych i ważnych, imion, miejsc, obrazów i zapachów. Jakby moja śmierć. była długim snem, po którym obudziłem się, doszedłem do siebie i wszystko sobie przypomniałem. Nie było to coś, co przydarzyło się komuś innemu. To przydarzyło się mnie. Pamiętałem, co mówiłem i jak się czułem. Przypominałem sobie siebie.

W wieku dziesięciu lat wiedziałem, że jestem inny, ale przedstawiałem o tym mówić. Wiedziałem, że żyłem już wcześniej. Nie musiałem nikogo przekonywać, żeby mieć co do tego pewność. Przeważnie było mi żal innych ludzi, którzy nie pamiętali, tak jak ja. Zastanawiałem się, czy też żyli wcześniej, czy może tylko mnie się to ciągle przytrafia. Rozważałem, czy nie jestem przypadkiem błędem W bożym planie, który zostanie naprawiony w chwili mojej śmierci.

Chyba nadal czuję się jak błąd w planie. Nadal czekam, aż ten błąd zostanie naprawiony.

Każde życie rozpoczyna się mniej więcej tak samo. Mój umysł jest spowity tłumiącym go mrokiem niemowlęctwa, a potem, prędzej czy później, widzę jej twarz W drzwiach tamtej chaty. Twarz robi się coraz wyraźniejsza i wtedy zauważam płomienie. Staram się nie popadać w tak wielkie przygnębienie jak kiedyś. Wiem, co się dzieje, i myślę: „Znowu to samo”. Każde życie rozpoczynam z nią, z moim grzechem pierworodnym. Dzięki niej poznałem siebie. I

Charlottesville, Wirginia, 2006

- Co się z tobą dzieje? - szepnęła Marnie, gdy wychodziły z przyczepy.

- Nic.

Lucy nie podnosiła wzroku. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi, upewniając się, że zamek zaskoczył i odgradził od niej dziwną atmosferę tego miejsca. Jackie i Soo-mi czekały przy samochodzie.

- Naprawdę było aż tak źle? Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, co ci wyróżyła? '

- Nic. Jakieś_ bzdury.

Trudno było okłamywać Marnie. Gdyby Lucy spojrzała jej w oczy, nie potrafiłaby kłamać. Dlatego nie podnosiła głowy. Było ciemno, ale padające przez okno przyczepy światło wydobywało z mroku róże. Były plastikowe i pięły się po brudnej białej drabince, ale gdy Lucy się przyjrzała, zauważyła też prawdziwe kwiaty: piękne, różowe celestiale, które rozpychały się wśród plastikowych, walcząc o słońce i przestrzeń.

- Jakie bzdury? Coś przykrego?

Marnie nie była po prostu natrętną. Znała Lucy i wyczuwała prawdziwy niepokój. Sprawiał, że trudniej jej było drażnić temat, lecz z drugiej strony czynił to koniecznością.

i - No więc wygląda na to, że kocham wodę - paplała lackie. -

A poza tym jestem swoją najlepszą przewodniczką.

- Hej, to ja jestem swoją najlepszą przewodniczką - zawołała Soo-mi.

Marnie wyteżyła pamięć.

- I chyba też.

- Warto było wydać dwadzieścia dolarów? - zapytała Jackie.

- Może i nie. A czy twoja energia sięga głęboko? - zaciekawiła się Soo-mi.

Jackie parsknęła śmiechem. W

- Boże! Rzeczywiście: moja energia sięga głęboko! Czy to możliwe? .

Marnie wpatrywała się W Lucy i ta zdała sobie sprawę, że

należałoby się roześmiać. Albo przynajmniej uśmiechnąć.
Spróbowała. V

- Mogłabyś poprowadzić? - zwróciła się do przyjaciółki.

- jasne.

Marnie wzięła od niej kluczyki. Na razie pozwoliła jej na ta-
jemnice.

Lucy usiadła na miejscu pasażera i oparła rozpalone czoło
o chłodną szybę.

~ A ty, Lucy? Też jesteś swoją najlepszą przewodniczką? - za-
gadnęła ją Soo-mi, Widząc, że przyjaciółka wypadła z rozmowy.

- Nie - odpowiedziała Lucy. Była tak zmęczona, że z trudem
podniosła głowę. - Raczej nie.

*

Kiedy wrócili, Lucy wymknęła się z akademika Whyburn
House. Snuła się po mrocznym kampusie. Większość ludzi im-
prezowała albo już się pakowała. Niektórzy wyjechali. Kilka
osób prawdopodobnie kończyło jeszcze prace na zaliczenie. Szła
przez Jefferson Park Avenue W stronę miasteczka studenckie-
go. Przebiegła trawnik i ruszyła ku swojemu ulubionemu zachod-
niemu ogrodowi, a potem wdrapała się na serpentynowy mur
wzniesiony przez swojego pierwszego idola Thomasa Jeffersona.
Pragnęła lekkiego wietrzyka albo kilku kropel deszczu. Czegoś, i,
co by ją odmieniło.

Położyła się na murze i skuliła. Była zmęczona, ale bała się za-
snąć. Daniel potrafił odnajdować Lucy w jej snach i była prawie
pewna, że dzisiaj także zrobi coś, co wytrąci ją z równowagi.

„Tej nocy żadnych snów” - rozkazała sobie. Działo to zaska-
kująco dobrze. Odkąd w wieku dziewięciu lat obejrzała przerażają-
cy program o rekinach, chroniła w ten sposób swoje śpiące la przed
koszmarami. Skutecznie. Od szesnastego roku życia, kiedy pisała
pracę semestralną o Dziwnych losach [Jane Eyre, prosiła także o sny
przynoszące pomysły albo zrozumienie. Czasami się udawało. a?,
Znowu Sophia. Wojna. Szpital, w którym się nim opiekowa-
ła. Te fragmenty i urywki tkwiły gdzieś głęboko w niej, oderwa-
ne od doświadczenia, rozmów i pamięci. Nie mogła się pogodzić f.
z tym, że istniały również poza nią.

Może jest stuknięta? Może to wszystko sobie wyobraziła?

Pozostałym dziewczynom madame Esme powiedziała coś zupeł-
nie zwyczajnego. Może jej też wywróżyła zwyczajne rzeczy, lecz p'
ona przemieniła je w coś nieprawdopodobnego? Podając W wąt-
pliwość swoje zdrowie psychiczne, Lucy musiała zadać sobie py-
tanie, czy Daniel istnieje naprawdę. A może jest tylko romantycz-
ną fikcją stworzoną przez dziewczynę, która rozpaczliwie pragne-
ła przystojnego nieznajomego?

Jeśli się martwisz, że zwariowałaś, jak poznasz, że jednak nie? ?
Albo że nie do końca? Bo w tamtej chwili zdecydowała się na tę
bardziej umiarkowaną wersję. I}

Później, w akademiku, wzięła prysznic. Czasami pomagał.

- Porozmawiasz ze mną? - zapytała tamtego wieczoru Marnie, I}
kiedy Lucy przycupnęła na swoim łóżku owinięta ręcznikiem.

- Spróbuję. - Zaczęła zdrapywać z paznokci pomarańczowy
lakier. Fajnie odpryskiwał, jeśli były dwie-trzy warstwy, ale Lucy
położyła tylko jedną, cienką, więc naciskała i skrobała paznokcie
bez satysfakcji. - Czy Daniel istnieje naprawdę?

- Daniel? Twoja dawna miłość?

- Tak.

- Chyba istnieje.

- Pamiętasz go, tak?

- Lepiej pamiętam, jak o nim mówiłaś.

- Zastanawiałaś się kiedyś, co się z nim stało?

- Raczej nie. Pamiętam jakieś dziwne plotki. Ale zastanawiałam się, co się stało z tobą na balu maturalnym, po którym przestałaś o nim mówić. '

Lucy pokiwała głową. Rozejrzała się po pokoju. Nie był to ten sam pokój co na pierwszym roku, ale w zasadzie wyglądał identycznie. Ciężkie sosnowe meble, te same narzuty i poduszki, ten sam brudny, kosmaty dywan, te same kubki na biurkach, krzesła i ten sam bałagan. Inne książki, ale w tych samych miejscach. Te same gadżety Pink Floyd po stronie Marnie, a po stronie Lucy te same dwa gliniane wazoniki z liceum, terrarium Tartaka i te same dwa zdjęcia w ramach: jedno przedstawiało Lucy i Danę w dzieciństwie na tle Boat Pond w Nowym Jorku, a drugie, czarno-białe, ich rodziców stojących przed rotundą w dniu ślubu. i

- Potem zmieniłaś obiekt westchnień na Thomasa Jeffersona - przypomniała sobie Marnie. - I choć Jefferson od dawna nie żyje, w zasadzie dał ci w zamian znacznie więcej niż jego poprzednik.
- Lucy nie zaprzeczyła. - Myślałam, że chyba w końcu dałaś sobie spokój z Danielem i postanowiłaś o nim zapomnieć, ale niewiedzieć czemu nagle przyszło mi do głowy, że to nie do końca prawda.

Lucy pokręciła głową.

- Spotkałam go tamtego wieczoru. Rozmawiałam z nim.

- Rozmawiałaś z nim? - Marnie spojrzała na Lucy z powątpiewaniem. - Zamieniliście ze sobą jakieś słowa? Więcej niż dwa. I część z nich wyszła z jego ust?

- Tak. Wiele słów. Przeważnie mówiła on.

- Naprawdę? - Marnie usiadła po turecku na łóżku. Położyła sobie poduszkę na kolanach. Już nie wydawała się zmęczona. - I co powiedział?

Lucy nie miała siły, żeby rozplątać te zawłości i przedstawić je w prosty sposób. Musiała jednak to z siebie wyrzucić.

- Możesz mi coś obiecać? - zapytała.

- Nie wiem - wyznała szczerze Marnie. *

- Czy po tej rozmowie będziemy mogły o tym zapomnieć?

- Spróbujemy. '

Lucy westchnęła.

- Pocałował mnie.

- Żartujesz.

- Nie. Ja też nie mogę w to uwierzyć. - Przyłożyła dłoń do czoła. - Czasami o tym myślę i zastanawiam się, czy dobrze zapamiętałam.

- Nie mogłabyś tego zapomnieć, prawda?

- Nie, nie. Ale to była dziwna noc. Czułam się tak, jakbym traciła rozum. Daniel mówił, że jest coś, co powinnam pamiętać. Ciągle nazywał mnie Sophią.

- Może nie wiedział, kim jesteś. Był pijany?

- No, tak jakby. Pewnie tak. Ja też byłam trochę wcięta. I ciągle zadawałam sobie pytanie: czy on wie, kim jestem? W pewnym sensie byłam przekonana, że tak. Jakby znał mnie lepiej niż ja sama. .

- Co masz na myśli? "

- To wszystko brzmiało znajomo. Mówił o sprawach, o których myślałam już wcześniej. Albo które mi się śniły.

- Lucy, nie mogę uwierzyć, że mi o tym nie wspomniałaś.

Lucy pokręciła głową. 7

- Naprawdę się wystraszyłam. Nie chciałam o tym myśleć, a gdybym ci powiedziała, to wszystko nabrałoby cech rzeczywistości. Tamtego lata zaczęłam miewać okropne ataki paniki, pamiętasz?

- Marnie pokiwała głową.

- Mimo to szkoda, że mi o tym nie mówiłaś. A

i Lucy potarła paznokieć kciuka.

i ~ Wiedziała, że twoim zdaniem marnuję na niego czas.

Przed wszystkim zachowałam się irracjonalnie, przyznaję. Ale to mnie trochę przerosło. Czułam się tak, jakby moje fantazje uległy detonacji, a głowa eksplodowała. Nadal się zastanawiam, czy to w ogóle się wydarzyło. Było aż tak dziwnie. Albo on jest stuknięty, albo ja. z

' - Obstawiam, że on.

„ - Wiem. - Lucy odchyliła się na łóżku. Marnie wiedziała, jak i dać jej w kość, ale wiedziała też, kiedy tego nie robić. Lucy potarła tyłem głowy o ścianę, czując, że za chwilę sytuacja skomplikuje się jeszcze bardziej. - A teraz ta madame Esme - dodała. -

Naprawdę chciałam, żeby była oszustką.

` - A ja naprawdę chciałam, żeby nie była.

- Może to oszustka. Może nasza energia sięga głęboko i tyle. z Mam taką nadzieję. Ale mnie mówiła coś innego. .

- Co? - Marnie patrzyła na nią łagodnym wzrokiem.

Lucy wiedziała, że jej przyjaciółka nie będzie drążyła tematu.

- Znowu to imię. Sophia. Mówiła o Danielu i tamtym wieczorze, jakby potępiała mnie za to, że go nie wysłuchałam i nie próbowałam zrozumieć.

- Skąd wiesz, że mówiła o Danielu.

- Bo mi powiedziała.

- Wymieniła jego imię? - Mina Mamie zdradziła lekki niepokój. Lucy przytaknęła.

- No właśnie.

- Zwykle tego nie robią. Myślisz, że go zna?

Lucy wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Możliwe.

- To byłby dziwny zbieg okoliczności. Ale chyba wszystko by wyjaśnił.

- Mówiła też inne rzeczy.

- - Iakie? o

. - Mówiła o Danielu rzeczy, o których wiedziałam wcześniej. Z wizji, które miałam, i ze snów, które od dawna mi się śnią. Zaczęły się, jeszcze zanim go poznałam. Na przykład te, w których Daniel nie może oddychać. Miałam w głowie obraz, na którym pochylałam się nad nim i wiem, że on umiera. Nie mówiłam mu o tym. .

Marnie wolno pokręciła głową, zastanawiając się. To było ich miejsce: siedziały po turecku na łóżkach naprzeciw siebie w małym, zagraconym pokoju. Dogodny punkt, z którego kierowały swoim światem.

- Stwierdziła, że powinnam go odnaleźć.

- Że powinnaś odnaleźć Daniela? Dlaczego? . i

- Bo... on mnie kocha. fg

- Tak powiedziała? i j

Lucy pokiwała głową. Mówiąc to, doznała wyrazistego uczucia, które jednak nie było tożsame z przyjemnością.

i - Boże, ta kobieta sprzedała mi głęboką energię, ale tobie zasunęła najczystsza kokainę. Ł.:.

- Myślisz, że nie powinnam?

ę - Spróbować odnaleźć Daniela? - Marnie zastanowiła się. f W końcu pokręciła głową. - Nie wiem. - Objęła ramionami po i duszkę. - A chcesz?

- Nie wiem. -

- Wyglądasz fatalnie - dodała.

Lucy pokiwała głową. `

- Istnieją dwie możliwości.

Lucy jeszcze raz przytaknęła. Nie ufała sobie i nie chciała nic

więcej mówić. Spodobało jej się, że Marnie przejęła stery. i
- Możesz spróbować odnaleźć Daniela i zobaczyć, o co cho- -5
dzi. Albo schować całą tę zagadkę z powrotem do pudła i posta-
rać się o niej zapomnieć. f
Lucy nie zastanawiała się zbyt długo. .
- Chcę o niej zapomnieć.

Konstantynopol, 584

Moje trzecie życie rozpoczęło się i skończyło W wielkim mie-
ście Konstantynopolu, a choć było biedne, brutalne i krótkie, za-
wierało jedno wydarzenie ogromnej wagi: rozpoznałem kogoś
z wcześniejszego życia. I oczywiście była to dziewczyna z Afryki
Północnej.

Już wcześniej widywałem znajome osoby. Doszedłem do Wnio-
sku, że prawdopodobnie nie tylko ja powracam. Byłem pewien,
że niektórych ludzi znałem już dawniej. Na przykład mój znacz-
nie młodszy brat ludzko przypominał dawno zmarłego sąsiada.
Nie umiałem jeszcze jednak rozpoznawać dusz ani nawet nie Wie-
działem, że to możliwe. .

Miałem jakieś jedenaście lat i stałem przy stoisku warzywnym
na targu niedaleko Bosforu. Byłem wtedy biedny. W tamtym ży-
ciu chyba ani razu nie miałem na nogach butów. Kilka straganów
dalej zapanowało poruszenie. Zobaczyłem procesje rosłych służą-
cych, którzy nieśli coś W rodzaju lektyki. Zbliżyłem się zaciekawio-
ny. Szedłem za nimi, trzymając się nieco z tyłu. Wiedziałem, że jeśli
się zbliżę, pacną mnie jak karalucha. Chciałem jednak popatrzeć.

Zasłony były delikatne, wiał wiatr. Każdy podmuch odsłaniał
kolano, rękę albo wspaniałą tkaninę rękawa. Widziałem, że w lek-
tyce siedzi kobieta. Uznałem, że to księżniczka. Nie wyobrażałem „L
sobie wtedy nikogo bardziej wytwornego.

W pewnej chwili służący skręcili za rogiem, zasłona zafalowa-
ła i zobaczyłem dłonie, a potem twarz. Od razu instynktownie ją
rozpoznałem. Możliwe, że wydałem z siebie zduszony okrzyk albo
jakiś inny dźwięk, bo kobieta zwróciła na mnie uwagę. Pamiętam
linię jej szyi i wpatrzone we mnie okrągłe, ciemne oczy. Twarz nie
była dokładnie taka sama, ale należała do tej samej dziewczyny.
Tym razem była ode mnie starsza, prawdopodobnie miała co naj-
mniej dwadzieścia pięć lat.

Nie potrafię wyjaśnić, skąd wiedziałem, że to ona. Później na-
uczyłem się bardzo dobrze rozpoznawać dusze z poprzednich żyć.
Sam też tego nie pojmuję, więc trudno mi wytłumaczyć, jak to się l}
robi. Ale nie tylko ja to potrafię. Nie różni się to zbyt od roz-
poznania osiemdziesięcioletniej osoby, którą znało się, gdy miała jii
lat dwadzieścia - mimo że tymczasem wszystkie komórki jej ciała
zdążyły się już zmienić. Nie sposób zaprogramować komputera ;f
tak, by na podstawie samej obserwacji mógł rozpoznać człowieka
po tak długim czasie. My to jednak potrafimy. Zwierzęta też.

Co takiego rozpoznajemy? Dusza to tajemniczy twór. Nie i*
mniej tajemniczy dla mnie, mimo że widziałem własną duszę ~
i dusze innych odcisnięte w setkach ciał w ciągu lat.

Ze swojej niezwyklej perspektywy mogę powiedzieć jedno:
nasze dusze silnie ukazują się na twarzach i W ciałach. Wystarczy fl
usiąść w pociągu i spojrzeć na pasażerów. Wybrać czyjaś twarz
i dobrze jej się przyjrzeć. Najlepiej, jeśli jest stara i nie znamy wła-
ściciela. Zadajmy sobie pytanie, co wiemy o tym człowieku, a jeśli
otworzymy się na informacje, okaże się, że wiemy niebywale du- SIĘ
żo. Nie bez powodu W naturalny sposób chronimy się przed oczy- I
wistymi prawdami o otaczających nas obcych, więc lepiej uwa-
żać. Jeśli zaczniemy się naprawdę przyglądać, pocujemy nad-
miar bodźców i niepokój. ledną z podstawowych umiejętności

życiowych jest upraszczanie, więc gdy pozbywamy się tej ochrony, i złożoność świata staje się kłopotliwa. Rzadko spotyka się ludzi - zazwyczaj są to uzdrowiacze, poeci albo osoby pracujące ze zwierzętami - którzy cały czas żyją w tak otwartym stanie. Podziwiam ich i sympatyzuję z nimi, ale sam taki nie jestem. Często uprasz-

czam.

Gdy zatem spojrzymy na twarz nieznajomego, dość trafnie odgadniemy jego wiek, pochodzenie i klasę społeczną. A gdy przyjrzymy się jeszcze uważniej, gdy pozwolimy sobie zobaczyć, naszej uwagi zaczną się domagać także subtelne cechy. Wątpliwości, kompromisy i rozczarowania - te duże i te niewielkie - osiadają zazwyczaj wokół oczu, choć w zasadzie nie ma reguły. Nadzieje czają się wokół ust, lecz zgorzkniałość i nieustępliwość zachowują się podobnie. Poczucie humoru łatwo zauważyć w okolicy brwi, tak jak skłonność do oszukiwania samego siebie. Dodajmy do naszej obserwacji ułożenie głowy na szyi, pochylenie ramion i linię pleców, a dowiemy się znacznie więcej.

To nagromadzone cechy duszy, które wyrażają się w kolejnych życiach. Zanim człowiek naprawdę zdąży się zestarzeć, dusza tak bardzo odcisnie się w jego ciele, że prawdopodobnie będzie wyglądał prawie tak samo, jakby wyglądał w tym wieku w jednym ze swoich wcześniejszych żyć. Jakby niepotrzebnie zaprzętał sobie głowę nowym ciałem. Co jednak wcale nie znaczy, że dusze się nie zmieniają i nie ewoluują z czasem - bo ewoluują.

Gdy po raz pierwszy widzimy znajomą osobę w nowym ciele, czujemy się dziwnie, a nawet nieswojo, ale potem się przyczajamy. Zaczynamy dostrzegać charakterystyczne miejsca, w których manifestuje się dusza: oczywiście oczy, a poza tym dłonie, brodę, głos. To niezwykle, jak wiele z siebie pokazujemy zdem-

mijanemu człowiekowi, który zechce nam się przyjrzeć. p
Rzeczywiście poczułem się nieswojo na widok kobiety na targu niedaleko Bosforu. Pobjełem do niej bez zastanowienia. Złapałem zasłonę brudnymi rączkami i ciągnąc za nią, biegłem obok lektyki. i ił

- Ia... ja... ja... Byłem... Byłaś... Chcę... - Nie wiedziałem, jak, mógłbym jej przypomnieć łączące nas wydarzenie. - Pamiętasz 335, mnie?

Jak dziecko nie odróżniałem swoich doświadczeń od jej doświadczeń. j

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Gdybym mógł się chwilę zastanowić, na pewno nie chciałbym, żeby mnie sobie przypomniała.

Wątpię, czy zrozumiała moje słowa. Nie pamiętam nawet, jakim mówiłem językiem. W każdym razie w mgnieniu oka złapał mnie jeden z jej umięśnionych służących. Byłem chudy i mały, a on mnie podniósł i rzucił na ulicę. Potem podszedł i dał mi kopniaka w żebra, a następnie w pierś.

- Przestań! - zawołała. Gwałtownie odsunęła zasłonę.

Służący wziął już jednak zamach i kopnął mnie jeszcze raz, w twarz.

- To żona sędziego pokoju, ty bezczelny szczurze - mruknął jej do mnie. li,

Ku zaskoczeniu służących wysiadł lektyki. Wokół tłoczy- f
11 się już ludzie. y

- To tylko chłopiec! - krzyknęła. - Nie dotykaj go więcej.

Mówiła elegancką greką. il

- Przepraszam - odezwałem się także po grecku. Pochyliła się i położyła dłoń na moim policzku. Czuję, że z nosa płynie mi krew. Miałem wobec niej wielki dług, a ona nie była mi g'winna nic poza odrazą, lecz mimo to okazała mi uprzejmość.

Zastanawiałem się, jak zdołam jej się odwdziżyć. - Przepraszam - powtórzyłem po aramejsku, tymi samymi słowami, którymi przeprosiłem ją za pierwszym razem. Nie wiem, czy obudziło to w niej choć iskierkę wspomnienia. Zawsze mam taką nadzieję.

Wydawała się smutna.

- To ja cię przepraszam - odparła i wyprostowała się. - Za- k'j' prowadź go do domu, do jego matki - rozkazała służącej. Potem zniknęła za zasłoną.

- Nie miałem wtedy ani domu, ani matki, więc uciekłem służącej, zanim i ona zdążyła mnie kopnąć.

CO najmniej przez rok codziennie czekałem przy tym samym straganie, W nadziei, że znowu ją zobaczę. Snułem misterne plany dotyczące tego, co zrobię, kiedy ją spotkam, układałem W głowie słowa, które mógłbym wypowiedzieć, gdybym zdołał podejść j wystarczająco blisko. Znalazłem pracę przy noszeniu worków na g pobliskim straganie z przyprawami i za zarobione pieniądze kupowałem jej małe skarby: pomarańczę, kawałek plastra miodu. Jednak nigdy więcej jej nie zobaczyłem. Zanim dostałem swoją ? szansę, umarłem na cholere.

I Spoglądając wstecz, widzę w tamtej chwili początek kilku nie- szczęśliwych wątków, które ciągnęły się przez wieki. Początek dys- harmonii między naszymi losami. Dziewczyna była żoną innego mężczyzny. Zapomniała mnie. .

Mimo że zostałem pobity, ujrzenie jej było najlepszą chwila w moim życiu. To spotkanie szczerze mnie zdumiało i szukałem w nim jakichś prawidłowości. Nawet jeśli ona była jedynie idea, ta idea mnie pokrzepiała. Dziewczyna wróciła. Znowu żyła, mimo tego, co jej zrobiłem. Znowu była piękna. Dobrze jej się wiodło. Mogłem ją zobaczyć. Nie mogłem się z nią widywać, ale przynajmniej mogłem ją zobaczyć. W pewnym sensie właśnie wtedy po raz pierwszy pojąłem regenerującą moc życia.

Uczepiłem się myśli, że moje ciągłe powroty i dziwna pamięć g mają jakiś sens. Myślałem, że dzięki temu mam szansę odpokutować za swój grzech i wszystko naprawić. Nie wiedziałem jeszcze, jak długa i niebezpieczna będzie ta droga. I

Czasami mówi się o mocy pierwszego wrażenia. Wierzcie mi: \ ono naprawdę ma moc. Ścieżka życia może się zmienić w jednej \\\ chwili - nie tylko ścieżka aktualnego życia, ale też wszystkich pozostałych, ścieżka duszy. Bez względu na to, czy pamiętamy czy nie. To sprawia, że człowiek zaczyna się zastanawiać, zanim coś zrobi, Co by było, gdybym nie podpalił jej domu? Ile razy zfadawałemfx, ... sobie to pytanie? Co by było, gdybym ujrział potworność naszych

- działań i położył im kres? Gdybym postarał się uratować ją, jej rodzinę i resztę Wioski? Zabito by mnie, ale co z tego? I tak kilka l.; lat później zginąłem.

Gdybym zamiast ją zabić uratował ją, moglibyśmy powracać t? na świat razem, z łatwością i W harmonii, życie po życiu. Nie sugeruję, że istnieją proste rozwiązania. Niektóre dusze pozostają jednak zespolone. To rzadkie, ale możliwe. Niektóre dusze łączą 'l się W pary na wieczność, podobnie jak gęsi i homary. Kilka razy to widziałem. Aby tak się stało, potrzeba jednak potężnej woli z obu stron, a ja miałem tylko własną. Nie wystarczyło jedynie moje pragnienie ponownego zobaczenia tej dziewczyny. Ona też musiała chcieć mnie odnaleźć, a przecież miała wszelkie powody, by trzymać się ode mnie jak najdalej.

*

Śmierć to miejsce niepoznawalne, lecz z czasem czegoś się o nim dowiedziałem. Mój stan świadomości po śmierci i przed ij: kolejnymi narodzinami nie przypomina normalnego stanu jawy i życia, lecz W tamtych okresach też postrzegam i gromadzę Wspo-

mnienia. Trudno zmierzyć upływ czasu W tych mrocznych okresach przejściowych. Nie jestem W stanie stwierdzić, czy trwają miesiąc czy dziesięć miesięcy. Albo może dziewięć. i

Jako strażnik tej długiej, dziwnej pamięci i jedna z niewielu osób na ziemi, która może zdać relację ze śmierci, czuję się odpowiedzialny za śledzenie jej mechanizmów i próbuję ją lepiej zrozumieć. Nie wiem, kto skorzysta z tego mojego długiego studium ani czy W ogóle przyniesie ono coś dobrego, ale robię to nadal. Ś Rejestrowanie to nie to samo co działanie, jak mawia mój stary przyjaciel Ben. Pamiętanie to nie to samo co życie, ale im jestem starszy, tym wyraźniej czuję, że to najlepsza z nielicznych rzeczy, I które mam do zaoferowania.

- Mogę wam zdradzić, jakie to uczucie, gdy umiera się we wspólnocie dusz. Człowiek rozumie, że już nie żyje, ale wyczuwa Wokół siebie inne istoty. To niezwykle krzepiące doznanie. Ludzie, których w pewnym stopniu znał, którzy znają go i troszczą się o niego, są rttzem z nim. Nie rozmawia z nimi ani nie komunikuje się W żaden P bezpośredni sposób, ale wie, że nie jest sam i że tamci W jakiś sposób mu pomogą. W tym stanie nie może zadawać pytań, lecz wie. Znam też uczucie związane z umieraniem w pustce. Wszyscy tlmieramy w samotności, ale tu chodzi o coś innego. Człowiek nie czuje niczego, czuje nicość. Snuje się bez celu i to może trwać bardzo długo. Ogarnia go pragnienie, niemal głód obecności drugiej istoty.

Dostrzega się w tym pewną prawidłowość. Śmierć jest cieniem życia. Jeśli W życiu tworzymy silne związki pełne miłości, popłyniemy W stronę wspólnoty dusz. Prawdopodobnie wrócimy do życia szybko i znajdziemy się wśród swoich. Nasze kolejne życia będą podobne pod względem geograficznym i etnicznym. (idy przeniesiemy się W nowe miejsce, często będziemy migrować wśród ukochanych osób. Jeśli nasza wspólnota tworzy mieszankę etniczną, mamy większe szanse, że zmienimy rasę, a jeśli jest jednorodna - że nie.

Jeśli jesteście pełnymi rezerwy mizantropami, samolubnymi albo okrutnymi, samotność będzie nam towarzyszyła zarówno w życiu, jak i po śmierci. Umrzemy w nicości i odrodzimy się wśród obcych, a _czasami nawet wśród wrogów. Będziemy żyli w samotności i niezgodzie, dopóki nie zaczniemy mieć tego dość. Znalezienie jakiegokolwiek Wspólnoty - a zwłaszcza tej upragnionej - zajmuje dużo czasu i wymaga wielkiego wysiłku. Dla mnie/o/ii/ ten wysiłek jest zarówno pokutą, jak i rehabilitacją. W końcu się powraca, ale to musi potrwać. Pozostaniemy Wśród obcych, /dopóki nie stworzymy sobie czegoś W rodzaju rodziny. A to nastąpi dopiero Wtedy, kiedy tego zapagniemy. i

Nie wiem, czy istnieją niebo i piekło, i nie spotkałem jeszcze Boga. Podziwiam jednak jego zamysł. i

- W okresie przejściowym działa wola, ale nie W sposób, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Myślę, że po śmierci przestawiamy się na najwyższą częstotliwość Woli. W życiu rzadko odbieramy jej dźwięk zagłuszony hałasem istnienia - naszym konkretnym miejscem na świecie i krótkofalowymi pragnieniami ciała. Po śmierci I chwilowo uwalniamy się od mocnego uścisku czasu. Znowu mamy czystą kartę, pozbywamy się bagażu, Więc woli nie krępują wpływy ani uprzedzenia. Gdzieś na tej najwyższej częstotliwości woli wyraża się pragnienie spłacenia długu i odzyskania równowagi. I choć równowaga ta jest niezwykle korzystna dla duszy, niekoniecznie daje komfort i przyjemność żyjącemu ciału.

Oczywiście wola też ma swoje granice - na przykład wyraz woli innych ludzi. Moja opowieść byłaby znacznie krótsza i bardziej radosna, «gdybym po prostu kochał Sophie od początku

i znalazł sposób, żeby ona także mnie pokochała. Nie spędziłbym tysiąca lat, czekając na nią, szukając jej i będąc przy niej wystarczająco blisko i długo, by przezwyciężyć skutki naszego pierwszego spotkania. »

Częścią mojej kary było to, że nie widziałem jej przez następne dwieście lat. Chwila, w której w końcu ujrzałem ją ponownie, wyznaczyła jednak kurs reszcie moich dni.

Hopewood, Wirginia, 2006

Lucy siedziała za domem otoczona zapachem świeżo skoszonej trawy. Zbliżała się siódma wieczorem, ale nadal było tak gorąco, że trzymała stopy zanurzone w garnku z zimną wodą. Teraz, gdy dorosła i miała za sobą niedawne przechadzki w cudownych ogrodach Jeffersona w kampusie, widziała, że ogród za domem to nic szczególnego. W dzieciństwie był jednak jej świątynią przyjemności. Od najmłodszych lat uwielbiała kopać w trawie i robić kałuże przy podlewaniu roślin. Podobnie jak podczas lepienia z gliny, pragnęła ubrudzić ręce. Była to przyjemność czera pana dotykaniem i jedna z jej małych rebelii. /

W piątej klasie urządziła tam ogródek warzywny i uprawiała własne ogórki, ale podczas wakacji po siódmej klasie, gdy spędzała lipiec w Virginia Beach z rodziną Marnie, do grządek dobrały się króliki i sarna.

W dziewiątej klasie posadziła maliny. Mama narzekała na gromadzony przez Lucy gnijący kompost oraz na to, że tyczki zajęły całą tylną część podwórza. To prawda, że Lucy hojnie nawoziła i niespiesznie przycinała. Przez cały koniec lata, aż do mieli jednak świeże, słodkie maliny, nie Wspominając o dzemie malinowym, sosie malinowym i mrożonych malinach przez resztę roku. “

- Człowiek płaci w supermarkecie cztery dolary za mały (śmierdzący dwustugramowy słoiczek dżemu, który w porównaniu z twoim nie ma żadnego smaku - pochwaliła ją mama nieoficjalnie bez pewnej dumy.

Pierwszym dziełem Lucy w dziedzinie architektury krajobrazu był przydomowy basen, który zaprojektowała w wieku szesnastu lat. Sąsiedzi z obydwu stron i z tyłu pobudowali baseny i ojciec Lucy oznajmił, że oni też to zrobią. Wykonała setki szkiców. Nie chciała dużego turkusowego prostokąta, takiego jak u sąsiadów. Zaprojektowała mały basen w kształcie i w barwach jeziora, z naturalnym brzegiem porośniętym trawą i kwiatami, sięgającym do samej wody. Nie byłoby widać betonu, dopóki nie zajrzałoby się się za krawędź. Próbowała dobrać najlepsze rodzaje potrzebnych materiałów, zgłębiała kwestie związane z drenażem, wyceniła to najlepiej, jak umiała, i spisała zamówienie dla szkółki roślin.

Na próżno czekała jednak na wykonanie swojego planu. Rok po roku dręczyła ojca, pokazując mu nowe, udoskonalone szkice, aż pewnego wieczoru zobaczyła, jak wypisuje czek na stole w jadalni, i zdała sobie sprawę, że rodzice nadal spłacają rachunki Dany za szpital. Potem nie wspominała już o basenie. Poza tym, tłumaczyła sobie, wybudowany basen nigdy nie zdołałby dorównać temu, który sobie wymarzyła. . i

Tego lata Lucy nie mogła się doczekać, aż opuści szkołę i wróci do swojego pokoju, do swoich malin i do przeciętnego ogrodu. Od zakończenia semestru czuła niepokój, spała mało i źle, budziła się z koszmarów. Powiedziała mamie, że to przez stres związany z egzaminami. Śniła o pogoniach, pożarach, biciu. Te sny dręczyły ją i doprowadzały do płaczu. Często występowała w nich tamta niewydarzona madame Esme na zmianę z Daną. Prawie we

Wszystkich był obecny Daniel - widziała go albo czuła. Panowała
W nich tak wielkie napięcie, że Lucy czuła fizyczny ból.

Miała nadzieję, że powrót do domu ukoji ją i znudzi jak zwykle.
i Myślała, że gdy zmieni się rytm jej nocy i dni, sny ustaną. A teraz
była W domu, egzaminy miała już za sobą, madame Esme została
"daleko, lecz wciąż nękały ją koszmary. Nie mogła zostawić móz-
gu na uczelni. Na tym polegał problem. Gdyby umiała to zrobić,
i cieszyłaby się idealnymi, szczęśliwymi wakacjami.

Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi i odwróciwszy się,
i zobaczyła mamę w różowym kostiumie.

- Pokazałaś nieruchomości? - zapytała Lucy. i

- Zorganizowałam dzień otwarty W tamtym domu W Meadow.

Lucy Widziała pot przesiąkający przez materiał i tworzący ko-
lu pod pachami różowego Inianego żakietu matki.

g - Jak poszło?

ś - Ustawiłam jedzenie, kwiaty i sama posprzątałam cały bała-
gan. Pokazali się tylko czterej pośrednicy i ani jednego kupca. Te
bezczelne sępy zjadły wszystkie przekąski.

Mówiła tak dramatycznym tonem, że Lucy miała ochotę się
roześmiać, ale tego nie zrobiła.

- Przykro mi to słyszeć.

Matka nienawidziła handlu nieruchomościami. MaWiąta, że
wolałaby sprzedawać bieliznę W Victorias Secret, ale ojciec Lu-
cy uważał, że to nie przystoi absolwentce Sweet Briar College.
Lucy zawsze miała wrażenie, że matka nie potrafi się zbunto-
wać przeciwko swojemu wrodzonemu zadęciu, więc jej córki
buntowały się za nią.

- No tak. - Matka spojrzała na letnią sukienkę Lucy. -

Wybierasz się gdzieś?

- Kyle Farmer robi imprezę.

- Ten Kyle z chóru?

- Tak. Ten.

- Fajnie. Cieszę się, że idziesz się spotkać z dawnymi przyja-
ciółmi. I

Matka czerpała wiele radości ze zwyczajnych interakcji społ-
ecznych i Lucy żałowała, że nie ma ich więcej albo że przynajmniej
nie sprawia takiego wrażenia. Zastanawiała się, czy nie powinna
była spędzić lata W Charlottesville razem z Mamie, by nie mar-
twić matki swoim nastrojem. Zazwyczaj unikała imprez z udziałem
przyjaciół z liceum. Panowała na nich przygnębiająca atmos-
fera wymuszonej nostalgii. Przypominały zjazdy absolwentów, ty-
le że przedwcześnie, bo nikt nie zdążył jeszcze niczego osiągnąć.

Tym razem miała jednak powód. Na imprezie mogła spotkać
Brandona Crista, który spośród wszystkich uczniów liceum naj-
bardziej zbliżył się do miana przyjaciela Daniela. V

- Mogę wziąć twój samochód? - zapytała.

Matka pokiwała głową, ale jednocześnie niechęć odmalowa-
ła się na jej twarzy. j

- W te wakacje będziesz jednak musiała dokładać się do pa-
liwa, dobrze?

~ Wiem. Zatankuję do pełna. Złożyłam dziś dwa podania I;
o pracę.

- Grzeczna dziewczynka. i

Mama Lucy cieszyła się z drobnych rzeczy. Nie chciała dawać A
się córce we znaki. Dana tak bardzo ją zawiodła, że niedoskona-
łości Lucy były prawie jak prezenty.

Pergamon, Azja Mniejsza, 773

Szybko przechodzę do mojego siódmego Wkolej ności życia, które
I zaliczam do najbardziej znaczących. Rozpoczęło się W Pergamonie

w Azji Mniejszej, według współczesnego kalendarza około 754 roku. Zapewne słyszeliście o Pergamonie. Kiedyś był wspaniałym miastem, lecz gdy się urodziłem, jego świetność już przebrzmiała. To jedno z najbardziej uroczych miejsc, w jakich dorastałem.

Zasłynął jako helleński, wielki i wspaniały akropol z ogromnym, stromym teatrem mogącym pomieścić dziesięć tysięcy widzów. Z łatwością przekształcił się w miasto rzymskie, gdy Grecy bez większych oporów poddali się imperium w II wieku po Chrystusie. Była tam jedna z najwspanialszych bibliotek starożytnego świata, mieszcząca ponad dwieście tysięcy książek. Gdy jeden z Ptolemeuszy przestał eksportować papirus z Egiptu, w mieście wynaleziono pergamin. Jeśli znacie historię starożytną, wiecie, że Marek Antoniusz podarował tę bibliotekę Kleopatrze jako prezent ślubny.

Gdy byłem dzieckiem, niekto chluby tego miasta nadal trwały w nietkniętym stanie, lecz i one popadły w ruinę, a większość świątyń i kapliczek została zburzona albo przekształcona w chrześcijańskie kościoły. Targowisko wyglądało prawie tak samo jak kiedyś.

Kiedy tam żyłem, można było zobaczyć Morze Egejskie, stojąc na progu naszego domu. Teraz z miasta roztacza się widok na piętnaście mil płaskiej doliny oddzielającej je od wody. Wróciłem tam kilka lat temu, gdy zainteresowali się nim niemieccy archeolodzy, i ponownie ujrzałem ruiny starego miasta. Poznałem kolumny. Poznałem kamienne bloki pod moimi stopami. Już kiedyś ich dotykałem. Były mi bliższe niż większość istot ludzkich. Trwaliśmy nadal, podczas gdy świat wokół nas zmieniał kształt. Teraz nieczęsto popadam w nostalgię. Zbyt wiele przeszedłem. Wiem, że najłatwiejsze są stopniowe zmiany, a olbrzymie skoki i dotkliwe straty mogą nas przytłoczyć. Mój dom oraz każdy ślad z mojego życia i mojej rodziny z tamtych czasów już dawno zniknęły. Nie to mnie jednak poruszyło. Wstrząsnął mną widok zepchniętego w suchą dal i zatrzymanego w rozwoju starożytnego miasta - niegdyś potężnego, wzniesionego nad morzem będącym królestwem handlu.

Wtedy, w VIII wieku, jako dziecko pozwoliłem sobie rozpaść nad rozdzierającą destrukcyjną teraźniejszością i nad kruchością przeszłości. Można by powiedzieć, że teraźniejszość szybko się kończy, i rzeczywiście tak jest, ale wiercie mi, po drodze niszczy wszystko niczym ciężka kula do robót rozbiórkowych.

Siadałem na pewnym podupadłym ołtarzu, z którego rozciągał się widok na morze, i próbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądało nasze miasto przed tym upadkiem. Lubimy myśleć, że historia to dzieje postępu, ale widząc, co pozostało z Pergamonu i dokąd zmierzamy, od razu poczułem, że to nieprawda.

Pierwszym doniosłym wydarzeniem w tamtym życiu było ponowne pojawienie się mojego starszego brata z pierwszego życia w Antiochii, który powrócił do roli starszego brata. Czasami i tak się dzieje: członkowie rodziny z jednego życia powtarzają się w drugim. Zazwyczaj tym, co łączy ludzi na kolejne życia, jest wzajemne oddanie, lecz czasami podstawowe pragnienie duszy, która chce osiągnąć równowagę i spełnienie, sprawia, że człowiek powraca, by zmierzyć się z wcześniejszym cierpieniem. Już jako dość młody chłopak rozpoznałem starszego brata i poczułem niepokój. Dręczyło mnie każde skojarzenie ze spaloną wioską w Afryce Północnej, ale wróciła też nienawiść, która dawno temu rozdzieliła mnie z tamtym bratem, gdy wyznałem dowódcy - a później kapłanowi - że napadliśmy na niewłaściwą wioskę. Skłoniło mnie do tego własne nieustające poczucie winy, a nie wrogość czy chęć zemsty, lecz mój brat miał na ten te-

mat inne zdanie. Gdy tylko go rozpoznałem - miałem wówczas nie więcej niż dwa-trzy lata - wiedziałem, że muszę trzymać się od niego z daleka.

Tym razem miał na imię Joaquim i pozostał wierny swoim wczesnym namiętnościom: chciał szerzyć ikonoklazm pod wodzą Konstantyna. W wieku siedemnastu lat opuścił nasz dom i rodzinę w Pergamonie. Jego misja polegała na niszczeniu sztuki sakralnej, napadaniu na klasztory i upokarzaniu mnichów. Nie jest tajemnicą, jak niszczone stare, piękne dzieła sztuki.

Nazywano mnie wówczas Cyrusem. W tamtych czasach za każdym razem z trudem przyzwyczajałem się do nowych imion. Później reagowałem wprawdzie na imię nadane przez rodziców, ale w myślach nazywałem się tak jak dawniej. Wprowadzało to więcej zamieszania, niż można by przypuszczać. Już samo zachowanie tożsamości przez całe jedno życie, w jednym ciele, jest wystarczająco trudne. Wyobraźcie sobie dziesiątki żyć w dziesiątkach ciał W dziesiątkach miejsc pośród dziesiątek rodzin oraz dodatkową komplikację W postaci dziesiątków śmierci w ciągu tylu lat. Bez imienia moja historia staje ` jedynie długą i chaotyczną gmatwaniną wspomnień. *

Czasami nachodziła m 'e chęć, by porzucić nić mojego wydłużającego się życia. Trzymanie się jej, uważanie się za jedną i tę samą osobę, wydawało się zbyt trudne. Miałem wrażenie, że przeszłość i przyszłość, przyczyna i skutek, wzorce i powiązania, tworzą ogromny skomplikowany twór, który wciąż istnieje jedynie dzięki moim wysiłkom. Myślałem, że jeśli dam za wygraną, wszystko rozpułynie się w surowym chaosie zmysłów. Tak naprawi- i; dę mamy tylko to. Reszta to romantyzm i opowieści. Tyle że potrzebujemy tych opowieści. Przynajmniej ja.

Gdy nastało nowe tysiąclecie, zacząłem sam nadawać sobie imię. Bez względu na to, jak nazwali mnie rodzice, prosiłem, żeby mówili do mnie Daniel, czyli tak jak na samym początku. j" Niektórzy mieli opory, ale tak czy inaczej wszyscy w końcu ustępowali, bo w zasadzie nie pozostawiałem im wyboru.

* "I

Historia, którą chcę wam opowiedzieć, wydarzyła się mniej więcej w roku 753. Jest tak wiele spraw, którymi mógłbym się z wami podzielić. Wybieram jednak opowieść - opowieść miłosną - i robiąc tylko nieliczne dygresje, będę próbował trzymać ;I się głównego wątku.

Ten konkretny wieczór pamiętam bardzo wyraźnie. Nie wiedziałem mojego okropnego brata od dwóch lat. Po tak długiej nieobecności postanowił wrócić do domu. Kilka tygodni wcześniej przysłał wiadomość, że wziął sobie żonę i zamierza ją do nas spro- , j wadzić. Jak łatwo się domyślić, W domu zapanowało wielkie poruszenie. Mój brat był najstarszym synem rodziców i choć okazał się strasznym człowiekiem, po tej dwuletniej rozłące wszyscy mieliśmy o nim lepsze zdanie niż kiedyś.

Nie licząc brata, miałem wówczas dobrą rodzinę. W ciągu lat widziałem najróżniejsze rodziny i te dobre nie zdarzały się tak często, jak można by mieć nadzieję. Popełniłem błąd, myśląc, że będzie ich więcej, i zapominając cenić je tak wysoko, jak powinienem. Mój ojciec był miłym, choć dystansowanym człowiekiem, a matkę przepełniała miłość, chociaż dla niej samej byłoby chyba 't lepiej, gdyby tej miłości miała trochę mniej. Najgorsze, co mogę ;§4 im zarzucić, to rodzicielskie zaślepienie, które dzielali z prawie wszystkimi rodzicami kochającymi swoje dzieci. Moi dwaj młod-

7 8I bracia, zwłaszcza ten najmłodszy, byli łagodni i ufnie. i Myślę, że wówczas ja też miałem W sobie więcej miłości i łatwiej było mnie kochać - te dwie rzeczy idą ze sobą W parze. To

' było dawno temu. Wtedy przeszłość nie rozciągała się aż tak dale-
ko, a terażniejszość wydawała się bardziej wyrazista - nie tak jak
. później, gdy zredukowała się do coraz mniejszej części całości.
i, Nasza rodzina nie była bogata - ojciec pracował w rzeźni - ale
dobrze nam się powodziło i mieliśmy dwóch służących. Jestem
i pewien, że tamtego dnia ojcu nie został ani kawałek mięsa, które
j mógłby powieźć na targ. Z myślą o powitalnym przyjęciu zarznął
' tuczne ciele i wszystkie istoty z nogami i mięśniami, do których
V mógł zbliżyć swój nóż.

z Moje wyczekiwanie zawierało tyle samo strachu co radości.
. Miałem nadzieję, że wieczorem do domu wróci ulepszona wer-
sja mo' ółc-brata wraz z żoną, ale wiedziałem, że najprawdopo-
cie ciobm/ejãšjrzymytego samego zarozumiałego sadystę, który wy-
; jechał. \

i z Dom i podwórze wyszykowano jak na przyjęcie cesarza.
„oPo tych wszystkich po piesznym przygotowaniach czekaliśmy
I w milczeniu pełnym en uzjazmu: moi rodzice, dwaj młodszy bra-
(cia, wujowie, dziadek strony mamy, kilku kuzynów i służący.
\ Przez towarzyszące te u oczekiwaniu napięcie nie byliśmy W sta-
mie jeść ani rozmia 'ać.

Przybycie, y jedzenie było świeże, mięsa i sosy idealne,
a ocze iwanie nowe i przyjemne, nie było jednak w stylu moje-
go brata. Bardziej pasowało do niego pojawienie się, kiedy potra-
wy już oklapły i zakrzepły, a przyjemny dreszczyk wyczekiwania
zmienił się w zniecierpliwienie i niepokój.

Gdy tak czekaliśmy, zaczął padać deszcz. Pamiętam, że mat-
ka próbowała zachować pogodę ducha, radość z rozmowy.
Mówiliśmy wtedy po grecku. Nie językiem Sofoklesa, lecz je-
go daleką, zniekształconą wersją. Nadal pamiętam większość tej
rozmowy, słowo w słowo. Staram się nie zapominać dawnych
języków, ale przechowywanie ich w głowie nie wystarcza. Zostały
stworzone do komunikacji, a nikt ich już nie używa.

Mój brat nie przyjechał konno W odświętym stroju, tak jak
sobie wyobrażaliśmy, lecz przyszedł piechotą, ubrany niestosow-
nie do pogody i rozdrażniony. Wyłonił się z ciemności i stanął
W świetle świec. Spojrzałem na niego, zastanawiając się, co się sta-
ło z jego karierą W armii, lecz wtedy do domu weszła jego żona.
W chwili gdy uniosła kaptur i odsłoniła twarz, przestałem myśleć
o bracie. Właśnie na tę część chciałbym zwrócić waszą uwagę. Ta
część jest najważniejsza.

Przez parę wieków widywałem dziewczynę z Afryki Północnej
jedynie we wspomnieniach i w snach, lecz gdy spojrzałem na żo-
nę mojego brata, ku swojemu zdumieniu znów zobaczyłem tam-
tą kobietę W ludzkim ciele. Do dziś żadnej innej duszy nie rozpo-
znaję z taką szybkością i mocą. Bez względu na jej wiek i okolicz-
ności, silnie oddziałuje zarówno na swoje ciało, jak i na mnie.

Poczułem zmieszanie, potem szok, a następnie radość, i osta-
tecznie gapiłem się na nią zbyt długo. Mój brat oczekiwał, że po-
witam go odpowiednimi ukłonami i szuraniem nogami, lecz mo- g”
je oczy z niemal bolesnym zachwytem skupiły się na jego żonie. K
Głupota, którą wykazałem tamtego pierwszego wieczoru, mogła
stać się przyczyną wielu później szych problemów.

Tym, co w końcu przeniknęło do mojej świadomości, nie było
jednak niezadowolenie brata, lecz skrępowanie dziewczyny. Była
'zmieszana i zakłopotana moim zainteresowaniem. Spuściła gło-
wę, a jej spojrzenie - które początkowo emanowało tak wielką
pewnością - stało się niespokojne.

Próbowałem znów zachowyvxrać się normalnie. Uścisnąłem
brata. Odsunąłem się, by zrobić miejsce pozostałym członkom
rodziny. Patrzyłem, jak rodzice witają swoją nową córkę Sophie.

Tamtego wieczoru krążyłem po jej orbicie w stanie dziwnego oszołomienia. Próbowałem się powstrzymać, ale gdziekolwiek stałem i cokolwiek robiłem, wszystko wiązało się z nią.

Usiłowałem nie gapić się na nią zbyt długo.

Zresztą i bez tego wydawała się wystarczająco przytłoczona. Zamiast jeść rozglądała się, popatrując na nas, na swoją nową rodzinę, i zachowując kilka spojrzeń dla męża. Reszta biesiadników ucztowała i piła, a ona w milczeniu siedziała przy stole. Zanim mój brat W końcu to zauważył, zdążył opróżnić kilka kubków wina.

- Nie smakuje ci nasze jedzenie? Jedz! - ryknął na nią i W końcu zaczęła się posilać.

Tamtej nocy nie spałem i leżałem, rozmyślając. Z początku poruszyły mnie sam jej widoki świadomość, że nadal żyje i znalazła się blisko mnie. Dopiero później dotarła do mnie niesprawiedliwość związana z tym, W jakich okolicznościach wróciła. Nie znałem jeszcze wszystkich odcieni swojej miłości do niej. Q

Gdy uszałem głos brata za ścianą, musiałem jednak pogodzić się z rzzywistością. Była jego żoną. Należała do niego, a nie do mnie.

To nie była zazdość. Przynajmniej na początku. Podziwiałem tę kobietę i rolę, kt'ra odgrywała w moim umyśle. Pragnąłem przebaczenia. Nie pzypuszczałem, że będę pragnął jej samej albo na nią zasługiwł. Gdyby mój brat był dla niej dobry i gdyby ona go kochała, ieszyłbym się jej szczęściem i zadowolilibym się jej sporadycz bliskością. Myślę, że naprawdę by tak było.

Jedna ój brat nie był dla niej dobry. W głosie za ścianą po-brz ' wały obelgi.

Nie słyszałem wszystkiego, ale nazwał ją kurwą. Co najmniej raz wypowiedział moje imię.

*

Nazajutrz ledwie mogłem spojrzeć jej w twarz. Czuję wstyd i miałem poczucie winy. Dlaczego zawsze musiałem jej szkodzić? Dlaczego jeszcze zwiększałem jej cierpienie? W końcu jednak odważyłem się na nią popatrzeć. Ujrzałem rozpacz, to pewne, lecz oprócz niej dostrzegłem także dumę. A gdy Joaquim odezwał się do niej przy stole, W jej twarzy zobaczyłem odrazę. Wystarczyła ta mina, bym zrozumiał, że nie Wybrała go sobie na męża. Miał i nad nią ograniczoną władzę, bo go nie kochała.

Przezornie unikałem jej przez kilka dni, lecz potem mój brat wyjechał. Zniknął na całe tygodnie. Wracał do domu, zazwyczaj pijany, kiedy kończyły .mu się pieniądze. Z czasem odkryłem, że Sophia, podobnie jak ja, lubi się zaszywać W ogrodzie. Pozwoliłem sobie skierować do niej kilka nieśmiałych słów, a potem kilka następnych. Po jakimś czasie opowiedziała mi o swoim dzieciństwie w Konstantynopolu, które wydało mi się magiczne. Jej ojciec był mistrzem kamieniarstwa i zbudował kilka kościołów. Naprawiał Wielką kopułę Hagia Sophia. Rodzice zginęli jednak W pożarze, i gdy ich córka miała dziewięć lat. To wyjaśniało, dlaczego babka oddała piętnastoletnią wnuczkę temu, kto zaoferował najwyższą cenę. Zrobiła to akurat wtedy, gdy mój brat był przy forsie po jednym ze swoich wielkich karcianych zwycięstw.

W tamtym czasie zostałem posłany na nauki do artysty, któremu zlecono zaprojektowanie mozaiki do 1¶m W n ym kościele. Zabrałem Sopię na plac/bu/dowy i pokazałem jej. W następnych tygodniach z/pewnymi oporami pokazałem jej także swoje rzeźby i wiersze, które zapisałem na kawałku pergaminu. Tego Wszystkiego nauczyłem się W poprzednich życiach - języków, czytania i pisania, rzeźby i projektowania. Ukrywałem te umiejętności przed większością ludzi, bo były obce moje .

wychowaniu i W zasadzie niewytłumaczalne, lecz przed nią 'ch nie zataiłem. Mieliśmy wiele wspólnego. Obydwoje uwie iali- śmy opowiadania i wiersze. Znała wiele, których jeszcze)? nie sły- szalem. Otworzyłem się przed nią tak, jak nie otworzyłem się jesz- cze przed nikim.

Po raz pierwszy poznałem ją i pokochałem. Wtedy kochałem ją niewinnie, przysięgam. Nawet W myślach.

Jestem pewny, że mój brat nigdy nie widział, jak rozmawiamy, ale prawdopodobnie dowiedział się o naszej przyjaźni. Trzy mie- siące po tym, jak sprowadził do nas Sophię, przyjechał do domu pijany i wściekły. Przegrał ogromną sumę pieniędzy ojca, a W do- datku dostał łupnia i zagrożono mu śmiercią. Tamtego wieczoru za ścianą rozlegały się jego krzyki, lecz wiedziałem, że Sophia nie zważa na obelgi z jego ust. Potem usłyszałem inny dźwięk. Głośny trzask ściany, krzyk, stłumiony odgłos uderzenia i jej płacz.

Wstałem z łóżka i poszedłem do ich pokoju. Choć mam dobrą pamięć, nie wiem, jak przeniosłem się z jednego miejsca do dru- giego. Drzwi musiały być zaryglowane. Pamiętam, że później na ziemi leżały drzazgi i kawałki drewna. Sophia kuliła się na podło- dze, miała potargane włosy, rozerwaną koszulę nocną, a na twa- rzy lepki połysk krwi i potu. Dwa wieki wcześniej, stojąc na pro- gu swojego płonącego domu, patrzyła na mnie z dziwnym spo- kojem, lecz teraz zobaczyłem cierpienie.

Zastygłem na chwilę i ujrzałem brata, który pochylił się go- towy do walki i mierzył mnie morderczym spojrzeniem. Czekał na mnie i prowokował mnie do ataku, próbując wciągnąć w swo- ją grę. Wcale o nim jednak nie myślałem. Liczyła się tylko ona. Zacisnąłem pięść i najmocniej jak umiałem uderzyłem go w twarz. Upadł. Patrzyłem, jak wstaje, a potem uderzyłem go jeszcze raz. Pamiętam wyraz zaskoczenia pośrodku jego furii. Byłem młod- szy, mniejszy. Byłem tym dziwnym synem, artystą. Uderzyłem go jeszcze raz.

Krwawił z nosa i ust. Nadal był pijany, oszołomiony, bełko- tał i kołysał się na nogach, wymierzając pięściami chybione cio- sy. Już zbierała się W nim większa brutalność, ale potrzebowała więcej czasu.

Chciałem przytulić Sophię i pocieszyć ją, ale wiedziałem, że tylko pogorszyłbym jej sytuację. Usiadła, zakryła się i wycofała pod ścianę. -

Gdyby nie był tak pijany, a ja tak przejęty sprawą, na pewno by mnie zabił. Miałem nad nim tylko jedną przewagę. Kochałem jego żonę, a on nie.

Zostawiłem go na podłodze, w kałuży krwi i wymiocin. Spa- kowałem swój skromny dobytek. Obudziłem ojca i błagałem go, by się nią zaopiekował. Opuściłem dom i rodzinę, myśląc, że je- li? śli zniknę, Sophia będzie bezpieczna.

Pobicie loaquima na oczach jego żony było jedną z przeło- mowych decyzji W moim długim istnieniu. W późniejszych la- tach wielokrotnie ją analizowałem. Stała się zalążkiem nienawi- j_` j ści, przemocy i wrogości trwających wiele żyć. Zadaję sobie py- tanie, W jaki sposób mogłem tego uniknąć dla dobra Sophii, dla dobra siebie samego, a nawet dla dobra loaquima.

Patrząc na to z perspektywy czasu, widzę jednak, że tak na- prawdę to wcale nie była decyzja. Spoglądając wstecz, nawet z tak Wielkiej odległości, myślę, że nie mogłem postąpić inaczej. Być może zrobiłem źle, ale zrobiłbym to jeszcze raz.

Hopewood, Wirginia, 2006

Lucy nie bawiła się na imprezie. W zasadzie siedziała tylko na kanapie i czekała, aż przyjdzie Brandon Crist. Nawet nie zdawa-

„ła sobie sprawy, że zrobiła afront wielkiej Melody Sanderson, do-
g póki nie uświadomiła jej tego koleżanka Leslie Mills.

A - Melody mówi wszystkim, że nie chcesz podejść do baru, bo
uważasz, że jesteś za dobra na Hopewood.

Lucy poczuła, jak przenika przez warstwy małostkowości, że-
by coś ztego zrozumieć. Może Melody miała rację.

- Słucham?

- Ona uważa, że wszyscy, którzy poszli do modnych szkół na
północy, zadzierają teraz nosa.

- Na północy? jestem W Charlottesville.

- Tak. Wiem.

- Po prostu nie miałam ochoty przeciskać się przez tłum po
piwo - powiedziała Lucy. "

- Mówię ci to tylko na wypadek, gdybyś, no wiesz, gdybyś
chciała tam pójść.

Lucy pomyślała, że chyba rzeczywiście należałoby podejść do
baru, ale się powstrzymała. Przypomniała sobie łatwiejsze czasy,
kiedy dokładała wszelkich starań, żeby nie narazić się tym dziewię-
czynom. Pamiętała też okres, W którym ona i jej rodzice mogli
przypisać wszystkie swoje kłopoty, bóle i porażki jednej oso-
bie. Kadencja Melody dobiegła już jednak końca i najwidoczniej
Melody o tym wiedziała.

Mimo to Lucy zganiała się W myślach i zamiast do baru poszła
a do zatłoczonej kuchni. To prawda, że nie powinno się chodzić na
imprezy, jeśli nie umie się obcować z ludźmi. Gdy w końcu zja-
wił się Brandon, od razu do niego podeszła. Czuła się niezręcz-
nie, ale przyciągała ją do niego jakaś dziwna siła.

- Jestem Lucy - przedstawiła się. - Chodziliśmy kiedyś ra-
zem na chemię.

- Jasne. Wiem, jak się nazywasz. - Zakołysał drinkiem w pla-
stikowym kubku. /Åk

- Chcę cię o coś zapytać - wypaliła prosto mostu. `

Używał za dużo żelu do włosów, co z jakie oś powodu dopro-
wadziło Lucy do wniosku, że Brandon pocz je się podrywany.

- Dobra. - Iego brwi uniosły się do flircia skiej pozycji.

- Znałeś Daniela Greya, prawda? \

Wypowiedzenie tego nazwiska ot tak, jakby było zupełnie
zwyczajne, wydawało się zuchwałe, a nawet emocjonujące.

Brwi Brandona lekko opadły.

- Tak. Trochę. Niezbyt dobrze. /

- Nie wiesz przypadkiem, co się z nim stało?

Brandon wydał się zakłopotany.

- Nie jestem pewien. Ale słyszałaś, co opowiadał Mattie Shire
ijego koleisie.

Lucy usłyszała ponurą nutę W jego głosie i poczuła w gardle
powolne łomotanie serca.

- Nie. Nie słyszałam. Co mówili? `

- Chodziło o wieczór balu maturalnego i tamtą bójkę na no-
że. Słyszałaś, co było potem.

- Słyszałam wiele rzeczy - powiedziała ostrożnie.

Brandon rozejrzał się, spoglądając na tłum W jadalni. Nie zo-
baczył Mattiego Shire'a, ale zauważył jego przyjaciela Aleksa Flaya
i przywołał go skinieniem dłoni.

- Pamiętasz Daniela Greya, prawda? - zagadnął go.

Alex przytaknął, przenosząc Wzrok z Brandona na Lucy.

- Byłeś z Mattiem tamtego Wieczora, kiedy widział, jak Daniel
skacze z mostu?

Lucy wpatrywała się W Brandona.

- Co takiego?!

- Nie było mnie przy tym - odparł Alex. - Ale Mattie mi o tym

opowiadał. Nie Wiem, czy Daniel się utopił, czy nie.

Brandon pokiwał głową.

- Był niezwykłym kolesiem, pokój jego duszy.

- Mówisz, że on nie żyje? ~ zapytała Lucy.

Brandon spojrzął na Aleksa, a ten wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Mattie uważa, że tak. Poza tym nikt nic nie wie. Potem nikt o tym nie wspominał. Wszyscy się rozjechali.

- Na pewno nie utonął - zaperzyła się Lucy. Poczwała nagle oburzenie, którego nie była w stanie usunąć z twarzy i głosu. - Przecież wszyscy by o tym słyszeli, prawda? Napisaliby o tym w gazetach albo coś.

Żaden z nich nie chciał się z nią spierać. Dla nich to nie była sprawa osobista.

- Mnóstwo ludzi o tym słyszało - zapewnił urażony Alex. -

Nie wiem, gdzie się wtedy podziewałaś, ale Mattie nie robił z tego tajemnicy. I

- Zresztą gazety nie gustują w doniesieniach o samobójstwach

- zauważył Brandon. - Zwłaszcza jeśli chodzi o nastolatków.

Powoli odwróciła się od nich, a potem znowu podeszła do kanapy i usiadła, wpatrując się tępo w okno i przypominając sobie twarz Daniela tamtego wieczoru. Uświadomiła sobie, jak fatalnie czuła się w następnych dniach, ogarnięta tak wielką paniką, że nie wychodziła z domu i nie chciała z nikim rozmawiać.

- Niewyraźnie czuła, że Brandon i Alex nadal stoją obok, że jej życie towarzyskie to porażka, a jej matka byłaby zawstydzona. Brandon coś do niej powiedział, coś w rodzaju: „Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą”, lecz słowa nie docierały już do jej mózgu. I

Przecież Daniel nie mógł zginąć.

Czując odrętwienie, pogmerła w torebce w poszukiwaniu kluczyków i wyszła z imprezy, kierując się w stronę samochodu. i Wsiadła i odjechała. Krążyła bez celu po najciemniejszych ulicach, mimo nieustannych apelów matki, by oszczędzała aliwo.

W końcu zrobiło się późno i ciemno. Po' ała na mos . i

Zostawiła samochód na trawiastym poboczu i weszła na konstrukcję. Patrzyła w dół na Appomattoć. Była to dla niej mityczna nazwa i mityczne miejsce ze względu na jej ojca i dziadka. Kiedyś zapytała tatę, dlaczego oni ciągle mówią o wojnie secesyjnej, a jankesi nigdy tego nie robią.

- Bo przegraliśmy - skwitował. ~ O zwycięstwach się zapomnia, ale porażki pamiętamy. I

Oparła się o barierkę i patrzyła, jak w dole płynie ciemna o- da. To była rzeka porażki, a teraz do tamtej porażki dołączała następna. Zastanawiała się, jak by to było skończyć

W drodze do Kapadocji, 776

Moja długa nieobecność w Pergamonie nie wystarczyła, by zapewnić Sophii bezpieczeństwo. Najpierw dotarły do mnie wieści od najmłodszego brata, a potem od matki.

W ciągu trzech lat charakter Joaquina jeszcze bardziej się zepsuł, choć trudno było to sobie wyobrazić. Zmarł mój ojciec.

Oplakiwałem go i okropnie za nim tęskniłem. Joaquim przejął rzeźnię i doprowadził do upadku dobrze prosperującego przedsiębiorstwa. Z przerażeniem odkryłem, że sprzedał rodzinny dom i wysłał moich młodszych braci w świat, choć nie byli jeszcze nawet nastolatkami. Żonę i matkę zostawiał na długie okresy w za- jeździe, a sam uciekał przed wierzycielami albo robił jeszcze większe długi. Na szczęście Sophii udało się nie urodzić mu dzieci.

Gdy dostałem wiadomość od matki, podjąłem następną prze- tomową decyzję. Pożyczyłem konia i pokonałem prawie pięćdzie-

siąg kilometrów W stronę Smyrny, by dotrzeć do dalekiej jaskini, do której po raz ostatni zaglądałem sto lat i dwa życia Wcześniej.

W tamtych czasach wiatr wiał często i przenosił dużo piasku, lecz mimo to odnalazłem maleńkie znaki, które zostawiłem na blokach wapienia. Z pochodnią i tajemnicą czułem się tak, jak-ly. bym rabował groby, lecz był to mój Własny grób, choć na szczęś-lśre cie nie spoczywały W nim szczątki mojego ciała. Przeciskałem się przez Wąskie przejścia, schodząc W wilgotną ziemię. Nie po-lj trzebowałem znaków, pamiętałem drogę. Poczulem ulgę, Widząc, że wzniesiona przeze mnie sterta kamieni pozostała nietknięta. Ostrożnie odkładałem je na bok, jeden po drugim, aż odsłoni-łem małe, nieforemne wejście. Przecisnąłem się przez nie, od-krywając, że W tym życiu jestem znacznie Większy niż W tamtym, W którym je kopałem. l'

wkręciłem pochodnię W piaszczyste dno jaskini i rozejrzałem się. Większe przedmioty leżały na ziemi kryte letnią War-stWą pyłu. Były tam dwie piękne greckie/Älfory: jedna czarny- »l mi postaciami ukazującymi Achillesa Wibitwie, a druga z zerwo-nymi, wśród których Persefona zstępuje do podziemnego Wiata (pierwszą podarowałem muzeum archeologicznemu W Ate ach W latach dziewięćdziesiątych XIX Wieku, a drugą przechowuję a-dal). Poza tym miałem tam kilka ładnych rzymskich rzeźb raz l) parę wczesnych, Wyjątkowych dzieł metaloplastyki zakupio ch i: u beduińskiego kupca, który twierdził, że były Własnością We yj- 7'» skich królów z Indii. Był tam jeszcze zaczątek mojej kolekcji iór rzadkich ptaków, kilka drewnianych rzeźb (najgorsze zro ilem „k sam), wspaniała lira, na której nauczył mnie grać ojciec ojego pacjenta W Smyrnie, oraz mnóstwocśinnych rzeczy //

Do mniejszych i najcenniejszych skarbowgmusiłem się doko-pać. Niespełna trzydzieści centymetrów pod powierzchnią twar-dej ziemi leżały worki ze złotymi monetami: greckimi, rzymski- ;i mi, bizantyjskimi i kilkoma perskimi. W innych workach spoczy- Ż; wały cenne kamienie i trochę biżuterii. Staralem się nie poświęcać l' im zbyt dużo czasu. Tamtego dnia spieszyłem się i czułem smutek. Moje palce natrafiły jednak na złotą obrączkę z lazurytem, któ- f: rą nosiła moja pierwsza żona Lena. Zmarła młodo i próbowałem ją kochać. Chwilę potrzymałem tę obrączkę, a potem znowu za-kopałem ją W ziemi.

W ezWarłYm zVełn bYłern kupcem. Wykorzystałem swoje do- ł Śwlddezenia ł znajomość Jezyków, by rozwinąć dochodową dzia- lalność na przecięciu kłłkn szlaków handlowych. Chciałem się Wzbogaeł ł dopięłam SWegO. Po części była to reakcja na siniaki I UPOkOrzenia zYeła W KonStantynopolu. Nienawidziłem głodu, a PonleWaz zaznałem lePSzego życia, nienawidziłem głodu jeszcze bardzlel- Doszedłem do Wniosku, że skoro muszę taszczyć tę swo- lll Pamięć roWnle dobrze mogę to zrobić mądrze. Postanowiłem, że WYkorzYSłam ro bY uniezależnić się od kaprysów urodzenia. W kazdYm zVenr W klorYm zarabiałem pieniądze - a szło mi na- Prawdę dobrze ' Większość z nich odkładałem na gorsze czasy. Pamiętann jak się łndzłem ǃ Że gdy dziewczyna z Afryki Północnej zobaezY mole bogaeWo ł Potęgę, zapragnie mnie poznać.

W piątym zYołn ǃ W Smyrnie, miałem szczęście urodzić się W wVkszłateonel rodzłnle O rozległych koneksjach. Dorastając, VOZWiUałe-m ro ǃ Czego nauczyłem się w poprzednich życiach, I Zesrałem WaznYm knPeeln. Nie tylko gromadziłem góry zło-läh IĆCZ również zaezałem przykładać szczególną wagę do prze-azłośeł ł PrzYSzłoSł- Właśnie wtedy znalazłem tę jaskinię, z któ-rej korzYSrałem Przez dzlewieć następnych żyć, zanim podróż Stała się zbYł uciążliwa- Około roku 970 przeniosłem swoją kry-jówkę w Karpaty.

Teraz> Ponad tysiąc lat później, mam już ogromną kolekcję Przedmiotów> Pieniędzy i dzieł, lecz z czasem poczucie władzy i Przemnośno krore i WarZyszyły ich posiadaniu, znacznie zmalały- Kłka r zeezY> krore dodałem w ostatnich latach, nie ma żadnej obłękrYWnel Wartości- Znalazłem sposoby pozwalające na rozdawanie Web Przedmiotów bez ryzyka, że zostaną rozpoznane, a także na PrzekazYWanie ich sobie samemu: gdziekolwiek się znajdę> Wiam> zaWszystko znam sWojego wcześniejsze nazwisko. A w dzisiejszych> Czasach bankowe Skarbcze i numery kont znacznie ułatwiają sprawę.

Tamtej Nocy W Viii Wieku doprowadziłem zawartość jaskini do Porządku i Zabrałem worek dość nowych, identycznych złotych monet - nie potrzebowałem skarbu, lecz pieniędzy Zrobiłem zapasy, dopilnowałem kilku spraw, kupiłem wspianego go araba od bogatego Beduina i nazajutrz po południu wróciłem do Pergamonu. Odnalazłem Sopię i moją matkę, które mieszkały W jednej izbie przy wąskiej uliczce. Matka była bardzo przygnębiona. Nadal próbowała znaleźć sposób, by kochać mojego brata - serce nie pozwalało jej go skreślić. Sophia miała posiniaczona twarz, ale jej duma pozostała w zasadzie nietknięta.

“ Ulokowałem matkę W ładne/wiosce kilka kilometrów dalej.

Starłem się dawać jej do ręki najmniej pieniędzy, wiedząc, do kogo mogłyby trafić. Zadbalem j` nak, by żyło jej się wygodnie, i obiecałem, że wrócę i sprowadzę braci z powrotem do domu. /,,,”

Tamtej nocy wsadziłem Sopię na grzbiet mojego konia i wyruszyliśmy w drogę. Przebywanie tak blisko bratowej budziło we mnie samolubny dreszczyk podniecenia, lecz powtarzałem sobie, że nie o to chodzi. Gdybym ją zostawił, zginęłaby. Kiedy odjeżdżaliśmy, ani Sophia, ani moja matka nie protestowały ani nie zadawały żadnych pytań. Wiedziały, że to jej jedyna szansa.

Podróż przez pustynię z Sopię na tym wspianym rumaku to jedno z najszcześniejszych dni moich licznych żyć. Przyznaję, że tak często przeżywałem ją ponownie w myślach, że teraz ledwie pamiętam, jak rzeczywiście było. Moje uczucia są wystarczająco silne, by zmienić i zniekształcić prawdę. Z drugiej strony, jak powiedziałby mój przyjaciel Ben, to właśnie moje uczucia są prawdą o tej podróży.

Dotarcie do leżącej w głębi lądu Kapadocji zajęło nam cztery i pół dnia. Gdy jechaliśmy, marzyłem o tym, by ta odległość się zwiększyła, a koń zwolnił. I już na początku wyznam, że w ciągu tych kilku dni coś się zmieniło. To, co wcześniej było niewinnym i nieskomplikowanym oddaniem z mojej strony, przeobraziło się w coś głębszego i bardziej problematycznego.

Jak łatwo sobie wyobrazić, pierwsza noc była krępująca.

Rozciągnąłem kawałek niebieskiego materiału między czterema drewnianymi kołkami, by zbudować nad nami dach, pod którym rozłożyłem koce. Umiałem rozpalać ognisko i przygotowywać jedzenie. Były to jedne z wielu umiejętności, których nabyłem W ciągu poprzednich żyć (niektóre umiejętności tkwią W umyśle, a inne W mięśniach - przez wiele żyć poznawałem ograniczenia tych pierwszych i wartość drugich). Tamtej nocy czułem się jednak tak; 'akbym robił to wszystko po raz pierwszy. Gdy Sophia na mnie patrzyła, drżały mi ręce. Wszystko wydawało się obce.

Z sercem łomoczącym w piersi i niemal ojcowskim zadowoleniem patrzyłem, jak bratowa je ryż, chleb, ciocię i jagnięcinę. Była ba dzo szczupła i z początku jadła powoli. Gdy jednak zaczęła się o prężyć, wykazała imponujący apetyt. Potem prawie nieżęgałüe jadłem. Chciałem, żeby starczyło dla niej.

Kiedy po coś sięgała, widziałem siniaki pokrywające jej ra-

miona. Nigdy o nich nie mówiła, przez co wydawały mi się jeszcze smutniejsze. .

Położyliśmy się na kocach W przyzwoitej odległości. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak z nią rozmawiać. Byliśmy zbyt blisko siebie i nie istniały żadne zasady społeczne, które mogłyby nam wskazać drogę. Nie chciałem się narzucać. Obydwoje patrzyliśmy w górę i zdałem sobie sprawę, że jedyną funkcją mojego dachu jest zasłanianie gwiazd. Dlatego właściwie niczego nie uzgadniając, wyczołgaliśmy się spod niego z kocami i pławiliśmy się w gwiazdach. Nocą nadal przeważnie patrzę w górę i nie mogę uwierzyć, że to to samo niebo co wtedy.

Nie chciałem, żeby sądziła, że czegoś od niej oczekuję. Nie chciałem, żeby się bała. Nie wiedziałem, jak blisko ani jak daleko powinienem być. Jak długa rozmowa staje się uciążliwa? Ile milczenia oznacza samotność? Ile zainteresowania wytrąca z równowagi? Jak mało zainteresowania równa się oziębłości? Ziewnęła, a ja rozmyślałem. Spała, a ja jej pilnowałem.

Drugiego dnia podróży byłem bardziej świadomy dotyku jej rąk, odrębnego nacisku poszczególnych palców, piersi na moich plecach. Czasami przyciskała do nich policzki albo czoło. Kiedy galopowaliśmy przez suche, brązowe wzgórza, moje nerwy czuwały nawet koniuszek jej nosa. Niczego od niej jednak i chciałem. Niczego nie potrzebowałem. Chciałem, żeby czuła się dobrze i bezpiecznie. O niczym innym nie myślałem. i

Gdy zatrzymaliśmy się na noc, jadła z Większym apetytem i mniejszym pośpiechem. Zobaczyłem, że siniaki żółkną i bledną W uroczym krajobrazie jej twarzy. Poczułem jej pierwotną żądzę życia, jej odporność. Wiedziałem, że przydadzą jej się w tej długiej drodze. Były czymś, co niesie się ze sobą życie po Nie mogła tego wiedzieć, ale ja zapamiętałem. „

Druga noc była znacznie zimniejszą, a nie mogłem znaleźć: dość drewna, by rozpałcić ognisko. Koce były grube, lecz niewy- starczająco. W takim zimnie nie można było zapaść W prawdziwy sen. Patrzyłem, jak Sophia drży, zasypia i za chwilę się budzi. Próbowałem przykryć ją własnym kocem. Moja gorliwość, intensywność moich starań sprawiały, że było mi ciepło, ale ona drżała dalej. ^

Przysunąłem się do niej, nawet o tym nie wiedząc. Nie chcia- łem przesadzić, ale miałem ciepło, którym mogłem się podzielić. Skuliłem się obok niej, w odległości kilku centymetrów, żeby z niego skorzystała. Widocznie poczuła moje ciepło przez sen, bo zaczęła ją przyciągać. Nie nawiązałem żadnego kontaktu, mimo że wtedy już go pragnąłem. Ułożyłem się obok niej pod kocami, bę} a ona jak dziecko oplotła kończynami moje ciepłe ciało. Poczułem nagą skórę jej kostki stóp owiniętych wokół moich łydek, plecy [i wtulone W moją pierś. Objąłem ją. Westchnęła, a ja zastanawiałem się, kim dla niej jestem w tym śnie.

Nie chciałem się poruszyć. Byłem zbyt szczęśliwy, a chwila zbyt ulotna. Zdrętwiała mi ręka, ale nie chciałem jej wyciągnąć spod Sophii. Zdarzają się krótkie okresy radości, które trzeba rozciągać na wiele pustych lat, a mnie zdarza się tych pustych lat więcej niż j; innym ludziom. Trzeba się starać, by trwały jak najdłużej. .

Trzeciego dnia podróży poczułem, że jej ciało odpręża się przy moim i odebrałem to jak dar. Gdy W południe zatrzymaliśmy się: słu nu posiłek, upuściła ryż na moje kolano i uśmiechnęła się. i npragnąłem, żeby upuszczała na mnie tysiące różnych rzetępy: ławę, kwas, cegły, cokolwiek, i by za każdym razem tak się Cüşlnlechała.

. Tamtej nocy weszła pod koc ibez słowa przytuliła się do mnie. _ - Dziękuję - powiedziała, zasypiając z włosami na mojej szyi

I z czubkiem głowy pod moją brodą.

Moje ręce przywarły do jej piersi i poczułem, jak bicie jej serca miesza się z pulsem W moim nadgarstku. Próbowałem trzymać niższe części ciała w bezpiecznej odległości, gdyż niektóre organy nie poddawały się ogólnej dyscyplinie.

W pewnym momencie nocy musiałem stracić czujność i zapuścić W głęboki sen. Śniłem chyba o dawniejszych wersjach nas. I popadłem W dezorientację. Wróciłem do dnia, W którym ujrzałem ją po raz pierwszy, tylko na chwilę, lecz to Wspomnienie Wyraźnie mną Wstrząsnęło. Gdy się obudziłem, była tuż obok, leżąc, Ilśmy twarzą W twarz. Nie wiedziałem, co tu robi ani W którym punkcie czasu się znajdujemy. Widok jej twarzy przepelnił mnie i wyrzutami sumienia.

V. - Bardzo cię przepraszam - mruknąłem.

Nie byłem pewny, czy śpi, ale chyba już się obudziła.

- Za co miałbyś mnie przepraszać? - szepnęła W odpowiedzi.

- Za to, co ci zrobiłem.

W tamtej chwili musiałem być naprawdę zdezorientowany, bo myślałem, że zrozumie, o czym mówię. Łączyła mnie z nią bardzo silna więź i nie potrafiłem sobie wyobrazić, że Sophia mogłaby-wiedzieć mniej niż ja. Był to dziwny, złudny moment Wiary, że nasze doświadczenia są identyczne. Nie wiem, skąd wzięła się ta wiara. To smutne, bo jednego jestem pewien: nikt nie ma takich samych doświadczeń jak ja. I

Wyraz zmieszania wprawił w ruch jej spokojną twarz.

- Co mi zrobiłeś? - Usiadła. - Nie Wyrządziłeś mi żadnej krzywdy. Broniłeś mnie. Uratowałeś mi życie. Nie tylko teraz, ale wielokrotnie. Byłeś dla mnie miły, nie zważając na własne bezpieczeństwo. Nie wiem dlaczego. Niczego ode mnie nie chciałeś. Niczego nie wymagałeś. Nie byłeś wobec mnie poządlivy. Czyli: inny mężczyzna postąpiłby tak jak ty?

Zbliżał się poranek, byłem już bardzo podniecony i miałem ambiwalentne uczucia co do jej niewinności.

Podniosłem się, próbując dojsć do siebie. Chciałem jej wszystko Wyjaśnić, ale nie wiedziałem, jak dużo mogę ujawnić.

- Próbowałem cię chronić. To prawda. Ale dawno temu zrobiłem ci coś, co...

- Mnie?

- Tobie. - Nie mogłem znieść nieufności W jej spojrzeniu. - Nie tobie jako Sophii, którą jesteś teraz. Ale znacznie wcześniej. W Afryce. Nie pamiętasz Afryki? }

To było lekkomyślne posunięcie. Czego ja się spodziewałem?

Że nagle wykielkuje w niej pamięć dorównująca mojej? IV' lej brwi opadły W charakterystyczny sposób, który towarzyszy jej od zawsze.

_ Nigdy nie byłem w Afryce - rzekła wolno.

- Byłaś. Dawno temu. A ja... ŚŚ,

- Nie byłem. ,A

Siedziała, maleńka pod olbrzymim porannym niebem W tamtym dziwnym, księżycowym pejzażu niedaleko Kapadocji, gdzie mogła patrzeć jedynie na mnie. Jeśli pragnąłem, by czuła się bezpieczna, nie postępowałem właściwie.

- Nie. Wiem. Oczywiście. Mówiłem w przenośni. Chciałem powiedzieć, że... - Szukałem odkupienia, ale nie zamierzałem dążyć do niego kosztem Sophii. - Niczego nie chciałem powiedzieć. - Wzruszyłem ramionami i spojrzałem na wschód, gdzie A naszą prywatną noc przekłuwało już słońce. - Mam takie dziwne wspomnienie. "

Mówiłem tak cicho, że mój głos prawdopodobnie uleciał, zanim do niej dotarł. Nie wiem.

Długo mi się przyglądała. Zauważyłem W jej oczach niepewność, ale i ciepło. „E”

~ Jesteś dobrym człowiekiem, ale cię nie rozumiem.

- Pewnego dnia spróbuję ci to wytłumaczyć - obiecałem.

Znowu przykryliśmy się kocami, zwróceni na wschód. Mocno do mnie przywarła i odkryła prawdę o niesfornych częściach mojego ciała. Nie odsunęła się, lecz odwróciła głowę, by jeszcze raz na mnie spojrzeć, jakby z zaciekawieniem.

Wtuliłem twarz w jej szyję i poszukałem ustami jej ucha.

Podniosłem jej spódnicę i położyłem dłonie na nagich biodrach.

Rozchyliłem bluzkę i pocałowałem piersi. Zdjąłem z niej bieliznę i wszedłem w nią z tłumioną dotychczas namiętnością, którą można sobie jedynie wyobrazić.

Bo to wszystko tylko sobie wyobraziłem. To nie wspomnienie, lecz fantazja, którą pielęgnuję na równi ze wspomnieniami, tak że prawie całkiem się do nich upodobniła. Wolę przeżywać ponownie ją niż prawdziwą wersję wydarzeń. Jak już wspomniałem, moja pamięć dopuszcza pewne zniekształcenia. Próbuję przechowywać wspomnienia jako wiarygodny zapis przeszłości i tylko z rzadka moje emocje są wystarczająco silne, by naginać fakty.

W tym przypadku naginam je jednak wystarczająco mocno, by móc w nią wejść i pozostać w niej na zawsze. ~

Niech jednak zapis przeszłości pokaże prawdę: Sophia spojrzała na mnie, oblizła usta z wyraźną namiętnością i powiedziała:

- Jestem żoną twojego brata.

- Jesteś żoną mojego brata - potwierdziłem smutno i żałośnie, i nieco się od niej odsunąłem.

Bez względu na to, jak brutalny był mój brat, nie mógł unieważnić świętości małżeństwa, jej zamysłu. Nie szanował tej świętości, ale nie był w stanie jej unicestwić. Chyba dlatego że my w nią wierzyliśmy. Nie mogliśmy na to nic poradzić.

Patrzyłem na nią ostrożnie, a ona patrzyła na mnie.

Wystarczyłby pocałunek, prawdziwy pocałunek, a wszystko, co nieuchronnie nastąpiłoby po nim, przemieniłoby nasz akt miłostwa w żalną zdradę. Bez względu na to, jak bardzo ją kochałem. Bez względu na to, jak bardzo tego chciałem.

„Nikt się nie dowie, tylko ona i ja” - namawiała niższa część mojego ciała.

Mózg W mojej głowie miał jednak szerszą perspektywę. Nie? dowie się nikt oprócz nas, ale okaże się, że mój brat nie mylił się W swoich paskudnych podejrzeniach, a my już zawsze będziemy; czuli, że postąpiliśmy źle. Gdy żyje się tak długo jak ja, „zawszefłż” to przytłaczający dystans. Wiedziałem, że Sophia myśli podobnie. W tamtej chwili moja wiara w naszą wspólnotę umysłów nie była złudzeniem.

*

Ostatniego pełnego dnia podróży jechaliśmy powoli. Gorący wietrzyk pokrywał nas piaskiem, a pył przylepiał się do nas lepkim potem. Cuchnąłem gorzej niż nasz koń. Późnym popołudniem zobaczyłem jakiś „przedmiot zagrzebany do połowy W piasku. Zatrzymałem konia i zsiadłem. :f:

Okazało się, że to olbrzymi kawał kutego brązu, ciężki i sta- Ä - rannie Wykonany. Przewróciłem go na drugą stronę i odkryłem, że jest czymś W rodzaju balii. Prawdopodobnie należała do kupca, który został napadnięty i uciekł w pośpiechu. Była zbyt ciężka, bym mógł ją zabrać, ale podsunęła mi pewną myśl. Cofnęliśmy się o mniej więcej półtora kilometra, do miejsca, gdzie po raz ostatni Widziałem wodę. Napełniliśmy wszystkie pojemniki i dWa bu- kłaki, a potem wróciliśmy do balii. Rozpaliłem ogień, żeby podgrzać wodę, i postawiłem balię na małym wzniesieniu, z którego

roztaczał się przepiękny Widok na pomarańczowo-fioletowy zachód słońca. Robiło się chłodno i coraz ciemniej. Sophia z rozbawioną miną patrzyła na moje zabiegi, lecz pracowałem dopóty, dopóki balia nie wypełniła się czystą, parującą wodą.

Tak bardzo przywykliśmy do współczesnej hydrauliki, że kąpiel po jednym obróceniu nadgarstka uważamy niemal za swoje prawo, i łatwo zapomnieć, jakim luksusem była ona dawniej. W torbie przy siodle znalazłem kawałek mydła i podałem jej go Ltroczystym gestem. Nie był to żaden wspaniały podarunek, ale I, kąpiel wydawała się odpowiednim początkiem jej nowego życia. I Zamierzałem zostawić ją samą, ale nie mogłem znieść myśli,

'że ominie mnie jej przyjemność.
I - Mam sobie pójść? - zapytałem.

Pokręciła głową.

- Powinieneś zostać.

Zdjęła sukienkę i bieliznę bez wstydu, ale i bez cienia fałszywej skromności. Patrzyłem, jak wkłada do balii jedną nogę, potem drugą, i drży z rozkoszy.

„Potrafię cię uszczęśliwić” - pomyślałem.

Zdałem sobie sprawę, że obserwuję ją ze świadomością tego, co się zbliża. Chciałem powierzyć ją swojej pamięci bardziej

I konkretniej niż cokolwiek innego. Chciałem podziwiać każdy skrawek jej ciała, by móc zatrzymać ją przy sobie na długo, u potem odnaleźć ponownie. Przyglądałem się jej stopom, lekko zwróconym do wewnątrz, ładnemu zarysowi klatki piersiowej i charakterystycznemu pochyleniu głowy. Wiedziałem, że następnym razem jej włosy, karnacja i kształty będą inne, ale sposób noszenia ciała pozostanie taki sam.

Wślizgnęła się do balii i zanurzyła głowę W wodzie. Wynurzyła się z uśmiechem, a jej skóra nabrała jaśniejszego odcienia. Położyła się W tej wannie i pozwoliła, by woda wokół niej uspokoiła się i wygładziła, odbijając kolory nieba.

- Chodź, usiądź przy mnie - poleciła, więc usiadłem na płaskim kamieniu na pagórku tuż nad nią. Miałem piękny widok. Gdy się wykąpała, kazała mi wejść do balii. Ze śmiałością właścicielki patrzyła, jak się rozbieram, a potem zwinnymi palcami wyszorowała mi plecy. Zanurzyłem głowę w wodzie. Czulem jej dynie ciszę i dłonie Sophii. Wszystkie te chwile były jak perły na sznurku - jedna ładniejsza i doskonalsza od drugiej.

- Chciałbym, żebyś była tu ze mną.

Popatrzyła na mnie długo i uważnie.

- Jest wiele rzeczy, których ja bym chciała.

- Pewnego dnia wykąpiemy się razem - oznajmiłem jej z westchnieniem zadowolenia.

- Naprawdę? i

- Tak. Pewnego dnia będziesz wolna. Wtedy cię znajdę i będziemy równie szczęśliwi jak teraz.

Miała łzy W oczach i mydliny na palcach. "

- Jak to możliwe?

- To może zająć dużo czasu, więcej, niż myślisz, ale pewnego?: dnia będzie tak, jak powiedziałem.

- Obiecuj esz? .

Spojrzałem na nią i podjąłem następną brzemiennej W skut-If, ki decyzję.

- Obiecuję. ;

Gdy byłem już czysty, Sophia wyprała nasze odzienie i rozwie# „A siła je, Żeby wyschło. Nie pozostało nam nic innego, jak przytu- lić się pod kocami, przywrzeć do siebie nagimi ciałami i duszami, - a potem czekać, aż Wzездzie słońce i wysuszy nasze ubrania. Zjedliśmy resztę jedzenia i otrząsnąwszy się z zadumy, ruszy-

liśmy ku wiosce, W której miała rozpocząć nowe życie. - Ź, Nie ośmieliłem się jej pocałować, kiedy leżeliśmy nadzy pod kocami i płoneliśmy z pożądania. Zaczekałem, aż na horyzoncie ukaże się zarys zakurzonej wioski i dopiero wtedy zatrzymałem* f! konia i zjąłem ją z siodła. Długo tuliłem ją W objęciach. Nawet wtedy nie zamierzałem jej pocałować. Byłem zbyt oddany zachowaniu jej prawowitej niewinności. Potem zobaczyłem jednak, że pocałunek przyda jej się bardziej. i*

Ten pocałunek okazał się smutniejszy, bardziej poruszający i poważny, niż byłby kilka godzin wcześniej. Po raz ostatni delek- «i towałem się dotykiem jej ciała, czując ciężar tego, co nas czeka. Wiedziałem, czego się podejmuję. Wiedziałem, jakiej obietnicy f? będę musiał dotrzymać i jaką zapłacę za to cenę.

- Zostawiłem Sopię W maleńkiej wioseczce, gdzie domy stały na zboczach wzgórz. Oddałem ją pod opiekę starszej kobiecie, wdowie, która z radością przyjęła Sopię i nazwała ją swoją siostrzenicą. Znałem tę kobietę, bo kiedyś była moją matką. Wiedziałem, że mogę jej zaufać. Zostawiłem Sopię z pieniędzmi i z nową tożsamością, mając nadzieję, że będzie tam bezpieczna.

- Zobaczą cię jeszcze? - zapytała. - Miała zrezygnowaną minę, w jej oczach zobaczyłem łzy. Przytaknąłem szczerze i z zapalem, choć nie do końca miałem na myśli to samo co ona. -

Wrócisz tu kiedyś?

- Obiecuję.

Wjeżdżając mniej więcej tydzień później do Pergamonu, wiedziałem, że ryzykuję, ale nie chciałem dać za wygraną. Nie mógłbym uciec. Nie chciałem zostać inną osobą. Na to miałem wystarczająco czasu. Obiecałem matce, że wrócę, i wróciłem. Odnalazłem braci. Ulokowałem ich razem z nią w małym domku. Dałem im pieniądze i kilka przedmiotów łatwych do ukrycia i trudnych do skradzenia. Patrząc na to z perspektywy czasu, widzę, że robiąc to wszystko, przeczuwałem koniec.

Nie mogę powiedzieć, że gdy trzeciej nocy opuściłem dom matki, zaskoczyła mnie zasadzka przygotowana przez brata. Patrząc wstecz, czuję, że zdziwiłbym się, gdyby nie ruszył za mną ciemną uliczką. Wydarzenia potoczyły się szybko.

Byłem gotowy na konfrontację twarzą w twarz, ale mój brat okazał się na to zbyt wściekły i zbyt podły. Zaatakował od tyłu. Wbił mi nóż w plecy, a potem znowu W szyję. Skonałem w męczarniach.

Umierając, odczułem koniec tamtego życia znacznie boleśniej, niż przypuszczałem. Miałem nadzieję, że matka nigdy się nie dowie, co mnie spotkało. Myślałem, że jestem gotów na śmierć, ale nie byłem. Dopiero gdy się wykrwawiałem, zrozumiałem, co tracę.

- Traciłem Sopię, swoją rodzinę i siebie samego też. Przestała' 5 być osobą, której Sophia ufała i którą kochała.

Nigdy nie miałem aż tyle do stracenia. Nigdy więcej nie żyłem ani nie umierałem W ten sposób. Choć pragnąłem do niej Wrócić, część mnie miała nadzieję, że Wreszcie nadszedł ostateczny koniec.

I

#1

Oczywiście nie nadszedł koniec. Jak powiedziałby Winston Churchill, był to raczej koniec początku. Wróciłem do tej małej wioski niedaleko Kapadocji, by ją odnaleźć. Miałem jednak jedeęglfś naście lat. Całą drogę z Kaukazu pokonałem sam. 'Śl

Gdy ją odnalazłem, poczułem ulgę. Wdowa umarła, lecz:: Sophia była bezpieczna. Okazała się na tyle uprzejma, że zaprogś.

siła mnie do swojego małego domku, poczęstowała herbatą, chlebem i miodem. Nie zauważyłem żadnego śladu męża ani dziecka, lecz na Wszystkich ścianach i innych pionowych powierzchniach wisały urocze tkane obrazy. Wiedziałem, że to ona je zrobiła. Rozpoznałem naszą Wspólną historię W kwitnących drzewach ogrodu W Pergamonie oraz pięknego konia, araba, na którym przyjechaliśmy do tej wioski.

Usiadła naprzeciwko mnie przy małym drewnianym stoliku. W świetle świec i Wśród tych tkanin czułem się jak W środku szkatułki z klejnotami. Siedziałem przy niej, patrzyłem na nią, lecz równocześnie byłem dla niej obcy i rozpaczliwie za nią tęskniłem. Widziałem ją dawnymi oczami, oładnęły mną dawne A uczucia, ale moje dziecięce ciało nie wiedziało, co z nimi począć.

Rzadko czułem równie dezorientującą rozbieżność między pamięcią a ciałem. Nie wiem, czego chciałem od Sophii. Była tą samą osobą, a ja się zmieniłem.

Oczywiście wypytywała o mnie i widziałem, że odpowiadając, wprawiam ją W zdumienie.

- Skąd znasz mój język? - zapytała zdziwiona.

- - .ff

- Nauczyłem się podróży - odpowiedziałem, ale nie wyglądała na przekonaną.

_ Chciałem jej wyznać więcej, ale nie potrafiłem. Nikt nie mógłby tego zrozumieć. Wiedziałem o tym. Sprawiłbym, że od razu ułubiły się nieufna i nabrały do mnie dystansu, a rozpaczliwie pragnąłem dawnej bliskości.

A Oznajmiła, że powinienem u niej przenocować i wyruszyć na jutro. Rozłożyła dla mnie ten sam koc, pod którym spaliśmy razem, kiedy ja byłem starszy, a ona młodsza, i gdy była żoną mojego brata. Nawet zapach tego koca był teraz ponad moje siły.

Usiadła obok mnie na małym posłaniu i pomasaowała mi plecy z wielką czułością - prawie z taką samą, jaką zapamiętałem. Miałem jedenaście lat, byłem samotny i skrywałem stanowczo zbyt wiele wspomnień, więc płakałem W rękaw z nadzieją, że Sophia tego nie zauważy. -

Gdy podniosłem głowę W świetle poranka, zobaczyłem stary, zwinięty kawałek pergaminu przypięty do ściany. Był to rysunek przedstawiający mozaikę W baptysterium, który kiedyś dla niej liaszkiowałem. Ogród, jabłoń i oczywiście wąż.

- Kto to narysował? - zapytałem, wskazując pergamin, gdy przyniosła mi śniadanie, które musiało pochłonąć większość jej zapasów.

Nienawidzę zadawać fałszywych pytań, ale nie mogłem się powstrzymać. -

Spojrzała na rysunek i zamyśliła się.

~ Mężczyzna, którego kiedyś znałam - powiedziała, spuszcza-
jąc wzrok.

- Co się z nim stało?

Pokręciła głową i skrzywiła się. Zaciśnęła zęby, powstrzymując drżenie brody.

- Nie wiem. Obiecał, że pewnego dnia wróci, ale jestem prawie pewna, że został zabity.

Z trudem znosiłem smutek malujący się na jej twarzy.

- On wróci - zapewniłem ją ze łzami w oczach.

- Pokręciła głową. _ ?gà

- Nie wiem, czy mogę dłużej czekać.

Zrozumiałem, co zrobiłem, i poczułem wstyd. Dałem jej fałszywą nadzieję. Uwierzyła, a ja ją zawiodłem. W przeciwieństwie do mnie nie potrafiła ujrzeć pełnego obrazu sytuacji. Postąpiła samolubnie, obiecując jej coś, czego nie mogła zobaczyć. "i7

- Nie zapomni! o tobie. Znajdzie cię, ale to może potrwać dłużej, niż myślałaś.

Spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem. ' J!:

- On powiedział mi to samo. v

e .l313

PO raz ostatni pojechałem do tamtej wioski, gdy miałem dzie-
więtnaście lat. Nie mogłem się doczekać, kiedy udowodnię Sophii, ,A
kim naprawdę jestem, i pokażę, że wróciłem zgodnie z obietni-
cą. Zamierzałem być z nią do końca naszych żyć. Byłem gotowy
i uzbrojony, by walczyć ze wszystkimi jej wątpliwościami i prote-
stami. Ułożyłem sobie słowa, które miały ją przekonać, że dzielą-
ca nas różnica wieku nie ma znaczenia. Ćwiczyłem te rozmowy
przez wiele lat i kilometrów, marząc o późniejszej miłości.

Gdy jednak dotarłem do wioski, zobaczyłem, że skaliste wzgó-
rze gdzieś poczerniało od sadzy, a na miejscu małego
domku stoi nowy, bardziej okazały. Większość wsi była odno-
wiona i zmieniła się nie do poznania. W końcu znalazłem kapła-
na w kamiennym kościółku będącym jedną z nielicznych znajo-
mych budowli.

- Mielśmy tu okropny pożar - wyjaśnił mi.

Z trudem słuchałem opowieści o tym, jak stracili większość
domów i prawie połowę mieszkańców. .Ejj

- Co stało się z Sophią?

Pokręcił głową. Ć

Poszedłem na miejsce, gdzie kiedyś był jej dom, i zastałem tam
nowych mieszkańców.

- - Czy cokolwiek ocalało z pożaru? - zapytałem zrozpaczony.

Nie ocalało nic. Pozbawiony celu, ruszyłem na pustynię, wra-
cając tą samą drogą, którą przebyliśmy razem z Pergamonem, tyle
J że pieszo i W samotności. Idąc, czułem przytłaczający ciężar swo-
, je) pamięci. Sophia odeszła, a wraz z nią odeszło wszystko, cze-
i go dotykała. lej tkaniny, koc, moje rysunki. To wszystko zginęło
i bez śladu. Ode mnie zależało, czy będę to niósł dalej, czy pozwo-
o lę, by odeszło na zawsze.

Arlington, Wirginia, 2006

Daniel był zmęczony. Zbyt zmęczony, by zdjąć lekarski fartuch; przed padnięciem na łóżko. Właśnie skończył trzydniowy dyżur, podczas którego spał W sumie czterdzieści minut, siedząc na krze-
dę z głową opartą o stół, gdy tuż obok, W nastawionym na cały rej-
v gulator telewizorze leciało The Newlywed Game. Istniały przepisy
regulujące czas pracy rezydentów, lecz szpital stanowił nie zwraca-
cał na nie zbyt wielkiej uwagi.

Nigdy na to nie narzekał. Wolał być W szpitalu niż W domu.,
g Lubił starszych ludzi i weteranów, a ponieważ specjalizował się
W geriatry, to właśnie z nimi spędzał najwięcej czasu.

Obecnie jego domem było mieszkanie z jedną sypialnią z Wi- ;
dkiem na parking w Arlington w Wirginii. Daniel zawsze my-
ślał, że kupi sobie prawdziwy dom W jakimś pięknym miejscu/ę
Bóg wiedział, że ma na to pieniądze. Zawsze mieszkał jednak
W paskudnych, tymczasowych miejscach z czynszem płaconym? co
miesiąc. W tym miał nawet piekarnik, ale jeszcze nie zdążył go
włączyć. Były tam również trzy szafy, lecz dwie nadal stały puste;
Daniel kupił duży telewizor plazmowy i pakiet telewizji kablowej,
który umożliwił oglądanie wszystkich meczów piłki nożnej, bejs-
bolu, koszykówki i hokeja 0 każdej porze dnia. Mógł też oglądać
Inne dyscypliny sportu, ale te go nie interesowały. Z wyjątkiem
tenisa w środku nocy, kiedy trwało Australian Open.

Tym razem w ogóle podarował sobie college. Podobnie jak
dwa pierwsze lata akademii medycznej. Sfałszował świadectwa

z obydwu, kiedy na trzecim roku „przeniósł się” na Washington University. Było to mniej więcej miesiąc po tym, jak bezskutecznie usiłował utopić się w rzece Appomattox. Pragnął czegoś więcej. Miał zbyt wiele do stracenia, by dobrze popełnić samobójstwo.

Uniwersytet przyjął go z radością. To niezwykle, że taki numer może przejść, jeśli ma się wystarczający tupet. Nie zrobiłby tego, gdyby nie był pewien swoich umiejętności.

Ukończył kilka collegéów i uniwersytetów W Stanach i W Europie. Co najmniej raz przechodził szkolenie medyczne - a jeśli liczyć wszystko, czego nauczył się o ziołach i medycynie ludowej w średniowieczu i renesansie, dziesiątki razy. Ta wiedza okazała się bardzo pomocna. Zabawne, że dawne praktyki zawsze W końcu powracają. ›

Na tym polega rytm ludzkiej przedsiębiorczości: wynajdywano i czczono jakieś nowe podejście, następne pokolenie zdecydowanie je odrzucało, a parę pokoleń później znów zdawano sobie sprawę, że jest ono potrzebne, i wtedy odkrywano je na nowo, zazwyczaj pozbawiając jednak wcześniejszej elegancji. Naukowcy nie znosili czerpać czegokolwiek z przeszłości.

Daniela zawsze to zdumiewało: to ślepe oddanie tworzeniu nowych rzeczy. Ludzie najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że stoją na cieniutkiej krawędzi historii człowieka i że każda osoba przed nimi stała na tej samej krawędzi, myśląc, że to cały świat.

Gdyby się odwrócili, ujrzeliby za sobą wspaniały pejzaż '- ale przeważnie się nie odwracali.

Zarządca budynku przykleił do drzwi jego mieszkania plakat zachęcający do recyklingu i Danielowi zachciało się śmiać. Co jakiś czas wybuchał recyklingowy entuzjazm, który jednak zaledwie zwyczajnie nie docierał do serc ani umysłów. Ograniczał się do opo albo butelek. Daniel też był zwolennikiem recyklingu. Co by stało, gdyby ludzie odkryli, że sami też podlegają recyklingowi@ Czy to cokolwiek by zmieniło? '

Czasami żałował, że nie może powiedzieć ludziom o kilku podstawowych sprawach. Może pewnego dnia napisze porad-avs, nik. Uczylby w nim o recyklingu i zwracał uwagę na praktycz- h ne rzeczy, na przykład na to, że każda chwila poświęcona na za- *jf martwienie się katastrofami samolotów albo atakami rekinów chwila stracona.

Daniel nigdy nie mógł zasnąć, kiedy tego chciał. Nieważne, jak bardzo był zmęczony. Jego umysł zaczynał płynąć w jakimś kierunku. Zazwyczaj ku Charlottesville w Wirginii, gdzie Sophia wiodła - miał nadzieję - spokojne życie, które z pewnością przestałoby być spokojne, gdyby zjawiał się na korytarzu jej akademika, o czym czasami fantazjował.

Wiedział, że pewnego dnia znowu się z nią spotka. Często Ł marzył o tej chwili. Pewnego dnia będzie wiedział, co zrobić, żeby zrehabilitować się za poprzednią rozmowę. Pewnego dnia zadzwoni do niej, by zadać jakieś szybkie pytanie, wyśle do niej 3.5. dowcipnego maila albo jak gdyby nigdy nic wsunie w jej drzwi karteczkę z wiadomością, a ona nie poczuje przerażenia, bo wtedy katastrofa ich ostatniego spotkania będzie już tylko zdarzeniem z bardzo dalekiej przeszłości. Uczepił się tego „pewnego dnia”, bo (było go znacznie trudniej zniszczyć niż „dzisiaj”.

Jeśli tej nocy w ogóle miał zasnąć, sen musiał go wziąć z zaskoczenia. Stąd wielki telewizor i kablówka.

Przeniósł się na kanapę uzbrojony w wiernego pilota. Lakersi z " grali play-off ze Spursami. Nie był to decydujący mecz, ale i tak dobre widowisko. Odprężył się i uznał, że Kobe Bryant i kolejny ~"

(Jdcinek jego popisów na boisku to dobry wybór. Zastanowił się nad historią Bryanta. Koszykarz nie miał nowiusieńkiej duszy, lecz była całkiem młoda, Daniel to czuł. Takie dusze często zostają najlepszymi sportowcami. Istnieją wystarczająco długo, W by dostrzec schematy, ale nie aż tak długo, by poczuć ich przytłaczający ciężar. Oczywiście są wyjątki. Shaq jest zupełnie nowy, a Tim Duncan - Daniel był tego W zasadzie pewien - żył <d wieków. >

Pod koniec trzeciej kwarty, podczas długiego bloku reklam samochodów i ciężarówek, zaczął przysypiać. Kiedy na ekranie W znów ukazało się boisko, podniósł ciężką głowę i zrobił głośniej. Kamera na kilka sekund służalczo zawisła nad ważnymi osobistościami siedzącymi W pierwszym rzędzie. To było W porządku. Tak A .się robi. Powieki Daniela znowu zaczęły opadać, lecz nagle coś za-uważył. Wyprostował się. Zamrugnął, żeby lepiej widzieć, i pochylił się. W nogach i rękach poczuł paskudne mrowienie.

W drugim rzędzie, tuż za grubymi rybami, siedział jakiś człowiek. Był wysoki, miał szpanerską marynarkę i staranną fryzurę g i mógłby uchodzić za przystojnego, ale na jego widok Daniel po-Ł, czuł ucisk W żołądku. Męczyzna ciało nosił sztywno, jakby było drogim garniturem. Kamera pokazywała go teraz z profilu, rozmawiał z kimś. Zerknął W obiektyw tylko na sekundę, ale to wystarczyło. Daniel dostał kopa z adrenaliny, która tak mocno uderzyła W jego krew, że poczuł się tak, jakby oczy zaczęły mu wibrować W głowie.

Nigdy wcześniej nie widział tego człowieka, ale dobrze go znał.

X'

Później jego ciało się uspokoiło. Poruszenie związane z pierwszym widokiem ustąpiło miejsca niewyraźnym mdłościom towarzyszącym próbie przyswojenia tego obrazu. Nie chodziło jedynie o ujście loaquima ani o przypomnienie sobie bolesnej historii. Chodziło o to, że Joaquim też ją pamiętał.

PO setkach lat niezmaconego sam na sam ze swoją pamięcią, Daniel poczuł się dziwnie W pobliżu innego człowieka wiedzący} tego o świecie to samo co on i pamiętającego nawet niektóre je-Li} go wczesne życia. Gdyby to była jakakolwiek inna dusza, czułby się pokrzepiony. ` v

Daniel pomyślał o ostatnim razie, kiedy widział Joaquima -- tylko przez chwilę na wiejskim placu na Węgrzech W XIV Wieku. Wtedy już wiedział, że Joaquim też posiada Pamięć, i miał się przed_ nim na baczności, ale dawny brat W żaden sposób nie j:: pokazał, że również go rozpoznaje. Daniel ciągle się obawiał, że Joaquim zjawi się gdzieś bliżej - jako jego wuj, ojciec, nauczyciel, syn albo znowu jako brat - tak jak bywa W wypadku osób, 'à które odgrywają W naszym życiu ważną rolę. W przeciwieństwie do większości jego obaw, ta jednak się nie spełniła. Na początk- 'f ku sądził, że dawna mizantropia brata długo trzymała go W stanie śmierci. Jeśli jakakolwiek dusza zasługiwała na śmierć W samotności - W Wielkiej samotności - to właśnie dusza Joaquima. Ł

W pogodniejszych chwilach wyobrażał sobie, jak Joaquim błąka się po całym świecie, pojawiając się to W Dżakarcie, to znów W Jakucku. ,i

Znacznie później Daniel dowiedział się, że Joaquim zaczął na- 'Ei ginać zasady odchodzenia i powracania. To odkrycie go zmroziło. Daniel nie wiedział, jak Joaquim to robi. Dowiedział się o tym od pewnej mistycznej duszy, od swojego starego (naprawdę starego) przyjaciela Bena, choć nigdy nie pojął, w jaki sposób Ben to okrył. Zrozumiał jednak, że Joaquim nie chce beczynnienie czekać na swoją kolej ani zaczynać od początku jako bezradne niemowlę. Że nie może znieść powtarzającej się bez końca niemocy

dzieciństwa. Nastawił się na zemstę i w pogoni za wrogami nie pozostawiał niczego przypadkowi - choć pewnie gdyby pozostał; a wił, znalazłby ich szybciej.

Ponowne ujrzenie Joaquina po tak długim czasie wzbudziło w Danielu gorycz. Wcześniej kusiło go, by myśleć, że nastąpił koniec duszy Joaquina, ale oczywiście było inaczej. Joaquim lmsił w sobie zbyt dużo nienawiści, by mógł zniknąć na dobre. Daniel przypuszczał, że jego dawny brat używa Pamięci wyłącznie po to, by przez wieki dokonywać swoich zemst. Kto wie, ilu , jeszcze nie dokonał. i

7 Okropnie było go zobaczyć' W ciele, na które nie zasługuje. Daniel z obrzydzeniem myślał o tym, jak Joaquim tego dokonał I co się stało z człowiekiem, któremu to ciało się należało. Daniel nie mógł się dowiedzieć, co knuje jego dawny brat. Miał jednak przynębiające poczucie, że to coś jest dla niego niebezpieczne - a jeśli Joaquim kiedykolwiek znajdzie Sophię, będzie niebezpieczne także dla niej.

U wybrzeży Krety, 899

Na początku X wieku byłem wiosłarzem i żeglowałem pod i banderą dożów na pokładzie statku należącego do weneckiej floty. Urodziłem się na wsi na wschód od Rawenny i jak wielu g chłopców w tamtej części świata marzyłem o morzu. Wenecjanie byli najwspanialszymi żeglarzami na świecie - a przynajmniej ~ tak myśleliśmy i mieliśmy ku temu dobre powody. Do pierw- i szej załogi dołączyłem jako piętnastolatek, a potem przez dwa- dziesiątka jeden lat pływałem na okrętach wojennych i statkach ' kupieckich, aż w końcu utonąłem podczas sztormu u wybrze- ' ży Gibraltaru.

My, żeglarze, spodziewaliśmy się śmierci na morzu i W zasa- dzie na nią liczyliśmy, więc była to tylko kwestia czasu. Miałem dobre, długie życie i śmierć też nie była zła W porównaniu z wie- loma innymi. Utonąłem tylko dwa razy, i szczerze mówiąc, za i drugim razem, gdy nie miało to już posmaku nowości, powita- łem śmierć Właściwie bez żalu.

Początkowo szlaki wodne wiodły nas przede wszystkim do Grecji i Azji Mniejszej, na Sycylię i Kretę, a czasami do Hiszpanii I na północne wybrzeże Afryki. Były to wówczas wspaniałe miej- sca, zwłaszcza gdy podchodziło się do nich od strony morza. Iak już mówiłem, staram się ograniczać nostalgię do minimum, ale 7. wpływem wieków brutalność tamtego życia zaciera się w pamię- ci i pozostają mi jedynie miłe wspomnienia, na przykład wpływa- nie do Canal Grande o zmierzchu.

Chcę wam opowiedzieć o dość zwyczajnym rejsie do kreteń- skiego portu Iraklion (albo Kandia, jak nazywaliśmy go wówczas my, Wenecjanie). To było na początku mojej kariery. Byłem jesz- cze młody i stałem nisko W żeglarskiej hierarchii, więc męczono mnie długą pracą przy wiosłach i większą liczbą nocnych wacht, niż mi się należało.

Rejs po rejsie widywało się te same osoby, lecz zawsze zda- rzało się parę nowych. W tym wypadku był to żeglarz jeszcze młodszy ode mnie, prawdopodobnie piętnastoletni, podczas gdy ja miałem już lat osiemnaście. Zwróciłem na niego uwagę nie ze względu na to, co mówił albo robił, lecz raczej dlatego, że nie mó- wił i nie robił nic. Trzymał buzię zamkniętą i wytrwale wykony- wał swoje obowiązki, obserwując otoczenie i zwracając uwagę na wszystko, co się dzieje. Nie okazywał znudzenia, nie ironizował, nie pyskował i nigdy się nie przechwalał - a były to podstawo- we cechy przeciętnego żeglarza. Miał ogromne, inteligentne oczy,

dziwnie dojrzałe na niewinnej twarzy. Nazywał się Benedetto, ale wszyscy mówili do niego Ben albo Benno, wykrzykując rozkazy albo drwiąc z niego - a w zasadzie tylko w takich wypadkach się do niego zwracano.

Podczas kilku pierwszych zmian nie odezwaliśmy się do siebie słowem. Czułem jednak na sobie jego ciężki wzrok, kiedy rozmawiałem z innymi członkami załogi. Wiedziałem, że słucha z uwagą. Mniej więcej na czwartej - piątej zmianie był moim jedynym towarzyszem na dziobie. Walcząc z sennością, zacząłem rozmowę.

- Jesteś Włochem, prawda? - zapytałem we włoskim dialekcie, którego używaliśmy na statku.

Spojrzał na mnie i dopiero po chwili przyznał: -

- Tak. Urodziłem się na południe od Neapolu.

- Dobra ziemia dla winorośli - odezwałem się bez związków "Nigdy nie potrafiłem gawędzić i nigdy nie byłem w Neapolu, ale chłopak wydawał się małomówny i skrępowany. Jak bardzo się myliłem!

- Ty też jesteś Włochem - dodał po długim milczeniu. W

- Z Rawenny - oznajmiłem z pewną dumą.

- A przedtem? i

- Przedtem?

- Skąd pochodziłeś przedtem?

Pytanie było dziwne i pomyślałem, że chłopak prawdopodobnie nie przypuszcza, że nie jestem z samej Rawenny. Chyba status? społeczny był dla mnie wówczas ważniejszy niż teraz.

- Urodziłem się piętnaście kilometrów na wschód od miasta

- poinformowałem go nieco urażony.

Pokiwał głową. W jego zachowaniu nie było niczego naglącego a-ni wyzywającego. i

- Ale zanim urodziłeś się piętnaście kilometrów na wschód od :... Rawenny, skąd pochodziłeś?

Zaniemówiłem. Nadal pamiętam, jak myśli przemykały mi wtedy w głowie. Wcześniej żyłem już wiele razy. Wiedziałem, jak i ki jestem dziwny, a nawet wynaturzony. Tak wielka część mojego głębszego życia toczyła się w dalekim zakątku mojego umysłu, że nigdy nie przyszło mi do głowy, iż ktoś inny mógłby się do niego zbliżyć. Zastanawiałem się, czy to możliwe, że Ben jest taki jak ja. Czy on też ma Pamięć? Tak bardzo przywykłem do ukrywania tych rzeczy, że gdy otworzyłem usta, nie potrafiłem wydo- 5', być z nich słów. 'i

Ben ciekawie mi się przyglądał. `

` - Z Konstantynopola? Wiem, że spędziłeś jakiś czas w tym regionie. A może to było wcześniej? Może poprzednio pochodziłeś z Grecji? 3A

Analizowałem jego słowa na różne sposoby. Czy można by je zwyczajnie zinterpretować? ,i

- - Nie pływałem do Konstantynopola... z tą flotą - powiedziałem wolno.

- Nie chodzi mi o ciebie teraz, ale wcześniej. Ja na przykład przed Neapolem urodziłem się w Ilirii, a wcześniej w Libanie.

Poczułem, że brakuje mi tchu. Zastanawiałem się, czy śnię, n nawet czy nadal żyję. Żeglarze uwielbiali opowiadać o zakłętych miejscach na morzu, w których zdrowy człowiek traci zmysły. Nagle wystraszyłem się, że ktoś chce ze mnie zakpić. 'i

- Nie wiem, o co ci chodzi. Mój głos był tak napięty, że ledwie go poznałem.

Ben miał najszczerzą twarz na świecie.

- Pewnie tak. Spotkałem tylko kilku takich jak ty... Jak ja...

Bardzo niewiele. Wiele razy wracałem na tę ziemię. Możliwe, że się pomyliłem, ale raczej nie.

- Takich jak ty? - zapytałem ostrożnie.
- Czyli takich, którzy pamiętają. Wiem, ludzka pamięć rzadko sięga dalej niż do chwili narodzin. U jednych rozciąga się tylko na parę żyć, a inni pamiętają jedynie urywki. Ale podejrzewam, że twoja sięga głębiej.
- Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy jesteśmy sami. Popatrzyłem na księżyc i gwiazdy, upewniając się co do łączącej mnie z nimi więzi.
- To prawda, sięga głębiej - potwierdziłem.
- Pokiwał głową. W jego oczach nie było widać zwycięskiego błysku. Nigdy nie wątpił, że ma rację.
- Obejmuje pół tysiąclecia. A może więcej?
- Mniej więcej tyle.
- Gdzie zacząłeś?
- Po raz pierwszy urodziłem się niedaleko Antiochii.
- To by się zgadzało - powiedział, patrząc nad moją głową na wschód, gdzie słońce właśnie zaczynało wynurzać się z oceanu.
- Jak to?
- Potrząsnął głową, odganiając jakąś myśl, a potem skupił wzrok na mnie.
- Już prawie ranek.
- Miał na myśli to, że lada chwila zjawią się nasi zmiennicy. Jego twarz wyrażała współczucie. Widział, że zakończenie tej rozmowy jest dla mnie większą torturą niż jej rozpoczęcie.
- Skąd wiedziałeś? - zapytałem. - O mnie. A
- W zasadzie nie potrafię tego wyjaśnić. ~ jego spojrzenie było równie szczere jak wcześniej. Nie unikał odpowiedzi. - Po prostu... wiedziałem. i v
- I tak poznałem nadzwyczajne zdolności Bena oraz swoją niemożność zdobycia podobnych. ~ jk

*

Ben jest bardzo stary. Nie wiem, jak bardzo. Czasami myślę, że przypomina Wisznu, który przechowuje całą historię ludzkiego doświadczenia, ale nie jestem pewien, czy nawet on wie, kiedy rozpoczęła się jego droga. Kiedyś mi wyznał, że jego pierwsze wspomnienie to chłopot wód Eufratu, ale w takich wspomnieniach większą rolę odgrywają dla niego wrażenia niż fakty. Jeśli rzeczywiście przechowuje naszą historię, obawiam się, że została ona powierzona poecie, a nie historykowi. ,

- W ostatecznym rozrachunku wszystko jest metaforą, prawda? - rzekł do mnie kiedyś swoim tęsknym głosem.
- Jesteś pewny? - zapytałem złakniony faktów. *

Ben jest taki stary, że jego pamięć działa inaczej niż pamięć innych ludzi. Nawet moja. Później został wielkim fanem Lewisa Carrolla (poza tym uwielbia Upaniszady, Arystofanesa, Chaucera, Szekspira, Tagorego, VWntmana, Borgesa, E.B. White'a i Stephena Kinga, by wymienić tylko kilku). Pewnego razu, kiedy dręczyłem go pytaniami o to, skąd może wiedzieć o czymś, o czym w żaden sposób nie mógł się dowiedzieć, zacytował słowa Carrolla: „To i masz kiepską pamięć, jeżeli działa tylko wstecz”.

* L. Carroll, *Alicja po drugiej stronie lustra*, tłum. R. Stiller, Warszawa 1986, s. 158, N (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

- Kiedyś wyznał mi, że jego zdaniem na początku nosił imię Debora, ale najwidoczniej nie był tego pewien. Zapytałem, czy chciałby, żebym go tak nazywał, bo wiedziałem, jak ważne stało się dla mnie moje własne imię, ale powiedział, że nie, że nie jest już Deborą.

Odbyliśmy razem trzy rejsy, jeden po drugim, i mieliśmy okazję porozmawiać o wielu sprawach. Trzeci i ostatni rejs zawiódł nas do Aleksandrii, co skłoniło Bena do mnóstwa zabawnych uwag o Iuliuszu Cezarze, Marku Antoniuszu i Kleopatrze, także

O Ptolemeuszu, czyli jej nieznośnym młodszym bracie, który był też jej mężem. Odkryłem, że nie ma sensu próbować zrozumieć mechanizmów przeszłości ani pamięci Bena W sposób dosłowny. Bezpośrednie pytanie nigdy nie prowadziło do bezpośredniej odpowiedzi (słowa „Mów całą Prawdę - lecz stopniowo” stały się później jednym z jego ulubionych cytatów z Emily Dickinson). Słuchanie go było jednak uczłą złożoną z dziwnych i fascynujących informacji.

Był najpogodniejszym ze wszystkich znanych mi żeglarzy, najbardziej oddanym swej niewdzięcznej pracy. Nigdy nie widziałem człowieka bardziej pochłoniętego wiązaniem węzła. Chyba najgorszą rzeczą, jaka spotkała mnie na morzu, była wieść, że dwóch pijanych Włóczników w ciemnym zakątku niedaleko Santorini sprąło Bena na kwaśne jabłko. Ben nigdy nie miał temperamentu żeglarza.

Po tamtym trzecim rejsie zniknął i zanim znów go spotkałem, minęło kilkaset lat. Wcześniej odbyła się jednak rozmowa, która wyjątkowo dobrze zapadła mi W pamięć.

Pewnej spokojnej nocy, mniej więcej sto lig morskich” od wybrzeża Krety, zacząłem opowiadać Benowi o Sophii. A gdy już zacząłem, niewiele zachowałem dla siebie. Najpierw podzieliłem się z nim pamiętnym początkiem i opowiedziałem o naszych
* *E. Dickinson, 100 wierszy, tłum. S. Barańczak, Kraków 1990, s. 111.*
** 1 liga morska = 5556 metrów.

późniejszych spotkaniach. Nie potrafię opisać, jak Wspaniale i czułem, będąc z kimś takim samym jak ja, i jak mało mówił: o sobie innym ludziom. Przeskakiwałem W przód i W tył tej dł giej historii, nie musząc niczego wyjaśniać ani za nic przeproszać. Czułem się jak pianista, który był zmuszony grać tylko ,a VL* kilku białych klawiszach pośrodku, lecz wreszcie może dotyk@ całej klawiatury. z i

Zakończyłem swoją opowieść relacją z naszego ostatniego spotkania, kiedy jako dziecko odwiedziłem Sophię W małym domku na zboczku Wzgórza W środkowej Anatolii, lecz uwagę Bena bardziej przykuła część o moim bracie Ioachimie. Ciągle prosiła żebym opowiedział ją jeszcze raz.

Znudziło mnie to. Pragnąłem mówić o Sophii, a nie o bracieśsi Ben chciał jednak usłyszeć każdy szczegół tej historii, poczynając od zatargu W moim pierwszym życiu, a potem wypytywał o najal: drobniejsze aspekty mojej śmierci od noża przeszło dwieście lat; później. Zamknął oczy, jakby to wszystko Widział. i

- Na szczęście to już przeszłość - orzekłem w końcu. - Nie mafii powodu, żebym jeszcze kiedykolwiek musiał o nim myśleć. i Dla takich ludzi jak my życie jest długie. Wystarczająco długie, by złagodzić tragedie. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. .

Ben siedział pochylony, opierając czoło na dłoniach. Dziwnie się kołysał, nie wiedziałem dlaczego. Zdążyłem się już przekonać, że jest niezwykle empatyczny, ale to była lekka przesada.

- Ben, nie jest tak źle. To tylko jedno z wielu żyć. - Byłem gotów przejść do następnego tematu. - Istniejemy dalej. Wybaczymy zapomina. A przynajmniej ja wybaczam, a on za- i pomina. i

W końcu Ben podniósł głowę. Spojrzał na mnie uważnie, Przywykłem do tego jego spojrzenia, ale tym razem przystąpiło j* je coś, czego nigdy wcześniej nie Widziałem.

- Myślisz, że on zapomina?

- O czym ty mówisz? 'T

- Ufam, że ty wybaczasz, ale czy jesteś pewien, że on zapomina?

- J - Jestem pewny, że już dawno nie żyje - powiedziałem szybko.
- ko. - Umarł co najmniej sto lat temu. Jak dotąd nie natknąłem się na niego w nowym życiu, ale jestem pewien, że w przyszłości spotka mnie ta wątpliwa przyjemność. - Miałem nadzieję, że może je beztrudnie nastawienie zetrze tę ponurą minę z twarzy Bena, L ale nie starło. Zaczynałem czuć niepokój. - O czym ty mówisz?
- powtórzyłem.

L - Jesteś pewien, że on zapomina?

a - Wszyscy zapominają - zapewniłem prawie bojowo.

q - Nie wszyscy.

- Ja i ty nie, ale inni tak. - Wpatrywałem się w Bena, rozpaczliwie wyczekując powrotu jego pogodnego spojrzenia, ale na próżno. - Wiesz o czymś? - Byłem coraz bardziej zniecierpliwiony, [sfrustrowany. - Jeśli tak, to mów.

ę - Nie wiem, ale przypuszczam - odpowiedział powoli. - Myślę o nim i nie wydaje mi się, żeby on wybaczał albo zapominał.

- Dlaczego? Joaquim niczym się nie zdradził. Żył jak człowiek, j. bez żadnej przeszłości - przekonywałem. - Taka Pamięć jak nawsza to rzadkość, prawda? W ciągu niespełna pięciuset lat spotkałem tylko jednego człowieka, który ją ma: ciebie. A ty, mimo że w ogóle go nie znasz, myślisz, że Joaquim też pamięta?

Chyba chciałem, żeby Ben się na mnie zezłościł, ale on był spokojny. Chciałem, żeby się ze mną pokłócił, ale tego nie zrobił.

- Myślisz, że ktokolwiek wie o twojej Pamięci? - zapytał. -

Myślisz, że twój brat wie?

Stałem i czułem rosnące przerażenie. Joaquim uczestniczył w katastrofalnych w skutkach wydarzeniach mojego pierwszego życia. Skoro ja mogłem wrócić pamięcią do tamtych czasów, dlaczego on miałby nie móc? Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie mogłem się spierać z Benem. Nie chciałem myśleć o tym, co mogłoby to oznaczać dla mnie i dla Sophii, gdziekolwiek wówczas była.

- Mam nadzieję, że się mylę - oznajmił Ben, patrząc na ze współczuciem - ale wydaje mi się, że on pamięta. W; W późniejszych latach często miałem nadzieję, że jednak się pomylił. Niestety, o ile mi wiadomo, Ben nie myli się nigdy.

- *

Gdy myślę o latach spędzonych na morzu, zawsze wspomina psa z Wenecji, który wabił się Nestor. Było to bezpieczne zwierzę; kundel. Dokarmiłem go między rejsami. Mądry pies. Zawsze wie: tał mój statek i mnie, bez względu na to, jak długo mnie nie. Pewnego razu wzięliśmy go na pokład, żeby zjadał szczury podczas wyprawy do paruzaszczurzonych portów w Hiszpanii, i spi-Vi sał się doskonale. Naprawdę go kochałem.

Musiał dożyć niezwyklego wieku, bo gdy po śmierci naroeałxif; dziłem się ponownie w tym samym mieście i jako sześć- albo Siedmiolatek poszedłem do doków poszukać dawnych przyjaciół znalazłem właśnie jego. Był stary i artretyczny, ale wiedziałem, że, to on. Co zdumiewające, on też mnie rozpoznał. Jestem tego pewien. Obwąchał mnie. Tak mocno machał ogonem, że o mało mu i: nie odpadł. Lizał mnie, bawił się ze mną i prosił o smakołyki tak samo jak kiedyś. Było to jedno z najwspanialszych doświadczeń?) mojego długiego życia. Czułem się jak mały Odyseusz, którego ktoś w końcu rozpoznał.

Czasami żałuję, że psy nie żyją tak długo jak ludzie. Myślę, że wówczas moje życie byłoby znacznie mniej samotne. Nestor wkrótce jednak zdechł. Dorastając w tym mieście, często przychodziłem do doków w nadziei, że zobaczę go w innym ciele jako nowego, młodego psa. Nigdy jednak nie udało mi się go rozpoznać. Teraz już, jj wiem, że psy, tak jak większość zwierząt, nie mają odrębnych dusz.

Mają duszę zbiorową, jeśli można to tak nazwać. Pszczoły mrówki dobrze ilustrują to zjawisko. Noszą W sobie gatunkową mądrość, co jest przywilejem, którego nam nie dano. Przez to rozpoznawanie ich w kolejnych Życiach staje się jednak prawie niemożliwe. Czasami myślę - i lung prawdopodobnie by się z tym zgodził - że wczesna wersja człowieka, na przykład australopitek A albo neandertalczyk, też miała coś W rodzaju zbiorowej duszy. Uważam, że prawdziwy awans człowieka - moment, W którym nieodwracalnie odłączył się od małp i podobnych im stworzeń ~ nastąpił Wraz z narodzinami pierwszej odrębnej duszy. A to doprowadziło do wielu nieszczęść.

Charlottesville, Wirginia, 2006

Nie miał żadnego konkretnego planu, ale i tak jechał. Bał się spotkania z nią. Żył nadzieją, że ją spotka. Nadzieja jest czymś, czego się wyczekuje, a strach czymś, czego się unika - u niego często zacierają się granice między jednym i drugim.

Odkąd zobaczył Joaquina W telewizji, bezustannie myślał ;A o Sophii. Jasne, zawsze o niej myślał, ale teraz skupiał się na jej bezpieczeństwie. Przez dwa ostatnie lata śledził jej losy z daleka, I doskonale wiedział, gdzie przebywa, ale odwlekał ponowne spotkanie, bojąc się, że zbliży się do niej za bardzo i spowoduje jeszcze większe szkody. Teraz musiał zobaczyć na własne oczy, że nic jej nie jest. Jedną z jego najgorszych obaw było to, że Joaquim w jakiś sposób ją znajdzie i skrzywdzi. Poza tym bał się tego, że Joaquimowi uda się znaleźć jego, Daniela, który bezwiednie go do niej zaprowa- A dzi. Daniel był rozdarty między tymi dwoma uczuciami: pragnieniem chronienia jej (oraz oczywiście bycia przy niej) i strachem, że jego obecność narazi ją na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Wyglądało na to, że okrucieństwo Joaquina pociąga za sobą kilka ograniczeń. Joaquim posiadał odmianę Pamięci idącą W parze z bardzo długim chowaniem urazy, ale nie potrafił rozpoznać dusz, które zamieszkały W innym ciele. Ben nazwał to „brakiem umiejętności zagłębienia w głąb ludzi”. Okrucieństwo dawało jednak Joaquimowi przewagę cielesną - mógł na przykład kraść innym ciała ~ i Daniel miał niepokojące poczucie, że z czasem jego dawny brat zdobywa coraz więcej takich atutów.

. Daniel zaparkował niedaleko szpitala i ogarnięty podziwem poszedł po trawniku w kierunku rotundy. Miejsce było stare jak na standardy tego kraju i nosiło znamiona misternego planu. Żałował, że nie żył w Nowym Świecie w epoce Thomasa Jeffersona. To był jeden z jego ulubionych okresów W historii, ale I w tamtym czasie wiódł dziwne, krótkie życie w Danii. Większość jego wcieleń sugerowała jakąś nadrzędną spójność i wyczuwało się w nich wyraźny wpływ jego woli, ale raz na jakiś czas lądował w takim miejscu jak Dania, pośród obcych.

Uważnie czytał i studiował dzieła Jeffersona. Raz miał nawet wrażenie, że go poznał - W 1961 roku podczas Rajdu Wolności do Oksfordu w stanie Missisipi. Daniel kupił od niego mrożoną herbatę i torbę brzoskwiń na ulicznym straganie. Mężczyzna „przedstawił się imieniem Noah. Był stary i zmęczony, powiedział Danielowi, że uprawia tę samą ziemię, na której jego dziadek pracował jako niewolnik i którą dzierżawił jego ojciec. Daniel nie był pewien, czy to rzeczywiście Jefferson, bo nigdy nie widział tego wielkiego polityka osobiście. Znał go jedynie z rysunków i portretów, na których nie można było całkowicie polegać podczas identyfikowania duszy, choć i tak były znacznie lepsze niż zdjęcia. Daniel poczuł to jednak mocno i intuicyjnie. Noah miał w oczach wciąż dostrzegalny ślad Jeffersona.

Dusza starca była już wtedy zmęczona. Daniel domyślił się, że

to ostatnie z jej żyć, ostatni zakręt na drodze tego niezwykłego istnienia. Wydało mu się sensowne, że jako kochanek Sally Hemings i postępowy właściciel niewolników, przed zamknięciem cyklu Jefferson powrócił jako czarny człowiek. Noah nigdy by nie zgadł, kim wcześniej był. I choć Daniela kusilo, żeby o tym wspomnieć, nie zrobił tego. To dziwne źródło samotności: wiedzieć o ludziach rzeczy, których sami o sobie nie wiedzą.

Daniel poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa spływa mu kropla pot. Powietrze było tak wilgotne, że można je było poczuć, usłyszeć, dotknąć, zobaczyć i niemal żuć. Nie mógł znieść tego, że pot wsiąka w jego najlepszą białą, uszytą z lnu koszulę, którą Sophia podarowała mu prawie dziewięćdziesiąt lat wcześniej, gdy miała imię Constance. Przedtem koszula należała do jej dziadka, hrabiego. Daniel przechowywał ją przez kolejne życia wśród swoich najcenniejszych rzeczy, i wkładał bardzo rzadko, bo chciał, by wytrzymała jak najdłużej. Gdy mu ją podarowała, koszula okazała się na niego za duża i myślał, że wicehrabia był olbrzymem; lecz w tym życiu Daniel urósł tak bardzo, że ledwie się w niej mieścił. Wcześniej nigdy nie był aż tak wysoki jak w tym życiu. Dziś, włożył tę koszulę, dlatego że ją uwielbiał i uważał, że choć może jest trochę naprężony, wygląda w niej całkiem dobrze (rzadko bywał próżny, ale jego ciało miało dwadzieścia jeden lat i od czasu do czasu mu się to zdarzało). Włożył ją jednak przede wszystkim z powodu irracjonalnej nadziei, że koszula przypomni jej o tym, ile kiedyś dla niej znaczył. Po tych wszystkich latach nadal czuł zapach swojego zastarzałego potu i gorączki oraz woń wielkiego starego domu, w którym mieszkała Constance - woń pasty do podłogi i wosku połączonej ze szpitalnym zapachem środków antyseptycznych. Gdzieś pośród tego wszystkiego gnieździł się najbardziej obnażony i delikatny ślad Constance. Nie tylko jej wyobrażenia, lecz także jej samej. Właśnie dlatego tak bardzo kochał tę koszulę.

Daniel podejrzewał, że zapach jest jego jedynym wyjątkowym zmysłem w tym ciele. Jego własną wersją supermocy. Był wąchaczem albo może Panem Nosem. Nie miał nadzwyczajnego słuchu. Znał wiele piosenek i umiał grać na wielu instrumentach, ale to wcale nie oznaczało, że miał wspaniały słuch. W niektórych ciałach słuch miał dobry, a nawet doskonały, a winnych żenująco słaby. Kiedyś myślał, że z czasem przewycięży ograniczenia. Lulu dzięki czystej woli i doświadczeniu, ale to nie działało w taki sposób. W rzeczywistości wpływ czasu coraz bardziej przekonywał go o prostej biologicznej naturze talentu. Pewne rzeczy pozwoliło zaoferować wyłącznie ciało, a wspaniały słuch muzyczny był jedną z nich.

Nie miał też szczególnie dobrego wzroku. Potrafił zidentyfikować naocznie ogromną liczbę obiektów, ale tylko dlatego, że widywał powierzchnię ziemi w wielu postaciach i warunkach atmosferycznych. W co najmniej jednym życiu był żeglarzem, minuta po minucie pełzył po wodnistej tafli ziemi, w miejscach, gdzie czas wywierał najmniejszy wpływ. Jego wzrok nie zawsze był jednak przenikliwy. Tylko dwa razy został naprawdę dobrym artystą. Świetny wzrok był kolejną cechą, której nie można zabrać w dalszą podróż.

Dotyk to pierwotny zmysł, niezbyt zróżnicowany i niedający szans na poprawę dzięki powtórkom. Jeśli już, powtórki sprawiały, że miał poczucie, jakby z każdym kolejnym dotykiem było go trochę mniej. Uważał, że przewidywanie i nawyk to dwa najbardziej paskudne pasożyty żerujące na starych duszach i długim doświadczeniu. Karmiły się powtórkami i z czasem zapychały gorliwe zmysły, aż w końcu nic nie wydawało się już no-

we. Żałował, że pewnych rzeczy nie może znów dotknąć po raz pierwszy.

Zapach i smak były oczywiście bratnimi zmysłami. A raczej przypominały bliźnięta syjamskie, z których jedno ma większość organów, w tym mózg. Drugie zostało stworzone dla przytłumienia i sporadycznego, gorzkiego ostrzeżenia. Jednak to zapach niósł pamięć. Daniel wystarczająco długo zgłębiał neurologię, a nawet najnowsze prace z neurobiologii, aby wiedzieć, jak uproszczona jest ta koncepcja, ale mimo to nie zmienił zdania. Zapach był jak Wydrążona dziura łącząca cię z innymi częściami twojego życia. Wspomnienia zapachu nie blakły i okrążały całą psychikę - nie drażyły nieskończonych doświadczeń ani nie wpływały z żadnej części świadomego umysłu. Błyskawicznie i całkowicie przyszywały cię do innych okresów z twojego życia: nie zważając na chronologię. Było to jak podróż W czasie. Gdybyt

Daniel miał wskazać jakiś punkt swojego ciała, by wyjaśnić niezwykle umiejętności, prawdopodobnie wybrałby nos. W ciągu-AJ gu wieków miał ich wiele, ale to dar powonienia towarzyszył przez cały czas.

Przeszedł wzdłuż Alderman Road, minął stadion i ruszył W stronę akademików Hereford College, W których mieszkała. To tutaj mógł ją zobaczyć. Tutaj żyła, tędy chodziła. Rosnący poziom adrenaliny W jego krwi nadawał dźwiękom dodatkową moc. Warkot kosiarki. Szum drzew. Ciężarówki na autostradzie poza zasięgiem wzroku. To było jej miejsce, a im bardziej zbliżał się do Whyburn House, tym bardziej czuł, że całe otoczenie jest nią wypełnione. Jej chodnik, jej pyłek kwiatowy, jej niebo. Wszyscy ludzie mijani po drodze do jej budynku mieli jej twarz, przynajmniej przez chwilę.

Zdał sobie sprawę, że trudno mu Wyobrazić ją sobie taką, jaka jest teraz. Zwykle jawiła mu się jako Sophia, a potem pozwał, by ten obraz ewoluował W jego umyśle jak W animacji poklatkowej. Ona trwała jednak jak coś W rodzaju amalgamatu, którego główny składnik decydował o ostatecznym kształcie każdego z jej ciał. Trudno byłoby mu trzymać się takiego obrazu, jaki tworzyła teraz, gdyby nagle zobaczył ją na chodniku. „Tym razem ma i drobniejsze ciało - pomyślał- jej kości są lżejsze i delikatniejsze. Ostatnim razem, W ciele starej kobiety, miała piegi, żyły i plamki na dłoniach, a teraz znów jest nowa i świeża”.

Pomyślał o dniu, W którym zobaczył ją W tym życiu po raz pierwszy, na chodniku z Marnie. Miała piętnaście lat i nosiła szorty. Była tak rozpromieniona, jakby wybrało ją samo słońce. Było to, jeszcze zanim przeprowadził się do Hopewood, zanim dowiedziała się o jego istnieniu.

Przypomniał sobie, jak parę miesięcy po przeniesieniu się do jej szkoły obserwował ją W pracowni ceramicznej. Nie chciał jej niepokoić. Wszedł do budynku plastyków, żeby zapisać się na kurs rytownictwa, a ponieważ nie mógł znaleźć nauczyciela, zaczął spacerować po korytarzach. Stał W aneksie między dwiema pracowniami i nagle zdał sobie sprawę, że ta samotna postać przy kole garncarskim to właśnie ona. Chciał coś powiedzieć, a nie tylko stać, ale jej Widok go sparaliżował i zanim znowu zaczął myśleć, minęło zbyt dużo czasu. Nie podniosła głowy. Po części właśnie to wywołało jego paralityczny trans. Jej stopa napędzała koło, glina obracała się W zmiennokształtnym kopczyku, dłonie poruszały się z hipnotyzującą symetrią, słońce przenikało przez brudne szyby W oknach, a jej oczy skupiały się na czymś, czego nie mógł dostrzec. Umazała się gliną aż po łokcie, upačkała koszulkę, a drobinki gliny widać było nawet na jej twarzy i We włosach. Uderzyło go to, jak bardzo

pochłania ją ten moment, i poczuł bezradność, wiedząc, że nie jest w stanie do niej teraz dotrzeć. Wręcz zachwyił go optakany stan jej ubrania.

Pomyślał o tamtym wieczorze w liceum i o niej w jasno-
letowej sukience z małymi fioletowymi kwiatkami we włosach.
Gdy trzymał ją w objęciach, krew w jego żyłach wrzała i stygła
na zmianę. Nigdy wcześniej nie była tak piękna jak tym razem.
Może widziały to wyłącznie jego oczy, ale jej śmiech był jak ob-
jawienie. Małe dzieci są do siebie dość podobne, lecz ludzie dość
szybko odciskają swoje dusze na twarzach i ciałach, a z wiekiem
jest to coraz bardziej widoczne. Na dłuższą metę kochająca du-
sza zawsze jest piękniejsza, ale uroda jako taka okazuje się chwi-
lowa. Dawniej sądził, że sprawiedliwość zapewni zachowanie fi-
zycznego piękna przez całe życie duszy, ale to nie działało w ta-
ki sposób. Okazało się, że sprawiedliwość to wymysł człowieka,
a we wszechświecie nie ma z niej większego pożytku. Sophia mia-
ła aż nadto piękna.

A dzisiaj? Co zrobi, jeśli ją zobaczy? Snuł wiele wersji tej
fantazji. Może ona zatrzyma się i go rozpozna? A jeśli nie, czy
zatrzyma ją sam? Co wtedy powie? Czy wystarczy mu jej wi-
dok? Powtarzał sobie, że tak. Chciał na nią jedynie popatrzeć
i upewnić się, że jej życie trwa dalej pod tym samym sklepi-
niem czasu i przestrzeni co jego życie. Nawet to byłoby poci-
szeniem, prawie czymś w rodzaju zażyłości. Czy to źle, że
by to uznać za zażyłość?

Mieszkała z Marnie na trzecim piętrze Whyburn Housik”
Przeprowadził poszukiwania, by dowiedzieć się tego i niczego
więcej. Gdyby dowiedział się czegoś więcej, czułby się jak natraf-
nie ale gdyby zrobił zbyt mało, krążyłby jak idiota. Nie chciał prze-
chylać szali Wiedzy za bardzo w swoją stronę. Nie chciał między-
nimi żadnych nierówności. Zazwyczaj wołał nie wiedzieć i
zaskakiwany. Jakaś smutna jego część pragnęła, żeby to Wszystkqś
przypominało zwyczajne spotkanie chłopaka z dziewczyną i
czajne zakochanie. C

Mieszkała tutaj, w tym budynku z czerwonej cegły. To były
przeszkłone dwuskrzydłowe drzwi, jej antypoślizgowa wykładzi-irjćajiy
na na podłodze. Jej przegródka na pocztę. Bo któraś z nich mu-jfš:
siała należeć do niej. Czuł, że nawet olbrzymi system klimatyzaa
cji pracuje dla niej. \

Kiedyś też mieszkał w akademiku, ale nie mógł się przyzWycza-à
ić. Nie było tam funkcjonalności koszar ani, dajmy na to, klaszto-
ru. W akademiku panowała narzucona i lekko represyjna atmos#
fera inżynierii społecznej. W tym budynku było jednak dość pu- f3}
sto, co tłumilo to negatywne wrażenie. Pozdrowił recepcjonistę Vfl}
przy kontuarze i zerknął na książkę meldunkową. Zauważył jed-`
no nazwisko - nie jej.

- Dowód poproszę - powiedział recepcjonista. IŻ
- Słucham?

Recepcjonista ściszył szumiące radio. Napis na plakietce in-
formował, że nazywa się Claude Valbrun. i Ś

- Musi pan pokazać dowód tożsamości, jeśli nie jest pan 1:.;
mieszkańcem, a nie jest pan nim, bo gdyby pan był, tobym pa-
na znał.

Nie był ani trochę nieprzyjazny. Mówił to z Wyrażną dumą. l}
Wytracony z równowagi Daniel wyjął prawo jazdy.

- Ja... ja nie... Nie zamierzałem wchodzić do budynku - wy-
Ł jaśnił.

5 - W takim razie co pan tu robi? - Daniel zamilkł. TO było do-
bre pytanie, na które nie potrafił odpowiedzieć. Recepcjonista
Ż wskazał telefon na ścianie obok kontuaru. - Nawet jeśli chce pan

i tylko skorzystać z telefonu, musi się pan wpisać.
i Czy chciał skorzystać z telefonu? Czy mógłby po prostu podnieść słuchawkę i do niej zadzwonić? Nie wiedział, jak to zrobić. Może powinien poprosić o numer? Czy Claude Valbrun z zechciałby mu go podać? A tak w ogóle, co ten człowiek sobie o nim pomyśli?

i - Szuka pan kogoś? - poinformował go recepcjonista współczującym tonem.
i
ę Daniel przytaknął.
o - Kogo?

_ Claude Valbrun chciał mu pomóc.

Daniel poczuł się jak na sesji terapeutycznej. Czy ma mu powiedzieć? Nie mógł się powstrzymać. Już miał wyjawic, że szuka Sophii, ale w porę zamilkł.

E A - Lucy Boward.

- Ach, Lucy. - Recepcjonista się uśmiechnął. - Tej z długimi włosami. Lucy z drugiego piętra. Lubię tę dziewczynę. - Daniel i poczuł, że gorliwie potakuje. - Na Boże Narodzenie dała mi czekoladki i małą roślinkę z czerwonymi kwiatkami dla żony. Jak się nazywał ten kwiatek? - Claude Valbrun przymknął jedno oko, żeby sprawniej myśleć. - Mam dobrą pamięć do pewnych rzeczy, a do innych nie. - Zamknął też drugie oko. - Jak on się nazywał? Moja żona by wiedziała.

- Nie mam pojęcia - szczerze wyznał Daniel. - Gwiazda betlejemska? _

Chciał, żeby już zakończyli ten temat.

Recepcjonista otworzył oczy.

- Hmm. Nie. Zaczynało się chyba na C. Albo na G. Przypomni mi się, kiedy pan już pójdzie. W każdym razie Lucy nie ma. Naprawdę?

Nadzieje Daniela przepadły tak błyskawicznie i doszczętnie, że zrozumiał, jak bardzo je rozdmuchał. Nie był w stanie u rozczarowania.

- Jasne. Większość studentów już wyjechała. Czwartego już skończyły się zajęcia. Będzie spokój do czwartego lipca, Idei, zjadą się studenci na lato. ~ ?

_ Wyjechała na wakacje? Już tu nie wróci?

Czy naprawdę myślał, że tak po prostu się z nią spotka? erii

- Ona i ta jej wysoka przyjaciółka wyprowadziły się pod koniec ubiegłego tygodnia. i

- Mamie? a ' t

- Tak. Marnie. Nie wiem, gdzie zamieszka w przyszłym roku. Może tutaj. A może gdzieś indziej. _

Daniel ponuro pokiwał głową. Kto wie, czy Lucy kiedykolwiek wróci do tego kampusu? A jeśli wyjedzie w ramach jakiegoś programu wymiany studentów?

Oddając Danielowi prawo jazdy, Claude wyglądał tak, jakbyś, szczerze mu współczuł. Tak bardzo, że było to wręcz krępujące.

- Mam wrażenie, że rok akademicki kończy się coraz wcześniej. i

- powiedział filozoficznym tonem, kręcąc głową w sposób, który wzbudził w Danielu poczucie empatii. Recepcjonista siedział za kontuarem i patrzył, jak rok po roku studenci przychodzą i odchodzą, coraz bardziej młodszy od niego i coraz bardziej dalecy; Nadszedł czas, by Daniel włożył swoje prawo jazdy z powrotem do portfela, odwrócił się i wyszedł. Nagle odechciało mu się jednak wychodzić. Miał ochotę zostać z tym miłym człowiekiem, który lubił Sophię. Chciał, żeby Claude znów spróbował sobie przypomnieć nazwę tamtego kwiatu.

Daniel czuł się tak, jakby uczestniczył w grze W ciepło-zimno. W budynku nie było tak gorąco, jak miał nadzieję - nie by-

to w nim już Sophii - ale i tak wydawał się znacznie cieplejszy niż powietrze czekające na zewnątrz, gdzie ślad będzie już zupełnie zimny. I

Wsunął prawo jazdy do portfela, a portfel z powrotem do kielni, ale nie ruszył ku wyjściu.

a - Do czego ma pan dobrą pamięć? - zapytał, starając się, żeby zabrzmiało to zwyczajnie i beztrąsko, choć przecież było dość dziwaczne.

o Claude wzruszył ramionami. Wyglądał na zadowolonego z tego warzystwa.

- Do twarzy. I do nazwisk.

*

E Po trzech piwach Daniel nabrał optymizmu. Może pojechała spędzić wakacje w Charlottesville? Może dostała pracę i na kilka i Iniesięcy wyprowadziła się z kampusu? Może kelnerowała albo nosiła jedną z tych „koszulek geniuszy” w sklepie Apple? Może wej dzie do tego baru, jeśli on posiedzi w nim wystarczająco długo?

- jeszcze jedno - zawołał do barmana, unosząc szklanke.

Dopiero za którymś razem udało mu się zwrócić uwagę faceta za barem. Mężczyzna był tak rozchwytywany, że nagle ogłuchł w i jednocześnie stracił zdolność peryferyjnego widzenia.

- Dzięki - powiedział, gdy w końcu stanął przed nim czwartymy bass.

Wiedział, że jego domysły są bezcelowe. Wiedział, że mógłby wypić pięć, dziesięć albo i piętnaście piw Bass, a ona i tak by tu nie weszła. Nie pochodziła z rodziny, w której wynajmuje się mieszkanie i udaje, że się pracuje. Była raczej z takiej rodziny, w której wraca się do domu i naprawdę idzie się do pracy. Zauważył już dwie dziewczyny z liceum - jedną minął, idąc chodnikiem, a druga wypinała piersi nad stolikiem w rogu - ale ku jego rozpaczy żadna z nich nie była nią. Nic w tym otoczeniu nawet odrobinę nie przypominało Sophii, a im więcej pił, tym bardziej wydawała mu się odległa.

I pewnie tak było lepiej. Co dobrego jej dał? Mimo to chciał ją tylko zobaczyć. To by go zadowoliło. Tylko po to przyjechał.

Żałował, że włożył swoją najlepszą koszulę i że rano patrzył w lustro z tak wielkim zadowoleniem i z nadzieją. Co on wyobrażał? Żałował, że nie wziął drugiej koszuli, w którą mógłby się przebrać. Nowe barowe zapachy, jego nowy pot i perfu rozsiewane przez tę dziewczynę w rogu wnikną w materiał i przł: tłoczą drogocenną nutkę Sophii, która w nim została. Nie mó" znieść tej myśli. .

Facet siedzący po jego prawej stronie miał podwójny podbrój dek i piłkarskie korki na nogach. Upijał się szybciej niż Daniefa

Miał w sobie coś znajomego i nieprzyjemnego, ale Daniela le nie kusiło, żeby się dowiedzieć, co to takiego. EŚ?

Piąte piwo stanęło przed Danielem mniej więcej w tym samym czasie, kiedy dziewczyna siedząca wcześniej przy stoliku w rogu podeszła i zajęła stołek po jego lewej stronie. Nie przypuszczał, żeby mogła go skojarzyć, ale ona go sobie przypominała. Wg,

- Chodziłeś do liceum w Hopewood, prawda?

- Przez jakiś czas.

Miała bardzo białe zęby. Ostatnio wszyscy mieli bardzo białe zęby.

- Pamiętam cię. Byłeś... - Wytrzeszczała oczy, jakby wódląś-g; ka próbowała przez nie przemówić, a ona ją powstrzymywała. 4l.

Nieważne - dokończyła figlarnie.

Spokojnie wpatrywał się w północny kraniec jej szyi.

- Okej - powiedział, choć wyraźnie starała się wciągnąć go ,Ć w rozmowę. i* g'

- Dalej tutaj chodzisz? - zapytała. '

Przypomniał sobie, że w liceum należała do jakiejś paczki. Widział ją w jednym z tych wdzianek z bardzo króciutką kraciacz- 'Ś stą spódniczką, nieustannie zadzieraną do góry.

- Do szkoły? Nie. A ty? r,

4- Tak. Niedługo będę na przedostatnim roku. Znała Sopię, bez wątpienia. Zaczęła wydzielać leciutką po- światę jakiejś relacji z Sopią. Powstrzymał się od zadania py- tania.

- A ty gdzie się uczysz? I Pociągnął długi łyk piwa.

- Nigdzie. Pracuję. j i Nie miał ochoty mówić prawdy. -

_ To trochę przytępiło zainteresowanie W jej oczach. A przynaj- i mniej wpłynęło na zmianę jego kierunku. j

- Widujesz jeszcze jakichś ludzi z Hopewood? -

- Nie. - Pociągnął następny łyk. W barze było gorąco. -

A ty? ~ i _

i - Tak. Mnóstwo. Studuje tu z dziewięć osób z naszej klasy. Z Pokiwał głową. Poświata lekko się wzmocniła. Dlatego posta- i wił dziewczynie następną wódkę z tonikiem. i

- Mogę ci coś powiedzieć? - zapytała. T'

Ustał.

- Mów.

- Myśleliśmy, że już nie żyjesz. 3

- Tak?

_ - Ktoś widział, jak skaczesz z mostu. Próbował powstrzymać odruchowy grymas. To nie było jego i" najprzyjemniejsze wspomnienie.

- Chyba się pomylił. '

Przytaknęła i upiła łyk drinka.

A - Dobrze, że nadal żyjesz.

- - Hej, dzięki. - Pochyliła się i pocałowała go tuż obok ust. g Poczł delikatną wilgoć śliny i potu, którą zostawiła na jego skó- rze. - Więc kogo nadal widzisz?

_ - Z naszej klasy? . I lej bransoletki pobrękiwały z każdym gestem.

t - Tak. j

Milczał przez całą listę, dopóki nie doszła do Marnie, przyja- i ciółki Lucy. ~

- Chyba ją pamiętam. j?

- Dziwna dziewczyna. Czarno-blond włosy. j

- Przyjaźniła się z...

Czuł się głupio, udając, że szuka W pamięci imienia osoby, któ- ra była dla niego kimś najważniejszym na świecie.

- Z kim? - Zmierzyła go spojrzeniem, pod którym poczuł si* przezroczystry. - Masz na myśli Lucy, tak? - upewniła się obojęt- nym tonem.

Choć był złałniony wszelkich informacji na jej temat - i_ handluje narkotykami, że jest transwestytką, że wywija pałką burmajora na paradach, czegokolwiek, 'byleby pozostała W jeg świecie chwilę dłużej - to wydawało się zbyt głupie. Wstał. .lf

- Muszę się odlać - mruknął.

Rzucił na bar dwadzieścia dolarów, żeby pokryć resztę rafi, chunku. >

- Założę się, że nie pamiętasz, jak mam na imię. - Nie Zatrzyj? mał się. - Zaczekaj - nie dawała za wygraną. Znowu zabręczałaàł łapiąc go za nadgarstek. - Co robisz później?

- Wyjeżdżam. Wracam na północ.

- W domu bractwa jest impreza. Chodź ze mną. i

lego głupi gadzi umysł zastanawiał się, czy będzie tam Sophiaaś
- Nie, muszę iść.

Słyszał W swoim głosie piąte i szóste piwo. Musiał wrócić dog?
samochodu i pospać, póki nie wytrzeźwieje.

- Jesteś pewien? Zamówię ci następne piwo i potem będzieszzfr
mógł zdecydować.

Pokręcił głową. Gdyby wypił kolejne piwo, nie byłby w stanie;
oderwać wzroku od jej dekoltu. A gdyby potem wypił jeszcze jed-Vj
no, prawdopodobnie poszedłby z nią do akademika i kotłowałā:
by się na jej wąskim łóżku, rozbierając ją z zamkniętymi oczami:
bo wyobrażałby sobie kogoś innego. luź to przerabiał i potem ni_il
gdy nie czuł się dobrze. Pewnie studiowała ekonomię albo mo-
że nauki polityczne, może robiła świetne margarity, kochała oj-fj
ca, miała piekielnie dobry forhend i kto wie co jeszcze, ale pozal-ç,
tym należała do tych dziewczyn, które w ważnych chwilach sly-
szą imię innej.

- Nazywam się Ashley - krzyknęła za nim.

Wysikał kilka piw, a kiedy wyszedł, zauważył, że na jego miej-
scu siedzi ten pijany koleś W korkach, który prawie nurkuje W ro-
wek między piersiami Ashley. Jej zachowanie uległo zmianie.

- O co ci właściwie chodzi? - zapytała, kiedy facet pochylił się
tak mocno, że jego stołek zaczął się przechylać razem z nim.
Gość objął ją obiema rękami, ale dziewczyna go odepchnęła.
Stołek zachwiał się i w końcu runął na podłogę. Ashley wstała
i cofnęła się.

- Głupia suka! - zawołał za nią pijany facet, wstając z wysił-
kiem. - Chodź no tu. Dawaj tu te swoje cycki.
lego głos bełkotał od śliny i ginu.

Daniel spojrział na niego, tracąc tę odrobinę przyjemności
związaną ze stanem upojenia. Uważnie spojrział W oczy mężczy-
zny, popatrzył na jego brwi, ramiona, uszy i poskładał to wszyst-
ko W całość. Widział już kiedyś podobną twarz, też w barze. Ale
zimā... gdzieś indziej. Był mróz. To musiało być w St. Louis. Twarz
była umalowana woskowatā, mazistā czerwonā szminkā, takā jak
le, których używały dziewczyny W tamtych czasach. Kwiecista su-
kienka z parā okropnych sztucznych piersi wychylających się z za
dekoltu. Mówiła, że jest modelką, i pokazała mu swoje zdjęcie. To
była reklama jakiegoś lokalnego salonu samochodowego. Chyba
Oldsmobilēa. Zapamiętał odsłonięty tyłek i nogi oraz niewiele
twarzy. Była bardzo dumna z tego zdjęcia. Dowiedziała się, że
l)aniel odbywa staż W gazecie ojca i przez miesiąc codziennie do
niego dzwoniła. Wyznała mu, że chce być sławna.

„Nic nie mów” - nakazał sobie w myślach.

- Znam cię - powiedział jednak.

- Jasne, kurwa.

- Naprawdę. Ida. Dobrze cię znam. Nic się nie zmieniłeś.
Nadal za dużo pijesz.

Facet próbował się zdecydować, czy dać mu w zęby.

- Lubisz pozować do zdjęć. Jestem pewien, że nadal to robisz. `.
Nadal lubisz bieliznę i buty. Koronki, wysokie obcasy i tak dalej.

Ale chyba trudno je znaleźć w twoim rozmiarze, co?

Barman zaczął się przysłuchiwać, a Ashley ukradkiem
ła zaciekawiona.

Gdyby Ida był mniej pijany, mógłby lepiej ukryć zaskoczi
i skrępowanie. Daniel nie czuł się szczególnie dumny z tegoii
ma rację. Łatwo było coś takiego odgadnąć. Zmiana płci w
stępnym życiu prawie zawsze oznacza jakąś dezorientację. A e
hibicjonizm jest takim rodzajem neurotycznego dziwactwa, i
re łązi za człowiekiem życie po życiu.

- Jasne, kurwa - powtórzył facet, ale zadrżał. ~ l::

Gdy Daniel wychodził, w barze panowała cisza. Było wstyd. Rozczarował się i zmęczył. Dawniej też robił takie rzeczy. Karał ludzi, wytykając im ich sekrety i słabości, których nie rozumeli. Skończył z tym jednak wiele lat temu. Oni w końcu zapomnieli o karze, ale on nosił ją ze sobą dalej. i

W poprzednim życiu, jako Siedmiolatek, w gabinecie wujka poznał człowieka nękanego potrzebą amputacji zdrowej nogi tuż nad kolanem. Oczywiście wszyscy, łącznie z samym pacjentem, myśleli, że mężczyzna jest obłąkany, i żaden lekarz nie chciał przeprowadzić operacji. Daniel przypomniał go sobie i zrozumiał. Niemasz wszystkiego, tylko niewielką część. Przypomniał sobie, że mężczyzna znał był żołnierzem i w wieku siedemnastu lat stracił nogę w bitwie nad Sommą. Daniel powiedział mu wszystko, co pamiętał: To jednak nie była kara. To było miłosierdzie; i:

Charlottesville, Wirginia, 2006

Gdy w październikowy piątek wczesnym wieczorem Lucy siedziała sama w swoim pokoju w akademiku, zadzwonił ktoś z recepcji. A

- Lucy?

- Tak.

i - Cześć. Mówi Alexander.

- Alexander? Co ty tu robisz? Jesteś na dole?

- Tak. Mogę wejść?

- Marnie nie ma. Wyjechała do Blacksburga i wróci jutro.

p. - Czy mimo to mogę wejść?

i Lucy spojrzała na zegarek. Potem na swoją piżamę. Zaplanowała sobie wieczór w łóżku z Emily Brontë, ale przecież nie mogła odmówić młodszemu bratu Marnie.

- Dobra. Daj mi parę minut, muszę się ubrać.

Nie dał jej paru minut. Zanim zdążyła upłynąć jedna, już puknął do drzwi.

Musiał poczekać. Kiedy Lucy otworzyła, omal jej nie stratował, witając się niedźwiedzim uściskiem.

- Co ty tu robisz? - zapytała go ponownie, kiedy się wyśbodziła. _

- Przyjechałem na dzień otwarty.

- Naprawdę? Jesteś już w ostatniej klasie? 'I,

_ Tak, jestem już w ostatniej klasie. - Zrobiłbyś urażoną miłośnik, ale nie był do tego zdolny. - W styczniu skończę osiemnaście

- Czy Marnie wie, że tutaj jesteś?

Wzruszył ramionami.

- Możliwe, że jej o tym wspomniałem. Raczej na pewno. „

- Ciekawe, bo ona mi o tym nie wspomniała, a poza tym fjechała do Blacksburga.

Znowu wzruszył ramionami, nie okazując najmniejszego smutku. Znała Alexandra od dziecka, był chyba najbardziej broduszną i najmniej sumienną osobą, jaką znała.

- Czy mimo to mogę zostać?

Miał niedorzecznie czarujący uśmiech, jak zawsze.

- Rodzice wiedzą, że tutaj jesteś? i

- Jasne - potwierdził jak zwykle bez wahania.

Roześmiała się wbrew sobie.

- Dobra, chyba możesz zostać. A

Ledwie dokończyła zdanie, rzucił plecak na podłogę, skoczyli: na łóżko Marnie i położył się na plecach. „L

- Urosłeś - zauważyła.

Pokiwał głową. i

- A ty wcale się nie zmieniłaś. I'

- Masz dłuższe włosy.

Alexander miał cudowne, jasne loki. Kiedy był mały i udało się go nakłonić, żeby siedział spokojnie, Lucy i Marnie układały I, z nich różne fryzury. „ I;

Zerwał się z łóżka i podszedł do terrarium' Tartaka.

- Nadal trzymasz tego węża? - zapytał z niedowierzaniem. wi, Lucy westchnęła. Wszystko wskazywało na to, że Tartak pożyje dłużej niż Dana.

- Tak. Chcesz go?

- Alexander odpowiedział śmiechem.

I - Wyjdźmy gdzieś. Są tu jakieś imprezy? Może pójdziemy do Studenckiego baru? Zabrałem fałszywe dokumenty- zapewnił gorliwie.

Lucy skierowała tęskne spojrzenie w stronę wichrowych j Wzgórz. Na zewnątrz padał deszcz i było zimno, ale niczym star-Qzn siostra czuła się W obowiązku pokazać Alexandrowi tę stronę i nluclencłego życia, o której bez wątplenia fantazjował.

. X'

; Dwie imprezy, jeden bar i jeden pub później Lucy była zmęczona i bardzo pijana. Alexander uwielbiał tańczyć, więc tańczy- i II. Lucy widziała, ile dziewczyn się za nim ogląda, i poczuła, że sama patrzy na niego w całkiem nowy sposób. Dwa i pół roku wyś dawało się większą różnicą wieku, kiedy miała dziesięć, a nawet szesnaście lat.

O Boże, co powiedziałyby Marnie, gdyby wiedziała, że Lucy myśli o jej młodszym bracie w taki sposób? Lucy miała nadzieję, że Alexander nie traktuje tego jak randki ani niczego w tym rodzaju. Zachęcała go, żeby tańczył z innymi dziewczynami, ale nie dał się przekonać.

- Jestem głodny - oznajmił i trochę byle jak objął ją jedną ręką. Był mniej więcej trzydzieści centymetrów wyższy od niej.

Chciał ją trzymać i kręcić biodrami na parkiecie przez całą noc. Zaczynała się przyzwyczajać do dotyku jego ciała i nie wydawało jej się to niczym niezwykłym. Alexander zachowywał się zupełnie swobodnie. -

- Ia też. Masz ochotę na kawałek pizzy?

- Boże, jasne!

Poszli w deszczu do baru przy West Main Street. Jaskrawe światła W środku sprawiły, że poczuła się jeszcze bardziej pijana. Alexander mężnie wyjął portfel i zapłacił za trzy kawałki pizzy, jeden dla niej i dwa dla siebie. Usiedli na ławce na zewnątrz i jedli,

- jakby umierali z głodu. Lucy nie czuła już zimna, ale jej swet pachniał mokrym psem. I,

- Pamiętasz, jak ja i Marnie robiłyśmy ci kucyki i malut i koczki? 9,3I,

Roześmiał się. fj"

- A pamiętasz, jak Dorsey zjadł twój tort urodzinowy?

- A pamiętasz, jak Tyler nasikał ci do puszki mountain dewl: Pokiwał głową. i u

- Kiedy mi ją podał, była ciepła. To wzbudziło moje podej rzenia. - Przełknął kęs pizzy. - Pamiętasz, jak przyszłaś mnie popili; nować i zrobiłaś mi na kolację naleśniki z malinami?

- Naprawdę? `

- Dodawałaś maliny do wszystkiego. g.

- Nie, pytam o to, czy naprawdę cię pilnowałam.

- Miała to zrobić Marnie, ale wymknęła się z chłopakiem, a ją 'ij

- Chyba pamiętam. Nie byłeś wtedy trochę za .duży na opie~ i kunkę do dziecka?

- Tak. Miałem czternaście lat. Rodzice pojechali do jakiegoś kurortu na rocznicę ślubu.

- Wybrali się do Greenbrier na weekend. Rzeczywiście, pa-
miętam.

- Mogę ci coś wyznać? ~ Widząc jego minę, nie była pewna,
czy tego chce. - Wdrapałem się po ścianie domu i podglądałem j}}
cię pod prysznicem.

Wydawał się nie tyle zawstydzony, ile zadowolony z siebie. ją;
- Alexander! ę
- Przepraszam.

Wcale nie wyglądał, jakby mu było przykro. i
Poczuła, że jej twarz robi się ciepła.
- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś.

- Postąpiłem źle - wyznał. - Ale było warto. - Uderzyła go pię-
ścią w brzuch. Śmiał się. - Mówię poważnie. Zrobiłbym to jesz- ŚŚ
cze raz. „

Znowu spróbowała go uderzyć, ale złapał ją za rękę i zaczęli się
siłować. Zanim zdążyła się obejrzeć, pocałował ją.

- Alexander, przestań - powiedziała ze śmiechem, próbując
się odsunąć.
Pocałował ją jeszcze raz.
- Dlaczego? Wcale nie chcę przestawać.

- Jesteś młodszym bratem Marnie. Jestem dla ciebie za stara.
Tak naprawdę nie chciała, żeby przestał i on chyba o tym
wiedział.

Deszcz zaczął padać jeszcze mocniej. Alexander złapał ją za
rękę.

- Wracajmy do akademika - zaproponował.

„Z deszczu pod rynnę” - pomyślała, kiedy pędzili bocznymi
uliczkami w stronę Whyburn House. Nie chciała posuwać się aż
tak daleko W urzeczywistnieniu jego fantazji o studenckim życiu.
I „Nie rób tego” - rozkazała sobie. Pamiętała, że powinna się za-
chować jak starsza siostra.

- Już późno, pójdziemy prosto do łóżka. Do dwóch osobnych
łóżek - uściśliła, obracając klucz w zamku. - Umowa stoi?
Spojrzała na niego. Czyżby zauważyła znaczący uśmieszek?
Zostawił ją w spokoju na wystarczająco długą chwilę, by mo-
gła się wysuszyć, pójść do łazienki, umyć zęby i włożyć aksamitną
flanelową piżamę. Kiedy wróciła do pokoju, leżał na łóżku Marnie
w bokserkach, jakby był właścicielem tego pomieszczenia.

- Gaszę światło. Zostań po swojej stronie pokoju albo będziesz
g musiał spać na korytarzu, jasne?
Wyłączyła światło i weszła pod kołdrę.
- Nie mówisz poważnie - powiedział posępnie.
„Ani trochę”.

- Owszem, mówię.. -

Leżała W ciemności. Ledwie mogła oddychać, a co dopiero za-
snąć. Ciągle miała przed oczami jego tors na chwilę przed zgaśnię-
ciem światła. Jakby został wypalony na jej siatkówce. Alexander
zaczął coś nucić.

O co jej właściwie chodzi? Co z tego, że jest młody? Co z 3V"
że to młodszy brat Marnie? Na co ona właściwie czeka? Alexan w Ś
leżał tuż obok W pełni swojej chwały, jak na tacy, a ona chce ,ll
spać? Daniel zniknął. Nigdy nie był dobrą wymówką, a tym b z a
dziej teraz. Zawsze był ideą, kategorią, do której nie pasował ni,
oprócz niego. Alexander należał do innej kategorii. Tylko że
tegoria Alexandra mieściła się w granicach prawdziwego zyci',
Alexander był tuż obok, miał ciepłe usta i chciała go mieć W swój
im łóżku W taki sposób, który raczej nie uwzględniał żadnych ide
- Hej, Alexander?
Gwałtownie podniósł głowę.
- Tak? i

- Chodź do mnie.

Wskoczył do jej łóżka jak wystrzelony z katapulty. W ułamku sekundy znalazł się pod jej koldrą i owijał się wokół niej.

„Nie wierzę, że naprawdę to robisz”.

- Jeśli Marnie kiedykolwiek się o tym dowie, zabiję cię - szepnęła, kiedy zsuwał się niżej. i

Może nie były to najbardziej romantyczne słowa, ale Alexander] I' wcale się nie zniechęcił. Pokiwał głową na wysokości jej pępka.

Zdjął z niej piżamę jedną ręką, demonstrując wprawę osoby, która robiła to setki razy. Bo prawdopodobnie robił to setki razy. a Był seksowny, czarujący i prostoliniowy. Według Marnie kochała się w nim co najmniej połowa dziewczyn w liceum w Hopewood, ; a on kochał się w nich. Prawdopodobnie spał z każdą niezamęż- E, ną dziewczyną w Hopewood w wieku od piętnastu do trzydzie- 'j stu lat. I prawdopodobnie robił to W tak dobroduszny sposób, że nikt nie miał mu tego za złe. Dobrze się złożyło, że miał pod ręką j: prezerwatywę. Pewnie miał je poupychane w kieszeniach, w bu- "i tach i za uszami, tak na wszelki wypadek. Śl, I Kiedy zdjął jej drugą skarpetkę, dopadła ją jeszcze jedna oba- wa. „Proszę - pomyślała z przejęciem. - Proszę, nie poznaj, że to mój pierwszy raz”.

- Musisz już iść - poinformowała Alexandra rano, po prze- v lądzeniu.

- Dlaczego? - zapytał zasnym głosem. - Myślę, że powinni- I śmy znowu pójść do łóżka. Podobają mi się te dni otwarte.

i - Dlatego że przed południem wraca Marnie, a jeśli nas zoba- » czy, wszystkiego się domyśli.

- Wcale nie.

- O tak, domyśli się.

- Lucy - jęknął.

- Ubieraj się, koleś. - Wskazała ubrania na podłodze. -

Wpadnij innym razem. A zresztą czy podczas dni otwartych nie powinno się iść na zajęcia, spotykać się z ludźmi od rekrutacji i i robić tego typu rzeczy?

Roześmiał się, prawie przywołany do porządku, jednak nie do końca.

- Dobra, zgoda, pójdę sobie. - Usiadł na łóżku. - Pod warun- kiem że jeszcze na chwilę do mnie przyjdiesz.

- Alexander! -

Mimo to wróciła, na dłużej niż chwilę. Potem odprowadziła go korytarzem i wyprawiła W drogę. Zanim wszedł do niebieskiego i suburbana swojej matki, zdążył ją jeszcze namiętnie pocałować.

- Do zobaczenia, Lucy - powiedział wesoło.

Kiedy w drodze powrotnej mijala recepcję, Claude zatrzymał i ją porozumiewawczym mrugnięciem. Mieszkała W tym akade- miku drugi rok i wiedziała, że recepcjonista nie pozwoli jej prze- mknąć bez komentarza.

- Nowy chłopak? - zapytał.

Od razu było wiadomo, że Alexander spędził u niej noc.

Zastanawiała się, jak bezczelnie potrafiłaby kłamać. >

- Nie.

- Nie? Przystojny młody człowiek.

- Zgadza się.

- - Jeśli mogę coś zasugerować, mnie podobał się ten drugi j - jaki drugi?

- Tamten młody dżentelmen, który szukał cię wiosną. .~

- Jaki dżentelmen? 3.45?

- Wysoki tak jak ten, ale z ciemnymi włosami. Miał ę twarz. - Claude na chwilę się zamyślił. - Smutną twarz.

Lucy chciała jak najszybciej pobiec do windy i usunąć wsz

kie ślady swojej rozpustnej nocy, ale zatrzymał ją sposób, w j
Claude to mówił.

- Myślę, że bardzo mu się podobałaś - dodał.

- Nie mam pojęcia, kto to mógł być. Nie zastał mnie?

- Ty i twoja przyjaciółka wyjechałyście już na wakacje. i

- I pytał o mnie?

- Tak. Był rozczarowany, że cię nie ma.

Próbowała zgadnąć, kto to mógł być. MŚ'

- Pokazał się jeszcze? 3';

- Od tamtej pory go nie widziałem. Na mojej zmianie na pewn
no go nie było. Wpatrywałem go. '

- Hmm. Pamięta pan może, jak się nazywał?

- Chyba się nie przedstawił, ale podał mi prawo jazdy. - '

Claude wykrzywił twarz w skupieniu i przez chwilę się zastana-
wiał. - Zdaje się, że miał na imię Daniel. i

Ze wszystkich nocy w życiu Lucy ta miała być jedyną, kiedy
zasypiając, 'nie pomyśli o Danielu. Tym razem jej ciało było tro-
chę obolałe i trochę takie, jakby należało do kogoś innego, a łóż-
kę nadal wydawało się jakieś obce i nawet obco pachniało. Tej no- »Ji
cy miała szczerzy zamiar zaśnięcia z wyrazistym wspomnieniem
Alexandra: jego hojności, znawstwa i wielu dziwnych, podnieca- j
jących doznań, których jej dostarczył.

Kiedy jednak po raz setny ugniatała poduszkę i zmieniała po- :j
zycję, jej myśli nadal wymykały się W stronę recepcji, ku młodemu

- mężczyźnie o smutnej twarzy, który przyjechał, żeby ją odnaleźć,
'I mógł mieć na imię Daniel. I nawet W tę noc nad nocami, za spr-
awę poczciwego Claude'a Valbruna i jego niepewnej pamięci, zno-
; wu zasnęła z niewyraźną myślą o Danielu.

Hastonbury Hall, Anglia, 1917

Przez kilkaset lat powoli migrowałem na zachód, jak słońce
Mam niepotwierdzoną teorię, że dzieje się tak z wieloma spośród _
nas. Nie jestem pewien dlaczego, a poza tym nie każda dusza
je wystarczająco długo, by odbyć tę podróż. Niektóre żyją tylko 0.7:
raz. Co najmniej jedna, Ben, prawdopodobnie odbyła cały cykl dja-
Jeśli jednak Wschód jawi wam się jako stary i mądry, a Zachód
jako niemądry i nowy, prawdopodobnie istnieją ku temu pew-
ne powody. i

Urodziłem się niedaleko Bukaresztu, w Czarnogórze, dwa ra-
zy pod Lipskiem i w Dordogne. Jak łatwo sobie wyobrazić, po ;i
drodze nauczyłem się kilku języków i nabyłem wiele umiejętno-
ści. Wygląda na to, że nie opadam zbyt daleko na południe i nie
wznoszę się zbyt na północ. W Afryce urodziłem się tylko g'
raz, na wschodzie kontynentu, tam gdzie teraz jest Mozambik,
i nigdy nie czułem się bardziej błogosławiony i opuszczony niż i
w tamtym pięknym, nieposkromionym miejscu. Czasami nadal 3%
śnię o ciemnym kolorze moich rąk - to część tego, kim jestem. ;i
Potem wiodłem zimne Życie w Danii. Poza tym wygląda jednak
na to, że przemieszczam się głównie po tłustym poślądku półku-
północnej. '

i' Odnalazłem Sopię tylko na chwilę, pod koniec krótkie-

. przytłaczającego życia w Grecji. Podróżowałem do Aten

I (Izarnogóry W celach handlowych. Byłem Wówczas mężem st-
nu i kupcem, posiadałem wielką fortunę. TO jedno z żyć, W któ-
ą rych gromadziłem władzę i pieniądze, bo miałem taką możliwość
, I lile wiedziałem, co innego mógłbym robić. Dopiero po sześciu
ż: takich Życiach pojąłem różnicę między środkami i celem.

. Byłem wówczas dość zadowolony z siebie. Miałem grubą żonę
I dwie piękne kochanki: jedną młodą i jedną starą. Miałem zamek
i. widokiem na Dalmację oraz setki dzieł sztuki, które gromadzi-

tem, nawet na nie nie patrząc. Nigdy nie zapomniałem o Sophii, i ale jej obraz W mojej głowie stracił na wyrazistości.

Jechałem więc ateńską ulicą W całej mej doskonałości, otoczony swiłą mężczyzn, którzy zachwycali się moją inteligencją i śmiały się z moich dowcipów, i nagle ją zobaczyłem. Siedziała na końcu alei, ciemnoskóra i ciemnowłosa, pochylona nad kawałkiem chleba. Prawdopodobnie go ukradła, bo gdy do niej podszedłem, A zaczęła uciekać. Pobiegłem za nią, zostawiając W tyle zdumionych służących. Byłem Wtedy dość gruby i miałem chore stawy, Więc A dogoniłem ją dopiero kilka minut później. Płakała. Dotknąłem I jej. Była tak wychudzona, jakby jej ciało składało się z patyków i łachmanów.

- Wszystko w porządku - mówiłem kojącym głosem W różnych językach, aż W końcu zrozumiała. - lestem twoim przyjacielem.

Miała jakieś sześć-siedem lat, ale niedożywienie sprawiło, że wyglądała na znacznie młodszą. Nie chciała za mną pójść, Więc usiadłem przy niej. Pragnąłem jej kupić coś do jedzenia, do picia i do ubrania, ale bałem się ją zostawić, wiedząc, że gdy tylko się odWrócę, dziewczynka zniknie.

Siedzieliśmy tak dłuższą chwilę. Mówiłem do niej, opowiadałem historie o nas dwojgu, aż W końcu zaszło słońce i zabłysnął księżyc. Trzymałem ją w objęciach, dopóki nie zasnęła. Jej -v duszko biło tak gwałtownie, a oddech był tak szybki, że pr . _ łożyłem dłoń do jej czołai odkryłem, że jest rozpalona gorącą ką. Przywiozłem ją do willi, w której się zatrzymałem, i wez a łem najlepszego arabskiego lekarza w mieście. Gdy położyliśmy ją na łóżku, odkryliśmy, że spotkało ją coś makabrycznego. Jej we ramię było prawie całkowicie odcięte nad łokciem. Rana była źle obwiązana i paskudnie zainfekowana. Pielęgnowałem ją, sie? działem przy niej i dwa dni później patrzyłem, jak umiera. byliśmy W stanie nic zrobić.

Potem nie widziałem jej bardzo długo. Prawie przez pięćset@ lat. Bałem się, że jej dusza zakończyła drogę. P0 takim życiu, jakież? jej się trafiło, trudno odzyskać siły. Widzicie, podczas gdy jedneffl dusze odchodzą, osiągnąwszy pełnię lub równowagę, inne kończą z powodu zwykłego zniechęcenia. Jak już wspomniałem, przede wszystkim pragnienie sprawia, że chcemy wrócić po więcej. Gdy kończy się życie z poczuciem rezygnacji, zwykle kończy ` I się je na zawsze.

A W głębi swojego bezwstydneho serca zawsze miałem nadzie-I ję, że Sophia i ja staniemy się kiedyś jednością. Nie znoszę tego wyrażenia (podobnie jak określenia „bratnie dusze”), ale nie potrafię znaleźć lepszego sposobu, by to wyrazić. Zawsze myślałem, że mógłbym wymazać swoje grzechy i stać się dzięki niej lepszym człowiekiem. Miałem czelność sądzić, że potrafiłbym ją kochać bardziej niż ktokolwiek inny. Zawsze się bałem, że odnajdzie pełnię beze mnie, a ja pozostanę z boku, głupi i niedoskonały, na wieki.

W końcu zjawiłem się w Anglii. Urodziłem się na angielskiej wsi, niedaleko Nottingham, ostatniego dnia XIX wieku. Byłem szczerze zachwycony, że znalazłem się w takim miejscu. Choć słońce nad Imperium Brytyjskim nigdy nie zachodziło, nie zda- „ż rzyło mi się jeszcze być obywatelem Anglii. Moja matka opieko- „ wała się dziećmi i ogrodem. Miałem trzy siostry: wcześniej jedna z nich była moim ukochanym wujem we Francji, a z drugą się kiedyś ożeniłem, co było trochę niezręczne.

Ojciec pracował W fabryce włókienniczej i pasjonował się hot dowlą gołębi. Za domem była mała budka, W której od dwóch wieków mieszkały kolejne pokolenia tych ptaków. Nie interesowały mnie wyścigi gołębi pocztowych ani polowania, lecz byłem

zauroczony lataniem, a zwłaszcza umiejętnościami nawigacyjnymi ptaków. Fascynowała mnie także wizja latających ludzi.

Percy Pilcher, pilot szybowcowy, który zginął jeszcze przed moim urodzeniem, był moim bohaterem w dzieciństwie, a jako i dziewięcioletek, z przejęciem śledząc postępy Wilbura i Orville'a Wrightów, błagałem ojca, żeby nas zabrał do Le Mans na pierwszy publiczny pokaz.

i Na początku Wielkiej Wojny Snułem fantazje o szkoleniu gołębi w zakresie przenoszenia wiadomości i lekarstw nad pozycjami wroga. Brytyjczycy - podobnie jak wszystkie strony uczestniczące w tej wojnie - rzeczywiście polegali wtedy na gołębiach. g Byłem młody, silny i wywodziłem się z klasy robotniczej: idealny materiał na mięso armatnie. Wiernie służyłem Koronie i tak bardzo pragnąłem spełnić swoją powinność, że w razie potrzeby w wieku szesnastu lat zgłosiłbym się do noszenia prochu i prawdopodobnie dałbym się zabić w Passchendaele albo pod Verdun. Tak się jednak złożyło, że z zaciągnięciem się do piechoty musiałem poczekać do 1918 roku, a oko w oko ze śmiercią stanąłem dopiero w drugiej bitwie nad Sommą, pod koniec tegoż roku. Mam .

wrażenie, że było to bardzo niedawno.

Mógłbym dużo opowiedzieć o tamtych czasach, ale powiem tylko tyle, że podczas bitwy zostałem podtruty gazem i postrzelony, a następnie leżałem nieprzytomny w błocie i znalazłem się najbliżej śmierci, jak tylko można się znaleźć, gdy ostatecznie się nie umiera. Obudzony się, poczułem, że mrugam w promieniach słońca wlewających się przez masywne stare okno. Na widok mojego poruszenia - które, jak później mi mówiono, było pierwszą oznaką życia od kilku dni - podbiegła do mnie młoda kobieta w białym pielęgniarskim czepku. Zamrugalem jeszcze raz i skupiwszy wzrok, zobaczyłem, że unosi się nade mną twarz tak urocza i znajoma, jakby mi się przyśniła. Uwierzyłem, że t fiłem do raj, gdyby nie to, że Wcześniej wielokrotnie doświadczyłem życia po śmierci (śmierci przed życiem i śmierci i i7 dzy zyciami).

Położyła rękę na mojej dłoni i z jakiegoś powodu pomyślała że też mnie sobie przypomniała. *i

- Sophia - stęknąłem ze łzami w oczach, a moje serce wezbiło beładną ekstazą. - To ja. i

Patrzyła na mnie nie tyle ze zrozumieniem, ile ze Współczuciem. Byłem jedną nogą w grobie i nie wiedziałem, co się ze mi i: dzieje, ale nie sposób było tego nie zauważyć.

- Mam na imię Constance - szepnęła do mnie. Poczule na skórze leciutkie uderzenia jej oddechu. - Cieszę się, że of zyskałeś przytomność. - To była ona. To naprawdę była onli-Zastanawiałem się, czy rzeczywiście się cieszy. Czy to możliwa że wydałem jej się znajomy? Czy ma pojęcie, jak bardzo jest dl , mnie ważna? - Doktor Burke będzie bardzo zadowolony. Wczoraj**

ocknął się jeden chłopiec z twojego oddziału, a teraz ty.

Zrozumiałem, że jestem tylko kolejnym chłopcem w szpitalu;) Szansą na jeden zgon mniej. Chłonałem jej uroczy akcent i elegancki biały fartuch.

- Jesteś pielęgniarką? - zapytałem. j;

- jeszcze nie - odparła, skromna i zarazem dumna. - Ale l' szkole się. _'

Jej' sposób bycia był dla mnie ze wszech miar znajomy uroczy. Rozpaczliwie pragnąłem jej wszystko powiedzieć, ale nie chciałem, żeby uciekła, zanim zdążę jej się przyjrzeć. a,

- Gdzie jesteśmy? 'i

Spojrzałem w górę, ku ogromnemu oknu i eleganckiemu, kasetonowemu sufitowi.

- W Hastonbury. W hrabstwie Kent.
- W Anglii?
- Tak, w Anglii.

- To wygląda jak pałac - wykrztusiłem, nie mogąc złapać tchu.
- To tylko wiejska posiadłość - wyjaśniła. Jej wzrok uciekł w dół, a potem znowu wrócił do mnie. - Ale teraz jest tu szpital. Poczułem, że brakuje mi powietrza i potwornie bolał mnie płuca. Do głosu doszły też inne dolegliwości. Próbowałem sobie przypomnieć, co mi się stało. W ciągu tych wszystkich lat, gdy walczyłem na wojnie, nie stosowano fosfenu ani gazu musztardowego. Mimo że na widok Sophii ogarnęła mnie wielka radość, nagle zacząłem się zastanawiać, jak wyglądam w jej oczach.

- Jestem w jednym kawałku? - zapytałem.
Przyjrzała mi się.
- Jesteś trochę poturbowany, ale wygląda na to, że wszystkie części twojego ciała pozostały na swoim miejscu - oznajmiła. Byłem niemal pewien, że w jej pogodnej odpowiedzi słyszę nerwową nutkę.
- Żadnych poparzeń?
Skrzywiła się, prawie niedostrzegalnie.
- Jest kilka pęcherzy, ale nic poważnego. Pod tym względem miałeś wielkie szczęście.
Spróbowałem poruszyć nogami. Wywołało to falę bólu, ale nogi nadal były przytwierdzone do ciała i nadal słuchały moich poleceń. Czuję dłoń Sophii na mojej ręce. Nie byłem zdrętwiały ani sparaliżowany. Zacząłem nabierać nadziei. Miałem przy sobie Sophię, nie byłem martwy ani oszpecony.
Przyłożyła mi dłoń do czoła i poczułem, że moja skóra jest śliska od potu. Czulość Sophii wywołała inny rodzaj bólu w piersi i w gardle., Czy ona w ogóle mnie poznała?
- Dalej, Constance. Dokończ obchód - poleciła jej jakaś starsza kobieta, prawdopodobnie jej przełożona, której głos, wygląd i sposób bycia nie były nawet w części tak ładne jak głos, wygląd i sposób bycia Sophii.
Sophia gwałtownie podniosła głowę.
- Pacjent... - spojrzała na kartę - D. Weston odzyskał przytomność, siostrze - oznajmiła gorliwie. - Mam zawiadomić doktora Burkéa?
Wyglądało na to, że pielęgniarka ta nowina nie wydała się nie wspaniała jak Sophii.
- Sama mu powiem - odparła, mierząc mnie krytycznym spojrzeniem. .,
- Dobrze, siostrze.

A poczułem się okropnie, kiedy Sophia odsunęła ode mnie rękę i gdy podeszła do łóżka obok, by przyłożyć ją do czoła mojemu sąsiadowi. Szyja bolała mnie za bardzo, bym mógł odwrócić głowę, ale tyle zdołałem zobaczyć. Słyszałem, że do niego mówi, i wiem, jak na jej widok rośnie mu serce.

Rzeczywiście, byłem kolejnym poturbowanym chłopakiem w szpitalu, a ona była szkolącą się, czującą pielęgniarką, która siała, że myśleliśmy o miłości, i dawała nam wszystkim nadzieję. Nie wiedziała, że jest Sophią, i nie wiedziała, że ja też. Znaleźliśmy się jednak w tym samym miejscu i w tym samym czasie, i już samo to budziło we mnie niewysłowny optymizm i wdzięczność, których starczyłoby na kilkadziesiąt lat.

Charlottesville, Wirginia, 2007

,i Lucy kilka razy źle skręciła, ale w końcu ją znalazła. Odkąd była tu po raz ostatni, minął prawie rok i róże bardziej się rozkochały. Trawa była wyższa. Zapukała do drzwi przyczepy, ale nikt

nic otworzył. W zasięgu wzroku stał tylko jeden samochód - samochód Lucy.

Nie mogła tak po prostu wrócić do domu. Spakowała się i wyproceedowała z akademika dwa dni wcześniej. Potem dwa razy przelocowała w letnim mieszkaniu Marnie przy Bolling Avenue i teraz wylądowanym samochodem wracała do Hopewood na następne trzy miesiące. To była jedyna szansa. Wsiadła do rozgrzanego, ciastnego samochodu i czekała. „Co ja tutaj robię?”. Czuła się jak natręt.

*I „Jakże nisko upadają wielcy” - pomyślała. Rok wcześniej nie miała najmniejszego zaufania do madame Esme, a teraz sterczała przed jej żalną przyczepą bez kół, wiążąc wielkie nadzieje z tym, co może usłyszeć od tej kobiety.

Lucy oparła policzek o szybę i gdy już prawie zasypiała, usłyszała warkot samochodu zatrzymującego się na podjeździe. Był to stary, zardzewiały, czerwony nissan. Dopiero po chwili Lucy doszła do wniosku, że dziewczyna, która z niego wysiadła, gębista, która nazywała się madame Esme, to ta sama osoba.

Lucy też wysiadła z samochodu i zatrzymała dziewczynę w drodze do drzwi przyczepy.

- Przepraszam? Wybacz, że cię nachodzę, ale... - Dziewczyna odwróciła się i Lucy zobaczyła, że ma na sobie granatową szulkę polo z wyhaftowanym białą nicią logo sieci Wal-Mart. plakietce widniał napis: „Cześć, mam na imię Martha”. - luźnyś się spotkałyśmy - ciągnęła Lucy. - Rok temu. Pracujesz pseudonimem madame Esme, prawda? - Dziewczyna wolno kiwała głową. Nic w jej zachowaniu nie wskazywało na to, by pamiętała Lucy, i nie wyglądała na zadowoloną. - Przepraszam, wpadam tak nagle. Wróżyłaś mi. Nie wiem, czy sobie przypomy nasz. Pewnie nie. Pewnie wróżysz wielu ludziom. No więc...

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Lucy myślała, że tamten całdziwaczny strój madame Esme był trochę śmieszny, ale patrząc z perspektywy czasu, uznała, że robił wrażenie swoją dziwnością. Bez niego dziewczyna wydawała się okropnie młoda i mała. Lucy zauważyła siniaka na jej brodzie i zastanawiała się, skąd się wzięł. Poczuła, jak jej własna dłoń zbliża się do szczęki w obronnym geście. - Słuchaj, sporo myślałam o tym, co mi powiedziałaś. Miałam nadzieję, że będę mogła ci zadać parę pytań. Albo że zgodzisz się powrócić mi jeszcze raz. Mam pieniądze. A Dziewczyna zaczęła kręcić głową, jeszcze zanim Lucy dokończyła.

- Przepraszam, ale nie. Ć

- Może jednak... - Głos Lucy drżał. Nie wiedziała, co robić.

Jej wizyta w tym miejscu była aktem desperacji. Ona, która lekcewazyła madame Esme, wątpiła w nią i drwiła z niej, ostatecznie nie skapitulowała. Esme-Martha była ostro szurnięta, ale Lucy jej potrzebowała. Spadła na samo dno beczki obłędu. Nawet nie wzięła pod uwagę upokorzenia związanego z odmową. Przecież miała w kieszeni pięćdziesiąt dolców. - Mogłabym ci zadać parę pytań? - Nie dawała za wygraną. - Prawdopodobnie mnie nie pamiętasz, ale powiedziałaś mnóstwo naprawdę dziwnych rzeczy! Jak wspomniałam, sporo o nich myślałam. Nic z tego nie zrozumiałam, ale wydaje mi się, że... - Dziewczyna znowu kręciła głowę. Lucy zdała sobie sprawę, że madame Esme jest nie tyle obojętna, ile skrupowana. Uważnie przyglądała się mówiącej Lucy.

Wypadłaś już z branży? - zapytała Lucy.

Dziewczyna pokręciła głowę.

, - Nie o to chodzi. Po prostu nie chcę.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że potrzebujesz tego całego stroju, makijażu i tak dalej? Bo jeśli o mnie chodzi, możemy się obyć bez tego. Ale jeśli musisz się przygotować, poczekam.

Mogłabym...

- Powinnaś już iść - oznajmiła Esme-Martha cichym głosem.
Odwróciła się i ruszyła do drzwi.

Lucy poczuła przytłaczającą rozpacz. To była jej ostatnia deska ratunku. Co się robi, kiedy nie można nawet skapitulować?

- Proszę - jęknęła Lucy. - Przepraszam, że tak się na ciebie zaciłam. Wiem, jak dziwnie to musi wyglądać. Nie chcę ci robić kłopotu, ale gdybyś tylko... Mogę przyjechać innym razem? Umówię się na lepszy termin. Powinnam była to zrobić, ale nie miałam twojego numeru. - Uniosła torebkę. - Mam pieniądze - powtórzyła z mniejszą pewnością w głosie.

Dziewczyna stała w otwartych drzwiach przyczepy i oglądając się przez ramię, patrzyła na Lucy. Lucy dostrzegła w jej oczach współczucie, lecz także ostrożność.

- Mam na imię Lucy, ale nazywałaś mnie Sophią. Czy ty mnie w ogóle pamiętasz?

- Muszę wejść do środka.

Lucy nie pozostało nic innego, jak tylko zawrócić, podejść do samochodu i wsiąść. Nic więcej nie mogła zrobić. Część Lucy miała nadzieję, że znajdzie tu jakąś odpowiedź. W przeciwnym razie liczyła na to, że przynajmniej udowodni sobie, że madame Esme to podła, głupia oszustka, która czasami ma szczęście i kieruje się chciwością. Lucy nie dostała jednak żadnej z tych rzeczy.

Ciężko opadła na fotel kierowcy i rzuciła ostatnie zrezygnane spojrzenie na przyczepę. Esme-Martha nadal stała w drzwiach. Wydawała się równie nieszczęśliwa i skrępowana jak Lucy. Wyciągnęła rękę, żeby zamknąć drzwi, ale zobaczyła, że dzieje się na porusza ustami. Wychyliła się z samochodu. f j

- On nie umarł.

- Słucham? - zapytała Lucy z rosnącym zdumieniem. . 'ę

- Mówię tylko, że on nie umarł.

Lucy tak mocno zaciskała dłoń na uchwycie, że straciła a cie w palcach. yj"

- Mówisz o Danielu? ,

Dziewczyna nic więcej nie powiedziała. Zdecydowanym chem zatrasnęła za sobą drzwi.

Hastonbury Hall, Anglia, 1918

' Żyłem od jednego dyżuru Sophii do drugiego. Owsianka na i śniadanie była przysmakiem, kiedy przynosiła ją Sophia, i pozba- wloną smaku breją, kiedy podawały ją siostry Foster, Jones albo i huwet przysadzista Corinne. Gdy Sophia dotykała mojej głowy, rąk albo podawała mi lekarstwa, czułem, że całe moje ciało wywi- ju się na lewą stronę. Nie potrafiłem i nie chciałem niczego przed Hit} ukrywać. Nie miałem siły.

Zakres obowiązków Sophii obejmował wyłącznie obszar i od ramion w górę i od nadgarstków w dół. Inne pielęgniarki V wykonywały bardziej przyziemne obowiązki: podawały base- ny, myły i zmieniały opatrunki. Zawsze się spieszyły i traktowa- ły mnie z lekceważeniem. Szczerze mówiąc, bycie na ich łasce było frustrujące. Moją głowę wypełniały wspomnienia, refleksje. Żyłem w starożytnych miastach, żeglowałem po całym świecie, czytałem rzadkie książki na pierwszym pergaminie W bibliotece Pergamonu, a teraz potrzebowałem basenu. Widziały we mnie jedynie kolejnego osiemnastoletniego żołnierza z wyniszczony- nym ciałem.

Nie przywykłem do ciężkich ran. Przez wszystkie zyci, kały mnie różne urazy i dolegliwości, tak jak Wszystkich. od poważnych ran umierałem. Medycyna nie była taka jak . nie. Zwykle nie doświadczało się tak długiego okresu przy

wego ani wielkich fanfar między życiem i śmiercią, które
wuj emy teraz. *

Przyznaję jednak, że pomijając zniecierpliwienie zwi
z Własną słabością, to wszystko budziło we mnie zaintereso .

W opiece lekarskiej dokonały się ogromne postępy i uważ
śledziłem. Wyznaczyły one temat przewodni moich kilku
nych żyć. Mam naturalną skłonność do nauk ścisłych, ale
dziWym powodem, dla którego zwróciłem się ku medycynie,
chyba to, że W tamtym szpitalu dbały o mnie tak ukochane I,

Kiedy już odzyskałem przytomność i moje rany trochę się
iły, przeniesiono mnie do sali na piętrze. Było to Wielkie pomi
i czenie z żółtymi ścianami i czterema innymi łózkami. Z okna r
taczał się Widok na ogród. Gdy siadałem na łózkę i wyciągała:
szyję, Widziałem plaster zieleni zmieszany z jesienną czerwie i'
Okna były ogromne i wpuszczały piękne ulistnione światło, na '
W czasie deszczu. Gdzieś pod zapachem środków do dezynfekn
i amoniaku wyczuwałem leciutką Woń Sophii i trzymałem się

- nawet najcieńszej nutki - W gorączkowych snach.

Najbardziej gorączkowałem nocą, ale wcale mi to nie przeleję
A szkadzało, bo czasami Sophia przychodziła, żeby przy mnie
siedzieć. .`

- Sophia - Wymamrotałem, kiedy wzięła mnie za rękę.

To była trzecia noc W nowym pomieszczeniu. »w

- Constance- poprawiła mnie szeptem.

Spojrzałem na nią.

- Tym razem masz niebieskie oczy, ,

- Zawsze były niebieskie.

' - Nie, kiedyś miałaś czarne.

- Tak? *

- Tak. I były równie piękne.

„a (jo za ulga. ę

j š Poprzednim razem miałaś dłuższe włosy, i nie spinałaś ich...
i _i czymś.

j š GrZebykami? i _

i 'l'ak. Były ciemniejsze, ale oczy naprawdę wyglądały tak jak
tav..

F Myślałam, że były czarne.

v Tak, miały inny kolor, ale były takie same. Takie same pod
tolnymi względami. Kiedy się W nie patrzyło, było widać tę sa-
osobę.

Pokiwała głową. Miałem tak wysoką gorączkę, że dogadzała
i mi we wszystkim. ›

i - Kiedy cię widziałem po raz ostatni, byłaś małą dziewczyn-
f ką. Miałaś z sześć lat.

I - Iak to możliwe? Przecież nie dorastałeś W hrabstwie Kent,
i prawda? - zapytała.

5 - Nie, Widziałem cię W Grecji. A

- Nigdy nie byłem W Grecji.

- Owszem, byłaś. Miałaś wtedy okropne życie. - Moja gorącz-
j ku działała jak serum prawdy. Poczułem, że tzy napływają mi do
» oczu, ale ich stamtąd nie wypuściłem. - Próbowałem ci pomóc.

i ~ Wpadłem na pewien pomysł. - Pokaż mi rękę. - Zamknąłem
o czy i spróbowałem ją sobie wyobrazić. - Lewą. ~

Z wahaniem wyciągnęła rękę.

- Podwiń rękaw. Iestem pewien, że masz tam ślad. O, tutaj -
i Wskazałem miejsce na rękawie swetra.

Uważnie mi się przyjrzała. Pacjenci nie powinni byli jej pro-
sić o odsłanianie skóry, a ona nie powinna była tego robić. Jednak
ciekawość zwyciężyła. Sophia zdjęła rozpinany sweter z ładnej,
zielonej angielskiej Welny i podwinęła bawełniany rękaw bluzki

wysoko nad łokiec. Obserwowałem ją z tak wielkim skupieniem,
że aż się zarumieniła.

Na delikatnej wewnętrznej stronie jej ręki, tuż pod pachą,
widniało brązowe znamię biegnące wzdłuż zagłębienia w skórze.

Chciałem go dotknąć, ale się powstrzymałem. To intymny
wałek ciała, rzadko wystawiany na spojrzenia innych, zwłacz
przez angielską dziewczynę. ;f

- Skąd wiedziałeś? - zapytała. - Widziałeś je już wcześniej A _

- Gdzie mógłbym je widzieć? „

Wzruszyła ramionami.

- W Grecji.

Roześmiałem się na tyle, na ile pozwoliły mi płuca.

- Tak. Ale wtedy wyglądało gorzej.

Znowu poczułem napływające łzy. Gorączka połączona z ob x
'nością ukochanej dziewczyny, której nie widziało się od pięciu _
lat, może odsłonić wszystkie skrywane tajemnice.

- Co się stało? .

W zasadzie nie chciałem jej o tym opowiadać. ;i

- Aż strach pomyśleć. Nie wiem. Musiałaś mieć niedbałą m
kę. Albo W ogóle nie miałaś matki.

' Poruszyło ją to.

- A teraz? '

- Pytasz o swoją matkę? I

Miała poważną minę. ;i

- Nie, o znamię. Dlaczego mam je teraz? .gi

- No cóż. To dziwne. W chwili każdych narodzin ciało zaczyna
na od nowa i przeważnie jest jak czysta karta, ale potem z cze
sem nanosimy na nie siebie. Trzymamy się dawnych doświad
czeń: ran, krzywd i wielkich miłości też. - Spojrzałem na

- Przechowujesz je w swoich stawach i narządach, nosisz je na:
skórze. Taszczysz przeszłość ze sobą, nawet jeśli nic z niej nie pał-Ć?
miętasz.

- Ty taszczysz.

Mierzyła mnie tym samym pobłażliwym spojrzeniem co wczes i
śniej, ale była mniej pewna siebie. z

A - Wszyscy taszczymy.

- Bo żyjemy wiele razy?

- Większość z nas tak.

Nie wszyscy?

_iej pobłażliwość wykazywała coraz więcej znamion autentycz-
_ "go zainteresowania.

Niektórzy żyją tylko raz. Inni bardzo niewiele razy. A jesz-
Sę Inni żyją i bez końca.

. ; Dlaczego?

Położyłem głowę z powrotem na poduszce.

3 ~ 'l' rudn0 to wytłumaczyć. Nie jestem pewien, czy sam znam
ćlpowiedź.

-- A ty?

i - Ja żyłem wiele razy.

- I wszystkie pamiętasz?

i - Tak. Właśnie to różni mnie od większości ludzi.

w Jeszcze jak. A co ze mną?

i Wyglądała tak, jakby nie zamierzała uwierzyć w odpowiedź,
A éle mimo to trochę się jej bała.

- Ty też żyłaś wiele razy. Ale pamięć masz przeciętną.

A - Najwyraźniej. - Roześmiała się. - Znałeś mnie we wszyst-
? kich wcieleniach?

; - Staralem się. Ale nie, nie We wszystkich.

- A dlaczego ja tego nie pamiętam?

- Możesz sobie przypomnieć więcej, niż ci się wydaje. Te

wspomnienia gdzieś tam są. Kierujesz się nimi, choć nie zdajesz sobie z tego sprawy. Określają twoje reakcje na ludzi, rzeczy, na to, co kochasz, i na to, czego się boisz. Wiele naszych irracjonalnych zachowań wyglądałoby rozsądnie, gdyby można je było zobaczyć w kontekście wszystkich żyć.

To zadziwiające, ile byłbym skłonny powiedzieć, gdyby ona była skłonna słuchać - a była. Dotknąłem koniuszka jej rękawa.
- Znam cię wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że uwielbiasz konie i prawdopodobnie o nich śnisz. Pewnie czasami śni ci się pustynia, a może również kąpiel pod gołym niebem. W twoich A koszmarach zazwyczaj pojawia się ogień. Masz problemy z głosem i czasami z gardłem. To zawsze był twój słaby punkt...
Słuchała mnie zafascynowana. I ta!

- Dlaczego? - zapytała.

- Dawno temu zostałaś uduszona. Jej przerażenie było mieszanką prawdziwego i udanego strachu. = f?.

- Przez kogo? jż

- Przez twojego męża. ,

- Okropne. Dlaczego za niego wysłałam? i i

- Nie miałaś innego Wyjścia. i

- A ty znałaś tego mężczyznę?

- Był moim bratem.

- Mam nadzieję, że już od dawna nie żyje.

- Tak, ale obawiam się, że od wieków chowa urazę.

Widziałem po jej minie, że próbuje jakoś ułożyć to wszystko w całość.

- Jesteś medium?

Uśmiechnąłem się i przecząco pokręciłem głową. >

- Ale większość mediów, jeśli są naprawdę dobre, pamięta i nieco z dawnych żyć. Podobnie jak większość ludzi, których uważamy za szalonych. W zakładach dla obłąkanych jest chyba największe zagęszczenie ludzi z częściową pamięcią, jakie można znaleźć. Dostrzegają przebliski przeszłości i miewają wizje, ale zazwyczaj w niewłaściwej kolejności.

Spojrzała na mnie ze współczuciem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie tam jest moje miejsce.

- Z tobą jest podobnie? - zapytała. . a "

- Nie. Ja pamiętam wszystko.

Waszyngton, 2007

Nic tutaj nie przypominało porośniętej różami przyczepy i ładame Esme. Lucy siedziała przy Wisconsin Avenue w Upper Georgetown, w biurówcu z windą, poczekalniami i ścianami z mnóstwem dyplomów oprawionych w ramki. Wątpiła, czy Esme mogłaby się pochwalić choćby maturą, ale ten facet miał dyplomy z Haverford College, z Cornell Medical College, ze szpitala uniwersyteckiego w Georgetown i jeszcze z kilku innych miejsc. Kiedy Lucy zaczęła się nad tym zastanawiać, poczuła się w tej poczekalni dość dziwnie. Po tych wszystkich okropnych doświadczeniach dany z psychiatrami nigdy nie myślała, że pójdzie do któregoś z nich z własnej woli. Jednak może właśnie tym różniła się od siostry. Dana była przymuszana, zamykana, faszerywana lekami i zaciągana siłą. Nigdy nie robiła tego z własnej woli.

W pewnym sensie Lucy miała więcej dowodów niż kiedykolwiek wcześniej, że popadła w własny rodzaj szaleństwa, ale stanięcie z nim twarzą w twarz sprawiło, że czuła się mniej szalona, niż gdyby od niego uciekała. Bez względu na to, czy było to racjonalne czy nie, przez Daniela i madame Esme zaczęła

podejrzewać, że te niepokojące obrazy w jej głowie współbrzmią z jakąś rzeczywistością. Musiała jedynie odkryć z jaką. Ciała informacji. Potrzebowała ich. Miała nadzieję, że zaprowadzi ją rzędek W bałaganie, który zagrażał krawędziom jej umysłu. « I tym nie wiedziała, czego jeszcze mogłaby spróbować.

Gdy doktor Rosen wszedł do gabinetu, wyglądał tak poważnie jak sugerowały jego dyplomy. Wstała i uściśliła mu rękę. Wtedy sobie, że nie wygląda na tak młodą i zrozpaczoną, jak się czuła. - Z naszej rozmowy telefonicznej wywnioskowałem, że pani zainteresowana hipnozą. - Mówiąc to, wskazał Lucy kanaliczki. - Tak. Chyba tak. g.

- Hipnoza może być pomocna w wypadku napadów lęku, . . . i re mi pani opisała, ale tak naprawdę najlepiej sprawdza się W l' _ wiazaniu z terapią, a W pewnych okolicznościach również z lek

Mówił to prawie tak, jakby został do tego zobowiązany.

- Zdaję sobie z tego sprawę _ - powiedziała nerwowo Lucy. Mieszkam jednak dwie i pół godziny drogi stąd i na razie st mnie tylko na jedną sesję. Czy możemy zacząć od hipnozy i baczyć, co z tego wyjdzie? .§1

Lucy przeprowadziła wystarczająco intensywne poszukiwania w internecie, by wiedzieć, że doktor Rosen słynie z mało ortodoksyjnego podejścia do zastosowania hipnozy oraz z chęci pracy z dobrymi kandydatami. A

Przyjrzał jej się. Pokiwał głową. i

- Możemy spróbować. Niektórzy ludzie są na to bardziej podatni niż inni. Zobaczymy, jak jest z panią. - Wyjął dyktafon z szuflady biurka. - Chciałaby pani, żebym to nagrał? WłękSZOŚĆĘ" osób chce później odsłuchać zapis sesji.

Wcześniej nie przyszło jej to do głowy, ale pomysł wydawał się dobry. A gdyby rok temu nagrała sesję z madame Esme? ig

- Tak, chciałabym.

Na początek poprosił, żeby położyła się na plecach i odprężyła. Poleciał jej skupić się na złotym wiecznym piórze i powoli zamykać oczy. Przez jakiś czas mówił do niej kojącym głosem. Miała zrelaksować, wsłuchać we własny oddech i tak dalej. Potem iwlewał, że pokaże jej pewien obraz. Wyjaśnił, że wprowadzi ją do domu, a potem ona mu powie, co tam zobaczyła. Poczuli, jego głos ją uspokaja, a potem ogarnęło ją ogromne znużenie. anlm się obejrzała, szła jakimś korytarzem. i

i- Opisz, jak on wygląda - poprosił doktor Rosen spokojnym głosem.

_ == Deski skrzypią pod moimi nogami. Nie chcę za bardzo hałasować - powiedziała Lucy.

1 Nie namyślając się za bardzo, zdawała relację.

f - Dlaczego? ` i

- Nie chcę, żeby ktoś zobaczył, że znowu idę do tego pokoju. Żuwsze się tutaj zakradam.

- Czyj to pokój?

V Nie była pewna, czy nie wie, czy może nie chce o tym mówić, więc ciągnęła: .

' - Jego pokój jest dokładnie naprzeciw mnie. Kiedyś był moim pokojem.

f - Ale już nie jest?

i - Nie. Z powodu wojny. Teraz jest tu szpital.

. Lucy mówiła te rzeczy, choć właściwie nie rozumiała, co ma na myśli ani dlaczego o tym opowiada. Dziwaczność tej sytuacji z jakiegoś powodu wcale jej jednak nie martwiła.

. - Chcesz wejść do środka?

- Tak. Chcę go zobaczyć.

- Więc może wejdiesz? - zasugerował.

- Dobrze. A

- Powiedz, co widzisz.

Nagle poczuła okropny smutek. Jakby ujrzała coś strasznego, o czym wcześniej nie miała pojęcia, lecz teraz sobie przypomniała. Poczula, że boleśnie puchnie jej gardło.

- Daniela tu nie ma.

- Jesteś smutna. j

- Są trzej inni żołnierze. Jego nie ma.

- Przykro mi.

Poczula łzy w oczach, a potem na policzkach. ajsà

- Dlaczego myślałam, że tu będzie?

Przez chwilę płakała tak bardzo, że nie była w stanie mówić.

- Zależało ci na nim.

- Kochałam go. Nie chciał mnie opuszczać. Powiedział, że znowu będziemy razem. Powiedział, że nigdy mnie nie zapomni. 'Ć' bez względu na wszystko, a ja muszę spróbować zapamiętać jego głos. Dlatego napisałam ten list.

- Iaki list?

- List do siebie. Na później. Żebym sobie przypomnieć:- Schowałam go w skrytce za regałem w moim dawnym pokoju.

Jego list też tam jest.

- Jego list do ciebie? j:

- Tak.

- W twoim dawnym pokoju?

- Tak. i'

- Gdzie jest ten pokój? i

- W naszym dawnym domu. To duży dom. Nie ten domek nad rzeką, w którym mieszkamy teraz.

Opisała krajobraz wokół dużego domu, leżące nieopodal miasteczko Hythe, rzekę, kurniki i ogród przy kuchni, który ze względu na wojnę przekształcono w parking. Opisała stare ogrody, wspaniałe ogrody, takie, jakie były przedtem.

- Przed czym? - zapytał.

- Przed śmiercią mamy. To ona je stworzyła.

- Kiedy umarła?

- Jak byłam mała, ale ją pamiętam. "

I w pewnej chwili jego powolny głos wyprowadził ją z domu i wrócił do gabinetu. Znowu mówił o odprężeniu i oddychaniu.

Gdy kazał jej otworzyć oczy, uniosła powieki.

Była zdezorientowana, ale nie miała mętliku w głowie ani nie czuła niepewności. Wiedziała, że płakała - wyczuwała resztkę smutku, ale nie prawdziwe emocje. Próbowwała ułożyć z tego całość.

- Lucy?

- Tak. .

A - Dobrze się czujesz?

i - Chyba tak.

- Pamiętasz, co widziałaś?

Wróciła do tego myślni.

- Chyba tak. Większość.

Gdy skupiła wzrok na jego twarzy, zauważyła, że doktor Rosen jest jakby zaskoczony.

- Wpadłaś w stan hipnozy szybko i bardzo głęboko - oznajmił.

- Naprawdę? Normalnie jest inaczej?

Zmierzył ją zagadkowym spojrzeniem.

- Nie powiedziałbym, że istnieje tu coś takiego jak norma.

Ale wykazałaś zdecydowaną podatność i... poza tym wyrażałaś się niezwykle jasno o tym, gdzie jesteś i co widzisz.

Pokiwała głową.

A - Wiesz, co to było? Czy to, co zobaczyłaś, opierało się na jakichś znajomych doświadczeniach? - zapytał.

- Nie, nie na doświadczeniach. Ale wydawało się znajome. -
` Spuściła wzrok na dłoń. - Nazwałby to pan regresją?
Wydął się trochę skrępowany.

- Możliwe, że tak. Takie rzeczy się zdarzają.

- Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek była W tym domu.
i Ale czy myśli pan, że to może być... - Nie potrafiła dokończyć py-
l tania, ale nie wyglądało na to, by doktorowi Rosenowi było spiesz-
no je usłyszeć.

Wypuścił powietrze.

- Lucy, nasz czas się kończy. Jestem pewien, że... że było to dla
ciebie dramatyczne przeżycie. Jeśli czujesz się poruszona, możesz
odpocząć mojej poczekalni, jak długo zechcesz.

- Chyba nic mi nie jest - powiedziała. Przemyślała to jeszcze
raz. Nie czuła się tak, jakby to wszystko naprawdę jej się przyda-
rzyło, ale z drugiej strony nie czuła się tak, jakby przytrafiło się to
komuś innemu. Gdzie jest ten dom? Czy to możliwe, że kiedyś go

- widziała? - Myśli pan, że coś z tego było prawdą? Że rzeczywiście,
zostałam dla siebie list? Niczego takiego nie pamiętam. a
Zadając to pytanie, czuła dziwne odrętwienie. i
Doktor Rosen najwyraźniej nie kwapił się ze stawianiem
potez. A

- W stanie hipnozy można się spodziewać dziwnych i niesp-
nych wizji. Podobnie jak w snach. Te strzępki informacji mo-
być niezwykle pomocne w kształtowaniu samowiedzy. Ale br:
nie ich zbyt dosłownie nie jest chyba mądrym pomysłem. Moi
zdaniem najlepiej traktować je jako metaforę.

Lucy spojrzała mu prosto w oczy.

- To nie wyglądało na metaforę.

*

Tamtego wieczoru Lucy słuchała w swoim pokoju nagrania
z sesji. Zamknęła drzwi i ściszyła odtwarzacz. Tym, co uderzyło
ją już na początku - i to bardzo mocno - był jej głos. Gdy podĄsł
czas hipnozy zobaczyła, że za namową doktora Rosena idzie kością;
rytarzem, przestała brzmieć jak Lucy i zaczęła mówić z brytyjvvrñ
skim akcentem. Prawie poczuła ciarki na plecach. Z łomoczącym
sercem odsłuchiwała tę część trzyrazy, by upewnić się, że dobrzed?
słyszcy, że to naprawdę jej słowa. Nie pomyliła się.

W prawdziwym życiu Lucy zupełnie nie umiała naśladować?
obcych akcentów. W ósmej klasie grała cockneya w szkolnym
przedstawieniu Oliver! Musiała mówić z akcentem, który ślizgał
i się i pędził jak strzała. Gorzej niż u Dicka Van Dyke°a w Marylą
Poppins. Jej akcent na kasecie brzmiał jednak niepokojąco sub- i ,ż
telnie i spójnie. Nie potrafiłaby go powtórzyć, nawet gdyby przy-
stawiono jej pistolet do głowy.

Słuchała własnych słów, jakby wypowiadał je ktoś inny, ale !;
pamiętała, że wypowiedziała je sama i że naprawdę widziała to,
o czym mówiła. Ten głos, te obrazy, to wszystko było częścią jej,
lecz zarazem do niej nie należało. Pamiętała chwilę, w której
zcbaczyła wnętrze domu. Teraz, słuchając nagrania, zamknę-
ła oczy, położyła się na łóżku i ujrzała je ponownie. Korytarz,
i drzwi, pokój. Swoój dawny pokój. Tak mówiła dziewczyna z ka-
; sety. Ona.

Nie była już W stanie hipnozy. To nie mogło trwać aż tak długo,
` prawda? Doktor Rosen mówił, że ją wybudził. Po wyjściu z jego
gabinetu wsiadła do samochodu, pojechała do domu, robiła wiele
zwyczajnych rzeczy i snuła wiele normalnych myśli. Zatankowała
benzynę i kupiła paczkę drażetek Skittles. Zerwała W ogrodzie
kilka niebieskich hortensji i włożyła je do wazonu. Uzpełniła
i pojemnik na Wodę Tartaka i wyjęła z terrarium kolejną zrzuco-
° ną skórę. Pomogła przygotować wczesną kolację, a potem zjadła

'i ją razem z mamą. Usłyszała, że tata wrócił do domu, i odłożyła na miejsce mundur konfederatów, który wkładał co roku, występując w rekonstrukcji bitwy pod Chancellorsville. Z pewnością nie mówiła jak staromodna angielska dziewczyna. Jej głos znowu i brzmiał normalnie i mimo dziwnego, rosnącego mętliku W głowie; wie czuła, że W zasadzie znowu jest sobą.

Kiedy jednak zamknęła oczy i przesiłuchała kasetę, znowu ujrziała rzeczy, które ukazały jej się w stanie hipnozy. Wyobraziła sobie, że otwiera drzwi pokoju wyglądającego tak samo jak wtedy. Podczas sesji W gabinecie dziewczynę - ją - ogarnęły nagle silne emocje i straciła ostrość widzenia. Tym razem Lucy nie czuła już takiego bólu, więc spróbowała rozejrzeć się po pokoju.

Z zamkniętymi oczami ujrziała lekką poświatę żółtych ścian, zielone od liści światło wpadające przez dwa wysokie okna. Nie miała wrażenia, że sama to wszystko wymyśla. Nie wiedziała, skąd wziął się ten obraz, ale czuła się tak, jakby prowadziła dochodzenie, myszkowała we własnej głowie W poszukiwaniu czegoś, co tkwiło już W niej ze Wszystkimi szczegółami.

W pokoju nie leżało już trzech żołnierzy. Teraz było W nim pusto. Mignął jej krótki i ulotny obraz tych mężczyzn, ale szybko zniknął. Obraz, który pozostał, przedstawiał pusty pokój z wysokim łóżem z baldachimem, ciężką szafę, toaletkę z zamglonym lustrem i rząd eleganckich regałów wbudowanych w przeciwległą ścianę.

Miała dziwne wrażenie, że gdyby zdołała podejść do tych regałów, przeczytałaby tytuły wszystkich książek. Dziewczyna - w końcu - nie posunęła się jednak aż tak daleko. Stała na progu i płakała.

Na dole w jej własnym domu trzasnęły drzwi i Lucy się o nią oparła. Usiadła z otwartymi oczami, z powrotem W swoim pokoju, który przypadkiem też miał żółte ściany. Zamknęła oczy i znowu je otworzyła. Czuła się tak, jakby wynurzyła się spod stu pięćdziesięciu metrów ciężkiej wody. Teraz, gdy będąc z powrotem na powierzchni, spoglądała w dół, obraz wydawał się zamazany i daleki. Właściwie już go nie widziała. ~ *

Tamtej nocy śniła o żółtym pokoju - o tym drugim żółtym pokoju. Zobaczyła Daniela, co jednak wcale nie zaskoczyło ją. Nie wyglądał jak Daniel, którego znała w liceum, ale wiedziała, że to on. W snach często tak właśnie bywało. Chciał jej coś powiedzieć. Miał ten sam udręczony wyraz twarzy co W wieloletniemu szesnastoletniemu chłopcu. Próbował jej coś przekazać, ale nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Brakowało mu powietrza w płucach: Męczył się i starał, a jej było go żal. I nagle zdała sobie sprawę, że *ji*
Wie, o co Danielowi chodzi.

- A, list! - zawołała, biorąc go za rękę. - Już o nim wiem.

Hastonbury Hall, Anglia, 1918

Nie mogłem uwierzyć, że umieram. Poczciwy doktor Burke wiedział, ale z początku odrzucałem to. Byłem absolutnie pewien, że sięmyli, bo uznałem, że życie nie może być tak okrutne - choć miałem wszelkie powody, by wiedzieć, że los nie zwraca na mnie zbyt wielkiej uwagi. Z biegiem dni nie sposób było jednak nie zauważyć, że stan moich płuc, zamiast się poprawiać, ulega pogorszeniu. Już wcześniej umarłem na gruźlicę, więc wiedziałem, jak to się odbywa. A tym razem moje płuca zostały już zniszczone przez gaz. Byłem chyba człowiekiem, który najmniej ze wszystkich ludzi bał się śmierci, ale tym razem nie mogłem tego znieść.

Miałem za sobą wiele lżyć, z którymi pożegnałbym się bez żalu, nawet W bólu. Tyle razy pragnąłem rozpocząć wszystko od nowa, zobaczyć, dokąd mnie zaprowadzi nowe życie, mając nadzieję, że zaprowadzi mnie z powrotem do Sophii. A teraz, kiedy ją miałem, nie mogłem zostać.

Jak zdołam znowu ją odnaleźć? Możliwe, że los ponownie by mi ją podarował, ale po jakim czasie? Za pięćset lat? Nie byłbym w stanie znowu przez to przechodzić.

Miałem moc zakończenia Życia. Być może to źle, ale Dlaczego więc nie mogłem go przedłużyć, skoro tego chciałem? Powinienem móc. Tak właśnie myślałem. Chciałem żyć. N! wcześniej nie zwracałem się do ciała z taką prośbą. Cała moja dłoń, głowa napakowana różnościami powinny przecież coś czytać. Władalem baskijskim. Umiałem grać na pieprzonym synie! Powinienem coś z tego mieć. Ale nie miałem. Mojego cę nic to nie obchodziło.

Wiedziałem, że Sophia może o mnie zapomnieć. Mogła 211], nać na całe wieki, nie wiedząc nawet, że istniałem. Ja zajmowałem": się szukaniem i pamiętaniem, a ona znikaniem i zapominaniem. Czuję się okropnie, wiedząc, że tym razem to ja ją opuszczę. Trzymałem się tych siedemnastu dni tak kurczowo, jak nicz* go przedtem.

Jedynym rozwiązaniem, które mi przyszło do głowy, było k) chać ją. To wszystko, co jesteśmy w stanie zrobić.

Najprawdopodobniej Sophia też wiedziała. Kiedy tamtego-t* wieczoru weszła do mojego pokoju, zauważyłem jej smutne, niew pewne spojrzenie. Jakby chciała zapytać: „Ale chyba nie odejdziesz, prawda??

Moich dwóch współlokatorów już nie było: jeden został uwol- ,l- niony od życia, a drugi przeniesiony do ośrodka niedaleko swoje- ' *l o rodzinnego Susseksu. Nie mogę powiedzieć, że mi ich brakowa- l ło. Ich obecność zmieniała atmosferę moich spotkań z Sophią.

- Mogę ci zdradzić tajemnicę? - zapytała, rozglądając się.

- Proszę.

- To była moja sypialnia.

Podniosłem się i oparłem o poduszkę.

- To była twoja sypialnia? - Spojrzałem na żółte ściany, wysokie okna z kwiecistymi zasłonami i regały. Rzeczywiście nie kojarzyły się ze szpitalem. - Jak to możliwe?

Mieszkałam tu, zanim dom został zarekwirowany.

- Naprawdę? - Jej akcent i maniery wyraźnie wskazywały na Szlachetne urodzenie, ale nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo i było szlachetne. Zastanowiłem się. - Więc śpię w twojej sypialni.

' Pokiwała głową, trochę figlarnie.

o - To mi się podoba.

~ - Naprawdę?

- Tak. Bardzo. Gdzie teraz mieszkasz?

- W jednym z domków nad rzeką.

- Przeszkadza ci to?

- Ani trochę. Z chęcią bym tam została, nawet po wojnie.

- Ale tu wrócisz?

- Chyba tak. Jeśli to się kiedykolwiek skończy.

v - Nie chcesz wracać?

Wzruszyła ramionami.

.. - Przestało tu być wesoło. Dom jest zdecydowanie za duży dla Inojego ojca i mnie, wszystkie ogrody zarosły chwastami.

Myśl o tym, że urodziła się W tak wspaniałym domu, sprawi- v ła, że moje roszczenia do niej wydały mi się trochę wygórowane.

Prawdopodobnie była lady Constance. Znow stała się żoną sęd- dziego pokoju, aja znowu byłem bosą sierotą.

Gdy odkryłem jej związek z tym domem, zaczął mnie on fa- scynować. To był stary budynek, pełen starych rzeczy. Umierałem, więc przyniosła mi trochę ubrań po dziadku albo jego bracie i dyskretnie się oddaliła, gdy usiłowałem je włożyć. Umierałem, więc zgodziła się zabrać mnie na spacer po wyższych piętach

i pokazała miejsca, w których spali sławni mężczyźni i kobiety, czasami razem.

Nazajutrz po południu przyniosła mi książki z olbrzymiej biblioteki. ' 7

- Skoro żyłeś tak długo, jak twierdzisz, pewnie już je czytałeś. Przyjrzałem się grzbietom.

' - Większość tak. - Wskazałem Owidiusza. - To czytałem po łacinie. A Arystotelesa po grecku.

- Więc znasz łacinę i grekę, tak? c.:

Mój akcent i stopień podpowiadały jej, że nie jestem prodem szkoły publicznej. Mierzyła mnie wyzywającym spojrzeniem

W którym dostrzegłem jednak odrobinę czułości. i

- Jak mógłbym ich nie znać, skoro żyłem tyle czasu? ' V

- Znasz jeszcze jakieś języki? o a i

Wzruszyłem ramionami.

- Mnóstwo.

- Jakie?

- Zapytaj o któryś, to ci powiem. h

- Arabski?

- Tak.

- Rosyjski? .

- Nie we współczesnej wersji, ale tak. ' 1

Pokiwała głową z powątpiewaniem, ale i rozbawieniem.

- Jasne. A niemiecki? ' „

- Oczywiście.

- Japoński? i „§3

- Nie. No, może trochę. _

- Francuski? A .

- Tak. i

Pokręciła głową.

- Jesteś ze mną szczery? a f _

- Całkowicie. Jak zawsze.

Miałem poważniejszą minę niż ona.

- Trudno uwierzyć W to, co mówisz.

Dotknąłem kręconych końców jej włosów. Pozwoliła mi na to. Byłem szczęśliwy.

- Może pójdz do biblioteki. Spróbuj znaleźć książkę W języku, którego nie znam.

Najwidoczniej spodobało jej się takie wyzwanie. Wieczorem przyniosła mi osiem książek W ośmiu językach, a ja przeczytałem „

i przetłumaczyłem dla niej fragmenty ich wszystkich. Mogła mnie „

sprawdzić z łaciny i greki oraz wystarczająco dobrze znała włoski, francuski i hiszpański, by dać się przekonać. -

- Ale te są łatwe - zaprotestowałem. - Wszystkie oprócz greki należą do grupy romańskiej. Przynies mi coś po węgiersku.

i Przynies mi coś po aramejsku.

Z jej twarzy zniknęła przekora.

- Jak ty to robisz? - zapytała cicho. - Zaczynam się ciebie bać.

X'

W ciągu kilku następnych wieczorów przynosiła mi różne przedmioty z domu. PO książkach i językach naszym następnym wyzwaniem stały się instrumenty muzyczne. Jej pradziadek je kolekcjonował. A ja umiałem wyjaśnić pochodzenie każdego z nich i zagrać na większości. Dmuchałem w aulos z kości, a w natartą starym woskiem fletnię Pana i dałem W buccinę podobną do tej,ina której grałem dwukrotnie w ciągu mojej kariery woj skowej w Anatolii. Były zbyt stare, by wydobyć z nich czysty dźwięk, ale przynajmniej mogłem jej dać o nich jakieś wyobrażenie.

- Przynosiła tylko te instrumenty, które udało jej się udźwignąć,

ale pewnego wieczoru wyprowadziła mnie ze swojej dawnej sy-
pialni, włożyłem bryczesy do jazdy konnej należące kiedyś do jej
dziadka, i poszliśmy do klawesynu w pokoju muzycznym, żebym
mógł dla niej zagrać, co zrobiłem z wielką radością. Miałem zdre-
wniałe palce i przede wszystkim nie mogłem się pochwalić wiel-
kim talentem, ale obecność tej dziewczyny, tamta chwila i moje
wspomnienia dodawały mi skrzydeł. ~

Potem bardzo chciałem ją pocałować.

- Jesteś niezwykły - powiedziała. - Jak ty to robisz?

- Nie myślałabyś, że jestem niezwykły, gdybyś wiedziała, ile
lat grałem. Palcom, które mam teraz, trudno zademonstrować
moje umiejętności.

- Mówisz tak, jakbyś miewał inne palce.

- B0 tak było. Miałem ich setki. Żeby naprawdę dobrze gi-
trzeba rozwinąć mięśnie i posiadać określone talenty fizyczną

Odwróciła wzrok i wystraszyłem się, że mówiąc o setkach
ich palców, posunąłem się zbyt daleko. Wróciłem na ziemię i
tem sobie sprawę, że jestem zmęczony, brakuje mi tchu i czuję się
sfrustrowany swoim głupim, niedomagającym ciałem. Jak kiedyś
kolwiek zdołam ją pocałować? igl;

- Naprawdę nie wiem, jak w tak młodym wieku można tyl]
umieć - powiedziała cicho. i ś

- I prawie wszystkie z tych umiejętności są całkiem bezużyffi
teczne, prawda?

- Jak możesz tak mówić?

- Co mi przyjdzie z tego, że gram na aulosie albo na
Pana? Te instrumenty to już przeszłość. Nie masz pojęcia, illi?
czasu zmarnowałem na każdy z nich. Na nic mi się to już nie-j'
przyda. i

- To nie było marnotrawstwo - zaprzeczyła z przekonaniem;
Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu na widok jej życzliwej,
zaróżowionej twarzy.

- Masz rację. Dały mi szansę, by ci zaimponować.

Spojrzała na swoje palce, a potem z namysłem przeniosła f:
wzrok na mnie.

- Czy kiedy uczyłeś się na nich grać, nie sprawiało ci to przy-
jemności? - zapytała. - Nie podobało ci się to, że potrafisz grać?

- To było dawno temu, ale tak, uwielbiałem grać - odpowie-
działem. `

- Więc na tym polega ich wartość.

>(-

Naszym następnym wyzwaniem były instrumenty żeglar- i -
skie. Kolekcjonował je inny przodek Sophii, więc postanowiła
mnie wypróbować także W tej dziedzinie. Nie tylko wiedziałem,
jak się posługiwać każdym z nich, lecz również budziły we mnie
bogactwo wspomnień. Każdy instrument podsuwał mi jakąś hi-
storię. O żeglowaniu niedaleko Przylądka Dobrej Nadziei w czasie
sztormu, o płynięciu wąskimi cieśninami pod szczęśliwym sufi-
tem z gwiazd. Opowiadałem jej o potężnych tajfunach, przeraża-
jących huraganach, atakach piratów i o wielu utonięciach, z któ-
rych dwa stały się moim udziałem. Uwielbiała słuchać o wpływa-
niu do portu W Wenecji i wypływaniu z niego. Opowiedziałem jej
o Nestorze. Zdjęła _buty, usiadła na moim łóżku, podkurczając no-
gi, i słuchała, dopóki mogłem mówić. Oparła głowę o moje kola-
no, a ja modliłem się, żeby jej nie podnosiła.

Kiedy na korytarzu zgasły ostatnie światła, westchnęła.

I Wiedziała, że musi już iść.

- Gdzie chłopak z Nottingham nauczył się opowiadać tak
wspaniałe historie?

- Jestem chłopakiem z wielu miejsc. Po prostu opowiadam ci

a to, co pamiętam.

Zmierzyła mnie krytycznym spojrzeniem.

K - Muszę się bardzo starać, żeby ci nie uwierzyć. Na początku nie był to wielki problem, ale z czasem robi się coraz trudniej. - Przyjrzała się mojej twarzy. - Masz W sobie coś, co nie przypomina Żadnej ze znanych mi osób. To dziwny rodzaj pewności siebie. Jakbyś naprawdę był człowiekiem, który zna cały świat. Albo przynajmniej wierzy, że zna.

Roześmiałem się, ciesząc się, że pozwala mi tak długo trzy#
mać się za rękę.

- Chyba jedno i drugie.

- Dlaczego nie jesteś sławny? Dlaczego nie piszą o tobie książek, a fotografowie nie robią ci zdjęć?

Poczułem się urażony i wcale tego nie kryłem.

- Nikt tego wszystkiego o mnie nie wie. Nikomu o tym nie mówię. Nie chcę być sławny. Poza tym dlaczego ktokolwiek miałby mi uwierzyć?

- Bo masz niezwykle zdolności.

- Podobnie jak wielu innych ludzi.

- Oni ci nie dorównują. «,-

Dotknąłem bandażu na żebrach.

- Chcę żyć najspokojniej, jak się da. Nie chcę być uwa t: `
za szaleńca. Nie chcę wylądować w szufladce dla obłąkany
której trafiają inni ludzie ze starymi wspomnieniami. Nikomaj
mówię o tych rzeczach.

- Ale mnie powiedziałeś.

Odwrociłem się do niej. Byłem poważny, nie mogłem po
pić inaczej. .i

- Boże, Sophio. Ty nie jesteś pierwszą lepszą osobą. Nie w
chałaś tego, co mówiłem? Możesz mnie uważać za kolejnego ż;
łosnego chłopaka pod swoją opieką i pewnie nim jestem. Ale *
jesteś dla mnie wszystkim. - Siedziałem zarumieniony tak prz d)
jęty, że prawie nie czułem bólu W płucach i w innych częścia ›
ciała. Sophia wypuściła moją dłoń i wyglądała tak, jakby za chwili?)
lę miała się rozplakać. - Proszę, spróbuj mi uwierzyć - ciągną :a
łem. - TO się nie wydarzyło przypadkiem. Jesteś ze mną od pierw-łi
szego życia. Zawsze jesteś moim pierwszym wspomnieniem, jesfjż,
dyną nicią łączącą wszystkie moje życia. To dzięki tobie jestem
człowiekiem.

Hopewood, Wirginia, 2007

g Lucy spędzała Większość dni na samotnych domysłach. Tkwiła
za boczną ladą W Healthy Eats, miksując z gór składników prze-
cierowe soki dla z pozoru niekończącej się kolejki klientów, ale
była tak głęboko pogrążona W myślach, że W zasadzie czuła się
tak, jakby stała tam sama. Odgłos lodu kruszonego W blenderze
wynurzał ją z nieustannych rozmyślań i zanurzał W nich z powro-
tem. To była ścieżka dźwiękowa jej wakacji.

Nie zwierzyła się Marnie. W zasadzie nie zwierzyła się nawet
sobie samej. Czekala na Właściwy moment.

Najczęściej rozmyślała o Danielu. Nie Wiedziała, czy jest żywy
czy martwy, ale i tak o nim myślała. Czuła, że to Właśnie on jest
tą osobą, której mogłaby się zwierzyć.

Miała Wrażenie, że teraz lepiej rozumie jego samotność.

Rozumiała ją tak dobrze, jakby zaraziła się nią od niego jak in-
fekcją. To znaczy najpierw zaraziła się szaleństwem, a samotność
przyszła później. Gdy Wiesz, że jesteś inny, gdy twój Wewnętrz-
ny świat wydaje się wszystkim - nawet tobie - pozbawiony sen-
su, W naturalny sposób się odsuwasz. Nie zauważasz już różnicy

między tym, co powinni myśleć normalni ludzie, a tym, co ślisz ty, ale ta różnica się powiększa. Najprostsze interakcje po i, i li stają się coraz bardziej napięte, aż W końcu rezygnujesz z wi- szości z nich.

„Chyba można to nazwać chorobą umysłową” - stwierd i ła W paru przygnębiających chwilach. „Ale może odkryłam c prawdziwegoś” - przekonywała się potem. „A może wielu szale ców odkrywa coś prawdziwego?” - odpowiadała sobie samej. już dawno przestała szukać racjonalnego wytłumaczenia:: Teraz szukała tego irracjonalnego, które najlepiej pasowałoby wszystkich jej doświadczeń. Liczyła przynajmniej na wewnętrz ną spójność. . i

Niektórzy ludzie uważają, że dzięki hipnozie można dotrze do wcześniejszych żyć. Nazywano to regresją do poprzednich;- wcieleń. Oczywiście wymagało to przyjęcia założenia, że faktycz-Ljtają nie miało się wcześniej jakieś życie - a to było przecież założe-gi niem dość niezwykłym - lecz na razie odsunęła wątpliwości bok. Przyjmowała je na próbę, wiedzona domysłami. W końcui domysły stały się jej nieodłącznymi towarzyszami, jej nowymi najlepszymi przyjaciółmi.

Wyglądało więc na to, że w poprzednim życiu Lucy była młodą Angielką. Z trudem przeknęła taki wniosek, ale wszystko wska- * żywało na jego słuszność. Oznaczałoby to, że olbrzymi dom na- ..I prawdę istnieje - a przynajmniej istniał - najprawdopodobniej gdzieś W Anglii. Oznaczałoby to, że miała kiedyś matkę, która tworzyła ogrrodyi zginęła, gdy jej córka była mała. Oznaczałoby to, że naprawdę istniał chłopiec, którego kochała i który zmarł. i* Miał na imię Daniel i jawił jej się w snach jako ta sama osoba co Daniel z liceum. V

Z tego wszystkiego Wynikało, że naprawdę istnieje - albo ist- niał - list zostawiony dla... no właśnie: dla niej. Czyli wszystkie te o Ł elementy tkwią w prawdziwym świecie i prawdopodobnie m0- .g głąby je odnaleźć, jeśli tylko nie zaginęły ani nie zostały znisz- czone. Połączenie obrazów w głowie z prawdziwymi obiektami kiwało się nie lada wyczynem, ale tego wymagała jej hipoteza. 'ey chciała się dowiedzieć. Nie mogła dać za wygraną, dopóki Ale odkryje prawdy. Zamierzała dalej ścigać swoje szaleństwo - le zamierzała pozwolić, by to ono ścigało ją. Jeśli to miejsce, ten. T9111 i ten list są prawdziwe, zamierzała spróbować je odnaleźć.

Ostatecznie jej letnia przerwa W nauce okazała się wakacja- mi od zdrowych zmysłów. Chwilami myślała o Danie. Miała na- ézleję, że gdy to wszystko się skończy, będzie mogła bezpiecz- nie wrócić.

Hastonbury Hall, Anglia, 1918

Chciała, żeby jej opowiedział o Sophii, więc opowiedział t Nie wszystko, ale sporo. Słuchała W tak wielkim skupieniu, j .11 sama to sobie przypominała. W każdym razie kiedy nie było * przy mnie, marzyłem o tym, żeby sobie przypominała. I - Więc co zrobiliśmy, kiedy wyruszyliśmy na pustynię?

Trochę się ze mną droczyła, nadal stawiała mi wyzwania, zobaczyć, kiedy skończą mi się pomysły. Poza tym zaczęła troc J wierzyć W moje słowa. Wbrew sobie zechciała dać wiarę tem co mówiłem o swojej przeszłości. Czułem to. Kiedy jednak pyta ła 0 siebie, kiedy opowiadałem o jej roli W tych wszystkich przy-lz godach, nadal tylko się ze mną przekomarzała. ł

- Na początku jechaliśmy W pośpiechu. Jak wspomnieliś- -a- musiałem jak najszybciej zabrać cię od mojego brata potwora.

- A potem?

Uwielbiałem, kiedy zdejmowała buty i siadała na łożku tuż

obok mnie. 7

- Zwolniliśmy. Na pustyni nie było żywego ducha. Poczuliśmy ją się bezpiecznie. Byłaś głodna. Zjadłaś większość zapasów. .

'* le wierzę.

_ tak. Łakoma dziewczyna.

„ Ważyłam sto kilo?

Żkręciłem głową, widząc ją oczami wyobraźni.

Bynajmniej. Byłaś równie szczupła i piękna jak teraz.

Więc okazałam się łakoma i zjadłam wszystkie zapasy. I co

1 potem?

š Potem rozpałem ognisko i postawiliśmy bardzo prymityw-
d namiot, pod którym rozłożyliśmy koce.

'A Pokiwała głową.

a A później obydwójce zobaczyliśmy, jak wspaniale świecą
` landy, więc wyszliśmy z tego namiotu.

Brzmi przyjemnie. I co potem?

j ~ Kochaliśmy się czule, mając za świadka jedynie otwarte
lebo.

A U wielbiałem widok rumieńców na jej policzkach. i

_ >- Nie, nie wierzę.

- Uśmiechnąłem się do niej.

i» Masz rację, wcale tak nie było.

A ~ Nie?

i Teraz wyglądała na rozczarowaną, więc się roześmiałem.

- Nie. - Odważnie dotknąłem jej policzka. - Ale chciałem.

- Może ja też chciałam. Dlaczego tego nie zrobiliśmy?

Podciągnęła kolana do piersi.

- Bo byłaś żoną mojego brata.

- Tego, który próbował mnie udusić.

- Tak. Był piekielnie zazdrosny, ponieważ myślał, że go zdrad-
zam, a ciebie wykorzystuję. Nie chciałem, by wyszło na to, że
ma rację.

- Zasłużył sobie.

- Tak, zasłużył. Ale my zasługiwaliśmy na coś lepszego. `

Zobaczyłem, że jej twarz drgnęła.

- Tak myślisz?

- Tak. Żal zostaje przy nas. Z czasem nas niszczy. Nawet je-`Żi
śli go nie pamiętamy. - Dotknąłem jej stóp przez skarpetkiQ
Pragnąłem dotknąć każdej części jej ciała. - W każdym razie do-
staniemy swoją szansę. _ a

Nie wiem, co się przydarzyło Sophii tamtej nocy, ale kiedy

wróciła nazajutrz rano, była inna. Poważna i zarazem przejęta.

- Doktor Burke się myli. Wyzdrowiejesz. - Nie mogłem jej,

okłamywać. - wyzdrowiejesz - powtórzyła wojowniczo. .

- Powiedz to moim płuciom.

~ Chyba to zrobię. - Objęła mnie i przyłożyła policzek do mo-~
jej piersi. Zawsze się obawiała, że ktoś nas zobaczy, ale tym ra-
zem najwyraźniej się tym nie przejmowała. Długo tak mnie trzy-
mała, a potem podniosła głowę i spojrzała miw oczy. - Przykro

mi z powodu tego, przez co przechodzisz - dodała. - Nie mogę j*-
znieść myśli o bólu, w jakim żyjesz. Zasługujesz na lepszy los.

- Wszystko w porządku - zapewniłem ją szybko. - Bywało
gorzej.

Jej oczy były pełne smutku, a nie chciałem, by smutek nękał f
którekolwiek z nas.

- Ale to wcale nie łagodzi twojego bólu, prawda?

- Owszem, łagodzi - powiedziałem z przekonaniem. - Ból
to strach, a ja się nie boję. Wiem, że już wkrótce będę miał no-
we ciało. '

- Mówisz tak, jakby twoje ciało było pokojem, do którego

można wchodzić i z którego można wychodzić. - Trzymała dłoń na moich ramionach. - Ale twoje ciało to ty.

Nagle ogarnęło mnie zniecierpliwienie. Wskazałem ręką swoją pierś.

~ To nie jestem ja. To ciało się psuje, ale ja nie. - Nie próbowałem jej współczucia. Nie znośmę być słaby w jej obecności. - Obiecuję ci. Znowu będę zdrowy i cię odnajdę.

- Patrzyła na mnie z czułością. Przez chwilę milczała i zauważyłem, że wygląda doroślej niż pierwszego dnia, gdy ujrzałem ją tuż po odzyskaniu przytomności.

- Zastługujemy na lepszy los - powiedziała cicho.

- Będzie lepszy.

i - Naprawdę? '

- Tak. - Spojrzałem na nią z całkowitą powagą. - Nie przejmuję się tym. Jeśli trzeba, mogę poczekać dłużej, bo wiem, że znowu będziemy razem i znowu będę silny. Zaopiekuję się tobą, będę cię kochał i uszczęśliwiał.

- już mnie uszczęśliwiasz - wyszeptwała.

Objęła mnie i po chwili poczułem, że płaczę na jej ramieniu.

Nie chciałem, żeby to zauważyła. Tak bardzo gorączkowałem, że trudno było nie drzeć w jej objęciach.

- Jest tylko jeden problem - oznajmiła po chwili pogodniejszym tonem.

- laki?

- Skąd będę wiedziała, że to ty, kiedy już mnie wreszcie odnajdziesz?

- Powiem ci. A

- A jeśli ci nie uwierzę? Przecież wiesz, że uparta ze mnie smarkula.

Mocno ją przytuliłem. `

- Tak, wiem. Ale jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

X-

W ostatnim słonecznym dniu mojego życia Sophia przyniosła mi płaszcz swojego ojca i wyprowadziła mnie na dwór. Pamiętam, ile wysiłku wymagało stawianie kolejnych kroków. Oddaliliśmy się od domu na tyle, by zapomnieć, że to szpital. Miała na sobie jasnoniebieski wełniany kapelusz i miękką czerwoną sukienkę, której dotyk był dla moich palców czystą błogością. Sophia nie wyglądała jak pielęgniarka, lecz jak urocza, beztraska dziewczyna spacerująca w ogrodzie ze swoim kawalerem. Udawaliśmy, że właśnie jest. ;gl

Znaleźliśmy kawałek trawy w słońcu i położyliśmy się. Czułe g" ciepło promieni i słodki ciężar jej głowy na moim ramieniu

Objąłem ją. Żałowałem, że nie mogę wczłgać się w tę i pozostać w niej, nie pozwalając nadejść następnej. W nabożnym milczeniu patrzyliśmy, jak na czubku jej pantofelka lądu??? je żółty motyl. "Uli

- Kiedyś był tu motyli ogród - opowiadała. - Najcudowniejsza?: miejsce, jakie kiedykolwiek widziałeś. - Odwróciła się do mnie? z uśmiechem. - Chociaż możliwe, że akurat ty widywałeś cudow-Ć?: niejsze. ~ Roześmiałem się. Uwielbiałem jej głos. Chciałem, żeby? mówiła dalej, a ona najwidoczniej to czuła. - Mieszkały tu tysią# . ce, dziesiątki tysięcy motyli w najróżniejszych kolorach. Szkoda, i że nie widziałeś tych kwiatów. Byłam malutka, ale lubiłam się tu kłaść, a motyle siadały na każdym skrawku mojego ciała. Kiedy mnie łaskotały, próbowałam powstrzymać śmiech.

- Żałuję, że tego nie widziałem - powiedziałem, obserwując powolne ruchy motyli skrzydełek na jej pantofelku. „

- Stworzyła go moja mama. Słysnęła ze swoich ogrodów. i

- Naprawdę?

- Tak. I z urody. Oraz z brawury. (i;

- Z brawury?

- Lubiła prędkość. Tata mawiał, że miała nerwowe nogi, bo nawet przez sekundę nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Zastanawialiśmy się nad tym przez chwilę. Wiedziałem, że po- ig; winienem być ostrożny.

i - Co się stało z tymi motylami?

- Po jej śmierci zniknęły. Kiedy mama umarła, ogrody za- rosły. ,i

Ostrożność wcale mi nie pomogła. Żałowałem, że zadałem to pytanie. Wywabiło nas z ustronia tamtej chwili i z powro- tem wrzuciło W nurt czasu. Czas oznaczał stratę, a Sophia stra- :mi ciła zbyt wiele.

Nie podniosła głowy, ale w jej ciele przytulonym do moje- go ciała czułem smutek i byłem zbyt słaby, by stawić mu opór.

Wypełnił także mnie.

- Kocham cię. Najbardziej na świecie. Zawsze cię kochałem. Usłyszałem wilgoć W jej oddechu. Uniosłem dłoń do jej twa- rzy i poczułem łzy.

- Kocham cię - powiedziała.

Czekałem na te słowa setki lat, ale sprawiły mi głęboki ból. Wolałbym, żeby mnie nie kochała. Już i tak straciła zbyt wie- le. Wolałbym umrzeć w błotnistej dolinie nad Sommą i oszczę- dzić jej kolejnej straty.

X'

Przez dwa dni na zmianę zapadałem w gorączkowy sen i bu- dziłem się. Była przy mnie Sophia. Widziałem ją, kiedy otwierałem oczy, i czułem ją, kiedy nie mogłem ich otworzyć. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie została wyrzucona ze szpitala - była przy mnie bez przerwy. Mówiłem do niej, a ona mówiła do mnie, ale mam bardzo mętne pojęcie, o czym rozmawialiśmy.

A potem się obudziłem. Bolało mnie całe ciało, ledwie łą- pałem powietrze, lecz mój umysł pozostał jasny. Na początku Sophia wpadła w dziką radość, widząc, że siedzę z otwartymi oczami. Niewinność jej reakcji była dla mnie tyleż szczęściem, ile torturą.

Przyglądając mi się uważniej, musiała spostrzec, że kolor mo- jej skóry nie jest taki, jak należy. Nie oddychałem, jak należy. Doktor Burke zawołał ją i powiedział coś do niej cichym głosem pod moimi drzwiami, a gdy wróciła, zachowywała się już inaczej. Miała oczy pełne łez i usta zaciśnięte w postanowieniu pomocy.

- Znowu przyszłaś? - zapytałem żartobliwym tonem, cicho, żeby uniknąć wezbrania płynu w płucach i kaszlu. - jeszcze cię stąd nie wyrzucono za spędzanie zbyt dużej ilości czasu z pacjen- tem D. Westonem?

- Przecież nie mogą mnie wyrzucić, prawda? Przyda im si dodatkowa para rąk. Poza tym byłaby to drażliwa kwestia, W końcu jesteśmy W moim domu.

- Powiedz przynajmniej, że inne pielęgniarki nie przymykają; na to oka i dają ci w kość. i

~ Chyba rozumieją, co czuję do D. Westona. - Czule dotknęła „, mojego ucha. - Wszystkie mówią, że jesteś najprzystojniejszym} pacjentem, jakiego tu mieliśmy.

Uśmiechnąłem się, bo nagle zabrakłomi powietrza, żeby się} roześmiać. i

- To o takich sprawach rozmawiacie? f,

Usiadła na moim łóżku i przez chwilę milczała. Jej twarz zro- biła się poważna.

- Chcę iść z tobą - powiedziała.

Położyłem dłonie na jej talii.

- CO masz na myśli, kochanie?
 - Chcę iść tam, gdzie ty. Nie boję się śmierci. Chcę z tobą i zostać i z tobą wrócić. Mówiłeś, że dusze się łączą. .Chcę z tobą zostać. 7T
 - Och, Sophio. - Pocałowałem jej zębra przez sweter. Przycisnąłem twarz do jej brzucha. - Nie możesz odebrać sobie życia.
 - Dlaczego? "il.
 - Bo jesteś młoda, piękna, zdrowa i po prostu nie możesz tego zrobić. Poza tym ponowne narodziny biorą się z chęci życia. i" Samobójstwo to odrzucenie, koniec. Jeśli naprawdę wybierasz . śmierć, możesz już nie wrócić. i l,
 - Ale ja nie chcę odrzucać życia. Nie chcę wybrać śmierci. i Chcę żyć. Tyle tylko że chcę to życie spędzić z tobą. Wzięłem ją za rękę i spojrzałem jej W oczy.
 - Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo chciałbym spędzić z tobą życie. Ale teraz musisz spróbować osiągnąć jak naj- Ś większą pełnię i szczęście. Zostaniesz pielęgniarką. Może lekar- ką. Zakochasz się. Łf
 - Już się zakochałam - powiedziała i z jej oczu popłynęły łzy.
 - Ucałowałem jej dłońe.
 j - Zakochasz się jeszcze raz. Być może będziesz miała dzieci, zestarzejesz się i umrzesz we właściwym czasie. A może spojrzysz wstecz i czasami o mnie pomyślisz. Gdy wrócisz, będę na ciebie
 - czekał. Odnajdę cię.
 Kręciła głową.
 - Ale jak? Mówisz, że mnie odnajdziesz, ale jak zamierzasz to zrobić?
 i - Po prostu cię odnajdę. Zawsze cię odnajdę.
 - Przecież nawet cię nie poznam. Potraktuje cię jak obcego człowieka. Mam ledwie przeciętną pamięć. Nie dorównuje na- i wet Nestorowi.
 Zaczęła płakać i przytuliłem ją najmocniej, jak mogłem.
 - Nie musisz mnie rozpoznawać. Ja rozpoznam ciebie.
 Poczułem na piersi jej mokre łkanie. '
 - Ale ja siebie nie rozpoznam.

Hopewood, Wirginia, 2007

Okazało się, że trudno zlokalizować młodego mężczyznę na- j zwiskiem Daniel Grey (pisane „Grey” i „Gray” W dwóch miejscach g licealnego albumu pamiątkowego), o którym myśli się bezustannie, lecz nie ma się żadnych informacji. Lucy wypróbowała Wszystkie standardowe sposoby internetowe i znalazła oszałamiającą liczbę &T; Danielów Greyów i Danielów Grayów. Jedyнным kryterium zawę- i zającym zakres poszukiwań był jego wiek - choć nie znała dokład- Ó nej daty jego urodzin - ale i on niewiele pomógł. Szkoła nie mia- ła aktualnego adresu ani żadnych informacji na temat Daniela. Pociuszające było jednak to, że w kostnicy też nigdy o nim nie słyszeli. 'Ś Przyciskała Claude'a z Whyburn House najmocniej, jak się od- ważyła, wpytując o tajemniczego mężczyznę, który jej szukał, ale początkowa pewność recepcjonisty zdawała się niknąć pod ostrzałem pytań. Tak naprawdę nie był pewien, czy chłopak miał na imię Daniel - może Greg? Nie był pewien, czy miał zielone oczy - możliwe, że były brązowe. l
 ' - Gdybym go zobaczył, na pewno bym poznał - powiedział i:* przepraszającym tonem.
 Okuzało się jednak, że łatwiej zlokalizować młodą, bezmieni- ldnwno zmarłą kobietę, korzystając z pomocy wróżki, hipno- rn i zawartości własnego umysłu, niż odnaleźć osobę, którą 'Ey naprawdę znała i całowała w liceum. W Anglii rzeczywiście o miasteczko Hythe i spośród kilku rezydencji w okolicy tyl-

W jednej urządzono szpital w czasie wojny. Na początku Lucy A iysłuła, że chodzi o drugą Wojnę światową, lecz w latach poprze-
ągajacych jej wybuch rodzina, do której należał dom, już tam nie
mieszkała. Rozszerzenie poszukiwań na pierwszą wojnę światową
wydawało się znacznie trudniejsze, ale Lucy tak właśnie zrobiła.

W tym sposobem natrafiła na lady Constance Rowe. W domu
A mieszkała też Lucinda Rowe, starsza od Constance o cztery lata,
ale gdy tylko Lucy zobaczyła imię Constance, wiedziała. Była pra-
jwicz pewna, że madame Esme nazwała ją tym imieniem. Constance
j była młodszą panią w Hastonbury Hall, córką lorda, wnuczką
wicehrabiego. Dom służył jako szpital podczas obu wojen.

Najwidoczniej Anglicy kochali swoje wielkie rezydencje, bo
można było znaleźć mnóstwo informacji na temat ich wiejskich
posiadłości - także to, że dom w Hastonbury stoi nadal, mimo że
w ciągu ostatniego stulecia zazwyczaj nikt w nim nie mieszkał. A

Lucy godzinami siedziała przed ekranem komputera i patrzyła
na zdjęcia posiadłości. Wpatrywała się w bramę wjazdową, a gdy
zamknęła oczy, widziała, jak droga zakręca tam, gdzie nie się-
ga zdjęcie. To niesamowite, ale znała cień rzucany przez olbrzy-
mi rząd drzew po lewej oraz łękę opadającą ku rzece po prawej.
Skąd ona to wie? A może wcale nie wie? Może się myli? Można
tylko wytworzyć jej wyobraźni?

Czuła się tak, jakby żyła w Matriksie. Uwielbiała ten film.
Obejrzała go z Marnie pięć razy, co jednak wcale nie znaczyło, że
chce, aby świat z ekranu okazał się prawdziwy.

Każde nowe zdjęcie niosło ze sobą niepokojące potwierdze-
nie. Rozpoznała zarys biblioteki za łukowatymi, wielodzielnymi
oknami wzdłuż fasady, a potem znalazła zdjęcie wnętrza, które
dowodziło, że ma rację. Potrafiła wskazać jadalnię, salę muzyczną
i kuchnię na podstawie samych zdjęć z zewnątrz. A później =
laźla plan domu, na którym Wszystkie te pomieszczenia były i"
rysowane dokładnie tam, gdzie je sobie przypomniała. Wyraź.
wyobrażała sobie schody idące w górę pośrodku holu. Choć i
wszystko wydawało się bardzo dziwne, jeszcze większą abstrak-
cją była dla niej myśl, że mogłaby należeć do takiego świata.

Lucy zastanawiała się, co powiedziałby na to jej ojciec. Szcz-
nie tym, że od siedmiu pokoleń są Południowcami. Mniejsza o
inkarnację, wróżkę, hipnotyzera i tak dalej. Co by pomyślał, gd-
by się dowiedział, że jego córka całkiem niedawno była
To byłoby dla niego chyba jeszcze gorsze niż bycie lankeską.

Im więcej dowiadywała się o krótkim i tragicznym życiu
Constance Rowe, tym mniej odległe jej się ono wydawało. Tali?
naprawdę z biegiem dni zaczęła ją opłakiwać. Jej matka,
i z ogrodów i brawury, zginęła w wypadku samochodowym, kie-afi:
dy Constance była dzieckiem (mieli jeden z pierwszych samofś:
chodów, a matka uwielbiała go prowadzić). Starszy brat poległ naĆ;
wojnie. Constance zakochała się w żołnierzu, którym opiekowa-
ła się w szpitalu (dla tej informacji Lucy nie znalazła jeszcze po-
g twierdzenia), lecz mężczyzna zmarł w wyniku odniesionych ob-
* rażeń i zostawił ją ze złamanym sercem. Zdobyła dyplom pie-
gł: lęgniarki i wraz z grupą lekarzy i misjonarzy wyruszyła do miej-
sca, które wówczas nosiło nazwę Kongo Belgijskie. Zmarła na ma-
Ä lary niedaleko Léopoldville w wieku dwudziestu trzech lat.

Obsługując za dnia blender, Lucy czuła, że żyje w dziwnym
smutku. Nie opłakiwała siebie samej - nie do końca o to chodzi - i
to - ale smutek Constance przykrył ją jak całun. if_

Teraz jej myśli zaczęły uciekać w jeszcze inną stronę. Miała
serdecznie dość miksowania soków. Czuła, że się rozplacze, jeŚ l'
śli będzie musiała ściąć jeszcze jedną garść kielków, ale musiała
wziąć nadgodziny. Potrzebowała pieniędzy na bilet lotniczy, na l

niedrogi hotel i wynajęcie samochodu, a funt nie był tani. Musiała zarobić wystarczająco, żeby dostać się do Anglii przed końcem wakacji.

Constance była prawdziwą osobą. Dom był prawdziwym budynkiem. Może listy, o których mówiła, też były prawdziwe i czekały, żeby Lucy je odnalazła? A może wszystkie informacje, których potrzebowała, żeby je odnaleźć, tkwiły w jej głowie? Ucieszyła się, że ma rację, ale jednocześnie poczuła przerażenie, znalazłszy tyle dowodów na to, że świat nie działa tak, jak myślała ona i jak sądzi większość ludzi.

Hastonbury Hall, Anglia, 1919

W starym pokoju, w jej żółtym pokoju, leżało teraz trzech nowych pacjentów. Byli ciężko ranni, przygnębieni i potrzebowali jej uwagi. Nie nazywali jej Sophią. Nie mówili ani nie czytali po aramejsku. Nie opowiadali jej historii o tym, jak wieźli ją przez pustynię na końskim grzbiecie. Mimo to Constance próbowała się nimi opiekować. -

Ciało Daniela wraz z jego skromnym dobytkiem - między innymi z koszulą, którą mu podarowała - zostało wysłane do jego rodzicowi siostr niedaleko Nottingham. Nie chciał kontaktować się z nimi wcześniej. Nie była pewna dlaczego. Może dlatego, że A od samego początku wiedział, co się stanie.

Constance siedziała na zakurzonych tylnych schodach i obserwowała mężczyzn wkładających ładunek na ciężarówkę.

Daniel nie był jedyny. Mężczyźni zamknęli pakę i odjechali. Patrzyła, jak samochód robi się coraz mniejszy, jak kurz wzno- - i? si się, a potem opada. Pamiętała czasy, kiedy parking był ogrodem przy kuchni, w którym uprawiała ogórki, pomidory, sałatę i dynie.

Zostawił jej list. Przez kilka dni nie była w stanie go przeczytać. Schowała go w swojej starej skrytce, w szafce wbudowanej w ścianę za regałem w żółtym pokoju. Miała poczucie winy, kiedy marzyła o tym, żeby ci chorzy, jęczący mężczyźni niebędący Danielem łaskawie wynieśli się z jej pokoju, zostawiając ją samą na sam z tym listem i z jej myślami.

Próbowała się skupić, ale nie potrafiła. Próbowała sobie przypomnieć nazwiska i historie choroby tych młodych mężczyzn, jakby ją obchodzili - bo przecież obchodzili - ale nie umiała zmusić umysłu, żeby przy nich pozostał. Myślała o Danielu, lecz największą obsesję miała na punkcie strasznych myśli o swoim przyszłym losie, które go zapomni. „Nie chcę go zapomnieć. Jak sprawić, żebym pamiętała?”

- Czy można udoskonalić przeciętną pamięć? - zapytała go ze łzami w oczach dwa dni przed jego śmiercią.

- Jeśli bardzo się tego chce - odpowiedział - to chyba można.

A ona chciała bardzo. Skoro Wystarczyły jedynie chęci, musiało jej się udać. Tylko jak to zrobić? Jak krzyknąć do siebie sprzed lat? Jak wyryć wiadomość w duszy Wystarczająco głęboko, by mieć pewność, że będzie z nimi podróżować przez śmierć i okaże się wystarczająco głośna, by ją usłyszeć? Nie prosiła o pamięć wszystkich swoich żyć - chciała jedynie zachować wspomnienia z tego jednego.

„Zostawię dla siebie wskazówki. Wyślę sobie sny. Dopilnuję, żebym sobie przypomniała”.

Częściej myślała o śmierci niż o życiu, a to było złe w takim miejscu jak szpital. Daniel odszedł bez niej. Co się z nim działo? Czy się bał? A jeśli tym razem nie wróci?

Jeśli w końcu straci pamięć? Jeśli śmierć sprawi, że zapomni? Może w następnym życiu będą się mijali na chodniku w Madrycie,

Dublinie albo W Nowym Iorku? Może przystaną, spojrzą na siebie i poczują jakąś dziwną tęsknotę, ale żadne z nich nie będzie wiedziało dlaczego? Będą chcieli przystanąć, ale poczują zakłopotanie i żadne z nich nie znajdzie odpowiednich słów. Potem każde ruszy w swoją stronę. Kto wie? Może takie rzeczy bez przebie przydarzają się ludziom, którzy kiedyś się kochali? Noszenie w imię tragedii, której nie można nawet rozpoznać, Wydawało niewymownie przygnębiające.

Pomysł napisania listu ukazał jej się w porannym śnie. Jeden z tych snów, tak wyrazistych, że potem wydają się prawdziwe. Jak wtedy, gdy w nocy jest zimno i myślimy, że wzięliśmy datkowy koc. Albo gdy musimy zrobić sikę i wydaje nam się, że poszliśmy do łazienki, choć wcale tego nie zrobiliśmy. *

Kiedy otworzyła oczy, list był już w połowie napisany. Chwyć kartkę i pióro i pisała bez zastanowienia, jak poddyktando. W tym sensie ten kanał łączący ją z jej sennym la Wydawał się obciążający. Kiedyś Daniel powiedział, że sny są wypełnione obrazami i emocjami z dawnych żyć, a ponieważ on pamiętał materiał źródłowy, sny były dla niego mniej tajemnicze niż dla większości ludzi.

Może to też był sen, którego mogłaby się trzymać?

Nie wiem, kim jesteś, ale modlę się, żeby ten list trafił do właściwych rąk. Modlę się, żebyś nie wzgardziła nim z powodu dziwnej treści i byś zrozumiała absolutną powagę, z którą go piszę. Jestem gigolotem?

Constance Rowe z Hastonbury Hall w hrabstwie Kent, niedaleko Hythe. Za dwa tygodnie skończę dziewiętnaście lat. Kiedyś nazywałam się Sophie, a potem nosiłam jeszcze wiele innych imion. Jeśli ten list trafi do właściwego odbiorcy, to chyba jestem Tobą, Twoją przeszłością, wcześniejszym wcieleniem Twojej duszy. Wiem, że to brzmi śmiesznie i trudno w to uwierzyć. Ja zareagowałam tak samo. Ale proszę, postaraj się uwierzyć.

Daniel opowiedział mi trochę o tym, jak to działa - o życiu, umieraniu i ponownym życiu - ale nie wszystko do końca rozumiem. Wiem, że pewne moje - Twoje cechy potrafią przetrwać każdą śmierć. Podejrzewam, że masz znamie na lewym ramieniu.

Prawdopodobnie miewasz problemy z gardłem. Śniesz o pustyni, a w Twoich koszmarach przeważnie występuje ogień. Może nawet śnimy Ci się ja i ten dom. Mam nadzieję, że tak.

Tutaj, w tym dużym domu, poznałam Daniela. Podczas wojny był tuszpitał, lecz posiadłość należy do mojej rodziny. Daniel został ranny nad Somma - w drugiej bitwie, nie pierwszej - a ja uczę się na pielęgniarkę i opiekowałam się nim. Zmarł jedenaście dni temu. Chciałam umrzeć razem z nim.

Daniel znał mnie - Ciebie już wcześniej, w wielu życiach. Pamiętam wszystko. Nie wiem, jaki będzie, kiedy go zobaczysz, skąd będzie pochodził ani jak będzie wyglądał, ale będzie miał na imię Daniel. Jeśli Cię znajdzie, przypomni sobie Ciebie. Boże, mam wielką nadzieję, że Cię znajdzie. Będzie chciał nazywać Cię Sophie i opowie Ci niezwykle historie. Z początku będziesz poirytowana, zakłopotana, a może nawet wystraszona. Jeśli musisz, poproś, żeby Ci to wszystko udowodnił. Nie lubi się popisywać, ale potrafi mówić i czytać w niebywale wielu językach, a poza tym zna się na wszystkich starych instrumentach, zarówno muzycznych, jak i naukowych. Jego umysł jest lepszy niż wielka encyklopedia. Będzie o Tobie dużo wiedział: o czym śniesz i jak myślisz. Nie da Ci to spokoju.

Proszę, uwierz mi. Otwórz przed nim serce. On może Cię uszczęśliwić. Zawsze Cię kochał, a kiedyś Ty też kochałaś go całym sercem.

Constance

Hythe, Anglia, 2007

Lucy wypożyczyła samochód na lotnisku Heathrow i pojechała do Hythe, malowniczego miasteczka z długą, szarą, kamienistą plażą nad kanałem La Manche. W powietrzu było tyle soli i że wszystko wydawało się słone i mokre, nawet ubrania, które ją z walizki. Wynajęła maleńki pokój nad restauracją przy High Street. Myślała, że to pub, ale okazał się restauracją serwującą curry. Po chwili była przesiąknięta nie tylko wilgocią, lecz także charakterystycznym zapachem tej potrawy.

Mimo ogromnego wysiłku, wydatków poniesionych po to, by przedostać się na drugą stronę Atlantyku, oraz dziwnych kłamstw, jakimi uraczyła swoich biednych, łatwowiernych rodziców, mówiąc o Constance, swojej serdecznej przyjaciółce z Anglii, która była na wymianie studentów i błagała, by Lucy odwiedziła ją w Europie, dziewczyna nadal nie kwapiła się do tego, by Wyruszyć W piętnastominutową podróż do Hastonbury. Miała dokładną mapkę. Ściągnęła ją i wydrukowała jeszcze W Ameryce, ale teraz, gdy nadeszła pora, by stanąć przed prawdziwym domem, który wyobrażała sobie od dwóch i pół miesiąca, czuła niepokój. Miała wrażenie, że od tej pory każda obawa, każda fantazja i każdy koszmar, jaki kiedykolwiek jej się przyśnił, będą mogły zmienić się w rzeczywistość. Wyprawa do Hastonbury Hall była dla niej jak umowa o życie W innym świecie, a nie wiedziała, czy będzie skłonna przystać na wywiązanie się ze swojej części kontraktu. Gdyby coś naprawdę ją wystraszyło, chciała móc odłożyć wszystko na miejsce i wrócić do domu. Podejrzewała, że to jest jej Rubikon.

Zamówiła w kawiarni filiżankę herbaty earl grey i dwa kawałki ciasta. Kupiła Marnie i jej mamie po parze skarpetek z dziecięciami osobnymi wypustkami na palce ozdobionymi podobną królowej.

„Co ja tu właściwie robię? - pytała samą siebie, idąc noga za nogą wzdłuż High Street. - Tyję i kupuję głupie, udziwnione skarpetki”. Poważnie zastanawiała się nad tym, czy nie spakować walizki, nie wyprowadzić się z restauracji z curry i nie pojechać do domu. Mogłaby wrócić na uczelnię i do zwyczajnego życia. Mogłaby chodzić na imprezy i rozmawiać z prawdziwymi, żywymi ludźmi. Mogłaby uczyć się zawodu. Mogłaby w każdej chwili porzucić to osobliwe życie duchów, w które wkroczyła. Mogłaby wypędzić ze swoich myśli Daniela, Constance i madame Esme. Usiadła na ławce i patrzyła, jak ulicą przejeżdżają małe samochody. Czy naprawdę mogłaby to wszystko zrobić?

Wsiadła do maciupkiego auta z wypożyczalni i drżącymi rękami rozłożyła mapkę. Ruszyła w drogę, którą wyobrażała sobie tak wiele razy.

*

Brama i park prowadzący do domu nie wyglądały dokładnie tak, jak je sobie wyobraziła. Gdy podjechała pod dom, zdała sobie sprawę, że w zasadzie ta wycieczka może się dla niej skończyć innym rodzajem cierpienia.

Przybyła tu gotowa wysadzić W powietrze wszechświat w jego dotychczasowej postaci, naładowana adrenaliną i zdecydowana to zrobić. A jeśli to nie ma sensu? Jeśli dom wcale nie będzie wyglądał znajomo i nie wzbudzi W niej jakichkolwiek emocji jeśli nie znajdzie W nim żadnego listu? Jeśli tego listu W owole nie było? Jeśli Lucy wcale nie ma z tym miejscem żadnego szczególnego związku? Może kręcono tu jakiś stary film, który widziała i zapomniała. Może jej wiedzę na temat tego dałoby się łatwo wyjaśnić. To wszystko wydawało jej się przyzwołgnębiając o prawdopodobne, kiedy jechała wzdłuż mulistej, posępnej rzeki. To nie był żaden Rubikon. Zaparkowała i wysiadła,

z samochodu.

W ogólnym zarysie dom wyglądał tak, jak się spodziewała, ale: różnił się prawie w każdym szczególe. To, że posiadłość była mała w ruinie, dodatkowo utrudniało zadanie. Trudno było sobie wyobrazić, że te ogrody kiedykolwiek wyglądały wspaniale. Po jednej stronie domu stały stragan z warzywami i owocami oraz sklepik, w którym można było kupić pocztówki i kubki ze zdjęciem domu. Wiedziała, że po drugiej stronie mieszka staruszek.

Był siostrzeńcem Constance albo kimś w tym rodzaju.

Lucy ruszyła w stronę sklepiku. Czytała, że dom i całą posiadłość można zwiedzić za zaledwie siedem funtów, i była na to przygotowana. A

Wyglądało na to, że sprzedająca na straganie kobieta w średnim wieku prowadzi również sklepik.

- W czym mogę pomóc? - zawołała do Lucy, która zatrzymała się przed opuszczonym sklepikiem.

- Chciałabym zwiedzić dom - odpowiedziała Lucy, podchodząc bliżej.

Kobieta pokręciła głową.

- Obawiam się, że nasz przewodnik ma dzisiaj wolne. I;

- Myślałam, że zwiedzać można codziennie między dziesiątą i; a trzecią. Mam wrócić jutro? j'

Kobieta spojrzała umęczonym wzrokiem na drugą część domu. j

- Może pani spróbować. Ale tak naprawdę on przychodzi, kiedy mu się podoba.

Lucy nie przewidziała tego problemu, ale okazał się dobrociefstwem. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej banknot dziesięciofuntowy.

A - Jestem studentką ze Stanów Zjednoczonych. Uczę się o wiejskich posiadłościach w Anglii. - Wyciągnęła banknot - Mogę się oprowadzić sama. Nie mam nic przeciwko. Obiecuję, że nie naniósę błota i nie będę niczego dotykała - zapewniła,

Kobieta zawahała się, ale tylko przez chwilę.

- - W takim razie w porządku. - Wzięła do ręki banknot -

Chyba nic się nie stanie, jeśli się pani rozejrzy. Proszę tylko nie wchodzić do pomieszczeń z zamkniętymi drzwiami. I jak już pani wspomniała, nie wolno niczego dotykać. -

E - Oczywiście - zapewniła Lucy. - Nie zajmie mi to dużo czasu, j - Czy mogłaby pani wyjść tymi samymi drzwiami?

I - Dobrze.

Kobieta pokazała palcem. i

a - Trasa zwiedzania zaczyna się wewnątrz sklepiku - Proszę pójść na zaplecze i wejść przez dwuskrzydłowe drzwi,

- Dziękuję - powiedziała Lucy, czując dudnienie w głowie,

W sklepiku Lucy zauważyła, że obok pocztówek i dzemu agrestowego stoi imponująca monografia poświęcona historii domu i ogrodów. Pobiegła z powrotem do straganu i dała kobiecie drugi dziesięciofuntowy banknot.

- Poproszę jeszcze to - dodała, unosząc książkę -

Ściskając nabytek w spoczonej dłoni, wróciła do sklepiku i weszła do domu.

„Boże, ta woń”.

Gdy znalazła się w domu, panujący w nim zapach wystarczył, by przekonać Lucy, że nie mogła go znać z filmu ani ze zdjęcia - Nie był ani obrzydliwy, ani słodki, lecz stary. Nie miał w sobie ani jednego składnika, który dałoby się zidentyfikować ~ prawdopodobnie stanowił mieszankę setek rzeczy zgromadzonych przez setki lat - ale znała go doskonale. Zapowiadał uczucie, nastrój, dziwny rodzaj bólu, który pochodzi z jakiejś głębokiej, nieużywanej

części jej ciała. Zatrzymała się, przez chwilę stała bez ruchu i ci-
szyła się, że jest sama. '

Podejrzewała, że wewnątrz domu zostało trochę przebudow p-
ne, ale знаła drogę do głównych schodów. Mijała znajome p. i
koje. Przystanęła przed salą muzyczną. Jej wzrok przesun-
się po czymś w rodzaju miniaturowego, malowanego piani-
ka. „Klawesyn” - podpowiedział nieoczekiwanie jej umysł. C
Constance na nim grała?

Wiedziała, że powinna pójść na górę, do pokoju. Czuła, że bęjł-
dzie musiała spędzić tam trochę czasu, a nie chciała, żeby sprzeŁŚL-
dawczyni przyszła jej szukać. Weszła po schodach, przewidując
skrzygnięcie każdego stopnia. Na ścianach wisiały pokrywaj ące się::
delikatnym kurzem i płowiejące na słońcu od trzystu lat gobeliny?:

Promień światła nieśmiało przenikał przez wielkie okno z brud-
nym witrażem. Wyobraziła sobie, że pod nim stoi i patrzy na kolo- *że
rowe plamy zdobiące jej ramiona. Czy to było wspomnienie?

Na piętrze skręciła W prawo. Korytarz wyglądał dokładnie
tak, jak się spodziewała. Okna głęboko osadzone W grubej zapra-
wie, wzór słojuw w deskach na podłodze. Wzdłuż korytarza by- l-
ło siedmioro drzwi. Jej sypialnia znajdowała się na końcu. Stojąc
przed nią, przypomniała sobie, że nie powinna otwierać pokoi.

Przekręciła jednak gałkę i poczuła ogromną ulgę, kiedy drzwi
ustąpiły. Zrozumiała, dlaczego przewodnik nie pokazuje tego po-
mieszczenia. Ściany były obdrapane, ale nadal miały żółty k0- '55
lor. W środku stało kilka upchniętych pod ścianą mebli - Lucy
przypuszczała, że pochodzą z lat sześćdziesiątych albo siedem-
dziesiątych. Zauważyła kilka starych, zardzewiałych krzesel ogo-
dowych ustawionych jedno na drugim. Pokój miał ładny kształt
i wysoki sufit, ale pozostawiono go na pastwę kurzu i pajaków.

Zastanawiała się, czy po drugiej woj nie światowej było tu coś jesz- A
cze oprócz magazynu. Szafa, którą sobie wcześniej wyobrażała, ;l
była przykryta prześcieradłem.

Odwróciła się W stronę regałów. Większość z nich zakrywały '
brudne połacie folii. Niewiele myśląc, podeszła do środkowego
A z trzech regałów i odsunęła folię na bok. Tuż pod linią wzroku
Ż była półka, na której stały dwa koszyki i kilka książek. Odsunęła
je. Skrytka znajdowała się z tyłu, dokładnie tam, gdzie się jej spo-
* cziewała. „Cholera - pomyślała. - Oto ona”.

Odłożyła monografię. Jej czarne od brudu ręce drżały, kiedy
przekręcała płaską zasuwę i otwierała skrytkę. Zajrzała do środ-
ka, ale było zbyt ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Bała się wło-
żyć rękę do środka. Strach, że znajdzie list, był niemal tak wielki,
ł jak obawa, że go nie znajdzie. Obydwa scenariusze wydawały jej
= się teraz nie do pomyślenia. i

z Poczwała, że czuje ucisk i ból W gardle i że z trudem oddycha.
* Włożyła rękę do skrytki. W pierwszej chwili na nic nie natrafi-
ła i doświadczyła najgorszej traumy. Niczego tam nie ma. Tylko
szorstkie drewno i kurz. Co za strata. Co ,za rozczarowanie.

Wsunęła rękę głębiej, aż do samego końca, i doświadczyła
drugiej traumy. Skrytka wcale nie była pusta. Coś W niej leżało.
Pod tylną ścianką wyczuła kartkę złożoną wiele razy. Ostrożnie
złapała ją i wyjęła.

Przez chwilę trzymała list. Zamknęła oczy, schwytana mię-
dzy dwa zestawy doznań - stary i nowy. Między pamiętanie prze-
szłości i działanie w terażniejszości. Czy na tym polega dējà vu?
Przeżywała zarówno moment składania kartki i ukrywania jej, jak
i ostrożnego rozkładania jej i odkrywania jej sekretów. Oto ona.
Pożółkła, wypłowiała, ale całkowicie czytelna, napisana starannie,
z odrobiną zawijasów albo radości. Spojrzała na dół i zobaczyła
podpis Constance. Wydawał się uroczysty, ale nie wielkopański.

Prawie czuła dotyk pióra w dłoni Constance. Była to dłoń smutnej i zdeterminowanej dziewczyny. Lucy nie wiedziała, czy się tego domyśla, czy może pamięta.

Usiadła na środku pokoju i zaczęła czytać. Patrząc na pierwsze słowa, wytarła oczy zabrudzonymi kurzem palcami.

Przed przeczytaniem dalszej części listu musiała się uspokoić. Musiała odnaleźć w sobie odwagę. To był alternatywny wszechświat. Tkwiła w nim i nie mogła wrócić. Był to świat, gdzie pamięta się rzeczy, które przydarzyły się przed urodzeniem. Świat, gdzie można komunikować się ze sobą długo po tym, jak się umiło i zakochało w chłopaku, którego później nie można było poznać.

Proszę, uwierz mi. Otwórz przed nim serce. On może Cię uszczęśliwić. Zawsze Cię kochał, a kiedyś Ty też kochałaś go całym sercem.

Kongo Belgijskie, 1922

Constance spojrzała na mroczny pokój zamknięta w kokonie gorączki. Spowijała ją ciśniej i bardziej pokrępowano niż połamie moskitiery. Marzyła o tym, by była to ta sama gorączka, która owinęła się wokół Daniela i go zabrała i która teraz w jakiś sposób zabierze ją do niego. g

Słyszała, jak inne pielęgniarki i zakonnice krzątają się wokół niej, przygotowując się na kolejny dzień naprawiania kończyn i ocalania dusz, lecz ona nie zamierzała się nigdzie ruszać.

Wychodząc, słały jej pocieszające spojrzenia. Żałowała, że nie wiąże ze swoim życiem tak wielkich nadziei jak one. Siostra Petra przyłożyła rękę do jej czoła i zostawiła szklankę wody na stoliku.

Próbowały w takich okolicznościach zwykłego leczenia. W tym stadium malarii niewiele można było jednak zrobić.

Constance była w Léopoldville już prawie dwa lata. Pół roku po zakończeniu wojny otrzymała dyplom pielęgniarki i wkrótce potem wyjechała do Afryki jako członkini delegacji złożonej z siostry Lones i dwóch lekarzy z Hastonbury. Niektórzy dobrzy ludzie mieli niezaspokojony apetyt na leczenie i naprawianie, a ona lubiła się do nich zaliczać, ale podejrzewała, że tak naprawdę kierują ją trochę bardziej skomplikowane motywy. Tutaj, przynajmniej przed chorobą, miała zajęta każdą chwilę dnia. W szpitalu otaczały ją hałas i ciągła krzątanina Wynikająca z niedostatku, a nocą? i spała w dormitorium wśród życzliwych ludzi. Musiała uciec ością; mnogości duchów w Hastonbury: od matki, brata, zrozpaczonej siostry i żyjącego złudzeniami ojca. Oraz oczywiście od Daniela. Niej?.

byłaby w stanie zostać w domu i przeżyć kolejnej straty.

Daniel wyprzedził ją mniej więcej o trzy lata. To niewiele. Myśl: o śmierci nie była taka zła, gdy towarzyszyła jej świadomość, że potem znajdzie się blisko niego.

Wiedziała, że nie powinna tak myśleć. Miała zaledwie dwa-dzieścia dwa lata. Nie udało jej się pełne, szczęśliwe życie, do jakiego zachęcał ją Daniel. Wpadła w szpony samotności, które nie chciały jej wypuścić.

W swoich gorączkowych snach często wybiegała w przyszłość, ku osobie, którą będzie następnym razem. Nie wydawało jej się to chore, lecz jakby ekscytujące. Dokąd trafi i jaka będzie? Czy Daniel naprawdę zdoła ją znaleźć, tak jak obiecał? Czy będzie umiał ją kochać? A jeśli będzie miała brodawki na nosie, gazy, cuchnący oddech i będzie pluła podczas mówienia?

Pomyślała o napisanym wcześniej liście, który zostawiła w swojej dawnej sypialni. Co zrobić, żeby go znalazła? Jak sprawić, by chociaż sobie przypomniła, gdzie go szukać? Musiał istnieć jakiś sposób i postanowiła go znaleźć. Kimkolwiek się stanie, nie będzie i

milczała W swoim nowym la. Zamierzała dać się sobie We znaki. Często myślała o początku. Nieustannie próbowała odnaleźć ten tajemniczy element W siedemnastu dniach, które spędziła z Danielem. Gdy odzyskał przytomność i zwrócił się do niej nie-j. Właściwym imieniem, zrobiło jej się go żal i potraktowała go z góry, tak jak Wielu innych chłopców. Nie przez złośliwość. Pacjenci „Ż” mieli ogromne potrzeby i przybywało ich tak Wielu, a ona była tylko jedna. Myślała, że D. Weston jest nadzwyczaj przystojnym, choć szczególnie poplątanym przedstawicielem tej kategorii, i tyle. Był zbyt chory, by odmawiać mu przyjemności. Słuchała wszystkich dziwactw, które wychodziły z jego ust, i W odpowiednich chwilach z namysłem potakiwała. Teraz żałowała, że nie słuchała uważniej, z mniejszym sceptycyzmem, bo wówczas pamiętała by to wszystko lepiej. _

Coś się bowiem wydarzyło. Poplątane opowieści okazały się prawdziwe. Było ich zbyt wiele, aby mogła je zlekceważyć. A sposób, w jaki mówił, dziwny sposób, w jaki na nią patrzył, jakby ją znał, przenikał do samego środka jej serca. Nie opowiadał tych historii jak ktoś, kto je przeczytał. Jego wizja przeszłości była dla niego ważna i obejmowała również ją. Żaden element jej błahego życia nie mógł się z tym równać. W ciągu siedemnastu dni jej politowanie zmieniło się w głęboki szacunek i bezgraniczne oddanie. Trzymał się jej, wszystkich miejsc i fragmentów jej przeszłości w sposób, który dla niej samej był niedostępny.

- Dlaczego zawsze mówisz do mnie Sophia? - zapytała go kiedyś, wiedząc, jak uporczywie trwa przy tym imieniu.

. ~ Bo gdybym przestał, naprawdę mógłbym cię stracić - odpowiedział.

*

Po jego śmierci próbowała robić coś ważnego, opiekując się najbardziej potrzebującymi. Wysyłając w dalszą drogę każde chore, opuchnięte dziecko, wiedziała, że powróci ono jako ktoś lepszy. Nie mogło być gorzej. „Zostaniesz księżną - mówiła do maleńkiego ciała. - Będziesz kręciła nosem na najdrobniejszą niedoskonałość w ubiorze. A ty zostaniesz posłem - mówiła do innego. - Całymi dniami będziesz toczył spory i gromił przeciwników, a wieczorami napychał tłusty brzuch befsztykami i wieprzowiną”.

Starła się jak mogła, ale duża część jej prawdziwego, żywego, otwartego na świat la umarła razem z Danielem. Czuli to wtedy i wiedzieli o tym teraz. Może malaria też to wyczuwała.

Miała nadzieję, że Bóg albo ktokolwiek, kto rządzi tymi 'spf Wami, nie ukarze jej za to zbyt surowo. „Proszę, wybacz, że nie starałam się bardziej. Nie chodzi o to, że nie kocham życia. Kocham je. PO prostu to jest zbyt samotne”

Hopewood, Wirginia, 2007

Nie była w liceum od tamtego okropnego balu maturalnego i myślała, że chyba już nigdy tam nie zajrzy. Jednak o siódmej wieczorem W przeddzień swojego powrotu do Charlottesville, by rozpocząć ostatni rok collegéu, Lucy znalazła się właśnie tam.

Weszła bocznymi drzwiami. Woźne pracowały do późna, przygotowując szkołę do rozpoczęcia nowego roku. Widziała kosiarzy walczących na boiskach, dwóch mężczyzn malujących ściany białymi liniami. Na korytarzach naprawiano popsułe szafki, zdrapywano grafity z pomalowanych ścian. „Powinni kazać to zrobić uczniom”.

Patrzyła na to wszystko rozkojarzona, patrzyła, jak na to patrzy, i patrzyła, jak patrzy na to, że na to patrzy, niepewna, co myśleć o najprostszyc

Ostatnio tylko przenosiła ciało z miejsca na miejsce. Wróciła z Anglii, posprzątała w pokoju i spakowała się. Odebrała Tartaka od opiekującego się nim pod jej nieobecność trzynastoletniego sąsiada (błagała chłopca, żeby zaadoptował węża na zawsze, ale jego matka powiedziała nie). Kupiła przybory na zajęcia. Sprawiała sobie nawet dwie nowe koszulki W Old Navy. Stała w przymierzalni, gapiąc się na siebie W lustrze i nie Wiedząc, kim jest. Snułał .y ze złamanym sercem i nie była pewna, kto je złamał. Przeważ ir":

dochodziła do wniosku, że zrobiła to sama.

Przeszła obok swojej dawnej szafki, przypominając sobie zdj_ cia i notatki, które przypięła wewnątrz. Pamiętała małe lusterek: W różowej ramce, W którym wypatrywała na korytarzu Daniel ł pozwalając sobie na dłuższe spojrzenia na jego odbicie, niż gd l" by miała patrzeć wprost. Prawie widziała jego rozciągnięte sy wiszące na tyłku jak u każdego innego chłopaka w szkole. B dziwny i wyobcowany, ale chciał się dopasować. Pamiętała buty(które ciągle nosił: brązowe zamszowe wallabee. Wyglądały, jak-gL by zostały wyprodukowane w 1972 roku, i łatwo się rozwiązywa-g' ty. Zastanawiała się nad sprawami, których wtedy nie zauważała; * Kto mu prał? Kto gotował mu obiad? Od kogo dostawał ochran, kiedy zawalił test? Pomyślała, że chyba od nikogo. Jednak musiał przecież ktoś taki istnieć.

Weszła do laboratorium chemicznego. Zatrzasnęła za sobą drzwi i opadła na zrosnięte z blatem krzesło. Zasłoniła oczy rękoma. Bała się, że przyjdą tu po nią duchy, a kiedy nie przyszły, poczuła, że jednak chciałyby je spotkać. Łl

Nie wiedziała, co robić. Chciała odnaleźć Daniela. Poza tym Ä' nie miała pojęcia, czego jeszcze mogłaby pragnąć ani jak żyć. Od i ponad roku nie weszła do pracowni garncarskiej. Pozwoliła, by stary ogród zarósł chwastami i został zaatakowany przez szkodniki. W tym roku nie urosły w nim nawet maliny. Zawsze mia- l? ła dryg do uprawy roślin tworzenia czegoś własnymi rękami, j ale nie wiedziała, jak sprawić, by dalej chciało jej się to robić. Nie była pewna, jak zadbać o swoją przyszłość. Stała się dorosła. Za i dziewięć miesięcy skończy college. Powinna była układać sobie życie, a najwyraźniej potrafiła jedynie je sobie niszczyć. Jak mia- ła się uwolnić od tego chłopaka? l

Przypomniła sobie swój dawny sen, w którym stoi między dwoma przedziałami w pociągu. Było ciemno, dudniący pociąg stnął po zakręcających torach, a ona ciągle próbowała się dostać i do przedziału. Walila W drzwi, kopała je i krzyczała, ale ciągle były zamknięte. W końcu się poddała, wróciła do sąsiedniego przedziału i odkryła, że on też jest zamknięty.

Tamtego wieczoru wyrzuciła Danielowi krzywdę. Czowała się z tym źle. Co by się stało, gdyby go po prostu wysłuchała? Nie i byłoby aż tak źle. Mogła zakwestionować jego słowa, spierać się z nim, a nawet zadawać pytania. Prawdopodobnie właśnie tak po- . stąpiła Constance. Lucy mogła powiedzieć: „Koleś, całujesz jak anioł, ale dlaczego mówisz do mnie Sophia?. Nie dała mu szansy, by się wytłumaczył, a co dopiero by czegokolwiek dowiódł.

Uciekła od niego jak roztrzęsiona histeryczka.

Może dlatego że wszystko zrobili W niewłaściwej kolejności. Niemal rzucili się na siebie, jeszcze zanim zdążyli się przedstawić. Nie było żadnego „Skąd pochodzisz?” ani „Masz jakieś rodzeństwo?”. W tamtej chwili wpadniecie prosto w jego ramiona wydawało się zupełnie naturalne. Potrzebne. Pragnęła go i teraz trochę lepiej rozumiała dlaczego. Właściwie nie potrafiła wtedy oderwać od niego rąk. To chyba niezbyt dobrze.

Wszystko było zbyt intensywne. Przerosło ją. Obrazy, które i wdarły się do jej umysłu, podsunęły jej myśl o szaleństwie, a te-

go zawsze bała się najbardziej. Nie chciała skończyć jak Dana. i
Zawsze kurczowo trzymała się rozumu.

Może obawiała się przejścia kontroli nad własnym umysłem - bo właśnie to próbowała zrobić Constance. Teraz było już ja- i
sne, dlaczego Lucy miała skłonność do niepasujących do nicze-
go wspomnień i mrocznych snów, dlaczego była tak podatna na
zabiegi wróżki i hipnotyzera. Jej świadomość okazała się pełna
dziur i to właśnie Constance je zrobiła. To Constance rozpaczliwie
próbowała precyzyjnie przez nie swoją wiadomość. Zakopała swój
skarb w widocznym miejscu i błagała, by Lucy go odnalazła.

Czasami Lucy rozmyślała o drugim liście ~ o tym, który
Daniel napisał przed śmiercią do Constance. Lucy nie znalazła
go w skrytce. Może Constance zabrała go do Afryki? Lucy by tak
zrobiła. Tak naprawdę nie można jednak było poznać jego A:
szych losów Lucy ogarniała frustracja na myśl, jak mało wie i j ;ł
niewiele małych skrawków informacji musi jej wystarczyć.
Była zła na Constance za to, że tak ją nękała, i jednocześnie
to jej przykro, że sprawiła Constance zawód. Po wszystkich sta-
raniach Constance wszechświat w końcu pobłogosławił ją/ jedn-
chwila sam na sam z Danielem, a Lucy pozwoliła mu odejść. „OIE
może Cię uszczęśliwić” - napisała Constance W liście. Trudno byw-
to mieć do niej żal, że pragnęła tego szczęścia. ~

Lucy było przykro także ze względu na Daniela. Żałowała, że
nie może spojrzeć mu W oczy i go przeprosić. Gdyby mogła
ciąć ze swojego życia jedną godzinę do poprawki, wycięłaby wła- l;
śnie tę. Jednak choć ten nowy wszechświat dopuszczał wiele nie-
zwykłych rzeczy, na coś takiego nie pozwalał. JŚ

„Ale wiedziałaś, że go kochasz” - powiedział cichy głosik
w głowie Lucy, sprawiając, że zastygła w bezruchu. Nie była pew-
na, czy poczuła się lepiej czy gorzej. Kochała go. W głupi, dzie-
cinny, przytłaczający sposób. Jednak kochała. Coś czuła, praw- l-
da? Wiedziała, że on jest dla niej ważny. Niesamowicie ją pocią- l;
gal. Za możliwość zamienienia z nim jednego słowa była gotowa
oddać wszystko, co posiada. Pragnęła go, bez względu na to, jak
bardzo spartaczyła sprawę.

Gdyby tylko mogła z nim teraz być. „To nie może się tak skoń-
czyć” - myślała zrozpaczona.

Wszystko wskazywało jednak na to, że albo utonął w rzece i
Appomattox - i to z jej winy - albo żył i dał sobie z nią spokój. j;
Przecież gdyby żył ~ jak twierdziła Esme-Martha - mógłby ją Od- tē
szukać, prawda? Pozostawiała wiele śladów. Jej numer był wksiąż-
ce telefonicznej, podała w szkole aktualny adres, zamieściła po- i
trzebne informacje w internetowym spisie studentów, wiedział,
gdzie mieszkają jej rodzice, nie wspominając o tym, że w każdej
chwili mógł zajrzeć na Facebooka i kilka innych stron w sieci.

„Daniel nie chce mnie znaleźć”. Może raz spróbował, a może nie, "p:
ale brakowało dowodów na to, że naprawdę mu na tym zależy.

Przypomniała sobie starą mantrę Marnie: gdybyś mu się p0-
dobała, tobyś o tym wiedziała. Te słowa wzbudziły w niej dziw-
ną tęsknotę. Podobała się Danielowi. Albo przynajmniej bardzo
chciał ją pocałować. Albo przynajmniej podobała mu się 0 tyle,
0 ile uważał ją za Sophię. Powstrzymała tok swoich myśli. Czy to

A znaczyło, że rację miała Mamie, czy może Lucy?
i Nękała ją jeszcze jedno: kim była Sophia? Kiedy Żyła? Czy na
p; długo przed Constance? Iak długo? Podniosła lewą rękę. Była na
i niej blizna, tak jak przewidziała Constance, ale przecież zrobił
ją haczyk wędkarski, nie urodziła się z nią. Czy pozostało w niej
coś z Sophii? Iak silne było faktyczne oddziaływanie duszy? Czy
jakaś część Sophii nadal tkwiła W jej pamięci i w jej osobowości?
Prawdopodobnie nie. Prawdopodobnie pozostało po niej tylko

oddanie Daniela, a teraz je również straciła. Gdy zdał sobie sprawę, że kocha dziewczynę, która już nie istnieje, ostatecznie się wycofał.

Musiał kochać Sophię, skoro trwał przy niej aż tak długo. Musiało go zboleć, kiedy zobaczył, że zniknęła, zastąpiona tchórzem.

Lucy wstała i powoli wyszła ze szkoły bocznymi drzwiami. Słońce już jaskrawo zachodziło, tworząc obraz ognia i zapomnienia nad domem, do którego wracała. Chodziła tędy tysiące razy, ale teraz wszystko wyglądało inaczej.

To przez ten list. Zwykła stara kartka złożona i wsunięta do torebki miała wystarczającą moc, by roztrzaskać na części świat, który Lucy знаła, i pochłonąć jej umysł, we śnie i na jawie. Nie odpowiedziała jej jednak, co robić. Nie stworzyła nowego świata. Zostawiła Lucy, by ta snuła się po gruzach starego.

St. Louis, Missouri, 1932

W latach trzydziestych, gdy j ako dziecko dorastałem na przedmieściach St. Louis, zbudowałem gołębnik na dachu garażu.

Kupiłem jaja od hodowcy posiadającego stare stado i otoczyłem gołębie troskliwą opieką. Planowałem loty treningowe, które miały być wyzwaniem, lecz moje ptaki zawsze docierały do domu przede mną. Chyba nigdy wcześniej nie byłem bliżej ojcostwa - i pewnie nigdy nie będę.

Zawsze uwielbiałem ptaki. Już w pierwszym życiu zbierałem pióra rzadkich albo pięknych gatunków i nadal mam większość z nich. Może kiedyś stworzę z moich zbiorów muzeum przyrody. Większość z tych ptaków jest dziś nie tylko rzadka, ale wręcz wyginęła - w niektórych wypadkach setki lat temu.

Zawsze fascynowało mnie latanie i lotnictwo. Już jako dziecko czyłem braci Wrightów. W czasach ich pierwszych lotów byłem małym angielskim chłopcem. Później zdałem sobie sprawę, że Wilbur żyje od wieków, a Orville jest zupełnie nową duszą. To zawsze gwarantuje najbardziej twórcze duety (pomyślcie o Lennonie i McCartneyu i spróbujcie zgadnąć, który z nich jest starszy).

W tym samym życiu po raz pierwszy leciałem samolotem, i oczywiście nazywanym „Jenny”, takim jak dwupłatowce, które śmigły mi nad głową podczas pierwszej wojny światowej. Kiedy miałem osiem lat, ojciec zabrał mnie na spektakularny pokaz i kupił mi bilet na lot. Pamiętam, jak wznosiliśmy się nad pasem startowym, który pod moim zachwyconym spojrzeniem stawał się coraz mniejszym skrawkiem patchworkowej narzuty, podczas gdy ojciec zmieniał się w małą figurkę stojącą w tłumie. Przysięgam, że wtedy po raz pierwszy ujrzałem krzywiznę ziemi. Była to jedna z tych chwil, w których czułem najgłębszy szacunek do ludzkości. Przeżyłem takich kilka. I wiele takich, w których czułem coś dokładnie odwrotnego.

Ojciec zabrał mnie też na lotnisko Lamberta w St. Louis, żeby zobaczyć powrót Charlesa Lindbergha z Chicago z jednym z pierwszych transportów poczty lotniczej. Później brałem w tym życiu lekcje pilotażu, ale przed śmiercią nie zdążyłem zdobyć licencji pilota.

Gdy wspominam tamto wcielenie, zawsze wyobrażam sobie siebie wśród ptaków, codziennie o zmroku, wsłuchanego w dźwięki dzielnicy na dole, w głosy ojców wracających z pracy, nawoływania dzieci jeżdżących rowerami i w dźwięki radiodbiorników dobiegające z okien salonów, zadowolonego, że mogę obserwować życie płynące u moich stóp.

Stworzyłem dla gołębi regularne trasy przelotowe z domu i ze szkoły. Kiedyś wysłałem w ten sposób liścik do ładnej dziewczyny, z którą chodziłem na angielski, a innym razem podesłałem na-

uczycielowi historii pracę domową, gdy zachorowałem i musiałem zostać w łóżku. Kiedy powinienem był uważać na lekcjach, przeważnie patrzyłem przez okno i myślałem o niebie, a moje gołębie siedziały na parapecie.

Kiedyś, podczas bożonarodzeniowej Wizyty u rodziny w Milwaukee, podarowałem kuzynowi gołębicę imieniem Snappy. Snappy jechała tam z nami siedem godzin, a jeszcze przed Nowym Rokiem była u mnie z powrotem. Nie mogłem uwierzyć, kiedy zobaczyłem, jak idzie do mnie po trawniku przed domem. Ku x był zawiedziony, ale po czymś takim nie byłem w stanie podać mu Snappy po raz drugi. ~

Pewnego wieczoru czułem się samotny i smutny, więc napiłem do Sophii list, włożyłem go do specjalnej kapsułki i przyczyniłem ją do nogi Snappy. Wysłałem ją w drogę, myśląc, że wróci przed obiadem, ale nie wróciła. Czekałem tydzień, potem ;! Po miesiącu byłem zrozpaczony. Poświęciłem Snappy dla beznędziej sprawy i czułem się z tym okropnie. V

Mijały lata i czasami w chwilach samotności wyobrażała sobie Snappy lecącą nad oceanami i kontynentami, nad górmi, lasami i wioskami. Marzyłem, że jej oczy są moimi oczami? Wyobrażałem ją sobie w hrabstwie Kent, w Londynie, nad kanałami: La Manche, jak leci, pragnąc dostarczyć mój list. Wyobrażałem sobie przycupniętą na dachu Hastonbury Hall, czekającą na pośł wrót Sophii do domu. Czasami snułem nawet fantazje o tym, że Snappy ją odnalazła i udało jej się to, co nie udało się mnie. 'féi!i Odmierzałem upływ czasu długością nieobecności Snappy i wiekiem Sophii. W dniu, w którym ukończyłem szkołę; t; Snappy nie było od dwóch lat i trzech miesięcy, a Sophia miała lat czterdzieści. Pierwszego dnia mojej praktyki w szpitalu Snappy i g nie było od jedenastu lat i jednego miesiąca, a Sophia dobiegała czterdziestego piątego roku życia. l;

Gdy od wylotu Snappy minęło trzynaście lat i dwa tygodnie, 3 a Sophia miała lat pięćdziesiąt jeden, odwiedziłem chorego ojca ś w naszym starym domu. Wyszedłem na dach garażu i w promieniach zachodzącego słońca usiadłem obok gołębnika. Spojrzałem 7 przed siebie i zobaczyłem szarą gołębicę idącą po podjeździe. j Znajomym ruchem rozłożyła skrzydła i podfrunęła, by stanąć obok mnie na dachu gołębnika, w którym od lat nie mieszkaly r_ ' już gołębie. Zobaczyłem, że gołębica nadal nosi przy nodze kapsułę z moim starym zwiniętym liścikiem. Nie udało jej się znaleźć Sophii, ale przynajmniej odnalazła drogę do domu.

Hinesville, Georgia, 1968

W 1968 roku miałem czterdzieści dziewięć lat - rzadko udawało mi się dożyć tak zaawansowanego wieku. Pamiętam, jak szedłem w stronę opuszczonego placu zabaw w bazie wojskowej - chyba w Fort Stewart - w Hinesville w Georgii. Niebo było szare, a huśtawki nieliczne i zardzewiałe. Przyglądałem im się, właściwie nie wiedząc, dlaczego to robię. Bawiła się tam tylko jedna dziewczynka, która huśtała się na huśtawce z wielką determinacją, pomagając sobie nogami, jakby właśnie się tego nauczyła. Spojrzałem na zegarek, czekając na Bena i wiedząc, że najbliższej nocy czeka mnie długa podróż samochodem. Czekałem i patrzyłem na dziewczynkę na huśtawce. Przestała uginać nogi i pozwoliła, by huśtawka stopniowo straciła rozpęd. Obróciła rączkami łańcuchy i zaryła nogami w piachu.

- Cześć, Daniel- zawołała.

Pomachała gorliwie, tak jak machają dzieci.

Podszedłem do niej.

- Ben? - zapytałem ze zdziwieniem.

- Nie, Laura - odpowiedziała. Wyglądała na jakieś sześć-siedem lat. - Dostałeś mój list? i
 - Tak. Nie wiedziałem, że jesteś aż taki młody. Pokiwała głową.
 - Staralam się pisać najładniej, jak potrafię. 2
 - Jak mnie znalazłeś?

Wzruszyła ramionami. Pogrzebała nogą w piachu, brudząc białe buciki i różowe skarpetki. Ja nawet jako dziecko zachowywałem się bardzo dorośle. Nie oczekiwałem, że odpowie na moje pytanie. Nigdy nie wiedziałem, jak Ben mnie odnajduje, ale glądało na to, że jeśli chce mnie odnaleźć, zawsze mu się udaje.

- Teraz mieszkasz tutaj? - zapytałem. i

Pokiwała głową, pociągając za jeden z drewnianych guzików płaszczyka. ,

- Najpierw w Teksasie, potem w Niemczech, a teraz tutaj.
- Córeczka trepa, co?

Spojrzała na mnie z urazą. A

- To nie było miłe. ›

Wiedziałem, że w środku tkwi mój przyjaciel Ben oraz wiele jego innych wcieleń, ale trudno było je dostrzec w tej małej dziewczynce. Uśmiechnąłem się. -

- To tylko takie wyrażenie. Nie chciałem powiedzieć nic złego. Przecież wiesz.

Wzruszyła ramionami. Ciekło jej z nosa, więc wytarła go niecierpliwym gestem, nie zwracając sobie głowy chusteczką. Knykcie i palce miała grube i mało precyzyjne. Przyłapałem się na tym, że wpatruję się w nie ze zdumieniem. Ń

Ja nigdy nie żyłem w swoich ciałach wtaki sposób. Zawsze im się narzucałem. Nadawałem sobie imię i próbowałem być tym samym człowiekiem co wcześniej. Miałem te same pasje i próbowałem trzymać się tego samego stylu życia. Wiele przedmiotów przechowywałem przez kolejne wcielenia. Nawet w ten sam sposób nosiłem ciała - ten sam chód, ta sama fryzura, te same gesty...

Albo przynajmniej jak najbardziej podobne.

- Jesteś jak chomik - powiedział mi kiedyś Ben. - Uwielbiasz wszystko gromadzić.
- Wyjeżdżam w przyszłym tygodniu - oznajmiłem mu teraz.
- Możliwe, że przez jakiś czas mnie nie będzie.
- Dokąd się wybierasz? - zapytała i znowu zaczęła się huścić.
- Do Wietnamu.
- a - Dlaczego?
- Potrzebują chirurgów. Ja potrzebuję wojny - odparłem trochę zbyt bez trosko.

Nie wierzyłem w sens Wojny, ale uważałem, że mogę ocalić kogoś życie i dodać otuchy swoją obecnością. Nie udało mi się zginąć w czasach Walki o prawa obywatelskie, choć parę razy zostałem aresztowany. Tym razem śmierć mogła przynieść coś dobrego.

- Po co ci wojna?

Spojrzałem jej w oczy, żeby zobaczyć, czy dostrzegę w nich Bena. Nie było łatwo. Chyba bym go nie poznał, gdybym nie wiedział, że tam jest.

- Sophia się starzeje - powiedziałem ze szczerością, na którą pozwalałem sobie tylko wobec Bena. - Musi mieć z siedemdziesiąt lat. Nie widziałem jej od pierwszej Wojny światowej. Zniknęła. Pewnie wyszła za mąż i zmieniła nazwisko. Dawno temu spotkałem służącego z Hastonbury Hall. Mówił, że pojechała do Afryki.

- Zapiąłem kurtkę, bo zrobiło się zimno. - Pora zacząć od nowa.

Dziewczynka wydała się skrępowana. Znowu pociągnęła za guzik. Zeszła z huśtawki i zbliżyła się do drabinek.

- Chyba nie jesteś w stanie kontrolować tych spraw - oznajmiła, wdrapując się na niego.

Nagle poczułem zniecierpliwienie. Ben był jedyną osobą na świecie, która mogła zrozumieć. Nie zamierzałem z tego rezygnować, bez względu na to, w jakim ciele akurat żył.

i- Ben, Wiem, że rozumiesz.

- Nie nazywam się Ben. - Wdrapała się na drążek i pokręciła głową.

- Przepraszam - powiedziałem. - Łatwiej mi trzymać się dających imion. Nie wiem, jak się bez tego obchodzisz. Ja od dawna jestem Danielem.

Słuchała mnie z uwagą.

- Ale ja mam na imię Laura - oznajmiła. - Wdrapała się na najwyższy drążek i usiadła na nim.

- Laura - powtórzyłem, próbując okazać wolę współpracy.

- Za bardzo próbujesz wszystko kontrolować i w końcu stał się taki jak twój starszy brat. Przestaniemy nawet umierać i rodzić się na nowo.

Mówiąc to, odwróciła głowę.

Podszedłem bliżej, żeby lepiej słyszeć.

'- Co masz na myśli?

- Po prostu będziesz brał ciała, które mają już duszę, żeby być, kim chcesz i kiedy chcesz, a to jest po prostu złe. "Śl.

Gdy znowu na mnie spojrzała, w jej oczach zobaczyłem łzy.

Zamurowało mnie. Przez chwilę milczałem. Å

- On tak postępuje? - zapytałem.

Przytaknęła z tak wielką powagą, że zrozumiałem, dlaczego zostałem wezwany. Chciała, żebym o tym wiedział. <

- Jak to robi?

- Najpierw zabija ich dusze - odpowiedziała z prostotą.

Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Nigdy nie przyszło mi to do głowy. Nie wiedziałem, że to możliwe.

- Skąd wiesz? ' f

Nie było sensu zadawać tego pytania. Im dłużej znałem Bena, tym bardziej był niezwykły. Posiadał wiedzę, przedwiedzę i wszystko pomiędzy nimi. Zdawał się skupiać w sobie wszystkie wszechświaty, zarówno te ze strukturą czasową, „ jak i bez niej. Moim zdaniem jego wiedza nie ograniczała się do doświadczeń w świecie. Kiedyś przeczytałem wiersz o człowieku, który miał tak wspaniałą wyobraźnię, że stała się ona historią świata. i Pomyślałem wtedy o Benie. Jednak nie było sensu go pytać, skąd to wszystko wie.

- Jesteś pewny? - zapytałem, również na próżno. - Może się mylisz?

Skupiła na mnie spojrzenie ogromnych, mądrych oczu.

- Chciałabym się mylić.

> Już kiedyś usłyszałem te słowa - gdy była Benem. Wtedy, podobnie jak teraz, chciałem, żeby to była pomyłka, ale nie miałem złudzeń.

- Od dawna go nie widziałem - powiedziałem. - Od sześćset-siedmiuset lat. I Wtedy nawet mnie nie rozpoznał.

- - Bo on nie widzi. - Obróciła się na drążku. - Pamięta i potrafi kraść ciała, ale nie umie zajrzeć w głąb. _

- Co masz na myśli? Nie potrafi rozpoznać duszy?

Przecząco pokręciła głową.

` - Gdyby potrafił, już by cię znalazł.

Przez chwilę patrzyłem, jak kołysze się na drążkach. Chciała mi pokazać, że potrafi się huśtać jak Tarzan. Kazała mi patrzeć, zabraniając spoglądać na zegarek i na drogę za moimi plecami, ' dopóki w końcu, po wielu próbach, nie dopięła swego.

Gdy tylko zaczęło się ściemniać, poszedłem z nią W stronę jej domu.

- Mam cukierki. - Wyjęła paczkę chickletsów i otworzyła ją.
- Mogę cię poczęstować. - Wyłuskała jednego malutkiego zielonego cukierka i podała mi go. Miała tak lepkie i zasmarkane ręce, że nie miałem ochoty go jeść, ale i tak wziąłem. - Tak naprawdę to guma - dodała z zadowoleniem. Przytaknąłem. Gdy skręciliśmy za róg, wzięła mnie za rękę. - Mieszkam tam - oznajmiła, i Wskazując mały parterowy domek, taki sam jak reszta domków przy ulicy.
- Aha.

Patrzyłem na nią ze szczerym zdumieniem. Iak to możliwe, że nosi W swojej małej główce historię świata ze wszystkimi jego problemami i bolączkami, a mimo to umie się zachowywać jak mała dziewczynka? Nie rozumiałem, jak zdołała aż tak się upodobnić do zwyczajnego dziecka.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Wiedziała, o czymgśg ślę - jak zwykle. 1

- Lubię być zwyczajna, bo dzięki temu mojej mamie jest ła 5 k4
Patrzyłem, jak ostrożnie wkłada paczkę chickletsów z po-
tem do kieszeni i biegnie do domu.

Charlottesville, Wirginia, 2008

A Danielowi zawsze udawało się znaleźć W internecie jej aktualne miejsce zamieszkania. Za dwa miesiące jej życie miało się stać nieprzewidywalne. Prawdopodobnie skończy studia. Nie wiedział, czym chciałaby się zająć później, i nie miał możliwości jej zapytać. Radość, którą dawało mu ujrzanie jej nazwiska wypisanego małymi literkami na jaskrawym ekranie, była prawie smutna. Czerpał absurdalną przyjemność ze starannego przepisywania jej imienia - i adresu na kartkę. Nawet nie jej prawdziwego imienia, tylko tego, które nosiła teraz. Oznaczało ono, że Sophia żyje w tym samym świecie co on. Była tam, gdzie się jej spodziewał. Była bezpieczna.

Ten smutek różnił się od niepokoju i przygnębienia, które ł czuł, kiedy ponownie ją tracił.

A i Czasami miał wrażenie, że jego życie stało się żałośnie proste. Był szczęśliwy, kiedy wiedział, gdzie Sophia przebywa, i za-troskany, kiedy mu znikiała. A znikiała często - czasami na setki lat. Wiedza na temat jej aktualnego miejsca w świecie - nawet jeśli nigdy nie mógł jej dotknąć - dawała mu głęboką satysfakcję i trochę gardził sobą za tę radość z takiej błahostki.

„Mógłbym ją zobaczyć - powtarzał sobie. - Wiem, gdziej 'i
Gdybym chciał, znalazłbym ją z łatwością”.

Było to marne pocieszenie. Element jego samego, któremu ufał. Część niebezpieczeństwa tkwiącego W tak długim życiuu świadomością, że będzie się wracało bez końca, polegała na ciągłym odkładaniu życia na potem, aż W końcu W ogóle przestaw i? się żyć. Dlatego że zawsze można było zacząć od nowa. Dopó mogło się żyć, tak naprawdę nigdy się nie żyło. Póki i tego się n_, zmarkowało. _ 'LIT

To dlatego przejeżdżał przed jej domem W Hopewood trzy zy W ciągu minionego lata, ale nigdy się nie zatrzymał i nie zal pukał do drzwi. To dlatego w listopadzie godzinami przesiadywał na ławce przed jej akademikiem, odmrażając sobie tyłek, al nie zawołał jej, kiedy zobaczył, jak mija go szybkim krokiem. dlatego wieczorem, przed zaśnięciem, zaglądał na jej stronę na? Facebooku w poszukiwaniu zdjęcia albo najnowszych informa-,j cji, ale nie zaprosił jej do grona znajomych. 'i

I choć kartka z jej imieniem i adresem go uszczęśliwiała, takli naprawdę to munie wystarczało. Nosił ją przy sobie przez półto-

ra tygodnia, zanim W końcu wsiadł do samochodu i pojechał do Charlottesville. *

Wziął jednodniowy urlop. Włożył fedorę, którą trzymał od lat czterdziestych. Wsunął na nos okulary przeciwsłoneczne, które dwa dni wcześniej wybrał W Target. Wydawało mu się, że powinien być niewidzialny, ale zdał sobie sprawę, że bardziej przypomina karykaturę kogoś, kto chce być niewidzialny. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie chce zostać zauważony. Jeśli nie przez nią, to może przez kogoś, kto ją zna i kto wieczorem albo nazajutrz powie do niej: „Pamiętasz tego dziwnego chłopaka z liceum? Daniela jakiegoś tam? Widziałam go w kampusie”.

Co Sophia wtedy pomyśli? Czy w ogóle o tym pomyśli? g Czekał na nią na ławce niedaleko jej akademika. Z mapy wynikało, że musi tamtędy chodzić na większość zajęć i w końcu powinna się zjawić. Trzymał gazetę, z której nie przeczytał ani słowa. Doszedł do wniosku, że byłby z niego fatalny detektyw.

i Każda z pierwszych kilkunastu osób, które go minęły, wywoływała ukłucie nadziei. Po godzinie musiał się uspokoić. Choćby z tego powodu, że jego ciało zużyło już całą adrenalinę, jaką dysponowało.

Dwie godziny później zaczął powątpiewać W to, że Sophia w ogóle istnieje. To dość niezwykle, że po milionach godzin, które przeżył, te dwie tak bardzo mu się dłużyły. Gdy w końcu się zjawiła, prawie ją przeoczył. Wyglądała inaczej, niż się spodziewał. Nie szła W rozgadanej grupie przyjaciół, jak miała W zwyczaj W liceum. Była sama. Miała spuszczoną głowę i była tak pochłonięta myślami, że kiedy patrzył, jak przechodzi obok i zaczyna się oddalać, ledwie ją poznał. To był jej chód, subtelnie powiązany i z wcześniejszymi sposobami poruszania się, a jednak wolniej i mniej dopasowany do otaczającego ją świata. Dół jej ciemnoczerwonej sztruksowej kurtki wywinął się do góry. Podszewka zsunęła się, odsłaniając dyndające nitki. Na ten widok zrobiło mu się smutno.

Wstał i ruszył za nią, zachowując rozsądną odległość. Jej jasne, gładkie włosy były związane gumką. Przedziałek, który W tym życiu, podobnie jak W poprzednich, był prostą linią pewności siebie, zbaczal teraz na boki na całej długości głowy. Torebka zsunęła jej się z ramienia. Rzucona przez kogoś piłka przecięła Sophii drogę, i choć on się wystraszył, ona prawie jej nie zauważyła.

Czekał przed Bryan Hall, aż jej zajęcia dobiegną końca, a potem poszedł za nią piękną, krętą dróżką przez ogrody, obok rotundy, do biblioteki. Wszedł za nią na pierwsze piętro i próbował zachować bezpieczny dystans, kiedy zmierzała W stronę jednej z cichych sal do nauki za szklaną ścianką działową. Mógł tam za nią wejść, tak żeby go nie zauważyła. I choć kusilo go, żeby to zrobić, jakaś jego część się zatrzymała. Rezerwa dziewczyny sprawiała, że trudniej było tak po prostu ją zaczepić. To słowo cicho zadźwięczało w jego głowie. O nim też często mówiono, że jest „pełen rezerwy”.

Minął sale pełne studentów wpatrzonych W ekrany komputerów. Na zewnątrz było cudownie i rześko, nastąpiła chyba najłepsza pogoda W Charlottesville, a mimo to okna były zasłonięte 14.

Wszyscy krzepcy młodzi ludzie, kwiat naszego gatunku, pochylali się nad ekranami. Z jakiegoś powodu W umyśle mignął obraz gajów oliwnych na Krecie podczas dożynek, pulsująca młodość i pięknych ciał. Pomyślał o testosteronie kipiącym pokładach statków wracających do Wenecji, o dzieciach początkach i chorobach złapanych W ciągu tych kilku pierwszych nocy W domu. Przypomnił sobie kampus Washington University W St. Louis pod koniec lat czterdziestych oraz wszystkie imprezy

zy i koce rozłożone na trawnikach W słonecznych dniach wrze
śnia. Mógł pomyśleć, że to pokolenie jest po prostu bardziej pra@
cowite, ale szybkie spojrzenie na salę pokazało, że na Większości
ekranów widać Facebooka, YouTube i przeróżne blogi poświęcoi?
ne najnowszych informacjom. Miał ochotę powiedzieć tym lu?:

dziom: „Powinniście częściej wychodzić”. s”

Znalazł wolny stolik z boku, skąd mógł ją obserwować. Nie@
otworzyła torebki, by wyjąć z niej książki, lecz siedziała, ścisła-l _
jąc ją na kolanach i patrząc przez okno. Nie wyglądało na to, być f’-
patrzyła na coś konkretnego.

Zapadał zmierzch. On wciąż patrzył na nią, a ona na coś nie-
określonego. jej twarz W tym smutku wydała mu się urocza. i,
Żałował, że nie wie, co zaprzęta jej myśli. Żałował, że nie Wierzy
W to, by jego pojawienie się mogło sprawić jej radość. Nieśmiało
stawił kroki empatii. Wiedział, że mogłyby go zaprowadzić da-
leko, ale nie wiedział, dokąd dokładnie. i j i

Pragnął ją Widzieć i być blisko niej. Nie chciał jej stracić z oczu Ł
ani na chwilę. Miał jednak poważne Wątpliwości co do spotkania
z nią. już nie był w tym dobry. Cóż mógł jej zaoferować? Długie
i szczęśliwe życie? Nigdy nie żył długo, więc to wydawało się ma-
ło prawdopodobne. Często znajdował sposoby, by zakończyć ży-
cie przedwcześnie, ale nawet jeśli tego nie robił, nie dożywał sta-
rości. A szczęście? Przeżył kilka szczęśliwych chwil, głównie z nią.
W tym też marnie mu szło. Mógł przyjąć Od niej szczęście, ale czy
potrafił je dać?

I co z dziećmi? Były naturalnym i ważnym składnikiem dłu-
giego, szczęśliwego życia, a on pod tym względem także się nie
sprawdzał. Nie chodzi 0 to, że był słaby W łóżku - był bardziej
niż kompetentny, może nawet dobry, mimo że ostatnio nie miał
zbyt dużo praktyki. Żył jednak grubo ponad tysiąc lat, przeważ-
nie osiągał dojrzałość płciową i kiedy nadarzyła się okazja, upra-
wiał seks, prawie wyłącznie przed epoką antykoncepcji. Nigdy nie
, potrafił zrozumieć, dlaczego nie spłodził żadnego dziecka.

Niektórzy ludzie robili to bez wysiłku i często. Wystarczy po- *
myśleć o tych wszystkich przypadkach, kiedy facet łąduje na tyl- *
nym siedzeniu samochodu z dziewczyną, której nie zna z nazwi-
ska, i nagle - czary mary! - znów staje się ojcem. Czy tacy męż-
czyźni mieli coś, czego jemu brakowało?

Kiedyś tłumaczył sobie, że pewnie spłodził kilkoro dzieci i po
prostu o tym nie wie. Właściwie już W to jednak nie wierzył. Czuł,
że to nieprawda. Gdyby coś takiego się stało, miałby aż nazbyt
wiele okazji, żeby się dowiedzieć. To nie było coś, czego nie zrobił.

To było coś, czego nie potrafił zrobić. I nie wiedział dlaczego.
i Na początku myślał, że W końcu trafi mu się ciało z parą do-
brych, działających jąder, które wyprodukują życiodajną spermę.
Teraz już wiedział, że prawie na pewno je miał. Jednak to nie ją-
dra stanowiłyoprobem. Chodziło o niego. Chodziło o jakiś nie-
wytłumaczalny wpływ, który za każdym razem wywierał na swo-
je ciało.

Może to przez Pamięć. Może była dziedziczna? Może Bóg do-
strzegł swój błąd i nie mógł go naprawić, lecz podjął pewne kro-
ki, aby już się nie powtórzył?

Wstał i podszedł do szklanej ścianki, która go od niej oddzie-
lała. Przyłożył do szyby dłoń, a potem czoło. Gdyby teraz pod- i
niosła głowę, zobaczyłaby go. Prawdopodobnie by go rozpozna-
ła. Pomyślał, że jeśli Sophia podniesie głowę, podejdzie do niej.

A jeśli nie, zostawi ją w spokoju.

„Nie podnoś głowy”.

„Proszę, podnieś głowę”. i

Przypomniał sobie ich ostatnie spotkanie na tym okrop 'w

balu. Wspomnienia towarzyszył wstyd, jak zawsze. Wtedy sprawa jej tylko cierpienie. Czy teraz mógł zaferować coś lepszego?
Obserwował ją, dopóki za oknami nie zrobiło się zupełnie ciemno, ale ona nie podniosła głowy. Nie podszedł do niej, pogrążony we własnych zawitych myślach.
Długo rozmyślał o jej bezpieczeństwie, ale zapomniał pomyśleć o jej szczęściu.

Fairfax, Wirginia, 1972

Udało mi się umrzeć gwałtowną śmiercią w bitwie pod Khe Sanh wiosną 1968 roku. Zginąłem od ognia artyleryjskiego pod koniec tego gorzkiego oblężenia, na chwilę przed końcem operacji „Pegaz”.

Potem urodziłem się w rodzinie nauczycieli w Tuscaloosie w stanie Alabama. Mieszkaliśmy w domu niedaleko Wielkiego stawu, nad który zimą przylatywały gęsi. Moi dziadkowie, rodzice mamy, mieszkali przy tej samej drodze.

W 1972 roku, kiedy miałem cztery lata, przeprowadziliśmy się do Fairfaksu w Wirginii. Ojciec został kuratorem szkolnym. Pamiętam, że było mi smutno opuszczać gęsi i dziadków, zwłaszcza dziadka Josepha, który kochał samoloty równie mocno jak ja.

Mieszkaliśmy w pokoju z dwoma braćmi i tym razem miałem szczęście być najstarszy, więc to ja nadawałem ton częstotliwości i zaciekleści naszym bójkom. Z jednym z braci służyłem wcześniej podczas Wielkiej Wojny, a drugi był nową duszą. Był tak nadpobudliwy, że nie potrafił usiedzieć przy stole, ale cechowała go także niezwykła pomysłowość, zwłaszcza gdy chodziło o petardy.

Moja matka w poprzednim życiu była moją nauczycielką w pierwszej klasie i kochałem ją za głos stworzony do snucia o wieści, za jej sok i ciasteczka. Czytała science fiction, uprawiała zwycięstwa w konkursach i była cudowną matką, ni: z najlepszych, jakie miałem. Kiedy drapała mnie po plecach *Ś bo opowiadała wieczorem różne historie, myślałem: „Jesteś ną z moich najlepszych matek”. rż;

Kilka miesięcy po naszej przeprowadzce do Wirginii Wydarło się coś w rodzaju cudu. Wszyscy pięcioro siedzieliśmy w kościele. Pamiętam, że mój najmłodszy brat był jeszcze niemowlęciem. Wpatrywałem się w swoje małe półbuciki, które dyndały mni więcej trzydzieści centymetrów nad podłogą. Przekartkowałem książeczkę do modlitwy i przeczytałem kilka fragmentów po łacińsku. W tym wieku zazwyczaj zaczynam sobie szybko przypalać minę i analizować dawne życie. Nie pamiętałem, że znam „tajcinę, dopóki nie zaczęliśmy chodzić do tego kościoła, bo nasze dawne książeczki do modlitwy w Alabamie nie miały fragmentów w tym języku.

W ławce obok było sporo wolnego miejsca, a po drugiej stronie nie siedziała starsza kobieta, mniej więcej pięćdziesięcioletnia: w towarzystwie drugiej, jeszcze starszej. Patrząc na nie, domyśliłem się, że to matka i córka. Uważnie przyjrzałem się młodszemu kobiecie. Miała siwe włosy i granatową sukienkę z cienkimi paskami. Włożyła pończochy i praktyczne brązowe buty z zaokrąglonym noskiem. Jej ciało było trochę kanciaste i pamiętam, że moją uwagę zwróciła siatka żyłek na grzbiecie jej dłoni - to, jak bardzo były niebieskie i jak mocno wystawały. Miałem ochotę dotknąć jednej z nich, sprawdzić, czy jest miękka czy nie.

Przysunąłem się trochę. ~

Mój mały brat Raymond zaczął popiskiwać i kobieta odwróciła głowę. Myślałem, że na jej twarzy zobaczę tę zniecierpliwioną minę, jaką siwowłosi ludzie w kościele często reagują *Ś

na płaczące dziecko - ale nie. _Jej twarz była zaróżowiona i zupełnie spokojna. „

Wtedy nagle zdałem sobie sprawę, że ją znam. Zbliżałem się dopiero do Wieku, W którym zwykle zaczynam rozpoznawać ludzi z dawnych żyć, ale już dwa lata wcześniej zacząłem śnić o Sophii.

Czułem się tak, jakby W mojej głowie doszło do wybuchu w bardzo zwolnionym tempie. Odwróciła się do ołtarza, ale ja rozpaczliwie pragnąłem patrzeć na nią dalej. Moja matka przecisnęła się na koniec ławki z Raymondem W ramionach i wyszła z kościoła, żeby malec mógł się wykrzyknąć na zewnątrz, Wśród samochodów i ptaków. Przysunąłem się bliżej do tej pani. Zanim na mnie spojrzała, zdążyłem już prawie wtulić się W jej ramię.

Pamiętam zaskoczenie tamtego czterolatka. To była Sophia. Miała załzawione, smutne oczy, a skórę Wiotką i pokrytą plamkami, ale to była ona. Pomyślałem o tym, jak prezentowała się poprzednim razem, jako Constance. Była Wtedy taka młoda i ładna. Teraz wyglądała inaczej, ale wiedziałem, że pozostała taka sama.

Oprócz zdumienia poczułem także onieśmienie i dopiero kilka minut później zrozumiałem, co jest nie tak. Pomyślałem o sobie sprzed kilku lat, kiedy byłem dorosłym lekarzem. Przypuszczałem wtedy, że albo Sophia będzie bardzo stara i nadal będzie żyła jako Constance, albo będzie bardzo młoda - taka jak ja lub nawet młodsza - W nowym ciele. Nie przyszło mi do głowy, że okaże się kimś pośrodku, kto z całą pewnością nie był już Constance.

„Nadal jesteś Constance?” - zastanawiałem się z powątpiewaniem. W zasadzie łatwiej mi było ujrzeć W niej Sophię niż rozstrzygnąć, czy nadal jest Constance, ale byłem przekonany, że nią nie jest. Próbowałem zatem odgadnąć, jak to się stało. Mam dobrą pamięć, ale zaskoczonemu umysłowi czterolatka trudno zrobić z niej użytek. _

Kiedy masz cztery lata, łatwo zapominasz, gdzie jest twoje ciało i gdzie powinno być. Pochłonięty obliczeniami, przysuwałem się do Sophii. Gdy zdałem sobie sprawę, jak bardzo się do niej zbliżyłem, podniosłem głowę i zobaczyłem, że na mnie patrzy. Była równie speszona jak ja. Też pochłaniały ją różne domysły. Miałem nadzieję, że mnie rozpoznała, ale chyba raczej była onieśmielona nieznanym czterolatkiem, który zdecydowanie do niej przytula.

Była zdziwiona, ale zaakceptowała moją obecność. Objął mnie ramieniem. Zobaczyłem, że mój ojciec wychyla się i W naszą stronę, również zakłopotany. Skinęła do niego głową, i by chciała powiedzieć, że wcale jej nie przeszkadzam. *

_ Przytuliła mnie i poczułem, że się odprężam. Położyła dłoń moim okrągłym brzuchu.

Trochę się rozczarowałem i miałem tego pełną świadomość. Radość z przebywania tak blisko niej sprawiła jednak, że rozczarowałem się jakby z poczucia obowiązku, przez wzgląd na moje dawne, starsze ja. To zawsze zaczynało się u mnie wcześnie - jil nieme poczucie lojalności wobec poprzednich wcieleń. Liczyłemfś: na to, że tym razem Sophia będzie moją rówieśniczką. Musiałem:.

się dowiedzieć, dlaczego jednak nie była. N
g- Chyba poprzednim razem musiałaś umrzeć młodo - wy-ES
szeptałem do jej zębra.

Oczywiście, że byłem zawiedziony. Miałem jednak cztery lata, ona mnie tuliła, a w wieku czterech lat trudno stłumić przy-`
jemność ciała niezadowolaniem umysłu. i

Dotknąłem żyły na jej dłoni. Okazała się tak miękka, że znik- .i
nęła pod opuszką mojego palca.

>(-

Chodziliśmy do kościoła w Fairfaksie jeszcze przez parę lat. Za

każdym razem szukałem Sophii i biegłem, żeby przy niej usiąść. Moi rodzice nazwali ją moją wyjątkową przyjaciółką i raz zaprosili ją na lemoniadę po nabożeństwie, ale podziękowała, mówiąc, *dł że musi odprowadzić matkę do domu.

W końcu Molly, moja matka, miała dość kazań w tym kościele, które uważała za seksistowskie. Znalazła hippisowski kościół w Arlington, gdzie kapłan wyśpiewywał kazania przy akompaniamencie gitary akustycznej. Pamiętam, że wiele piosenek pochodziło z musicalu Godspell. W zasadzie nowe nabożeństwa ś podobały mi się bardziej, ale byłem zrozpaczony, nie mogąc Widywać Sophii. Myślę, że mojemu ojcu szczerze ulżyło. 'Uważał moje przywiązanie do starszej kobiety za dziwne. Kiedy domagałem się znalezienia W książce telefonicznej jej numeru i zadzwonienia do niej, dorośli nie kwapili się, żeby mi pomóc. Nazywałem ją Sophią, ale gdy przyszło znaleźć numer W grubej książce, zdałem sobie sprawę, że nie znam jej aktualnego nazwiska.

W Wieku dziewięciu lat pojechałem autobusem do dawnego kościoła, lecz jej nie znalazłem. Jeździłem tam co niedziela przez dwa miesiące, ale ona już tam nie chodziła. Zobaczyłem ją ponownie dopiero W 1975 roku, kiedy miałem siedemnaście lat.

Joseph, mój dziadek ze strony matki mieszkający przy naszej dawnej drodze W Alabamie, umierał. Molly, moja matka, postanowiła umieścić go W hospicjum niedaleko naszego domu. Po nagłej śmierci babci, która zmarła na atak serca, chciała móc dogłądać ojca. Poszedłem z nią go odwiedzić. Poruszyły mnie nie tyle moje uczucia do tego staruszka, ile miłość, którą darzyła go moja matka. Cały dom ociekał jej smutkiem. Pamiętam, jak myślałem: „Wszystko W porządku. To nic Wielkiego. Dostanie następne życie”. A mimo to z jakiegoś powodu, choć sam bez przerwy to sobie powtarzałem, te słowa Wydawały się nie do końca na miejscu.

Żyłem bardzo długo i niosłem Wielki bagaż doświadczeń, Więc chciałem myśleć, że Wiem więcej niż Molly, ale to nie była prawda. W porównaniu z Molly nie miałem pojęcia o miłości.

Ciągle Wspominałem Laurę z placu zabaw W Georgii. Była zwyczajna ze względu na matkę. Wstrząsnęło to mną W jakiś dziwny sposób i nawet nie byłem pewien dlaczego. Nie zastanawiałem się zbyt wiele nad rolą, którą gramy W życiu innych ludzi. Za każdym razem byłem tak pochłonięty odtwarzaniem siebie, że pozostawiałem przydzielając jedynie role epizodyczne. Dlatego że oni zapominali, a ja pamiętałem. Tak wtedy sądziłem. Oni Wkrótce zapomną, a ja będę żył dalej. Najlepsze, co mogłem zrobić, to trzymać się ich po tym, jak zapomną siebie.

Nie żeby nie spełniał swoich obowiązków - spełniała Zawsze dbałem, by moje matki - wszystkie oprócz tych, które mnie porzuciły albo umierały, zanim dorosłem - miały co jej i gdzie mieszkać. Dbałem o to, by miały opiekę W chorobie i starość. To właśnie z myślą o nich najczęściej wydawałem madzone pieniądze. Jednak w zasadzie nie bardzo się nad wszystkim zastanawiałem. W takim życiu jak moje dostaje się wiele matek i wiele z nich się traci. Nie bardzo docenia się ten~d t} ale trudno się pogodzić z jego utratą. Po kilku takich stratach nahir uczyłem się lepiej sobie z tym radzić. Zawsze sobie powtarzałem!*

„To jedna z wielu matek”.

W smutku mojej matki ujrzałem jednak jej wielką miłości???

do ojca. Nie kochała go dlatego że był jej ojcem, kochała go tak} po prostu. Kochała jego dobre serce, wspólnie spędzony czas!if}

W jej miłości do ojca i do nas, dzieci, nie było żadnej abstrakcji. .{1.3

Myślałem, że kiedyś dostanie nowego ojca, ale w głębi serca wie~ działem, że to niemożliwe. «

Podczas drugiej wizyty w hospicjum niechcący zajrzałem do “ s:

jednej z sal niedaleko pokoju Josepha i zobaczyłem leżącą w łóżku, wsparta na poduszkach staruszkę. Dopiero jakieś dwadzieścia kroków dalej zdałem sobie sprawę, że ją znam. Zawróciłem i spojrzałem na nią z korytarza. To była Sophia. Nigdy nie widziałem jej j' w takim stanie. Wyglądała tak samo jak W naszym dawnym kościele, ale była starsza i chora. Pożegnałem się z dziadkiem i wróciłem do jej pokoju. „f

Siedziałem przy niej przez chwilę. Trzymałem ją za rękę. j: Otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Były załamane i pozbawione »Ś ne życia. Wiedziałem, że to oczy Constance i Sophii, ale nie chciałem na nie patrzeć W taki sposób. W jakiejś części mnie zapanował ogromny smutek nie wiedziałem, co zrobić. Miałem przedziwne wrażenie, że unoszę się i oddalam, wszystko na ziemi robi się coraz mniejsze i w końcu widzę jedynie wielkie kształty za- ' miast małych, kłopotliwych kawałeczków.

„To nie potrwa długo. Już wkrótce będziesz młoda i silna” - I powtarzałem jej bez przerwy w swojej głowie. Nie robiłem tego › q dla niej, lecz dla siebie.

Odwiedziłem ją jeszcze dwa razy. Siedziałem przy niej i mówiłem o przeróżnych sprawach. Chyba nawet się nie odzywała, ale myślę, że cieszyła się z mojej obecności. Pewien nerwowy sanitariusz powiedział mi, że pacjentka codziennie kilkakrotnie pyta, czy jeszcze do niej przyjdę. Dodał, że Sophia nie ma dzieci ani wnucząt. Byłem chyba jedyną osobą, która do niej zaglądała.

Pewnego razu wydawała się bardziej przytomna i ciągle patrzyła na mnie W dziwny sposób.

- Pamiętasz mnie? - zapytałem.

› Spojrzała na mnie niepewnie.

- Pamiętam kogoś o twoim imieniu.

- Naprawdę?

~ Z dawnych czasów.

- Znałaś go? Z

- W zasadzie nie. Czekałam na niego. Moja matka mówiła, że I jestem niemądra, i miała rację.

i - Jak to?

- Zanim umarł mój ojciec i przeniosłyśmy się na wschód, byłam dziewczyną z Kansas City. Dobrze nam się wtedy żyło. Mnóstwo przyjęć i planów. Miałam romantyczną duszę, ale matka mawiała, że wolę swoje fantazje od wszystkich prawdziwych chłopców. Była tym rozczarowana.

Zobaczyłem samotność, która nie wynikała jedynie z przeszłego wieku, i zacząłem rozumieć. Przez te wszystkie lata, kiedy próbowałem odnaleźć Constance, wyobrażając sobie, jak starzeje i się za oceanem, ona dorastała tak_ jak ja, paręset kilometrów dalej. Pomyślałem o gołębiczy Snappy. Nie mogła znaleźć Constance, bo Constance już nie żyła.

Nie pojmowałem wtedy ogromu tej tragedii. Byłem nastolatkiem samolubnym jak dwuletnie dziecko, a 'tego nie da się przeskoczyć. Zawsze marzyłem o tym, żeby powróciła razem ze mną”, i powróciła. Przynajmniej próbowała. Czekałem na nią, a ona ła tuż obok czekała na mnie. Na swój sposób pamiętała. i Stare oczy Sophii patrzyły na mnie i odwróciłem twarz. Ni* „i miała pojęcia, co straciliśmy.

- On też na ciebie czekał - zapewniłem. V

Zawiodłem ją. .

- Zawsze byłem niemądra - westchnęła.

Siedziałem przy niej najdłużej, jak mogłem, a' myśli kłębiły-Ä mi się w głowie. Siedziałem aż do dziesiątej wieczorem, dopóki) mnie nie wykopali. -i

Wróciłem nazajutrz rano i mówiłem jej o dawnych sprawach. „i

Godzinami trzymałem ją za rękę, opowiadając o naszej podróży przez pustynię. Mówiłem o Wielkiej Wojnie, o tym, że była lady z Hastonbury Hall, o tym, jak jej dom przekształcono w szpital i o tym, jak się mną opiekowała. Nazywałem ją Sophia i wyznałem, że ją kocham. Zawsze kochałem. Wtedy już spała, ale chciałem, żeby wiedziała. Bałem się, że tym razem stracę ją na dobre.

*

Pod koniec trzeciej wizyty już wiedziałem, co zrobię.

- Nie martw się - powiedziałem do niej. ~ la też odchodzę. I Wrócimy razem. - Chciała to zrobić wcześniej, jako Constance, I ale się sprzeciwiłem. Tym razem ja tego pragnąłem. Tym razem gasło jej życie, a moje było młode i obiecujące. To ja umiałem patrzeć w przyszłość. Mnie było łatwiej. - To będzie nasza szansa. '

Było mi żal rozstawać się z takim życiem. Zwłaszcza z powodu śmierci mojej matki Molly. Dla niej moja śmierć oznaczałaby, że w krótkim czasie straci ojca i syna, i wiedziałem - a przynajmniej wiedziałbym, gdybym dopuścił do siebie tę myśl - że to byłoby dla niej druzgocące. Moja strategia radzenia sobie ze stratami nie obejmowała jednak intensywnego myślenia.

Żałowałem, że nie mogę powiedzieć Molly, iż właśnie tego A pragnę i że niedługo powrócę. Chciałem ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Drugi głos w mojej głowie miał jednak inny i pomysł. „Ona cię kocha - mówił. - Nie chce cię stracić. Wcale nie będzie dobrze”.

W głębi serca wiedziałem, że to prawda, ale udało mi się to A zignorować. Byłem młody i głupi, Spieszyło mi się, by odzyskać g Sophię. Jak inaczej mógłbym to zrobić? Zdziwiająco, jak wiele rzeczy bierzemy za coś oczywistego.

Jakaś duża część mnie broniła się przed miłością Molly. Miałem nawet czelność pomyśleć, że udało mi się przed nią obronić. Dość trudno było trwać przy jakiejś osobie życie po życiu. Dość trudno było sprawić, by kochająca cię osoba za każdym razem zapomniała. Może Ben potrafił trzymać się miłości nieskończonej rzeczy ludzi, ale ja ledwie trzymałem się jednej.

Pewnego zimowego wieczoru, przed swoimi osiemnastymi urodzinami, poszedłem na okrytą złą sławą ulicę W Waszyngtonie. Nierzadko to wspominam, ale przyznaję, że myślę o tym, co zaszło dzień wcześniej. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poświęciłem matczynom uczuciom wystarczająco dużo uwagi, by spróbować się pożegnać. Nie będę przytaczał słów, które wtedy padły, ani opisywał tego, co czułem. Jak powiedział Whitman, ta scena szydzi z moich największych starań, by ją zrelacjonować. Marnie mi idzie nadawanie życiu znaczenia, ale w miarę możliwości staram się nadawać znaczenie śmierci. Próbuję ją wykorzystać dla czyjegoś dobra albo dla jakiejś sprawy, ale wtedy byłem zbyt młody i za bardzo się spieszyłem, żeby wymyślić dobry sposób - inny niż napędzenie porządnego stracha kilku narkomanom.

Poszedłem tam - było to chyba niedaleko D Street, obok 9:30 Club, w którym czasami słuchałem muzyki. Znalazłem drogę do budynku w ciemnej uliczce, w którym gromadzili się narkomani. Nie weseli palacze trawki, ale poważni zawodnicy. Wziąłem wystarczająco dużo gotówki, żeby zrobić na nich nie. Znalazłem swojego ópaj ącego Wergiliusza, zrozpaczoną trziesięcioletnią kobietę, której ręka opowiadała całą historię. Obiecałem, że kupię jej działkę, jeśli znajdzie dla mnie najlepszy towar. Myślała, że robię to często, a ja nie wadziłem jej z błędu. To była jej igła, jej podniecenie - jej pall obwiązały mi ramię opaską. 'A

Wtedy po raz pierwszy wziąłem heroinę - i po raz ostatni! Myślę, że umieranie od niej to marny początek. Chyba rozżośćiłem tym los. To nie było samobójstwo, ale zbliżyłem się do niej jak najbardziej, jak tylko można. To było oszustwo, szczególnie techniczny pozwalający uniknąć kary. Miałem nadzieję, że moje gorące pragnienie połączenia się z Sophią zapewni mi szybki powrót i na szczęście tak się stało. Nie chciałem śmierci. Umierając, byłem tego pewien. Bardzo pragnąłem żyć.

- Kiedy jednak natura oferuje komuś jeden ze swoich wielkich darów, przewiduje specjalną karę dla tych, którzy go odrzucają. Można wto wierzyć lub nie, ale matka, którą dostałem w następnym życiu, byłaby najlepszym dowodem, że to jednak prawda.

Centrum handlowe Tysons Corner, Wirginia, 2001

Moja następna matka była narkomanka. Ja najwyraźniej też byłem uzależniony już w chwili narodzin. Sam się o to prosiłem. Prawdopodobnie była nowszą wersją jakiejś zagubionej postaci, którą znałem we wcześniejszym życiu, ale zanim odeszła - gdy miałem mniej więcej trzy lata - byłem zbyt mały, żeby ją z kimkolwiek skojarzyć. Sąsiadka znalazła mnie samego w mieszkaniu. Chyba siedziałem tam przez parę dni. Pamiętam, że bardzo się bałem. Trzyłatkowi trudniej spojrzeć na świat z szerszej perspektywy.

Przez jakiś miesiąc mieszkałem w ośrodku, a potem znalazłem mi rodzinę zastępczą. Pamiętam spotkanie z pracownikiem społecznym na dzień przed przeniesieniem. Pytałem go, kiedy zobaczę się z mamą.

Oddano mnie do rodziny zastępczej niedaleko Shepherdstown w Wirginii Zachodniej. Małżeństwo miało już dwoje własnych dzieci i dwoje przybranych. W tamtym domu oglądało się dużo telewizji. Obydwoje rodzice bez przerwy palili. Nie potrafię oddzielić tamtych dni od zapachu i tlenia się dwóch papierosów. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek wspólnie jedli kolację! Nie pamiętam żadnego posiłku bez włączonego telewizora. Jed z przybranych synów był agresywny i często uciekał z domu, więc rodzice przeważnie skupiali się na nim i zostawiali mnie w spokoju! ju, chyba że wszedłem im w drogę podczas jednej z dzikich awanturn, co zdarzyło mi się kilkakrotnie i za co zapłaciłem wysoką cenę!

Dziwnie było mieć dwa tak odmienne dzieciństwa jedno drugim, Mojej miłości do dawnej rodziny towarzyszył ból związany z rozstaniem, który był jeszcze trudniejszy do zniesienia niż 015; nowi ludzie. Tych nowych nie musiałem przynajmniej kochać ani mieć wobec nich jakichkolwiek zobowiązań. Nie byli wystarczająco mili, by móc czegoś ode mnie wymagać, a ja próbowałem nie reagować na ich opryskliwość. Uwolniłem się od przywiązania, żyłem we własnym świecie i wszystko robiłem sam. Chyba nie sprawiałem nikomu zbyt wielkiego kłopotu. Pamiętam, podczas jednego z okresowych spotkań z pracownikiem społecznym, gdy miałem jakieś piętnaście lat, zerknąłem do swojej kartoteki. „Zaburzenie więzi” - mówiły wielkie, kanciaste litery na górze. Ż

Czasami leżałem w nocy w łóżku i słuchałem jakiejś relacji sportowej w radiu. Nastawiałem dość głośno, ale i tak nie udawało mi się zagłuszyć klótni rodziców. Myślałem wtedy o Mollyi mojej poprzedniej rodzinie, zastanawiając się, co teraz robią. Czasem, gdy bardzo mi ich brakowało, myślałem: „Co ja narobiłem?: ale potem, kiedy trochę podrosłem i matka przestała mi być aż tak bardzo potrzebna, znowu zacząłem myśleć o Sophii. To właśnie myśl o niej pomagała mi przetrwać. Ł

Byłem w tym celu niezdarny, bo urosło szybciej niż poprzednie i było od nich większe. Nie byłem szybki i inaczej niż poprzed-

nio nie miałem doskonale skoordynowanych ruchów, ale przynajmniej byłem silny. Mój przybrany ojciec miał najwyżej metr sześćdziesiąt pięć i mój wzrost nie zjednywał mi jego sympatii.

W wolnym czasie rzeźbiłem z drewna zwierzęta, czytałem książki w bibliotece i rozmyślałem o tym, jak odnaleźć Sophie. Większość drewnianych zwierząt trzymałem w ukryciu, ale raz przybrana matka zobaczyła, jak kończę rzeźbić gęś. Ostrożnie ją obejrzała.

- Iak dla mnie, można by to wstawić do muzeum - oceniła F i niekoniecznie był to komplement.

i Chodziliśmy do dość ponurej szkoły publicznej, ale miałem kilku dobrych nauczycieli. Oczywiście byłem zdolnym uczniem, więc jakiś dobroduszny pedagog ubzdurał sobie, że mam „talent”. Gdy inni uczniowie poszli na przerwę, kazano mi usiąść samemu w klasie i rozwiązać jeden z tych standardowych testów, w których trzeba zakreślać puste kwadraciki ołówkiem. Pamiętam, że co drugie pytanie zostawiłem bez odpowiedzi.

Dawno temu nauczyłem się, że nadmierne wyróżnianie się jest bardzo ryzykowne. Zaliczyłem jedną katastrofę na początku lat czterdziestych, kiedy rodzice zmierzili mi IQ. To była nauczka. Nie muszę dodawać, że trzeba mieć ogromny i niezwykły umysł, by pamiętać tysiąc lat wypełnionych prawie wyłącznie nic nieznanymi wydarzeniami.

Gdy tylko wystarczająco podrosłem, zacząłem szukać Sophii.

Tym razem miałem trochę informacji, którymi mogłem się posil-kować. Wiedziałem, że zmarła pod koniec 1975 albo na początku 1986 roku, a poza tym widziałem się z nią i rozmawialiśmy w hospicjum wystarczająco blisko jej śmierci, abym mógł mieć nadzieję, że zaszczepiłem w jej umyśle kilka wpływowych idei. Czuję niemal intuicyjną pewność, że narodzi się gdzieś niedaleko. Już raz to zrobiła. Modliłem się, żeby udało jej się to powtórzyć.

Los uśmiechnął się do mnie pewnego popołudnia w centrum handlowym Tysons Corner, kiedy miałem piętnaście lat. Zobaczyłem dziewczynę, która teraz nosiła imię Marnie, przy jednej z tych prawie już wymarłych budek fotograficznych tuż za drzwiami. Skojarzyłem ją dopiero po paru minutach. Oczywiście wtedy nie wiedziałem jeszcze, że nazywa się Marnie. Znałem ją z kościoła w Fairfaxie, do którego chodziłem na początku lat siedemdziesiątych. Pomogły mi jej spiczaste brwi. Miała oczy, które potrafią cię zmrozić i jednocześnie chcą ci ufać. Była tamtą starą kobietą, która siedziała z Sophiią jej matką. Widocznie żyła t A, długo jak jej córka. Widziałem, że były ze sobą blisko związane i coś w ich wzajemnej relacji dało mi silne przekonanie, że wrócą równie żyte. A

Wychodząc za Marnie z Tysons Corner, przypomniałem sobie słowa Bena: „Chyba nie jesteś w stanie kontrolować tych sprawę@ Mimo to poszedłem za nią do holu budynku pełnego gabinetów? dentystów i lekarzy, gdzie spotkała się z matką. Potem razem szły na parking. Zobaczyłem, że wsiadają do samochodu i odjeżdżają. Zapamiętałem numer(rejestracyjny i tak odnalazłem drogę do Hopewood w Wirginii. t,

W następną sobotę po raz pierwszy ujrzałem Sophie w jej naj-fi' nowszej postaci. To był pamiętny dzień. Jadąc autobusem, bardzo się denerwowałem. Nigdy nie wiadomo, co się znajdzie ani w ogóle kogoś się spotka. Rano poszedłem pod dom Mamie i ner@ Wowo spacerowałem ulicą tam i z powrotem, nie wiedząc, co po# 'l winienem zrobić. Wtedy ją zobaczyłem. Szła chodnikiem w stronę ją stronę. To było oszałamiające doznanie. W zasadzie nie potrafię opisać, co czułem. Był piękny wiosenny dzień, a promienie słońca obmywały jej rozpuszczone, jasne włosy, gdy zwawo szła

zadbany chodnikiem. Miała na sobie szorty, japonki i zielony T-shirt. Była taka młoda i świeża W porównaniu ze starą, umierającą kobietą, którą widziałem W hospicjum. Miała długie, silne, opalone i szczupłe nogi młodej dziewczyny.

To wspomnienie z mojego obecnego życia. Każdy mógłby mieć podobne, ale ono już dołączyło do grona najlepszych Wspomnień. Widzę, jak Sophia idzie do mnie W zwolnionym tempie, A a W tle płynie muzyka. Zawsze Here Comes the Sun. I”

Dostrzegłem W niej Wiele znajomych rzeczy. Sposób, W jaki przechylała głowę, kiedy się śmiała. Jędrne, zręczne dłonie. Łokieć. Koniuszek ucha wystający spomiędzy długich Włosów. I*

Z boku brody miała mały ciemny pieprzyk. .

Doskonale pamiętam tamto uczucie. „To początek czegoś wielkiego. To nasz czas”.

Zdałem sobie sprawę, że w jej obecności jestem jakby onieśmielony. Choć cieszyłem się na jej widok, bałem się ją zagadnąć, żeby nie zacząć w niewłaściwy sposób. Znowu byłem dla niej Obcy. Czulem, że tym razem będzie trudniej się do niej zbliżyć, że jest bardziej podejrzliwa. Okazała się zbyt ładna, żeby jej się narzucać. Życie, które wiodłem, było prawie zupełnie pozbawionej miłości, wyszedłem z wprawy. Nie wiedziałem, czy będę W stanie _ sprawić, by ponownie mnie pokochała.

Najsilniejsza była jednak moja nadzieja. Sophia była młoda, ja też. Wiedziałem, jak wygląda. Wiedziałem, gdzie mieszka. Znowu I była na moim radarze, nie poślubiła mojego brata ani nikogo innego. Miałem nadzieję, że jeśli tylko właściwie to rozegram, będziemy mogli spędzić to życie razem.

Sophia skręciła w stronę domu Marnie, a ja nadal stałem jak głupek. Marnie otworzyła drzwi i usłyszałem jej głos.

i - Hej, co to za koleś?

- laki koleś? ›

- Ten po drugiej stronie ulicy.

Zanim zerknęła przez ramię, odwróciłem się i ruszyłem w drugą stronę.

- Nie mam pojęcia - powiedziała Sophia.

- Szkoda - westchnęła Marnie. - Niezły był.

i Moje serce łaknęło każdej drobnostki. Miałem szczęście, że byłem „niezły”, bo w paru ostatnich życiach wyglądałem chyba dość paskudnie.

Wiedziałem jednak, że muszę zachować ostrożność. Dla tego życia poświęciłem wszystko i nie chciałem schrzanić sprawy. Przyzwyczałem się, że każde kolejne wcielenie rozpoczynam z czystym kontem, wymazując wszystkie ważniejsze błędy, które popełniłem W przeszłości. W tym życiu pamięć Sophii miała jednak dorównać mojej. Nie było żadnego wymazywania. Sprawa wydawała się delikatna i przepełniały mnie wątpliwości. Nie chciałem, żeby wzięła mnie za szaleńca albo nagabywacza. Patrząc z perspektywy czasu, żałuję, że nie wzięłem sobie tego bardziej do serca.

Odwiździłem ją W Hopewood jeszcze dwa razy W ciągu dwóch następnych lat, ale nie zebrałem się na odwagę, by ją zagadnąć

Raz widziałem, jak sady rudbekie na trawniku przed dom -I

Innym razem była z siostrą Daną w kawiarni przy Coe Stregi. Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobił na mnie widok tych dwóch dziewczyn. Uroczy zapach Lucy kontrastował z wrodzoną nerwowością Dany. Dana, która wydała mi się znajoma - pewnie spała! tkiałem ją W innym życiu - miała znękany wygląd głęboko Wzburzonej duszy. Dostrzegłem W niej jedną z tych osób, które niosą swoje wzburzenie życie po życiu, siejąc po drodze spustoszenie! Jestem pewien, że gnębiła ludzi, którzy ją kochali, zmuszając ich do zastanawiania się, gdzie popełnili błąd, podczas gdy prawdziwi

podobnie i tak nie byłoby w stanie niczego zmienić.

Z wykonaniem pierwszego ruchu postanowiłem zaczekać aż do swoich siedemnastych urodzin. Nie chciałem wpaść w tarapaty, opuszczając Shepherdstown. Martwiłem się nie tyle tym, że przybrana rodzina zacznie za mną tęsknić, ile raczej problemami, które spadłyby na głowę mojej opiekunki społecznej. Gdy tylko mogłem, przeprowadziłem się do Hopewood, Wynająłem małe mieszkanie nad indyjską restauracją i zapisałem się do klasy Sophii w liceum.

Hopewood, Wirginia, 2008

Nazajutrz po ukończeniu collegéu Lucy wróciła autobusem do Hopewood z dwiema torbami, postrzępionym filodendronem i Tartakiem w jego głupim szklanym terrarium. Resztę swoich rzeczy wysłała w kartonowych pudłach. Przyjechała do domu bez żadnych konkretnych planów na przyszłość, które wykaczałyby poza miksowanie znieawidzonych koktajli owocowych albo sprzedawanie bielizny w Victoria's Secret. Potem wydarzyło się jednak coś dziwnego. Przez dwanaście nocy z rzędu śniła jej się ogród.

Już pierwszej nocy wiedziała, że nigdy nie była w tym ogrodzie, ale i tak wydawał jej się znajomy i rzeczywisty w sposób, który wcale nie przypominał snu. Drugiej nocy znowu go zobaczyła. Rozpoznała dokładnie te same elementy, które widziała poprzedniej nocy: fontannę, niski kamienny murek, wspaniałe klomby różowych piwonii i białych fuksji. A przede wszystkim zapach. Nie była pewna, czy kiedykolwiek wcześniej śniła jej się zapachy, ale ten dotarł do każdego zakamarka jej ciała.

Następnej nocy, ku swojej radości, znalazła się w tym samym ogrodzie po raz trzeci. To było to samo miejsce, z tymi samymi charakterystycznymi urokami. Tym razem postanowiła się rozręczyć. Przeszła pod rustykalną pergolą płonącą czerwonymi klematisami i za niskim murkiem znalazła ogród otoczony kwitnącym na różowo dereniem, zamieszkały przez milion motyli, którym w zwolnionym tempie trzepotały skrzydełkami pośród stokrotkach, paszcz, cynii i kosmosów. Motyle występowały w najróżniejszych kolorach, wzorach i wielkościach przycupnięte w swoim im dziwnym, rozedrganym zawieszaniu. A potem wszystkie nagle raz wzbily się w górę. Wirowały wokół jej głowy i poczuła paniczny lęk, myśląc, że je wystraszyła. Po chwili jednak fruwały; spirala zacieśniła się i zaczęła zwalniać, aż w końcu otoczyła ją całą i Lucy stała się jej środkiem. Zamrugła swoimi oczami ze snu i wszystkie motyle wróciły do powolnego machania skrzydełkami na kwiatkach.

Czwartej nocy zajrzała jeszcze dalej. Piątej czekała na sen z takim wielkim przejściem, że położyła się już o dziewiątej. Za oknem było jeszcze trochę jasno. Ostatni raz poszła spać tak wcześnie w szóstej klasie po usunięciu migdałków.

W ogrodzie była szczęśliwa. Nie czuła się tak od wczesnego dzieciństwa poprzedzającego początek problemów z Daną. Doznawała tam czegoś w rodzaju zachwyty przynieszonego jej śpiącemu umysłowi przez głęboki, tajemniczy i niewytłumaczalny aspekt bycia dzieckiem. Każdej nocy leżała w łóżku, czekając na sen, bojąc się, że nie wróci do tego ogrodu, błagając swoje rodzinne la, żeby sobie poszło. I każdej nocy wracała. Żałowała, że 77 nie może zamienić dni na noce, rzeczywistości na sny. Czy wolno było zrezygnować z jawy na rzecz snu?

Nigdy w życiu tyle nie spała. Mimo to w ciągu dnia ziewała w sklepiku ze zdrową żywnością, a potem przy obiedzie, pragnąc wrócić do łóżka i do swojego ogrodu.

Szóstej nocy śniła jej się, że przechodzi małym mostkiem nad 5

wąskim strumykiem i ogląda nową część ogrodu. Większości roślin. .jg nie znała, były bardziej szorstkie i kolczaste, i zapach też okazał się inny niż wcześniej. Nie był piękny w ten sam sposób, ale panująca w ogrodzie atmosfera wydała jej się magiczna. Niektóre rośliny były tak charakterystyczne, że długo im się przyglądała, by po przebudzeniu wziąć zeszyt i narysować je, zanim wspomnienie zdąży ulecieć. Następnej nocy położyła przy łóżku szkicownik i pudełko kredek, a gdy zasnęła, wróciła do tej części ogrodu i znowu przyglądała się kwiatom, jakby we śnie wiedziała, że po przebudzeniu " je narysuje. Starła się zapamiętać je jak najlepiej - Wąchała je i dotykała liści, by poczuć ich fakturę. Nazajutrz obudziła się wcześniej i dwie godziny przed wyjściem do pracy poświęciła na rysowanie.

Gdy tamtego wieczoru wróciła do domu, sięgnęła po swoją ukochaną Encyklopedię roślin i kwiatów Amerykańskiego Towarzystwa Ogrodniczego i z łomoczącym sercem próbowała odszukać rośliny pasujące do rysunków. Trochę to trwało, ale znalazła odpowiedniki niepozostawiające żadnych wątpliwości. Zauważyła, że wszystkie pochodzą z jednej części książki, poświęconej roślinom leczniczym. Złocień maruna, gwiazdnica, ruta, caulophyllum, ukwap. Odkryła we śnie ogródek zielarski.

Dopiero ósmej nocy zobaczyła w ogrodzie drugą osobę. Stała wśród motyli. Z początku Lucy myślała, że to Dana. Ucieszyła się, ale szybko zobaczyła, że ta kobieta wcale nie przypomina Dany i z pewnością nią nie jest. Wyglądała na dwadzieścia parę lat, miała jasnoszare oczy, piegi i lśniące ciemne włosy. „

- Skądś cię znam - powiedziała do niej Lucy we śnie.

- Oczywiście, że mnie znasz, kochanie - odparła kobieta.

Po przebudzeniu Lucy długo leżała w łóżku, próbując zapamiętać twarz tej kobiety. Gdzieś ją już widziała, ale nie potrafiła sobie przypomnieć gdzie.

Gdy już wstała, podeszła do szafy i zobaczyła monografię kupioną w sklepie z pamiątkami w Hastonbury. Otworzyła na rozdziale poświęconym ogrodom i z niedowierzaniem patrzyła na zdjęcia. Nic dziwnego, że jej sny były tak realistyczne. Śnił jej się ogród matki Constance. Mieszkała obok niego jako mała dziewczynka, parę żyć temu. Zamknęła książkę. Nie chciała jeszcze, by zdjęcia zajęły miejsce jej marzeń sennych.

Spędziła weekend, rysując ogród ze snu, a gdy uznała rys za zadowalający, porównała je z prawdziwymi fotografiami z Hastonbury. Jej wyśniony ogród był daleko piękniejszy i pełniejszy i ten widoczny na zdjęciach w monografii albo na tych znalezionych w internecie, ale jednocześnie odpowiadał im w każdym szczególe, jaki zdołała ustalić. Jednak to ilustracja zamieszczona na końcu 7, " książki sprawiła, że zamarło jej serce. Spoglądała na nią już wczynie, lecz tak naprawdę nigdy jej się nie przyjrzała. Teraz, kiedy ; _ zrobiła, od razu poznała widniejącą na niej osobę. Była to kobieta która śniła jej się w ogrodzie. Oczywiście. Matka Constance.

*

Dwunastej nocy sen się zmienił. Ogród zaczął zatracać granice. Rozrastał się w nowych kierunkach. Ruszyła ścieżką i znała-g, zła się we własnym ogrodzie za domem, w czasach sprzed zarazy, która zniszczyła maliny. Na końcu drugiej ścieżki zobaczyła ogrody Thomasa Jeffersona w miasteczku studenckim, otoczone wijącym się murem. Poszła winną stroną i ku swojemu zdumieniu ujrzała swój basen z kwiatami sięgającymi brzegu, taki jaki istniał na jej rysunkach i w jej wyobraźni.

Rankiem po dwunastej nocy wiedziała już, co chce zrobić.

Znalazła ogłoszenie w internecie i wydrukowała je. Wypełniała je cały dzień, dołączając swoje najlepsze szkice wyśnionych ogrodów w Hastonbury oraz ziół. Pod wpływem chwili dodała też trzy 'Śa

ulubione rysunki niezbudowanego basenu.

Trzynastego dnia włożyła to wszystko do koperty, zaniósła na pocztę i Wysłała. Czternastego dnia zaczęła pielic W ogródku.

Dwa miesiące później, sierpniowego wieczoru, zanim na dobre opuściła dom, Lucy pakowała się i nagle coś zrozumiała. Nie mogła zabrać ze sobą węża Dany. Wszystko wskazywało na to, że Tartak będzie żył wiecznie, a ona nie. Nie dając sobie zbyt dużo czasu na zastanowienie, wyjęła go z terrarium i pozwoliła, by owi, nął się wokół jej ręki. Spojrzał na nią, a ona spojrzała na niego.

- Przykro mi, że nie czerpaliśmy ze swojego towarzystwa - większej przyjemności - powiedziała do Tartaka. - Nigdy nie byłeś moim ulubionym zwierzątkiem.

Zeszła na dół, przecięła kuchnię i wyszła tyłem, zatraskując z sobą drzwi z siatki. Przeszła przez podwórze i usiadła po turecku na trawie przed krzewem hortensji. Po raz ostatni spojrziała W węzowe oczy Tartaka. Zawsze uważała, że węże uosabiają zło i obłudę, i zawsze myślała, że Dana kupiła go po to, aby po raz kolejny boleśnie ukarać rodziców. Podziwiając jego małą, spoki i kojną głowę, zmieniła jednak zdanie. Pomyślała o jego zrzuconych skórkach, o wyczerpanych wersjach jego samego, które zostawiał za sobą, nieustannie się odradzając. Może właśnie dlatego Dana go wybrała. I

- Czas na wolność - oznajmiła z powagą.

Zbliżyła rękę do ziemi, żeby zobaczyć, co zrobi. Przez kilka sekund się nie ruszał. Jednak potem dzielnie wysunął głowę. Centymetr po centymetrze odwijał się z jej ręki i wyprężony unosił w powietrzu, sięgając ku nieznannej ziemi. W końcu zanurkował i popęzł W trawie jej dawnej świątyni przyjemności.

Charlottesville, Wirginia, 2009

To, czego Lucy pragnęła kiedyś bardziej niż cegokolwiek na świecie i na co straciła już wszelkie nadzieje, wydarzyło się W styczniowy wtorek tuż po szóstej wieczorem. “

Siedziała przed Campbell Hall, czyli przed budynkiem, W którym odbywały się zajęcia z architektury krajobrazu oraz cała reszta kursów Szkoły Architektury. Właśnie spędziła w nim dziesięć i godzin. Teraz siedziała otępiona głodem, ubrana w długi płaszcz, w brązowym wełnianym kapeluszu na głowie. Wdychała zimne powietrze i korzystała z chwili spokoju przed ponownym włączeniem się W rytm zwyczajnego świata. p

Tamtego wieczoru Marnie i jej chłopak Leo przygotowywali chińskie danie na kolację W maleńkim mieszkanku przy cmentarzu Oakwood. Wynajęli je w sierpniu. W ciągu dnia Marnie pracowała w Kinkds, a wieczorami brała udział w kursie przygotowawczym do testu kwalifikacyjnego dla przyszłych prawników i słała podania o przyjęcie na studia. Lucy pogodziła się z tym, że będzie pracowała W pełnym wymiarze godzin, serwując kawę w Mudhouse przez całą jesień i początek zimy. Bardzo późno złożyła papiery na uzupełniające studia magisterskie. więc kierownik rekrutacji oznajmił jej, że będzie musiała poczekać do stycznia. Zwolniło się jednak miejsce i ku radości Lucy nagięto przepisy, by mogła zacząć już We wrześniu. Dlatego pracowała W Mudhouse tylko dziesięć godzin tygodniowo, spokojnie pograżając się W długach, by opłacić czesne. Razem z Marnie wynajęły mieszkanie tylko We dwie, ale potem Leo się Wprowadził i został nieoficjalnym i niepłacącym trzecim Współlokatorem.

Przynajmniej dobrze gotował.

- Czujesz się samotna, odkąd Marnie ma stałego chłopaka? - zagadnęła Lucy matka kilka tygodni Wcześniej. .

Lucy czuła, że jej matka czuje się przez to samotna.

- W zasadzie nie - odpowiedziała. - Jestem zajęta kursem architektury.

- Ale chyba nie czekasz już na Daniela, co? - zapytała Marnie oskarżycielskim tonem w minioną sobotę. Lucy nie chciała do nich dołączyć, gdy ona i Leo Wybierali się na imprezę.

- Nie - zaprzeczyła Lucy.

Według Marnie przyjaciółka była zdumiewająco cnotliwa, a Lucy nie wyprowadziła jej z błędu. Nie mogła przyznać się Marnie, że przespała się z jej bratem Alexandrem cztery razy w ciągu minionego lata. .

Lucy nie czekała już na Daniela. W każdym razie nie świadomie. Siłą Woli oswoiła się z myślą, że on jej nie odnajdzie. Jednak w snach nadal za nim tęskniła. Jej śniące ją uznało, że w historii jej i Daniela nastąpiła jedynie pauza, że ta historia jeszcze się nie skończyła. „Nie mogę na ciebie czekać w nieskończoność” - myślała mimo woli, leżąc w łóżku przez większość poranków, analizując swoje sny i czekając, aż zabłyśnie ostrzegawcze światelko.

A teraz, gdy siedziała na ławce w zimowej ciemności i zastanawiała się nad tym wszystkim, podszedł do niej młody mężczyzna.

- Lucy?

Podniosła głowę, myśląc, że to ktoś znajomy. Był dobrze ubrany i świeżo ogolony, jak Staromodny sportowiec albo były CZ v *1 nek bractwa. '

~ Tak - odpowiedziała. W

Nie знаła go. Pewnie chodził z nią na któreś z zajęć. Nie miała ochoty na podtrzymywanie znajomości. i i

- Jestem Daniel - oznajmił. v

Dźwięk tego imienia trochę ją zaskoczył, jakby wyłonił się z jej myśli. VI"?

- Czy ja cię znam?

Pewnie nie było to najbardziej taktowne pytanie na świeci i gdyby zdążyła pomyśleć o tym, że powinna być uprzejma, łaby to inaczej. _

Jego oczy były jakieś tajemnicze. v

- Może ci się wydawać, że nie, ale znasz.

Nie miała ochoty na flirtowanie. Zazwyczaj gdy nosiła swój wfr: bezkształtny brązowy kapelusz nasunięty na twarz i opatulą się tym płaszczem, chłopcy nie zwracali na nią uwagi.

i - Jak to możliwe? - zapytała bez zainteresowania i bez przyjemności.

Skubnęła kłaczki na rękawiczkach. Może chodził z nią na studia licencjackie? Może ktoś z jej przyjaciół namówił go, żeby ją i zagadnął, bo ludzie z jej kręgu towarzyskiego uznali, że powinna częściej wychodzić z domu?

Pochylił się nad nią, jakby próbował ją nakłonić, by ponownie na niego spojrzeć.

- Wiem, że teraz wyglądam inaczej. Wiem, że trudno ci wto uwierzyć, ale jestem Daniel. Ten Daniel, którego kiedyś znałaś.

Tym razem podniosła głowę i spojrzała na niego. Å»

- O czym ty mówisz? - zapytała. j,

- Zналиśmy się w liceum. I wiele razy przedtem. I

Wstała. Czuła się niepewnie, ale równocześnie te słowa zaczęły ją elektryzować.

- Nie rozumiem. A

- Jestem Daniel Grey. Z Hopewood.

Ledwie ustała na nogach.

- Mówisz, że nazywasz się Daniel Grey?

- Jak widzisz, wyglądam teraz inaczej. Ale tak, to ja.

Gapiła się na niego, szukając odpowiedzi w jego oczach.

„ - Jak to możliwe?

- Porozmawiasz ze mną?

Ruszył, a ona poszła za nim. Kręciło jej się w głowie, wszystko było jakieś zniekształcone. Drżała i pocila się W płaszczu. Daniel stawał duże kroki, musiała przyspieszyć, żeby za nim nadążyć.

- Nie wiem, jak dużo o mnie wiesz. - Mówiąc to, patrzył przed siebie, nie na nią.

i Wpatrywała się W jego profil. Czy to jakiś dziwny żart? Przecież to nie mógł być jej Daniel, prawda? Czuła się prawie tak, jakby żarliwość jej dawnego pragnienia stworzyła żywą postać, niekończącą się, niecznie tę właściwą.

ś - Chyba nie wiem nic. - Natychmiast zdała sobie sprawę, że to nieprawda. - To znaczy co nieco wiem - dodała pospiesznie. A jeśli to naprawdę on? Może i tak. Potknęła się o krawężnik i ochlapała spodnie błotem. - Wiem o Constance - powiedziała szybko. - Wiem o Sophii.

W tej chwili nie dbała o swoje bezpieczeństwo. Nie obchodziło jej, czy mówi jak osoba zdrowa na umyśle czy nie.

- W takim razie wiesz dużo. i

Jego głos był ostrzejszy, inny, niż się spodziewała.

Żałowała, że nie może spojrzeć mu w oczy jeszcze raz. Czy to naprawdę mógł być on? A jeśli nie, dlaczego ten chłopak to robił? Była otwarta na ideę powrotu ludzi W innym ciele, ale to nie miało żadnego sensu.

- Nie rozumiem cię - poskarżyła się. - Nie rozumiem, jak możesz być Danielem. Gdybyś skoczył z mostu trzy i pół roku temu, teraz byłbyś dzieckiem, prawda?

Fantazjując o ponownym spotkaniu z Danielem, wyobrażała sobie, że biegnie mu W ramiona, obejmuje go godzinami i opowiada o wszystkim, czego się dowiedziała i co myślała ostatniej rozmowy. To spotkanie wyglądało jednak zupełnie ino

- Nie rozumiesz, a ja nie mogę ci wszystkiego wytłumać. Niektórych tajemnic nie rozumie nikt. Ale gdy jest się kimś :w I jak ja, nie trzeba dorastać za każdym razem. W rzadkich »jśkach można... przejąć ciało, które zostało opuszczone. a

- Co to znaczy? - Znajdowała się W coraz dziwniejszej sji Wszechświata, ale przynajmniej rozmawiała z kimś innym} ona sama. - Potrafisz przejmować cudze ciała? Dlaczego ktoś wiek miałby je porzucać? '

- Zazwyczaj to nie jest kwestia wyboru. Choć czasami ludzie porzucają ciało W chwili śmierci. wj'.

- Przecież umierają dlatego, że to ciało przestaje funkcjonować, prawda?

- Tak, zazwyczaj tak. Ale zdarza się, że ludzie... Jak mógłb to najprościej wyjaśnić? Odchodzą, zanim nastąpi taka konieczność. Zaczynają się bać i oddalają się. W tamtej chwili ucieczka Wydaje im się kusząca.

- Dlaczego? 1:3'

- Bo zazwyczaj dręczy ich ból i odchodząc, czują się lepiej. Lucy próbowała odczytać własne uczucia, ale nie potrafiła i znaleźć niczego oprócz zwalających z nóg objawów szoku. „

- A wtedy ty przejmujesz ich ciało? ?A

- Okazja trwa niezwykle krótko. I oczywiście ciało musi się nadawać do ocalenia. i

Mimochodem pomyślała o tym, jak ta rozmowa zabrzmiałaby W uszach przypadkowego przechodnia. Szli zbyt szybko, że~ 'Żyby ktokolwiek mógł usłyszeć dłuższy fragment, a poza tym była zbyt spięta, zbyt oszołomiona, by naprawdę się tym przejmować. i Ale o czym oni właściwie rozmawiali? Jak W ogóle mogła myśleć laji

o tym poważnie - i jak mogłaby myśleć inaczej? Czyżby porzuciła 7 wszelką wiarę W to, że świat znowu będzie taki jak dawniej? . . i:

- A co z nimi? Co jeśli chcą Wrócić do swojego ciała?

Spojrzał na nią zdecydowanie, prawie wyzywająco.

- Nie chcą.

- Czy Daniel naprawdę taki był?

i - PO prostu biorę to, co zostaje - dodał. Na chwilę przykrył go-
łą dłonią jej dłoń w rękawiczce. - A dusza, która była tam wcze-
śniej, przechodzi do następnego etapu, jakkolwiek on jest.

- Odradza się W nowym ciele?

Potał swoje zimne dłonie.

- Najprawdopodobniej tak. Większość ludzi powraca.

jakaś jej część miała ochotę uciec i Lucy poczuła przez nią wstyd. Była pełna wątpliwości, zawsze wszystko psuła. Dlaczego po tym, czego się dowiedziała, nie może po prostu spróbować mu uwierzyć? Już samo prowadzenie takiej rozmowy oznaczało, że to musi być Daniel. Któż inny mógł o tym wszystkim wiedzieć?

- Więc tak jakby... wskoczyłeś W osobę, którą teraz jesteś.

Kiedyś W tym ciele był ktoś inny?

- Wiem, trudno to sobie wyobrazić. Zwykli ludzie nie ma-
ją pojęcia o wielu sprawach związanych z narodzinami, śmiercią
i tym, co jest między jednym a drugim. Ale ty zaczynasz to ro-
zumieć, prawda?

Weszła w kałużę. Prawie nie poczuła zimna, które wsiąkło
wjej skarpetki.

- Chyba tak. .

Zatrzymał się. Wyciągnął ręce i zdała sobie sprawę, że wyciąga
je do niej. Niezgrabnie złapała go za dłonie, a on je ścisnął.

- Lucy - zaczął. Pokiwała głową. Czowała, jak na oczy napiera
jej wiele łez, ale nie potrafiłaby wyjaśnić ich natury. Przez nie by-
ło jej jeszcze trudniej na niego patrzeć. - Cieszę się, że cię widzę.

Ty też się cieszysz, że mnie widzisz?

Wcześniej ciągle układała sobie słowa, które mu powie, ale nie
mogła ich wymówić, póki nie była pewna, że to naprawdę on -
a nadal nie czuła tej pewności. A

- Trudno mi uwierzyć, że jesteś Danielem - wyznała uczciwie.
Próbowała spojrzeć mu W oczy, ale był zajęty zdej mowaniem jej
rękawiczek. - Naprawdę jesteś Danielem?

- Naprawdę jestem Danielem.

Znowu pokiywała głową. Mogła mu uwierzyć albo nie. G
nie uwierzyła, a okazałoby się, że to naprawdę on - bo prawi
pewno to był on - znowu przekreśliłaby swoją szansę. Nie ch
ła jej przekreślić.

- Przepraszam za poprzedni raz - powiedziała SZYbkOĄ
Przepraszam, że za mało się starałam, żeby cię zrozumieć. . i:

Parę łez wydostało się na zewnątrz. i

- Nie winię cię za to. Nikt w to nie wierzy. I pewnie tak
najlepiej. *

- Ale żałuję, że nie spróbowałam.

i - Tak. Wiem. - Patrzył w dół. - Wszyscy żałujemy pe-
nych rzeczy z przeszłości. - Miał inną twarz, niż się spodzie
ła. Chociaż z drugiej strony czego oczekiwała? Dlaczego ud
wała przed sobą, że go zna albo że ma powody, by czegokolwi
się spodziewać i cokolwiek myśleć? Wtedy go nie znała i tera
też nie. Jak to ujęła Marnie, jej jedyny związek był związkienżf:
z własną wyobraźnią. A teraz próbowała podporządkować teść?
mu wyobrażeniu rzeczywistość? - Ale mamy szansę zacząć od?
' nowa. ~ Wpatrywała się w niego z pewnym zdumieniem. Jego i
słowa zdołały przerwać jej walkę z sobą samą. Problem nie po-
'T leżał na różnicy między tym człowiekiem a dawnym Danielem. p;

Problem tkwił między Danielem a jej wyobrażeniem. To jasne, że prawdziwy Daniel różni się od tego, z którym spędziła tyle godzin w zaciszu swojego umysłu. Tylko rzeczywistość była w stanie ukazać człowiekowi rozmiary jego złudzeń. Przypomniało jej się, jak przedstawiciel zakładu energetycznego Dominion nie mógł się dostać do piwnicy jej domu. Przez osiem miesięcy z rzędu przysyłano rachunki na podstawie szacunkowego zużycia, a gdy facet w końcu odczytał licznik, oznajmił rodzicom Lucy, że są winni dostawcy cztery tysiące dolarów. - Jeśli chcesz - dodał Daniel.

Mogli zacząć od nowa? Naprawdę? Czy właśnie tak się stanie, ~ jeśli ona się zgodzi?

To Daniel. Ileszcze tego nie czuje, bo jest płytka i skrępowana, własnymi fantazjami, ale to on. Jeśli naprawdę woli przedkładać i swoje złudzenia ponad prawdziwego człowieka, powinna od razu przygarnąć mnóstwo kotów i zamknąć się w domu.

Wcześniej wyglądał inaczej, ale teraz, po chwili zastanowienia, A doszła do wniosku, że ona też się zmieniła. W liceum, za każdym razem, kiedy go widywała, była Wystrojona i umalowana. Jej usta ciągle pokrywała warstwa błyszcząca, wciągała policzki, miała idealnie dopasowane džinsy i starannie ułożone włosy. Teraz była rozkojarzona i pochłaniały ją inne sprawy, zupełnie zapomniała o spoglądaniu w lustro. Zapomniała już o tym, by przygotować swoją twarz dla cudzych oczu. Miała szczęście, że na jej widok nie uciekł w popłochu.

Kiedyś z powodu tego chłopaka całe jej życie stanęło w miejscu. Przewrócił do góry nogami jej odbiór świata. Czy naprawdę zamierza odrzucić tę szansę? Już raz stchórzyła i przez to go straciła, a jeśli na to pozwoli, tym razem też go straci. Teraz jest starsza. Pewnie stoi na nogach. Teraz potrafi to udźwignąć.

- Tak - powiedziała.

Popłynęła następna łza.

Uśmiechnął się do niej. To był inny uśmiech, niż oczekiwała. Po chwili miała ochotę dać sobie kopniaka. Koniec z oczekiwaniami. ~ -

- Jestem teraz w Waszyngtonie, pracuję w firmie marketingowej. Dziś wieczorem muszę tam pojechać i załatwić pewną sprawę. Nie liczyłem na to, że znaję cię już za pierwszym podejściem. Gdybym wiedział, zostałbym do jutra. Ale wrócę w weekend, dobrze? Wybierzesz się gdzieś ze mną w sobotę? Masz tu jakąś ulubioną restaurację?

Poczuła się trochę zawiedziona, że Daniel już wyjeżdża, ale jednocześnie naprawdę jej ulżyło. Zadręczanie się szło jej lepiej, kiedy była sama.

- Tak. W porządku. - Wymieniła nazwę restauracji oddalonej o dwadzieścia minut drogi na wschód. - Spotkajmy się tam - dodała nerwowo. Zdała sobie sprawę, że nie chce, aby przyszedł » nią do mieszkania. Nie umiałyby się wytłumaczyć przed Mar ~ Super. '

Pochylił się i pocałował ją w policzek, trafiając w koniusz ust. Wyprostował się i odszedł zdecydowanym krokiem, odwracając się tylko na chwilę, żeby powiedzieć cześć.

Stała nieruchomo, wciąż czując pocałunek na twarzy. Gdy dalająca się postać była już bardzo mała i za chwilę miała zniknąć za zakrętem, za którym znajdował się parking, Lucy opanowała grymas, myśląc, że Daniel odwróci się jeszcze raz, ale on więcD się nie obejrzał. „Zamknij się. Na niczym się nie znasz” - uciszyła i ła swoje rozczarowanie. i

Ruszyła przed siebie. Bez namysłu dotarła do serpentynowego muru, a potem wdrapała się na niego i usiadła, przyciskając kolanami:

na do piersi i oplatając je rękami. Trudno było pojąć ten świat.
C0 ją ugryzło? Daniel wrócił. Dlaczego czuje się tak dziw- sāl
nie i nieswojo? Dlaczego nie zarzuciła mu rąk na szyję? „Mamy
szansę zacząć od nowa” - powiedział. O co jej chodzi? Co jeste- t*
cze chce usłyszeć? 'j

„Myślałam, że to będzie zupełnie inne uczucie”.

Może nie jestw stanie pogodzić się ze zmianą jego wyglądu?
Czy naprawdę jest aż tak płytka? Nie chodzi o to, że on wygląda
źle - _ przeciwnie. Jest całkiem przystojny w każdym obiektywnym
sensie. Może nawet bardziej niż poprzednim razem.

Nawiedziło ją uparte, zdradzieckie wspomnienie tamtego pa-
miętnego wieczoru z udziałem dawnego Daniela. Natychmiast
poczuła w brzuchu skurcz i łaskotanie. Siedziała wtedy w szkolnej
ławce, a on ją przyciągnął, żeby spojrzeć mu w oczy. Zetknęli się
kolanami. Pocałował ją. Czteroletnie wyblakłe wspomnienie mia-
ło większą moc niż świeży pocałunek tkwiący na jej policzku. fle:
„To dlatego, że jeszcze nie znasz tej nowej wersji”.

„Poprzedniej wersji też nie znałam”.

Poprzedni Daniel był tym, którego kochała Constance. I So-
phia. Wcześniej to miało dla Lucy sens. Dlaczego teraz już nie?

Zbliżyła dłoń do ust. Na ciemnej rękawiczce zobaczyła ka-
wałeczki lodowej koronki i spojrzawszy w górę, dostrzegła duże
płatki śniegu, które dość chaotycznie wirowały wokół niej. To był
śnieg w stylu Wirginii - niebo wyglądało tak, jakby wcale nie mia-
ło zamiaru nim prószyć, a płatki spadły z niego same.

Może to ona się zmieniła? Może właśnie w tym tkwi praw-
dziwy problem? Była wtedy znacznie bardziej miękka, znacznie
bardziej pragnęła się zakochać albo przynajmniej wierzyć, że się
zakochała. Teraz stała się chłodniejsza, bardziej odosobniona,
wyraźniej wytycza granice. Może nie jest już zdolna do takiego
rodzaju związku? V

Tylko właściwie dlaczego nie? Z powodu tego, czego do-
wiedziała się od madame Esme, od doktora Rosena i co ujrza-
ła W podupadłej angielskiej rezydencji? Może przytłoczyło ją od-
krycie osób, którymi kiedyś była? Może pod tym ciężarem zatra-
ciła dawne ja? A

Poczuła smutek i zakryła oczy dłońmi. Zastanawiała się, czy
naprawdę pragnie takiej siebie.

On też był teraz inny i może tak było lepiej. Zdala sobie sprą-
wę, że nie chodzi jedynie o jego wygląd. Po raz pierwszy nazwał
ją po imieniu. Powiedział do niej Lucy.

Kalkuta, Indie, 2009

Na początku 2009 roku zadzwoniła do niego kobieta z Kalkua
ty. Niedługo po tym, jak widział Sophię W bibliotece uniwersy-F
teckiej. Kobieta przedstawiła się jako Amita. Przez pełną minu-igf;
tę mówiła do niego po bengalsku, zanim zdołał ją przekonać, że
nie włada tym językiem. i Ś:

_ jak to możliwe, że nie mówi pan po bengalsku? - upomnia-
ła go surowo po angielsku, z silnym obcym akcentem. ~

- Bo... nie mówię. Dlaczego miałbym mówić?

- Nie mieszkał pan tu, prawda? Może zatem hindustani? Zna
pan hindustani? i

- Trochę, niezbyt dobrze. Czy na razie możemy pozostać przy
angielskim?

Roześmiała się i zdał sobie sprawę, że to Ben.

- A, to mój dobry przyjaciel! - zawołał W starym włoskim dia-
lekcie, którym posługiwali się na statku.

- Nagle nabrałeś ochoty, żeby mówić językami, co? - przeko-

marzała się po angielsku. . !":

- Obaj znamy ich wiele - powiedział po łacinie.

- Możesz Wpaść z wizytą? - zapytała Wesoło po angielsku.
Wiedział, że gdy Ben wzywa, trzeba jechać.
- Tak. Kiedy? '
- Jak najszybciej! Kiedy tylko zechcesz.

Podowała mu adres i następnego dnia kupił bilet na samolot.
Miał W szpitalu mnóstwo niewykorzystanego urlopu.

i >e

Odnalazł ją W małym mieszkanku na najwyższym piętrze sta-
rego domu W tłocznej i zabiedzonej dzielnicy Kalkuty. Była młoda,
jej twarz pozostawała W ciągłym» ruchu. Miała na sobie uro-
cze sari, błękitne jak pawie pióra, i pobrzękujące na nadgarstku
bransolety. Od razu go objęła. Zaprowadziła go do małej, staro-
modnej kuchni, gdzie z zapalem coś pichciła.

- Jesteś bardzo przystojny, Danielu. - mówiąc to, flirciarsko
uniósła brWi.

- W tym życiu mi się poszczęściło - przyznał. - Jeśli uroda
oznacza szczęście.

- Czasami tak, czasami nie. - Zanurzyła palec W jednym
z garnków i spróbowała. - Pyszne - oznajmiła.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział szczerze.

- Ja też się cieszę, że cię widzę. - Podeszła do niego z łyżką
W dłoni i pocałowała go W brodę. - Chciałabym cię pocałować
inaczej - oznajmiła. Skinęła łyżką W stronę małego pokoiku za
uchylonymi drzwiami. - Chciałabym cię zabrać tam, ale Wiem, że
kochasz inną dziewczynę.

Roześmiał się. Nie był pewien, czy mówi poważnie czy nie,
a zresztą i tak nie umiał sobie Wyobrazić, że idzie do tego nie-
pościelonego łóżka z Benem. Po pierwsze, dlatego że to był Ben,
a po drugie, dlatego że Wcześniej znał go jako Laurę i kilka in-
nych osób. Nigdy nie potrafił zapomnieć o poprzednich życiach.
Nie potrafił zapomnieć o nikim, a co dopiero o Benie. Jeśli W mo-
mencie poznania człowiek był mężczyzną, żadna jego późniejsza
żeńska wersja nie była W stanie spodobać się Danielowi. Marni;))
mu szło życie chwilą.

- Jestem Amita - przedstawiła się władcym tonem, jak z
kle odgadując jego myśli.

- Jesteś zmiennokształtny - zażartował.

- Nie, to się nazywa życie - odparowała zaciekle. - W przec-
wieństwie do tego, co wyczyniasz ty.

Nadał patrzyła na niego z czułością, ale i tak się Wzdrygnął.

- Opowiedz mi o swojej dziewczynie - poprosiła słodko. Ni;
chciała go zranić.

- Wiem, gdzie jest. i

- Dlaczego nie jesteś z nią? .

Ben niezawodnie trafił W sedno. Daniel był zmęczony, Znaszli::
laż się w Kalkucie i musiał być szczery. ' _

- Próbowałem z nią porozmawiać kilka lat temu i wszystkuią
spieprzyłem. Działałem zbyt szybko. Wystraszyłem ją. Nie wydałi;
je mi się, żeby po czymś takim miała ochotę mnie widzieć. DamiLSV}
jej trochę czasu, zanim spróbuję jeszcze raz. i

jego wyjaśnienie brzmiało słabo nawet w jego własnych
uszach. Ile czasu zamierzał jej dać? r „a

- Może ona nie chce twojego czasu?

Potał policzki. Poczłł pot i brud po długiej podróży.

- Nie wiem, czego ona chce. - Ściszył głos. - Ale chyba ra- j*
czej nie mnie.

Amita stała z łyżką w dłoni i przyglądała mu się z namysłem.

- Och, Danielu - powiedziała w końcu. - Potrzebujesz miło-

ści. Właśnie tego ci trzeba. Zupełnie wyszedłeś z wprawy. st»
Roześmiał się.

- To dlatego zaprosiłeś mnie do sypialni? -

- Miłość to miłość - odparła. L

Pokręcił głową. Ten flirt był łaską, której nie rozumiał. *ił

- To chyba nie jest odpowiednia pora, żeby znowu próbować .
z Sophią. Może jeśli trochę poczekam, dostanę drugą szansę.

Zrobiła smutną minę.

- Tak można W nieskończoność. - Wrzuciła łyżkę z powrotem
do garnka i podciągnęła się, żeby usiąść na blacie. Przez chwilę
w zamyśleniu opierała brodę na dłoniach. - Może gdybyś zobaczył
w niej tę, którą jest_ teraz, a nie inną, nie zareagowałaby strachem.

- Co masz na myśli? Nie traktowałem jej jak kogoś innego.

Widziałem ją jako ją. Nazwałem ją Sophia, bo to przecież jest
Sophia. Czy to źle, że ją pamiętam?

- Sophia to nie jest jej imię. To wspomnienie. - Amita zesko-
Ł. czyła z blatu. Znowu wzięła się do mieszania. - Zdaje się, że ma
na imię Lucy.

i - To ta sama dziewczyna.

- I tak, i nie.

- Co masz na myśli? - Nawet we własnych uszach brzmiał
jak dziecko.

- Jesteś jak chomik. - Ben zarzucał mu to kilkakrotnie. -

- Kochaj, kogo kochasz, dopóki go masz. Tylko tyle możesz zro-
bić. Pozwól mu odejść, kiedy trzeba. Jeśli umiesz kochać, nigdy
nie zabraknie ci miłości.

Przyjaciół brzmiał beztrosko jak poradnik, ale mimo to Daniel
A poczuł się przytłoczony i dziwnie bezbronny. Nie wiedział, jak
odpowiedzieć, i Amita to zauważyła. Znowu podeszła do nie-
go z łyżką.

- Spróbuj - zachęciła go czule, zbliżając ją do jego ust.
Spróbował. -

- Boże, ale pikantne. i A

Przytaknęła i wytrzeszczyła oczy.

- Prawda? - Na chwilę zajrzała do książki kucharskiej, a po-
tem gwałtownie ją zamknęła. - Odkąd mój mąż wstąpił do woj-
ska, gotuję i czytam. Gotuję i czytam. _

- Twój mąż?

Miał poczucie winy, że zerknął na jej kształtny, brązowy brzuch
odsłonięty przez sari.

- Tak. A kiedy wróci, zadziwię go moimi potrawami - powie-
działa, wywijając łyżką jak magik.

Palilo go W ustach. w L

~ O tak. Tego jestem pewien.

. Przez chwilę jej się przyglądał. Z oddaniem mieszała, sie A
i wrzucała składniki. Wrzucanie papryki do garnka zamiast z .
czajnego wkładania jej tam, sprawiało jej wyraźną przyjemność

- Czasami trzeba nabałaganić - poinformowała go radośn-

Skosztowała zielonej potrawy z małego mosiężnego półmiskagzałä;

- OOO! - wydała zduszony okrzyk. - No cóż, to rzeczywiście!
zaskakujące. i .

- Naprawdę?

- Tak! Chociaż chyba nie do końca W pozytywnym sensie::

Gotowanie zawsze zaskakuje, nie uważasz?

Gotowanie nie zaskakiwało go od czterech wieków, odkąd;
przez siedem długich lat pracował W kambuzie statku żeglującegośfi;
go' po Adriatyku.

- Nie - odparł szczerze. v

- Och, ależ tak. Zawsze. - Wróciła do książki kucharskiej.

Nie mam matki ani siostry, które mogłyby mnie nauczyć, więc: i

muszę się nauczyć sama - wyjaśniła.

Był przygaszony. To przez zmęczenie długą podróżą i przez „skłonność Bena do budzenia w nim wątpliwości. 3

- Jak to możliwe, że cokolwiek jest dla ciebie nowe? - zapytał Amitę. - Jak to możliwe, że cokolwiek cię jeszcze zaskakuje?

Przerwała tylko na chwilę i spojrzała na niego. Wetknęła palec do zielonej potrawy i wyciągnęła W jego stronę. Polizał. Smakowało wstrząsająco paskudnie. Wręcz trująco. Ustąpił.

- Masz rację. To jest zaskakujące. L

Z jakiegoś powodu przypomniało mu się coś, co usłyszał od niej, kiedy była Benem i kiedy razem patrzyli na gwiazdziste nocne niebo podczas długiej, spokojnej wachty na Morzu Egejskim: „Trudno mi dostrzec schematy”.

*

Daniel wiedział, że Amita W końcu przejdzie do sedna jego wizyty i stało się to w chwili, gdy po kolacji usiedli na ciepłym dachu, żując aromatyczne nasiona i patrząc na wielką rodzinę, która rozłożyła się na plażowych leżakach na dachu budynku po drugiej stronie wąskiej uliczki.

- To nie ja jestem zmiennokształtna - powiedziała à propos niczego. - To twój starszy brat.

Przyjrzała się nasionku i wyrzuciła je na chodnik w dole. Jej twarz zastygła na chwilę, ale było jasne, że chce go ostrzec.

- Naprawdę?

~ Tak. Teraz z łatwością kradnie ciała. Ma niebezpiecznego przyjaciela.

- O czym ty mówisz? Kogo?

Umysł Daniela biegł do różnych postaci, które spotkał albo o których słyszał w ciągu tych wszystkich lat. Kiedyś W Gandawie zaczepił go mężczyzna, który twierdził, że jest archaniołem Azraelern. Oprócz niego była jeszcze kobieta W Nowym Orleanie, Evangeline Brasseaux, i grono jej wyznawców. Twierdziła, że widziała apokalipsę. Istniał cały podziemny świat tych ludzi i choć dawno temu parę razy się w nim zanurzył, przeważnie go unikał. Tych z autentycznymi wspomnieniami otaczali pieczeniarze, mitomani, plotkarze i najwykleski kłamcy. Trudno mu było połać się w tym gronie. Dopiero teraz pożałował, że nie zadał sobie trudu, by dowiedzieć się czegoś więcej.

Podrapała się po ramieniu. Jej kości były drobne i wyraźnie zarysowane, jak u ptaka.

- Gromadzi swoje moce od dawna. Gdy ty nie możesz znaleźć swojej dziewczyny, on ciągle jej szuka.

Poczuł w uszach i w gardle bolesne ukłucie, którego nie zdołał przewyciężyć połknięciem śliny.

- On szuka Sophii?

Głośno zmiażdżyła nasionko i wyjęła je z zębów.

- Kiedy znajdzie ją, znajdzie i ciebie. `

- Co masz na myśli? j.;

Zastanowiła się.

- Może już ją znalazł? Jw; .

Daniel wstał i zaczął chodzić. Okropna, choć zaskakująca w;] lacja wzbierała mu w żołądku. “a 1.1”_

- Jak to możliwe? Przecież nie potrafi rozpoznawać dusz. S mi to mówiesz. Nie pamiętasz?

Podeszła do niego i wypluła następne nasionko. »(3213

- Możliwe, że ktoś mu pomaga - powtórzyła.

- Jak? Kto? Co masz na myśli? - Czuł się jak idiota, który b końca powtarza to samo, wiedząc, że Ben nigdy nie odpowie tak postawione pytanie, ale nie mogąc się opanować. Chodził i z powrotem, ale po chwili zamarł W zupełnym bezruchu. -

o tym wiesz? - zapytał zgnębiony.
Pokręciła głową, ale widziała, w jakim j est stanie. Odpowiedziała z litości. w;

- Przypomniałam sobie.

Przypatrywał jej się W skupieniu. i .i

- Ale to się jeszcze nie wydarzyło, prawda? i

Zbyła to lekceważącym ruchem cienkiego, pobrzękującego nadgarstka. i

- *

- Czytam Prousta - oznajmiła Danielowi, kiedy pomagał jej ?Ć uprzątnąć potworny bałagan w kuchni. Nie chciała dłużej rozmawiać o Ioaquimie ani o Sophii i Daniel musiał się z tym pogodzić. 3} Wiedział, jaki jest Ben. Dawał tylko tyle, ile rozmówca był W stanie przyjąć, i ani odrobiny więcej. _'

. - Naprawdę? - chcąc okazać uprzejmość, podtrzymywał rozmowę, ale był rozkojarzony. - 3"

- Tak. Na końcu tej ulicy mamy dobrą bibliotekę.

- Nie czytałeś tego wcześniej?

- Chyba nie. - Roześmiała się niezwykle trzpiotowato jak na kogoś, kto żył od zawsze. - Iestem zachwycona.

Wzruszył ramionami, ścierając z sufitu coś w rodzaju sosu.

- Co się z nim stało?

- Masz na myśli Prousta?

- Tak. On też miał Pamięć?

Gdy przyłapało się Bena na temacie, który go interesował i był niegroźny, pojawiała się szansa zdobycia dziwnych informacji.

Pokręciła głową, aż zakolysały się jej małe złote kolczyki.

- Ani krztyny. - Zamyśliła się na chwilę. - Teraz jest gospodynią domową na południu Kentucky. Nieźle gra W brydża.

- Ani krztyny? - powtórzył zaskoczony.

'- Ani krztyny. Za to Joyce... No wiesz, jego już nie ma.

- Nie ma go?

- Miał tylko tamto jedno życie. Ale przeżył je w wielkim stylu.

- Hmm. W takim razie nie mógł mieć Pamięci.

- Zgadza się. Podobnie jak Freud. Wiedziałaś o tym?

- Nigdy bym się nie domyślił - odpowiedział.

- Ale lung to zupełnie co innego. - Amita ożywiła się. - On i jego matka.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

Doszedł do pytania, które musiał zadać.

- Czy ten... niebezpieczny przyjaciel też ma Pamięć? - zapytał powoli.

Wzruszyła ramionami na swój beztroski sposób, ale jej oczy załśniły złożonością, której nie umiał rozszyfrować.

- Wiesz, nie jesteśmy sami - odparła z lekkim smutkiem.

*

- Amita chciała, żeby u niej przenocował. zaproponowała mu połowę swojego łóżka, obiecując z powagą, że nie tknie go palcem.

Uniosła przy tym brwi, wywołując jego śmiech, który w tamtej chwili wydawał mu się niemożliwy. Mimo wszystko odmówił,

Musiał wracać do domu. ,

Gdy ścisłała go na pożegnanie, wydawała się smutna.

- Kochasz 'swoje wspomnienie, ale musisz też kochać swoją?

dziewczynę - powiedziała na pożegnanie. - Pamiętajsz to, co przciś minęło, a zapominasz o tym, co masz tuż przed sobą. i?-

Wiedział, co próbuje mu przekazać, ale czuł, że nie potrafi b? d} taki jak Ben. I

- Ieśli odpuszczę, kto będzie o tym pamiętał? - zapytał z unikiem melancholią. - To wszystko przeminie. '

Westchnęła.

~ Już przeminęło.

Charlottesville, Wirginia, 2009

Daniel stanął przed Campbell Hall. Patrzył na okna, w których paliło się światło, i zastanawiał się, czy za którymś z nich jest ona. W ciągu ostatnich dziesięciu dni odwiedził Charlottesville trzy razy i choć jeszcze jej nie zobaczył, czuł się pokrzepiony. Skończyła college. Mogła zamieszkać w dowolnym miejscu wielkiego świata, ale mimo to wróciła tutaj. Zdobył adres jej mieszkania przy Oak Street, ale jeszcze tam nie był.

Pod kilkoma drobnymi względami stał się cieplejszym człowiekiem. Zaprzyjaźnił się ze strażnikiem stojącym przy wejściu do pracowni architektonicznych. Rozmawiał ze studentką Rose, która znała Lucy i najwidoczniej od rana do wieczora przesiadywała w pracowni. Dawał im do zrozumienia, że przyjaźni się z Lucy, i miał z tego powodu lekkie poczucie winy. Nie cierpiał takich podchodów i nie chciał jej nagabywać, ale po powrocie z Indii dręczyły go nieznośne obawy. Nie zamierzał jej niepokoić.

Pragnął się tylko upewnić, że wszystko u niej w porządku. Krążył przy wejściu, aż w końcu zobaczył Rose, która prawdopodobnie wracała z kolacji.

- Cześć, co słychać? i

- Wszystko w porządku. Czekasz na Lucy?

' - Tak, umówiliśmy się na późną kolację - skłamał. - Nie wiążnądziałaś jej przypadkiem?

_ Nie - odpowiedziała bez wahania. - Dawniej siedziała tuł-sz codziennie do północy, ale od kilku dni wychodzi wcześniej. - Spojrzała na niego porozumiewawczo. - W pracowni plotkują, że Lucy ma chłopaka. j?

Daniel zastanawiał się, czy Rose ma okrutną naturę. l*

~ Tak? - zapytał jak gdyby nigdy nic. a

- Kiedy wychodziła w środę, była wystrojona. Nikt wcześniej i j nie widział jej na obcasach i z makijażem. Zrobiła duże wrażenie.

Daniel poczuł, że nienawidzi Rose.

- No cóż, pogratulować. Nie wiedziałem o tym. - Na twarzy odcisnęła mu się krępująco sztuczna mina i jedynym jego wyzwaniem stało się utrzymanie jej tam. - Możliwe, że zapomnia- A łem zostawić jej wiadomość o kolacji - dodał nieprzekonująco. ' Wyobrazził sobie Rose jako informatorkę Stasi w poprzednim życiu. ' Więc nagle Lucy stała się czyjąś „dziewczyną”. Co za głupie „3 określenie. Próbował sobie przypomnieć, w którym punkcie hi- ?ł historii języka wzięło swój początek. On nigdy nie chciałby być jej „chłopakiem”. „Byłbyś wszystkim, czymkolwiek by chciała” - odparła uczciwsza część jego umysłu.

Oddalając się od Campbell Hall, Daniel czuł się niedojrzały zazdrosny, ale nie zaniepokojony. To była jedyna dobra stro- 1 na tej sytuacji. Lucy się wystroiła. Umówiła się z chłopakiem. Nie było w tym śladu loaquima. Myśl, że Lucy znalazła chłopaka, by- ' ' ła przygnębiająca, ale Daniel był pewien, że Joaquim nie mógłby się do niej zbliżyć w taki sposób. Bo co do jednego Daniel nie miał żadnych wątpliwości: obecność loaquima budziłaby w Lucy i ogromny niepokój.

Szedł do samochodu powoli, noga za nogą, owładnięty pra- i j; gnieniem, którego nie czuł zbyt często, a w każdym razie nieczęsto sobie na nie pozwalał.

Bez zastanowienia pojechał na północ, do Fairfaksu. Poruszał się po drogach, które poznał jako nastolatek w latach osiemdziesiątych. Matka pożyczała mu swoją czerwoną toyotę celicę, a on wieczorami przejeżdżał nad Potomakiem, by popatrzeć na po-

mniki Lincolna i Jeffersona lśniące bielą na tle ciemnego nieba. Ojciec tego nie pochwalał, ale Molly prawie nigdy nie miała nic przeciwko. A

Zbliżając się do dawnego domu, poczuł coś w rodzaju bólu. W zasadzie nie zamierzał podejść aż pod drzwi i tam się zatrzymać, ale ostatecznie tak właśnie zrobił. Nie był tam od dwudziestu dwóch lat.

Gdyby potrafił zostawić świat jego własnemu biegowi, być może mieszkałby teraz za rogiem. Mógłby ciągle widywać Molly, tatę i braci. Być może miałby żonę i dobrą pracę, w której wykorzystywałby swoje ogromne doświadczenie w jakimś szczytnym celu. Może zostałby nauczycielem, tak jak rodzice? Z pewnością był w stanie przedstawić historię świata z unikalnej perspektywy.

Albo po prostu kosiłby trawnik, wrywał chwasty i próbował zapomnieć Wszystko z wyjątkiem sobotniego meczu. Czasami był pewien, że kluczem do szczęścia jest słaba pamięć.

Jego dawni rodzice zbliżali się do siedemdziesiątki - jeśli jeszcze żyli. Czy nadal tu mieszkają? Spojrzał na frontową werandę i zmrużył oczy, by przyjrzeć się kwiatom. Nawet w ciemności wiedział, że to dalej. Dostał swoją odpowiedź.

W kuchni paliło się światło, a na górze widać było niebieskawą poświatę telewizora. Potrafił myśleć o tym domu jak o własnym. Kiedyś to był jego dom. Dlaczego przestał nim być? Dlaczego on przestał do niego należeć? Bo go porzucił. Trzymał się siebie samego, a inne rzeczy odrzucał.

Pomyślał o swoich braciach, o trzech chłopcach Robinsonów wypucowanych na niedzielą mszę. O swojej matce i jej wiecznie zielonych dropsach, nalepkach i kolorowankach, którymi ich uczyła. Daniel nigdy ich nie potrzebował. Zawsze rozglądał się w poszukiwaniu Sophii. Czy matka czuła się wtedy zraniona? Musiała czuć, że tak naprawdę nigdy nie należał do niej?

Wiedział, że to ją smuciło. Wieczorem siadała na jego łóżku i próbowała z nim rozmawiać, myśląc, że mogłaby się zbliżyć do go, co przed nią ukrywał. Kochała go na tyle, na ile jej pozwalała. Bardziej, niż jej pozwalał. Przecież nie można kontrolować: wszystkiego.

Potem zniknął bez powodu, nie dając jej nawet chwili satysfakcji. Nie zasłużyła na to. Pozostawił po sobie ziejącą pustkę; Wiedział o tym, gdy był ze sobą szczery. Ta pustka doskwierała zarówno jemu, jak i jej. Dawniej nie zwracał na to uwagi.

A teraz siedział sobie całkiem zdrowy przed jej domem. Tylko co. u? dobrego jej z tego przyszło? Co dobrego przyszło jemu?

„Nie chcę iść dalej, chcę zawrócić”. Nie chciał iść dalej, ale zawsze pragnął następnej szansy. Dla niego liczyły się wyłącznie początki i końce, podczas gdy tacy ludzie jak Molly żyli pośrodku, jakby to było wszystko, co mają.

Przytępał się na tym, że chce, aby Molly wyszła z domu.

Pomyślał o jej krzywych zębach z przodu, o piegach i puszących się siwych włosach, i poczuł bolesną tęsknotę. I wiedział, że ona wyszła. Po co miałyby wychodzić? Siedział samotnie w samochodzie.

Nawet gdyby rzeczywiście nie żył, nie zrobiłoby to większej różnicy. Dzięki Pamięci wiedział, że zawsze w końcu stanie się niewidzialny nawet dla ludzi, których znał i kochał najbardziej. Nawet oni już go nie poznawali i nic ich nie obchodziło. Gdy ukończą swoje życie, przestają cię dostrzegać, można udawać, że panuje nad światem, że się nad Wszystkimi związkami międzyludzkimi.

Bardziej przypominał ducha niż człowieka. Obserwował ludzi, czekał na ludzi. Nie po to, żeby z nimi porozmawiać, przy-

tulić ich albo budować z nimi wspólne życie, lecz tylko po to, by i ich pamiętać.

*

W towarzystwie Daniela Lucy nieustannie była trochę wstawiona. Zabierał ją do eleganckich restauracji, zawsze zamawiał wino i dyskretnie płacił rachunek. Łapczywie piła wszystko, co jej nalewano. Była przy nim W nieprzerwanym stanie lekkiego zamroczenia.

„Dlaczego to robię?” - zastanawiała się. Normalnie się tak nie zachowuje. Lubi jasność zmysłów. Dlaczego W jego towarzystwie tak ochoczo się od nich oddala?

Kolacja dobiegła końca i po roztopiającym się cieście czekoladowym, zjedzonym na deser w nieco romantycznej atmosferze, czekali na rachunek. Doszła do wniosku, że Daniel musi zarabiać mnóstwo pieniędzy.

Spojrzała na niego ponad stołem. Ledwie pamiętała dawnego Daniela. Z całych sił próbowała połączyć te dwie twarze. Poczwała chwilową odwagę i wróciła myślami do ich dawnej rozmowy.

- Kiedyś nazywałeś mnie Sophią - powiedziała.

- Kiedy? -

- W liceum. Na tym żalonym balu maturalnym. Nie wierzę, że zapomniałeś.

Przesunął palcem wskazującym wzdłuż przykrytej obrusem krawędzi stołu. ~

- Kiedyś tak miałaś na imię.

- Dawno temu, tak? - Była zdecydowanie podchmielona.

- Tak. Bardzo dawno.

- Pamiętasz to?

- Oczywiście.

- Jak to możliwe?

- Po prostu pamiętam. Pamięć niektórych ludzi sięga bardzo i daleko.

- Szkoda, że ja takiej nie mam.

- Nie wszystkie Wspomnienia są dobre.

- Pamiętasz Constance?

Ładna kelnerka przyniosła rachunek. Spojrzał na niego i od?"

powiedział: I a

- Oczywiście. '

- Jak rozpoznajesz ludzi W kolejnych życiach? Nie rozumie i jak to możliwe. ~

Wypisał czek i wstał.

_ Wyjdźmy na zewnątrz, dobrze?

Nie czekał na jej zgodę, więc po prostu poszła za nim, mii} jając rząd szatniarzy, parkingowych i szpaler ludzi czekających i jil, na napiwki, choć nie była pewna, czy naprawdę powinna je wać. Zazwyczaj wkładała kilka dolarów tu i tam, tak na wszelki wypadek. i

Gdy stanęli przed restauracją, odwrócił się i złapał ją jednym płynnym ruchem. Jego usta dotknęły jej ust, zanim zdążyła się wykręcić. Zawsze chciał ją całować i obejmować w miejscach publicznych, co było pełnym przeciwieństwem tego, czego chciała ona.

Próbowała zareagować, ale wszystko w niej drżało. Zęby szczykały za bardzo, by mogła całować. Odsunęła się, żeby nie i'll zauważył. ~

- Pojedziemy do mnie? - zapytał, wsuwając dwa palce pod pasek jej spódnicy. - Proszę?

Czy tego chciała? Nie, nie mogłaby. Miała ochotę wypić ty- Yz le wina, ile się da, ale nie udało jej się jeszcze wypić wystarczająco dużo.

- Nie mogę. A ;T

Rumieniąc się, przypomniała sobie, jak bardzo pragnęła, że- 'In by w liceum wsunął kolano pod jej sukienkę, jak go całowała, zanim zdążyli zamienić kilka słów. Zaczynała się zastanawiać, jak dużo - albo jak mało - naprawdę znaczy dusza. < _

Gorliwy parkingowy przyprowadził samochód, zanim Daniel zdążył wsunąć ręce pod jej rajstopy. Jeździł porsche, więc czekała go obowiązkowa pogawędka z parkingowym, a to sprawiło, że odetchnęła z ulgą.

- Dlaczego nie możesz? - dopytywał się, sadzając ją sobie na kolanach na masce upragnionego samochodu, gdy parkingowy poszedł odprowadzić jakiegoś SUV-a. .

- jutro mam zajęcia. Ocenę projektów. Muszę dokończyć jeden model.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Najwyraźniej nie wiedział, że trzy wymówki znaczą tyle co żadna. Gwałtownie wsunął dłoń nie pod jej płaszcz i bluzkę, a potem zanurzył je w staniku. Znał się na pewnych sprawach. _

jego ręce były zimne. Dlatego nadal się trzęsła.

- Następnym razem?

- Następnym razem - przytaknęła.

To był ich rytuał. Zawsze następnym razem.

Zapalił papierosa i odprowadził ją do jej gównianego samochodu, który zostawiła na skraju parkingu. Wstydziła się przekazać go parkingowemu. i

- Opowiedz mi o Sophii - poprosiła, a jej oddech utworzył chmurkę w powietrzu. Jej chmurka przypominała biały obłoczek, a jego szary świder. Pragnęła czegoś, czego mogłaby się trzymać, by uwierzyć W ten następny raz.

- Na przykład co?

- Kim dla ciebie była?

Odsunął ręce.

- Była moją żoną.

- Naprawdę?

- Tak.

- Kochałeś ją?

Przemawiało przez nią wino. Przemawiał przez nią następny raz. Nawet jej nie dotykał, a mimo to drżała i szczerkała zębami, jakby się bała. „Nie boję się. Czego miałabym się bać?”.

Spojrzał na nią.

- Nie tak bardzo, jak powinienem.

*

- Jest zupełnie inny niż dawniej.

Lucy próbowała opowiedzieć Marnie o kolacji z Danielem. Miała nadzieję, że gdy wróci, Marnie będzie już spała, ale lody delikatnie otworzyła drzwi, jej przyjaciółka siedziała na kant-v.; pie w ich miniaturowym salonie, zupełnie przytomna, z kompuiterem na kolanach.

~ Jak bardzo można się zmienić W ciągu kilku lat? - zapytała Marnie.

Jak zwykle zadawała właściwe pytania, a Lucy się wykręcała.

- No, w tym wypadku... bardzo.

Lucy domyśliła się, że mówią cicho, bo Leo już śpi. Długo zdejń i mowała płaszcz, kapelusz, buty skarpetki. „ I

- Co masz na myśli?

Lucy chciała wyjaśnić, co naprawdę ma na myśli, ale jak?

Marnie sądziła, że chce poznać prawdę, ale czy rzeczywiście tego pragnęła? Lucy już i tak często wprawiała przyjaciółkę W za-kłopotanie. Marnie brakowało ich dawnej przyjaźni, czasów, gdy Lucy mówiła jej o wszystkim. Nie rozumiała, dlaczego to się

zmieniło. Lucy też brakowało ich dawnej „bliskości, ale nie potrafiła do niej wrócić. Ani zmusić się do wyznania Marnie prawdy. Bo prawda nie byłaby krzepiąca i na pewno by ich do siebie nie zbliżyła. v

- Po prostu... Trudno to wytłumaczyć.

Tak naprawdę wolałaby zapytać: „Jak dużo naprawdę chcesz wiedzieć?”.

- Kiedy zamierzasz go tu przyprowadzić? Chcę go zobaczyć. Ukrywasz go?

Lucy zdecydowanie go ukrywała. Bo jak miałyby wyjaśnić brak jakiegokolwiek podobieństwa do Daniela, którego znała wcześniej? Wystarczająco bolesne było rozmontowywanie wszechświata, by zrobić dla niego miejsce. Nie umiałyby wrzucić tego wszystkiego na barki Marnie.

- Nie. Nie. Niedługo wpadnie. Pracuje w Waszyngtonie. Ma A poważne stanowisko i jest zajęty.

Lucy powoli odwinęła apaszkę z szyi, po czym ostrożnie powiesiła ją na haczyku w szafie, zamiast zmiąć w kulkę i jak zwykle rzucić na stolik w korytarzu. Niespiesznie szukała telefonu j W torebce.

- Chyba ja też się zmieniam - powiedziała do tej pełnej wy-czekiwania ciszy. - jestem zdecydowanie inna niż w liceum. Mamie rozprostowała nogi.

- Próbujesz dać mi do zrozumienia, że Daniel nie podoba ci się aż tak jak w liceum. .

- Nie, nie o to chodzi - zaprzeczyła zamyślona. - Wtedy by-łam strasznie głupia, jak zresztą sama zauważyłaś.

Lucy bawiła się ładowarką telefonu. Nie chciała usiąść na krze-śle naprzeciwko Marnie, bo wtedy musiałyby być szczerą. Marnie posmutniała.

- Wiesz, lubiłam, kiedy byłaś głupia. Zresztą nigdy tak tego nie określiłam.

- Rozumiesz, co mam na myśli. Wtedy po prostu... śliniłam się na jego widok. Chyba już taka nie jestem.

Marnie wyglądała wyjątkowo przytomnie. Okręciła luźny ka-bel od komputera wokół stopy.

- Dlaczego?

Marnie należało się uznanie za tę niezłomność, mimo że pewnie bała się tego, do czego mogą doprowadzić te pytania.

Lucy przez chwilę wytrzymywała spojrzenie przyjaciółki, a po-tem spuściła wzrok. To ona była tchórzem.

- Chyba po prostu jestem starsza.

- Pocałowałaś go tym razem?

- Trochę.

- Ile razy byliście na randce?

- Nie wiem. Siedem, może osiem. Coś koło tego.

- I pocałowałaś go „trochę”? Masz dwanaście lat?

- Iutro mam ocenę projektów.

Marnie pokręciła głową.

- Czy to ten sam Daniel?

Lucy przełknęła ślinę i pokiwała głową.

- W takim razie już ci się nie podoba.

Arlington, Wirginia, 2009

Wczesnym wieczorem, po długiej, męczącej zmianie, Daniel jechał ze szpitala stanowego do Charlottesville i gdy zobaczył ko-rek na obwodnicy, postanowił wybrać inną drogę.

Przyłapał się na tym, że rozmyśla o swoim dziadku Iosephie, ojcu Molly. Nie myślał o nim jako o starym i schorowanym pa-cjencie hospicjum w Fairfaksie, lecz raczej wspominał czasy, gdy

mieszkali w Alabamie, nad stawem. Zimą nad staw przylatywały gęsi, a oni prawie codziennie rano karmili je kawałkami czerstwego chleba. Niełatwo było zdobyć zaufanie tych ptaków, ale im dwóm się udało. Właściwie tego nie planowali. Po prostu wcześniej wstawali i szli nad staw. Nadal pamiętał zachwyconą twarz Josepha pośród wirującego kłębowiska czarnych głów z białymi paskami u dołu, szarych skrzydeł i ciemnych, gęgających dziobów. Joseph wyjaśnił mu, że gęsi dobiegają się w pary tak jak ludzie. Lepiej niż ludzie, bo gęsi pozostają szczere. \

Daniel pamiętał także wiosenne dni, kiedy pierwsze stada wracały do Kanady albo tam, skąd przyleciały. Patrzyli z Josephem na pędzącą w górze literę V, na pojedynczą, hałaśliwą ptasią duszę, i obserwowali gęsi przejęci ich podróżą i zasmuceni ponownym opuszczeniem. Daniel pamiętał, że zazdrościł im celu i więzi or' tego, że mogą zwyczajnie odfrunąć. Kolekcjonował pióra, że „... dłużej mieć je przy sobie. Babcia mówiła, że są brudne, ale ma po cichu pozwalała mu je zatrzymać. j

Joseph marzył o byciu pilotem i zostałby nim, gdyby nie że W młodości zachorował na polio i od tamtej pory miał problemy z nogą. Daniel powiedział Josephowi, że też chciałby pilotem, i wówczas naprawdę tego pragnął. Po przeprowadzce Joseph słał mu zdjęcia samolotów, którymi według niego wnuki powinien latać. Daniel żałował, że zakończył tamto życie, zanim mu się to udało. .

*

Był trzy kilometry za miastem, na wąskiej drodze, i zmierzał na południe, gdy nagle zdał sobie sprawę, że zna tę drogę i że to właśnie dlatego ciągle wspomina Josepha. Pokonał jeszcze parę kilometrów, rozglądając się w poszukiwaniu cmentarza po lewej, gdzie spoczywał Joseph wraz ze swoją żoną Margaret. Zamiast jechać dalej zaskoczył sam siebie, skręcając wlewo i wjeżdżając i w dębową aleję.

Był trochę zdziwiony, bo prawie nigdy nie myślał o cmentarzach. Znaczyły znacznie mniej, niż sądziła większość ludzi. Przypomnił sobie kobietę ze swojej dawnej dzielnicy St. Louis, która codziennie pokonywała prawie dwadzieścia pięć kilometrów, by opłakiwać dawno zmarłego męża przy zimnym, szarym A głazie, podczas gdy tenże mąż sprzedawał mleko w supermarkecie zaledwie pół mili od jej domu. i Łrł

Daniel nie widział dziadka, odkąd Joseph zmarł, mimo że rozglądał się W jego poszukiwaniu. Prawdopodobnie był teraz w jego wieku. Daniel myślał, że skoro byli tak bardzo żywi, ich drogi w końcu się przetną. Nie spotkali się jednak i dlatego zaczął się zastanawiać, czy tamto życie nie okazało się dla Josepha ostatnie. Po namyśle doszedł do wniosku, że to całkiem możliwe, i posmutniał. Niektóre szanse naprawdę przepadały bezpowrotnie. Zaparkował i wszedł na Wzgórze. Dobrze było Wysiąść z samochodu i trochę pospacerować. Czuł senność i tak bardzo skupiał się na tym, co się dzieje W jego wnętrzu, że pozostawione. same-mu sobie ciało mogło przestać oddychać.

Grób dziadka wyglądał tak, jak sobie wyobrażał, tyle że nie rosły na nim kępy dali. Rozejrzał się i zauważył znajome kwiaty kawałek dalej, W tym samym rzędzie. Był ich cały bukiet, świeżo ściętych i intensywnie różowych. Wzbudziło to W nim zakłopotanie i lekki niepokój. Czyżby ostatnio W rodzinie ktoś zmarł?

Całkiem niedawno widział ojca. Miał nadzieję, że bracia mają się dobrze. Ciekawość zawiodła go w stronę tego przystrojonego grobu. Przeczytał nazwisko dwa razy, zanim nabrało jakiegokolwiek znaczenia. „Daniel Joseph Robinson, ukochany syn Molly i Joshuy". '

Możliwe, że naprawdę przestał oddychać, bo teraz powietrze Wpadło do jego płuc szybko i boleśnie. Imię, które mu dali, wygra-
Werowano jako drugie, a to, które nadał sobie sam, jako pierwsze.
Były tam nie tylko kwiaty, lecz także dwa znicze i zdjęcie W ram-
ce. Nie chciał na nie patrzeć, ale i tak spojrział.

Oczywiście był na nim on. Ubrany W strój do biegów przeła-
jowych stał obok Molly. Był spocony, włosy przylepiły mu się do
szyi mokrymi strąkami. To zdjęcie zrobiono tuż po biegu i Molly
g miała W rękę puchar. Nie wystawiała go do obiektywu, lecz tylko
3 zwyczajnie trzymała. Wygrał wtedy większość konkurencji, a ona
wiedziała, że puchar wcale go nie obchodzi.

Musiał mieć z czternaście lat. Już wtedy dorównywał jej wzro-
stem. Opierał głowę na jej ramieniu. Miał zamknięte oczy i śmiał
się z czegoś. Nie pozował, naprawdę się śmiał. Wiedział, dłaczę-
go zachowała to zdjęcie. Może i ona przeżyła dzięki niemu parę
szczęśliwych chwil.

Nigdy nie przychodził na swoje groby. Nie chciał patrzeć na
swoje dawne podobizny. Unikał tych spraw, nie bardzo Wiedząc
dlaczego, ale teraz poznał odpowiedź. Usiadł. Zdał sobie s7,
wę, że trzyma W dłoni kluczyk od samochodu i że drżą mu p?-

Włożył kluczyk do kieszeni. . Ś?

Pamiętał tamte zawody. Pamiętał, że W tamtym ciele był sz :
i że szybkość nie wymagała od niego żadnego wysiłku. Pamięć
tamte jesienne dni i swoją ulubioną trasę, która wila się pr
gąszcz choin kanadyjskich wykupiony przez anonimowego
ściciela. Nigdy wcześniej nie był tak dobrym biegaczem. B g?
względu na gorliwość i strategię pozostałych zawodników tam»
nogi były po prostu szybsze niż inne.

Pomyślał o Molly, która pielęgnowała jego grób, przynosiły??
kwiaty zapalała znicze. W pierwszym odruchu chciał ją odszuś
kać. Chciał jej powiedzieć: „Nic mi nie jest. Nadal cię kochalm?,
i ciągle o tobie myślę. Nie jestem tam, na dole, jestem tutaj”.
Znowu spojrział na zdjęcie. Spojrział na swoje dłonie i przypa-
mniał sobie te poprzednie - paznokieć środkowego palca lewej.,
ręki, który rósł w śmieszny sposób, swoje kościste knykcie, pie-
gowatą skórę. Tamtych dłoni już tu nie było. Spoczywały tam, na
dole. Albo to, co z nich zostało. Tych szybkich nóg też już nie by-
ło, je także zakopano. Syn Molly leżał pogrzebany W tej ziemi. Już
go tu nie ma. „To byłem ja”. A i

Tęsknił za tamtym ciałem. Tak dobrze słyszał w nim muzykę.
Jego palce z gracją przemykały po klawiszach fortepianu. To by- -śf
ło utalentowane ciało i szkoda, że je wyrzucił.

Spojrząwszy na twarz Molly na fotografii, poczuł, że nie ko-
chał tamtego ciała dlatego, że było szybkie i dobrze słyszało mu-
zykę. Chciałby tak myśleć, ale wiedział, że to nieprawda. Kochał
je, bo było kochane. Bo Molly go kochała. '

W obecnym ciele nie był kochany i nie znajdował prawie ni-
czego, co sam mógłby w sobie pokochać. Nie chciał dawać mat-
ce tak wielkiej mocy, ale Molly i tak ją miała. \ ”._

To zadziwiające - myślał, że może zabrać całe swoje la do na-
stępnego życia, ale zapomniał, że gdy zostawia się kogoś takiego
jak Molly, część tego la zostaje z tym kimś już na zawsze. Czasami
zastanawiał się, czy jego pamięć Ważnych spraw naprawdę jest
A. aż tak dobra.

A Po raz ostatni spojrział na zdjęcie, a potem wstał na drżących
nogach. Wtedy nie był jeszcze w stanie tego dostrzec ani zaakcep-
'tować, ale teraz podobieństwo wydało mu się oczywiste. Wyglądał
dokładnie jak ona.

A Charlottesville, Wirginia, 2009

W pierwszy piątek wiosennej przerwy W nauce, po tym jak; Lucy złożyła pracę poświęconą „milusińskim drzewom” Jeffersona i W gaju Monticello i zdała dwa egzaminy W ciągu trzech dni, tuż po południu W holu jej budynku zjawił się Daniel i zadzwonił do niej domofonem. Była tak zaskoczona i zaniepokojona jego przyjściem, że Wypadła z mieszkania jak burza i zbiegła schodami z trzeciego piętra, nie tracąc czasu na przebranie się w coś innego niż spodnie od dresu i podkoszulek ani nawet na włożenie stanika.

Powitał ją z otwartymi ramionami, a ona z ociąganiem pozwoliła się przytulić. Nie chciała spojrzeć W górę, więc pocałował ją W czubek nieumytej głowy.

- Mam dla ciebie wielką niespodziankę - powiedział. Był Wiodocznie podekscytowany. i

Już sama jego obecność w budynku, W tym centrum jej życia, wydawała jej się Wystarczająco Wielką niespodzianką. Nie Wiedziała, czy jest W stanie znieść następną. Przesunęła go W stronę wnęki z popsutym automatem telefonicznym. Nie odważyła się zaprosić go na górę, bo Marnie i Leo jeszcze spali.

- Iaką niespodziankę? - zapytała.

Wyjął jakieś kartki z kieszeni długiego płaszcza i wyciągnął je w jej stronę - nie żeby je wzięła, ale by na nie spojrzała.

- Bilety na samolot? - zdziwiła się.

- Tak. Chociaż właściwie nie bilety, tylko nasz plan podróży.

- Plan podróży? i

- Zaczyna' się twoja przerwa wiosenna, prawda? Mówiłaś, że nie masz żadnych planów. Zabieram cię zatem na tydzień do Meksyku.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nie wiedziała, że w ich związku jest miejsce na coś takiego. Gdyby kilka miesięcy temu ktoś jej oznajmił, że Daniel ponownie zjawi się W jej życiu iw dodatku zabierze ją na tydzień do Meksyku, oszałałaby z radości. Teraz jednak poczuła się spłoszona i wytrącona z równowagi.

- Zamierzałam wpaść na kilka dni do rodziców, Powiedziałam im, że...

- Masz dwa tygodnie wolnego. Znajdziesz czas.

Co chwila ktoś wchodził do budynku albo z niego wychodził. Ludzie, których znała z widzenia. A co jeśli zaraz zejdzie Marnie? Lucy nie chciała przedłużać rozmowy z Danielem.

- Wylatujemy jutro po południu - oznajmił radośnie. Jeśli nawet zauważył jej opory, niczego nie dał po sobie poznać. A to, podobnie jak wiele rzeczy, wydało jej się dziwne. - Idź się spakować.

Chcesz, żebym po ciebie wpadł czy spotkamy się na lotnisku?

- Spotkamy się na lotnisku - wypaliła. - Miałbyś zupełnie nie po drodze.

- Wspaniale. - Pocałował ją. - Spotkajmy się w południe.

Zadzwonię i podam ci numer wyjścia. A

Z natrętnym uczuciem ulgi patrzyła, jak Daniel odchodzi. Zastanawiała się, czy nie zgodziła się na ten wyjazd do Meksyku tylko po to, żeby sobie poszedł.

*

Daniel zrobił coś, czego obiecał sobie nie robić. W sob i' tę przed południem pojechał pod jej mieszkanie. Przestało m już wystarczać szpiegowanie jej z daleka. Musiał się przemóij; iw końcu z nią porozmawiać. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby? ją ostrzec. Od powrotu z Indii towarzyszyła mu pełna niepokoju?? czujność, ale w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zaa* chowywał się jak nawiedzony - śnił o niej przez całą nędzną g04' dzinę snu, a przez resztę czasu nie opuszczało go uczucie paniki;

Nie był pewien, czy to wizyta na cmentarzu tak go pobudziła, czy może jakieś dziwne sennie przeczucie, ale myśl o odwlekaniu spotkania z nią choćby o chwilę dłużej wydawała mu się nie do zniesienia. Znalazł jej nazwisko przy numerze mieszkania 4D i wciśnął guzik domofonu. Odpowiedział mu znajomy głos, który jednak nie należał do niej.

- Zastałem Lucy?

- Nie. Kto mówi? - zapytał głos. 3"

- Mówi... eee... - Był zrozpaczony. - Czy to Marnie? .

- Tak. Kto mówi? - powtórzyła. '

- Mówi Daniel. Daniel Grey. Z Hopewood. - Czuł się głupio, kiedy tak krzyczał do domofonu. - Pewnie mnie nie pamiętasz, ale... I

- O, doskonale cię pamiętam. Jesteś na dole? Co ty tu robisz? - lej głos był nie do końca przyjazny.

- Miałem nadzieję zobaczyć się z Lucy.

- O czym ty mówisz? - Głos Marnie był ostry, niecierpliwy, co było słychać nawet przez trzeszczący głośnik. - Nie mieliście przypadkiem jechać razem do Meksyku? Godzinę temu Lucy wyszła i pojechała spotkać się z tobą na lotnisku.

- Słucham? - Poczul, jak zamarza mu umysł. Przynajmniej był uprzejmy. i

- Myślałam, że zabierasz ją do Meksyku.

- Do Meksyku? Ia? Jak to?

- Pojechała się z tobą spotkać! Tak powiedziała. Nie rozumiem, co ty tu robisz. Naprawdę jesteś Daniel Grey czy to jakiś kiepski żart?

Gdzieś W jego żołądku zaczął wzbierać strach.

- Mogę wejść na górę i z tobą porozmawiać? A może wolisz zejść na dół?

- Zejdę na dół- oznajmiła.

Patrzył, jak winda rusza z trzeciego piętra i wiezie ją na dół. Nie chciał żadnych tajemnic. Nie podobało mu się, że Lucy będzie gdzieś daleko, gdzie nie mógłby jej znaleźć.

- To naprawdę ty - wykrzyknęła Marnie, kiedy otworzyły się drzwi windy. Była wyraźnie zaskoczona. - Przejdźmy tam

- dodała.

Zaprowadziła go na sfatygowaną kanapę w głębi holu. Zanim usiadła, przez chwilę mu się przyglądała.

- Wcale nie wyglądasz inaczej - zauważyła. - Powiedziałabym, że w zasadzie tak samo jak w szkole.

- Jak to?

- Lucy ciągle mówi, że bardzo się zmieniłeś, że ledwie cię poznała.

Strach rozprzestrzenił się coraz bardziej, w górę i W dół. Czyżby go zauważyła, kiedy myślał, że jest niewidzialny? A może chodziło o coś innego?

- A kiedy mnie widziała?

Marnie spojrzała na niego jak na idiotę, a potem powoli pokręciła głową.

- Ciągle się z tobą widuje. W ubiegły weekend. I w poprzedni. Wczoraj. Bez przerwy się spotykacie.

- I mówiła, że zabieram ją do Meksyku?

- Tak.

Zdał sobie sprawę, że pod maską Wyniosłości Marnie też jest wystraszona.

- I pojechała?

- Pojechała.

- Jesteś pewna?

- Wiem, że się spakowała i dokądś poszła. - Twarz Mar

nadal była surowa, ale chciała mu zaufać. - Możliwe, że skłam`
 O tym, z kim jedzie. Może W ogóle mnie okłamała.
 Oczy pod spiczastymi brwiami przypomniły mu czasy, W
 rych Marnie była matką Sophii.
 ~ Ale powiedziała, że jedzie ze mną, z Danielem Greyem z i f; i
 ceum? i
 - Tak. Jesteś jego złym bratem bliźniakiem czy co? Nie
 zumiem, dlaczego tak bardzo cię to dziwi. Lucy mówiła, że jeź',
 dziła do bardzo drogiej restauracji gdzieś w Wirginii z Danielemiś
 Greyem z` liceum. j
 Pokręcił głową.
 - Nie jestem bratem bliźniakiem. Jeśli wkradło się tu jakieśfi.;
 zło, to chyba nie ma związku ze mną. - Musiał się zastanowić.
 Powiedziała, gdzie dokładnie jedzie?
 - Do jakiejś miejscowości nad Pacyfikiem. Ixtapa? Jest coś ta-
 kiego? Chyba wspomniała, że lecą do Ixtapa. - Miała wystarczają-
 jąco dobrą intuicję, by wyczuć głębię jego niepokoju. - Lecisz do
 Meksyku? Teraz?
 - Najszybciej, jak się da.
 - Jeśli nie jest z tobą, to z kim?
 - Właśnie tego muszę się dowiedzieć. Nic więcej nie wiesz? 'z
 Może znasz nazwę hotelu albo coś innego? 'z
 - Przykro mi, nie. Spakowała dwa kostiumy kąpielowe. i
 Wybiera się na plażę. Tylko tyle wiem.
 - Dasz mi numer jej komórki? j
 - Tak, ale chyba na nic ci się nie przyda. Mówiła, że jej telefon
 nie będzie tam działał. A
 Mimo to podała mu numer, a on zapisał go w telefonie.
 - Dobra. Dzięki, Marnie - powiedział, ogarnięty chwilową
 czułością do tej dziewczyny. .
 - Wiesz co, Daniel?
 - Co?
 Był już W połowie drogi do wyjścia.
 - W liceum nigdy tego nie rozumiałam. Dlaczego jej wtedy
 nie pokochałeś?
 Wrócił do Marnie i spojrzał jej prosto W oczy.
 - Kochałem ją. Kocham ją od chwili, W której po raz pierwszy ją zobaczyłem.

Ixtapa, Meksyk, 2009

Tamtego Wieczoru Daniel wyleciał z lotniska Dullesa do
 Mexico City, a stamtąd ruszył do Ixtapa Zihuatanejo, gdzie wylą-
 dował w niedzielę W południe. Podczas lotu nie był W stanie na- A
 Wet czytać gazety. jego palce zaciskały się, kolana drżały, a umysł _ś
 wirował, próbując zrozumieć, jak do tego doszło. Podejrzewał,
 że najprawdopodobniej pakuje się W pułapkę. I że W takim razie
 osoba, której nienawidzi, ucieszy się na jego Widok bardziej niż :i
 ta, którą kocha. To była gorzka pigułka, ale musiał tam pojechać. f.
 Nie pozostawało mu nic innego.

Miał Wrażenie, że próbuje rozwiązać problem ze zbyt wieloma
 zmiennymi. jak Joaquim znalazł Sophię? Jeśli miał pomocnika - i i -
 co sugerował Ben - to kto nim był i dlaczego to robił? I jaką pa- g.
 mięć miała ta osoba? A może loaquimowi udało się W jakiś spo-
 sób zdobyć umiejętność samodzielnego rozpoznawania dusz? I}
 Bez względu na to, jakimi środkami posłużył się Joaquim, że- t,
 by ją znaleźć, prawdopodobnie odkrył również bliskość Daniela
 i Sophii i równoczesny dzielący ich dystans ,a to sprawiło, że
 Daniel poczuł się głupio. Dlaczego tak długo trzymał się z daleka?
 C0 dokładnie - oprócz tchórzostwa - było tego powodem? Ulegał`
 jej strachowi, czy może własnemu? Trzymając się z boku, nawet
 gdy już wiedział to, co wie, zostawił Sophię na pastwę tych dziw-

nych machinacji.

Ta niepokojąca myśl wprowadzała drugą kategorię zmien-
nych. Jak Joaquim zdołał ją przekonać, że jest Danielem? Jakich
sił perswazji mógł użyć, aby w to uwierzyła? I jak mu się udało
zdobyć jej serce? Po rozmowie z Danielem kochającym ją przez
całe życie uciekła w popłochu, a Joaquimowi, który nie okazał
jej niczego poza okrucieństwem, pozwoliła zaprosić się na waka-
cje W Meksyku. Danielowi nie uwierzyła w nic, a Joaquim jakimś
sposobem przekonał ją o... Bóg jeden wie o czym. Może przeży-
wali ze sobą uroczne, romantyczne chwile. Może Daniel W ogóle

I nie znał się na ludzkiej naturze.

Å - Cholera - mruknął pod nosem.

Joaquim nie zrobi jej krzywdy. Przynajmniej jeszcze nie teraz.
To jedyna korzyść płynąca z gry, w którą wciągnął go dawny brat.

Dopóki udaje Daniela, nie zamierza jej skrzywdzić. Za to kiedy
zjawi się prawdziwy Daniel, wszystko się wyda.

Gdy wychodził z samolotu w Ixtapa, żar słońca na plecach na-
pierał na niego jak ciężar. Stał w krętej kolejce wiosennych urlo-
powiczów, już zaróżowionych i popijających tequilę z papiero-
wych kubeczków. On był ponury, mówiły to jego twarz i ciemne
zimowe ubranie, którego nie miał czasu zmienić. Próbował wy-
myślić coś, co mógłby powiedzieć w osiemnastowiecznej odmia-
nie kastyljskiego do celnika, żeby przejść na początek kolejki. .

W mieście pełnym podpitych turystów nie sposób było czego-
kolwiek załatwić. Nikt oprócz niego się nie spieszył. Wynajęcie sa-
mochodu zajęło mu półtorej godziny. Już miał się poddać, ale wie-
dział, że później pojazd będzie mu potrzebny. „Zwolnij - uspokaj-
jał się w myślach. - On nie zrobi jej krzywdy. Jeszcze nie”.

Gdy w końcu dotarł do miasta, znalazł ją bez problemu.

Miasteczko nie było wielkie i stało W nim tylko kilka luksusow-
ych hoteli. Nawet jeśli wcześniej wątpił, że to wszystko zostało
ukartowane, wystarczyło spojrzeć na nazwisko, którym posłu-
ży Joaquim, meldując ich W hotelu Ixtapa Grand Imperial: p,
Daniel Grey z żoną. Jasne, Daniel był trochę przewrażliwiony i
punkcie swojego imienia, ale mimo to strasznie się wkurzył.

Prawdziwy i jedyny Daniel czekał w holu. Wykorzystał cza-
by zapoznać się z planem budynku, a W końcu zobaczył znajom-
twarz. Nie tę, którą chciał zobaczyć, ale jej widok wiele mu
śnił. I choć wiedział, kim będzie uzurpator, i tak doznał wstrząs-
su. Facet z meczu Lakersów, ten który siedział tuż przy boiskur-
s w modnej fryzurze i z zepsutą duszą, budził na żywo jeszcze Więkm-
szy niepokój. Jego dusza miała w sobie coś tak bardzo niemoral-
nego, że Danielowi trudno było ją rozpoznać w zwykły sposób.
lecz i tak wiedział, że to Joaquim. Upływ czasu w zasadzie nie zła-
godził uczucia odrazy. Daniel miał nadzieję, że nie będzie aż tak
źle, ale spełniły się jego najgorsze przeczucia. I

- Macie tu papierosy? - zapytał Joaquim recepcjonistę. Nie za-
dał sobie trudu, by mówić po hiszpańsku. i'

Mężczyzna wskazał mu sklep na rogu ulicy. *

- Nie macie papierosów? To jakieś żarty?

- Nie, przykro mi, proszę pana. Tylko na zewnątrz. A i
Joaquim zamaszystym krokiem wyszedł na ulicę, a Daniel
zbliżył się do kontuaru. i

- W którym pokoju mieszka pan Grey? - Zadał to pytanie po
hiszpańsku.

- Nie mogę panu podać numeru - odpowiedział grzecznie
młody mężczyzna. - Ale połączę pana.

- Dobrze, dziękuję.

Obserwował dłoń recepcjonisty wystarczająco długo, by zo-
baczyć, jaki numer wystukuje. i

Recepcjonista rzucił kilka słów do słuchawki, po czym zasłonił ją dłonią. _

- W pokoju jest pani Grey, ale pan Grey wyszedł - oznajmił. Daniel lekceważąco pokręcił głową.

- Zadzwoń później.

Gdy tylko recepcjonista się odwrócił, Daniel ruszył w stronę schodów. Wbiegł na szóste piętro. Było gorąco. Jeśli działała klimatyzacja, to tylko w pokojach. Znalazł pokój 632 i zapukał.

- Tak? - odezwał się nieśmiało głos za drzwiami. Głos, który znał.

- Eee... obsługa - wykrztusił. '

W innych okolicznościach nie byłby w stanie powstrzymać się od śmiechu.

Żałownie przestępował z nogi na nogę, czekając, aż podejdzie do drzwi. „Proszę, otwórz” - pomyślał. Zostało niewiele czasu. Co ona pomyśli, kiedy go zobaczy? Po raz pierwszy od długiego czasu miał poczucie, że wchodzi w jej życie, zamiast jedynie kręcić się w pobliżu. Jeśli oczywiście zostanie wpuszczony. Miał nadzieję, że jego twarz okaże się nie do końca niemile widziana.

*

Siedziała na łóżku w szlafroku, oplatając rękami podciągnięte kolana. Daniel chciał, żeby okna były pozamykane, a klimatyzacja pracowała na pełnych obrotach, ale na szczęście wyszedł, więc Lucy wzięła szybki prysznic, otworzyła duże, staromodne okna skrzydłowe i wpuściła morską bryzę.

Przebrnęła przez jedną noc, ale nie była pewna, czy zdoła wytrzymać jeszcze sześć. Nie mogła z nim spać. Jej komórki nerwowe wzdrygały się na myśl o seksie z Danielem i dosłownie nie potrafiła przy nim zasnąć. Przyjechali dzień wcześniej, późnym wieczorem, i była zdecydowanie zbyt poruszona, żeby spać. W końcu zdrzemnęła się w fotelu, z książką w ręku, i obudziła się gwałtownie na długo przed wschodem słońca. Miała poczucie winy, które jednak nie zmieniło tego, co czuje. Szukała głupich wymówek - ma okres, mocno krwawi, męczą ją skurcze i tak dalej - rzeczy, które mówi się .po to, żeby zniechęcić faceta, najlepiej na zawsze. Teraz trochę się wstydziła, ale nic nie mogła na to poradzić. Nie była w stanie się z nim przespać.

A on oczywiście zaczynał się niecierpliwie. Nie po to zabiera się dziewczynę do Meksyku, żeby zasypiała w fotelu z książką w ręku. Niczym jej nie uraził, ale i tak czuła się w jego towarzystwie dziwnie niespokojna. Tuż pod jego skórą wyczuwała kąś wybuchowości, której nigdy nie zauważyła w liceum. Wyszedł kupić papierosy i poczuła ulgę, mając dla siebie chociaż te parę minut. W wyobraźni wymykała się z hotelu i wracała do dośfjmu. Boże, co ją ugryzło? Co powiedziałaaby Constance? Jak do go doszło? „i

„Przepraszam, Constance. Próbowałam się na niego otworzyć; i naprawdę. Ale on chyba nie potrafi mnie uszczęśliwić”.

Z drugiej strony być może los okazał się dla niej łaskawy; I zanim Daniel ją odnalazł, żyła w impasie. Bez niego nie potrafiła ruszyć dalej. Myślała, że nigdy się z niego nie wyleczy. Ale teraz, „kiedy już z nim była, wiedziała, że to możliwe. W jego obecności dawne romantyczne wizje wydawały jej się śmieszne. Wyleczyłał się z niego całkowicie, mimo że właśnie utknęła z nim w hotelowym pokoju w Meksyku, w którym mieli spędzić jeszcze sześć dni. Ochoczo i z wielką dozą ulgi wyobrażała sobie swoje życie bez niego. Było jej przykro z powodu Constance i Sophii, bo nie przejęła ich spuścizny, ale nie potrafiła tego zrobić. Choć kiedyś ten zuchwały nowy świat wydawał jej się bardzo obiecujący, okazał się zał się rozczarowaniem. I chyba tak było lepiej. W końcu mogła

wrócić do dawnego świata, nie oglądając się za siebie. j} Kiedy usłyszała kroki za drzwiami, struchlała. Nie chciała, żeby wrócił tak szybko. Zdziwiła się, że zapukał. j,

- Tak?

- Obsługa.

. Niczego nie zamawiała. Może on coś zamówił? Gdy szła do drzwi, czuła szczerą ulgę. Nie otworzyłaby Danielowi ubrana jedynie w szlafrok, ale obsługi się nie bała. „Ä

Spodziewała się nieznanego z tacą, więc nie była w stanie ł ogarnąć tego, co naprawdę zobaczyła. Spojrzała na niego, odwróciła wzrok, a potem spojrzała jeszcze raz.

- O mój Boże.

- Cześć - powiedział nerwowo, oglądając się za siebie, patrząc na korytarz, a potem znowu na nią.

- Daniel - szepnęła.

Był zjawą, ale jednocześnie pocić się, przestępował z nogi na nogę i zostawiał na ciemnym dywanie ślady z piasku.

- Pamiętasz mnie?

- O mój Boże.

Jej umysł chwycił się różnych wyjaśnień. Może jakimś cudem Daniel znowu się przeobraził? Wszedł w następne ciało? Odzyskał poprzednie? Jak to działa? Co jeszcze jest możliwe? Zobaczyła jednak jego oczy, brodę, ramiona, buty, szyję, kołnierzyk i ręce, i już wiedziała, że to nie ta sama osoba - absolutnie nie ta sama osoba - która wyszła po papierosy. „O mój Boże”. To on.

- Przepraszam za to wtargnięcie. Pójdiesz ze mną?

- Dokąd?

- Jak najdalej stąd.

Wyglądał tak, jakby miał wyskoczyć ze "skóry. Zrozumiała, że trzeba się spieszyć. .

- Tak... po prostu?

Zerknęła na swój szlafrok.

- Tak.

- Teraz?

Jej serce już prawie eksplodowało - to samo stare, romantyczne serce.

Do ich uszu dotarł sygnał windy zatrzymującej się na tym samym piętrze.

- Teraz.

Szybko wyszła z pokoju, a on cicho zamknął drzwi. Winda była na samym końcu korytarza, ale usłyszeli, jak się otwiera. Wziął ją za rękę, a ona poszła za nim bosą. Skręcili za rogiem, potem jeszcze raz. Niedaleko za nimi rozległ się odgłos kroków, a potem szcęk otwieranych kartą drzwi do pokoju, prawdopodobnie tego, z którego wyszła. Zatrzymał się przy pomieszczeniu tuż przed klatką schodową. Otworzył je i pociągnął ją za sobą! Następnie zamknął. To było coś w rodzaju kącika gospodarczą: go. Można go było zaryglować od środka.

Stali w słabym świetle, próbowała złapać oddech. Zdała sobie sprawę, że nadal trzymają się za ręce.

- Uciekamy przed facetem, z którym tu przyjechałam? - szepnęła.

- Tak. Masz coś przeciwko?

- Nie. * j

- To dobrze. - Stał blisko niej i słyszała jego ciężki oddech. Przepraszam, to wszystko musi być dla ciebie bardzo niespodziewane - mruknął. i

Roześmiała się. Śmiech dziwnie zabrzmiał w jej własnych uszach, jakby jeszcze nigdy w życiu się nie śmiała. <

- jeszcze jak.

Uśmiechnął się, ale znacząco wytrzeszczył oczy, dając do zrozumienia, że powinni być ciszej.

Łomotanie jej serca dotarło do gardła i na dół, na dno miednicy. Myśl, że ten drugi mężczyzna, z którym tu przyjechała, jest Danielem, wydała jej się teraz tak niedorzeczna, że gdy wspominała swoje niedawne próby uwierzenia w to, zrobiło jej się żal samej siebie.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś - szepnęła. - To naprawdę ty? Nadal żyjesz? A może jesteś tylko wytworem mojej wyobraźni? Przeszła się śmiać i teraz z jej oczu płynęły łzy.

- Chyba naprawdę tu jestem.

Chciał jej dotknąć, ale się powstrzymał. Stracił wiarę w siebie. Ostatnim razem poszedł za głosem serca i to go zgubiło. Wolał nie popełniać tego samego błędu. Był stary jak skała i podobny do skały - nie potrafił odczytać znaczenia jej łez i nie wiedział już nic na temat miłości.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak. Cieszę się, że cię widzę.

Patrzył na jej twarz, szczerą i odważną, i na ten widok bolało go serce. Może jednak coś wie o miłości.

- Nawet po tym, co się stało poprzednim razem?

- To nie była twoja wina. Tylko moja.

- Nie, nieprawda - zapewnił żarliwie.

Za drzwiami rozległy się kroki dwóch osób. Głos Ioaquima krzyczał na jakiegoś mężczyznę, który cicho odpowiadał po hiszpańsku.

- Przykro mi, proszę pana, ale nie możemy panu pomóc w tej sprawie - mówił cichy głos. - Jeśli uważa pan, że stało się coś złego, będzie pan musiał zawiadomić policję.

Daniel poczuł, że Sophia ściska go za rękę. Głosy minęły ich i ucichły.

- Powiedział, że jest tobą. Wiedziała, że to nieprawda.

Dlaczego mnie okłamał? Czego on ode mnie chce?

- To bardzo długa historia - szepnął. - I chyba trudno w nią uwierzyć. Ale opowiem ci, jeśli chcesz.

- Tutaj? W tym schowku?

- Nie. Myślę, że najlepiej będzie poczekać jeszcze parę minut, i a potem wyjść przez kuchnię, tylnymi drzwiami. Zaparkowałem w alei. Jest pewne miejsce nad morzem, gdzie moglibyśmy się na chwilę zatrzymać, dopóki nie uda mi się zabukować jakiegoś lotu.

Pokiwała głową, gorliwa i jednocześnie zdumiona, mierząc go wzrokiem w ledwie rozproszonej ciemności.

- Nadal masz te buty - szepnęła.

^ Spojrzał na nie, a potem znowu na nią, pytająco.

- Te buty. Z liceum. Pamiętam je.

- Naprawdę?

Poczuł się absurdalnie szczęśliwy.

Zaczekał, aż zapadnie całkowita cisza, a potem pomacał wieszaki w głębi małego pomieszczenia i podał jej przypominającą sukienkę, zapinany na suwak fartuszek z rodzaju tych, w których chodziły pokojówki. 'Ś'

- Może w tym będziesz mniej rzucała się w oczy. - Znalazł; do kompletu chustkę na głowę. - Nie rozglądaj się, dobrze? Nie! powinniśmy iść razem. Pójdiesz pierwsza, a ja za tobą. Ale o mnie się nie martw, po prostu idź przed siebie. Zejdź po schodach z prawej strony, a potem wejdź do kuchni. Podejdź do metalowych drzwi z tabliczką z napisem „EXIT”, którymi wydostaniesz się na zewnątrz. Przyjechałem czerwonym focusem z meksykańską rejestracją i zaparkowałem naprzeciwko hotelu.

Samochód jest otwarty. Nie zatrzymuj się i z nikim nie rozmawiaj, chyba że to będzie konieczne. Dobrze? .

A - Dobrze.

„Dobrze”. Miał ochotę ją przytulić. Chciał jej dotknąć. Trudno mu było trzymać ręce przy sobie, ale nie mógł też zbliżyć się do niej. CO o nim teraz myślała?

- Czy on jest niebezpieczny? I z;

- Tak - odpowiedział. - Ale nawet na chwilę nie spuszczę cię z oka. - Uniosła fartuszek. Uśmiechnął się mimo woli. - Chyba że teraz. Kiedy będziesz się przebierała. Odwróć się.

Ona też się uśmiechnęła i wcale nie miał ochoty się odwracać, i jednak to zrobił. Słyszał szelest materiału.

- Gotowe - oznajmiła po chwili. j

Odwrócił się. Szlafrok rzuciła na podłogę i stała teraz w fartuszkach zapiętym z przodu na zamek. Wkładała włosy pod chustkę. Wsunął ręce do kieszeni.

- A buty?

- Racja.

Pod ścianą były płytkie schowki, w których znalazł parę różowych japońskich z pianki. Podał je Lucy.

- Chyba będą dobre - orzekła i włożyła je. - g

Znalazł półkę z białymi prześcieradłami i wręczył jej ich stos. A !

- Weź to. - Wzięła. Podeszedł do drzwi i położył rękę na gałce. Przez chwilę nasłuchiwał. - Gotowa? '

- Tak.

Otworzył drzwi.

- Idź. Nie rozglądaj się.

Wyszła na korytarz. Poświęciła chwilę, żeby się odwrócić i uśmiechnąć, wtedy zrobiło mu się jeszcze cieplej na sercu. Była z niej piękna pokojówka.

*

Nikt nie zwracał na nich uwagi, dopóki nie wsiedli do samochodu. Mężczyzna w uniformie boya hotelowego otworzył drzwi do kuchni i zaczął do nich krzyczeć, ale Daniel wyjeżdżał już z alei.

- Zapisuje numer rejestracyjny - powiedział Daniel, spoglądając we wsteczne lusterko. 7

- Co robimy? - zapytała.

- Coś się wymyśli.

Zsunęła z nóg japonki i oparła bosc stopy o deskę rozdzielczą.

- Ale fajnie.

Powinna była czuć strach - i rzeczywiście czuła - ale trudno było zwracać uwagę na świat, kiedy Daniel był tak blisko.

- Będzie fajnie, jeśli się stąd wydostaniemy. - Daniel na jakiś czas skupił się na znalezieniu drogi wiodącej na północ. Ciągle zerkał we wsteczne lusterko i domyśliła się, że wypatruje pościgu. - Czy on ma samochód? '

- Nic mi o tym nie wiadomo. Żadnego nie wypożyczyliśmy. Z lotniska przyjechaliśmy taksówką.

- To dobrze. Trochę go to spowolni.

- Jesteś pewien, że będzie nas ścigał?

- Nie. Ale chyba w końcu nas znajdzie. Teraz już się nie podda. Pozostaje nam mieć nadzieję, że zajmie mu to trochę czasu. Zdjęła chustkę z głowy i przyjrzała się jego profilowi. Dobrze było być z Danielem, bez względu na wszystko.

- Myślisz, że to odpowiedni moment na zapoznanie mnie z tamtą historią?

Pokiwał głową, ale był powściągliwy. Rozumiała dlaczego. i

- Ta historia jest długa i dziwna, nie musisz w nią wierzyć, nie chcesz - zaczął. - Coś ci powiem. Przedstawię ci swoją wersję? a potem spróbujemy znaleźć jakieś sensowne wyjaśnienie.

_ Mówił beztroskim tonem, ale bardzo mu współczuła. Od dawni? był sam ze swoją wersją świata. Chciała mu pokazać, że to rozumiał

Pragnęła powiedzieć o tym i o innych sprawach, ale jakoś nie mogła wydusić z siebie słowa. Myśli wirowały jej w głowie jak szalone, a ona nie potrafiła ich spowolnić ani ułożyć w logiczną całość. i - 3;

- W porządku, Danielu ~ zdołała w końcu wykrztusić. - a p, Rozumiem więcej, niż ci się wydaje. '

Oderwał wzrok od drogi, spojrzał jej w twarz, a potem znowu się odwrócił. Przez kilka sekund milczał.

- Co masz na myśli? dl*

Próbowała się uspokoić. Starła się oddychać powoli.

ę - Mam na myśli, że... Nie do końca to wszystko rozumiem, ale wierzę... Wydaje mi się, że wierzę W to, że my... że nasze dusze... w jakiś sposób żyją dalej, dzięki czemu możesz rozpoznawać ludzi i pamiętać różne rzeczy przez więcej niż jedno życie.

Kilka razy spoglądał na nią i z powrotem przenosił wzrok na drogę. Trudniej było prowadzić tę rozmowę, kiedy nie mogli patrzeć sobie w oczy. Pragnęła nawiązać z nim jakąś łączność - nie złapać go i pocałować, choć i tego wołała nie wykluczać, lecz pojąć uczucia, którymi ją darzył, lepiej odczytać jego skrępowanie, i zacząć przezwycięzać tę pięcioletnią, otępiającą niepewność.

- Dlaczego tak... uważasz? - zapytał ostrożnie.

- Przez pewną wróżkę, hipnotyzera i kilka innych rzeczy, w które nawet nie wierzę. To też długa historia.

Siedział w bezruchu. Obie dłonie zaciskał na kierownicy.

- Wiesz o mnie?

Wyglądał tak, jakby bał się jej zaufać.

- Wiem tylko trochę. Wiem, że już kiedyś cię znałam.

Przynajmniej tak mi się wydaje. - Skubała paznokciami pas bezpieczeństwa. - Mogę cię zapytać o coś, czego nie rozumiem?

- Jasne.

- Jak to się dzieje, że zawsze jesteś Danielem, podczas gdy reszta z nas powraca jako inni ludzie? Żyjesz Od bardzo dawna?

Na jego twarzy odmalowała się ulga.

- Tak myślałaś? Że jestem bardzo stary? - Spojrzał na nią i uśmiechnął się. - Chyba obniżyłaś wymagania co do towarzystwa.

Roześmiała się. ~

- Ostatnio działy się dziwne rzeczy.

Wypuścił powietrze. Oparł się wygodniej. -

- Mam dwadzieścia cztery lata. W pewnym sensie żyję od bardzo dawna, ale umarłem wiele razy, podobnie jak ty.

- Więc jak to możliwe, że w kolejnych życiach pozostajesz taki sam?

- Nie pozostaję. Tylko mój umysł się nie zmienia. Dlatego że pamiętam. - Pokiwała głową. - To moja jedyna niezwykła cecha.

Ale rzeczywiście jest bardzo niezwykła.

- Hmm. - Przez chwilę się nad tym zastanawiała. - I pamiętasz wszystko? Wszystkie nasze życia? Wszystkich ludzi, których znałeś?

A Nieustannie na nią spoglądał, jakby bardzo chciał jej to wszystko wytłumaczyć.

- Moja pamięć nie jest doskonała, ale tak, pamiętam prawie wszystko. Oprócz narodzin. Ie zazwyczaj zapominam. Mówił beztroskim tonem i ona też poczuła się beztrosko.

- Nie wierzę.

- To prawda. Mógłbym obchodzić urodziny przez połowę dni w roku. Tracą przez to swoją doniosłość.

- Nie dziwię się.

- I osłabiają moją wiarę W astrologię.

- To smutne. '

' ~ Smutne i wesole.

Teraz wyglądał na szczęśliwego.

- Więc... wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- O, dzięki.

Pokręcił gałką radia i włączył salsę. Obydwoje głupio sił i uśmiechali. .

Zabębniła palcamio kolano. i

- Ktoś jeszcze ma taką pamięć jak ty? ' - I

- Garstka ludzi. o -sšfig

- Znacie się? To coś W rodzaju klubu? "

Roześmiał się. „

- Nie. Niezupełnie. Nie mamy żadnych klubowych T-shirtówjś: ani tajemnych uścisków dłoni. Ale dwóch takich ludzi znam, a kilka innych osób spotkałem albo o nich słyszałem. i i

- Na przykład? i

Daniel zerknął we wsteczne lusterko. -

- Na przykład faceta, który wkrótce będzie nas ścigał. _ Ł,

- Wiesz, już raz cię porwałem - powiedział Daniel, kiedy słońce wspanało swoje różowe promienie przez przednią szybę, otaczając ich czymś W rodzaju poświaty.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - A już myślałam, że przydarzyło i mi się to po raz pierwszy. ~_

Roześmiał się. Był dziwnie odprężony, prawie odurzony koktajlem z radości, ulgi i strachu. Ulga brała się stąd, że ona już o nim wiedziała, wierzyła mu, nie uciekła i nie patrzyła na niego * z lękiem w oczach. To naprawdę niesamowite, że sama wszystko w rozpracowała. Co to znaczyło? Co znaczy dla niej on?

A Potem o jego uwagę zaczęły zabiegać czarniejsze myśli. Jak mogła pomyśleć, że Joaquim to on? Jak to możliwe, że przyjechała z Joaquimem aż do Meksyku?

- Więc kiedy to było? - zapytała. *j

- Dawno temu.

- Jak miałam na imię? i;

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Sophia.

- Sophia? Tak mnie nazwałś W liceum.

- To pierwsze z twoich imion, które poznałem. Poprzednim razem uciekliśmy na pięknym arabie, co było bardziej romantyczne niż jazda fordem focusem.

- Ford focus mi nie przeszkadza - powiedziała i roześmiała się.

Bez względu na to, jak tu trafiła, znajdował zaskakującą słodycz w ucieczce od loaquima, we wspólnej sprawie, która ich połączyła, i w poczuciu, że może ją ochronić. Była to jedyna przysługa, jaką Joaquim kiedykolwiek mu wyświadczył - i pewnie jedyna, jaką niechcący wyświadczył komukolwiek, Wsunęła pod siebie stopy i spojrzała na niego poważniejszym wzrokiem.

- Dlaczego wtedy mnie porwałeś? A

- Z tego samego powodu i temu samemu człowiekowi co teraz. Próbowałem ci pomóc.

- Potrzebowałam pomocy?

- Tak. Ale nie z własnej winy.

- Czego on ode mnie chce?

I Daniel skręcił w drogę prowadzącą do Los Cuches i dodał gazu.

- Teraz czy wtedy?

- Zacznijmy od tego, czego chciał wtedy.

Pokiwał głową. '

- Jeśli chcesz, zacznę od początku.

- Chcę.

- Nie od samego początku, ale od początku mnie, ciebie i mężczyzny, z którym tu przyjechałaś. Kiedyś miał na imię Joaquim. Nie wiem, jak nazywa się teraz. Wiemy, że nie Daniel, więc będę go nazywał Joaquimem. Jak pewnie zauważyłaś, jestem przywiązany do dawnych imion. - Przystaknęła. - Ta historia zaczyna się ponad tysiąc dwieście lat temu, na ziemiach, które dzisiaj nazywamy Turcją.

Jolita, Meksyk, 2009

Zostawili samochód na parkingu przed jasno oświetlonym supermarketem, kilka kilometrów od drogi biegnącej wzdłuż A wybrzeża. Daniel dał jakiemuś młodemu mężczyźnie kupę pe- i so, żeby ten powiózł ich jeszcze pół godziny w kierunku oceanu. Wyjaśnił Lucy, że zarezerwował dla nich domek W odludnej części plaży, w niezabudowanej zatoce między dwoma skalistymi cyplami. †

Gdy tam dotarli, słońce cicho wisiało nad wodą, jakby na nich czekało. Daniel podziękował kierowcy i wziął od niego numer telefonu.

- Możliwe, że będę potrzebował błyskawicznego transportu - wyjaśnił swoim dziwnym hiszpańskim.

Strasznie przepłacił i chyba wiedział, że mężczyzna zrobi wszystko, o co tylko go poprosi.

- Niech pan dzwoni w każdej chwili - odpowiedział młodzieniec. .

Daniel znalazł klucz pod doniczką, tak jak uzgodnił z pośrednikiem. .

- Jak to wszystko zaplanowałaś? - zapytała. - Skąd wiedziałeś, co się stanie?

- Nie wiedziałem. Miałem nadzieję, że uda nam się tu dotrzeć. Chciałem się upewnić, że W takim wypadku będziemy mieli gdzie przenocować. Zamierzam wyczerterować samolot, prawdopodobnie W Colimie, ale wydostaniemy się stąd najwcześniej jutro rano.

Domek był pobielony wapnem i pokryty dachówką niemal niewidoczną spod korony bugenwilli. Daniel otworzył drzwi i popchnął je. Poczula wypełniające wnętrze oceaniczne powietrze. Duży salon miał wyjście na taras prowadzący na plażę, a W górze na wysokim suficie obracały się dwa Wentylatory. Kuchnia była z tyłu, otwarta na salon. Po obu stronach znajdowały się sypialnie, obie proste i ładne.

I. Chodząc po małym domku, ciągle na siebie spoglądali. Zastanawiała się, czy jego niedowierzanie dorównuje jej Własnemu. Do jakiej kategorii należała ta przygoda? Czy chciał ją tylko odnaleźć? Czy po powrocie odstawi ją bezpiecznie do domu i wróci do swojego życia? Część jej umysłu bezustannie i lękliwie wracała do historii Sophii, którą opowiedział jej W samochodzie.

Ukrył ją W odległej wiosce, wyjechał i zginął.

Wokół tarasu biegł niski murek i W zasadzie niczego nie uzgodniwszy, podszli do niego i usiedli obok siebie, żeby podziwiać resztki słońca. Nadal miała na sobie ten śmieszny brzoskwinowy fartuszek. On nadal był ubrany na waszyngtońską zimę. Obydwoje milczeli.

Poczula, że dotyka udem jego uda. Nie potrafiła zapomnieć o tym, że pod fartuszkim jest naga. Uciekła z hotelowego pokoju W szlafroku. Nie miała niczego na zmianę i nie była W stanie wybiec myślami choćby o kilka minut do przodu.

Wpatrywała się tępo W dok pływający, oddalony od lądu o jakieś pięćdziesiąt metrów. „Fajnie byłoby do niego dopłynąć”.

Pewnie robiliby takie rzeczy, gdyby spędzali Wspólne wakacje, pomyślała z rozrzewaniem. Jednak nie byli na wakacjach. Cały czas próbowała myśleć, że są, lecz wcale nie byli. To była misja miłosierdzia mająca na celu odebranie jej staremu wrogowi. Dani po prostu próbował jej pomóc. Może było mu jej zwyczajnie ź. Może robił to przez wzgląd na dawne czasy. „Mam nadzieję, nie tylko dlatego”. . .

Bez względu na to, jak się przy nim czuła, musiała trzymać swoje nabrzmiałe serce w ryzach. Gdyby chciał, mógł ją odna-
leż już dawno temu. Pomyślała o tych wszystkich latach, kiedy? do niego wdychała. Dlaczego - jeśli pragnął jej równie mocno, jak ona jego - nie przyszedł po nią wcześniej? „

Kiedy słońce zanurkowało pod powierzchnię Pacyfiku, pocł-
szedł do lodówki i zajrzał do środka. x

_ Napijesz się czegoś? - zawołał do niej. .

- Tak. Dzięki. Czegokolwiek. Byle nie bourbona. -

*

Daniel chciał coś powiedzieć, ale zdołał to wykrztusić dopiero po dwóch piwach imbirowych, jednym dojrzałym mango, dwóch kanapkach i paczce chipsów.

- Jak mu się udało do ciebie zbliżyć? - zapytał w końcu, jak- „ Q by to było kolejne logiczne zdanie W długiej i nieco frustrującej rozmowie. i;

- Masz na myśli Ioaquima?

- Naprawdę nie przypuszczałem, że uda mu się do ciebie zbli-
żyć po tym, co ci zrobił, kiedy byłaś jego żoną. Wiem, że to wszyst- . f
ko wydarzyło się dawno temu, ale zazwyczaj takie uczucia są dość silne. Myślałem, że uciekniesz od niego W popłochu. Ale chyba się i:
pomyliłem. Może po jakimś czasie uczucia jednak słabną. A m0- I
że po prostu nie ogarniam całości. ~ ›

Odłożyła szklanekę. Czuła jego frustrację i zareagowała na nią odrobiną własnej.

- Danielu, chciałam uciec W popłochu. I uciekłabym.

Musiałam się zmuszać, żeby obok niego siedzieć. Nie wiem, jak mi się to udawało. Kiedy mnie całował, miałam ochotę zwymio-
tować. Wtedy gnębiło mnie z tego powodu poczucie winy, ale gdy teraz się nad tym zastanawiam, nie tylko jest mi głupio, ale W do-
- datku mdli mnie jeszcze bardziej.

' -Czy ty...? .

Pewne pytanie nie dawało Danielowi spokoju, ale nie potra-
ñł go wykrztusić. Wiedziała, o co chce zapytać, i nie miała ochoty ułatwić mu zadania. A

- Czy co?

- Czy... często się z nim całowałaś?

- Nie bardzo. Nie.

Był zakłopotany, ale uparty.

- Doszło do czegoś więcej niż pocałunki?

' - A czy to twoja sprawa?

- Nie.

- Danielu. - Wstała. Miała ochotę nim potrząsnąć. - Nie uprawiałam z nim seksu. Nie pozwoliłabym mu się dotknąć. Nie zniosłabym tego. Wczoraj w nocy spałam w fotelu. Czy o to pró-
bujesz mnie zapytać? '

Przytaknął z rozgoryczoną miną.

- Ale dlaczego z nim wyjechałaś, skoro nic was nie łączyło?

- Wiesz dlaczego. Bo twierdził, że jest tobą.

Pokręcił głową. Przez chwilę milczał.

- I to cię przekonało? A

Nagle w jej oczach pojawiły się łzy.

- Jak możesz o to pytać? i

Zebrał się na odwagę i położył palec na jej palcu, kciuk na jej nadgarstku.

- Poprzednim razem, kiedy spotkaliśmy się na balu maturalnym, uciekałaś ode mnie. Rozumiem dlaczego. Wiem, to była moja wina. Ale na koniec powiedziałaś, Żebyś zostawił cię w spokoju. Próbowałem trzymać się od ciebie z daleka, bo tego właśnie pragnęłaś. Nie chciałem cię jeszcze bardziej niepokoić. I nie wiedziałem, jak mam spróbować jeszcze raz, by wszystko naprawić. Nie chciałem przekreślić tej małej szansy, którą kiedyś mógłbym od ciebie dostać.

Wytarła oczy, zanim któraś zleź zdążyła się wydostać.

- Od tamtej pory wszystko się zmieniło. Twoje słowa mnie wystraszyły, ale jeszcze bardziej wystraszyło mnie to, co czułam. Zaczęłam miewać te... wizje znikąd i bałam się, że wariuję. Ciągle myślałam o tych obrazach i o tym, co mówiłaś. Chciałam cię odnaleźć, ale bałam się, że nie żyjesz. Ktoś widział, jak skaczesz do rzeki Appomattox. 3

Posępnie pokiwał głową.

- Skoczyłem, ale nie umarłem.

- Domyślałam się. Ale wtedy o tym nie wiedziałam. Wszędzie cię szukałam. Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałam cię znaleźć i jak dużo o tobie myślałam w ciągu pięciu ostatnich lat.

Okazał zaskoczenie, którego nie sposób udać.

- Nie miałem pojęcia. - Powoli kręcił głową. - Szkoda, że o tym nie wiedziałem.

- Ty może nie Wiedziałaś, ale on jakimś cudem musiał się do- "i wiedzieć, jak rozpaczliwie pragnę znowu cię zobaczyć. Podeszedł do mnie na uczelni i powiedział, że jest tobą. Z początku nie uwierzyłam. Ale wiedział o rzeczach, o których W innym wypadku nie mógłby wiedzieć. W każdym razie tak mi się wyda- F wało. W ciągu kilku ostatnich lat dowiedziałam się o świecie tak } niespodziewanych rzeczy, że nie wiem, co jest możliwe, a co nie. Miałam wrażenie, że on zna te same tajemnice, które odsłoniłaś A przede mną na tamtym balu. Mówił, że Zginałeś, tak jak wtedy przypuszczałam, i że wróciłeś W innym ciele. Wyjaśnił mi nawet skomplikowaną drogę przechodzenia ze starego ciała do A nowego.

Na twarzy Daniela odmalował się ból.

- To była jedyna sprawa, W której cię nie okłamał. A

- Naprawdę? .

- Tak.

- Zapewniał, że nikomu nie robi wten sposób krzywdy.

- Robi krzywdę - zapewnił Daniel.

Zamknęła oczy.

- Nie wiedziałam. Niczego nie wiedziałam. Przeraza mnie to, co wtedy myślałam. Ale byłam gotowa pomyśleć cokolwiek, bo chciałam mu wierzyć.

- Dlaczego?

- Dlatego że chciałam być z tobą.

X'

Zeszli na plażę, żeby zanurzyć stopy W morskiej pianie. Było ciemno, ale na niebie jaśniał księżyc W pełni. Spokojna woda wręcz ich wzywała. Daniel naprawdę miał ochotę popływać. Wyczuł, że ona też, ale krępował się to zaproponować. Sam mógł się rozebrać do bokserów, ale ona miała na sobie tylko ten fartuszek i bardzo możliwe, że pod spodem była naga.

Na myśl o tym zaczął się zastanawiać, jak jej ciało wygląda w takim stroju, a potem - jak wygląda bez niego. Następnie wyobraził sobie, że jej dłoń rozpina zamek fartuszek przed wejściem do wody, i poczuł, że rozebranie się do bokserów nie byłoby już

najlepszym pomysłem. Siedział zaplątany we własne skrępowanie i w końcu mógł co najwyżej wziąć ją za rękę.

- Co ci się stało? - zapytała, patrząc na jego ramię w miejscu, gdzie podwinął się rękaw.

- Co masz na myśli?

- Te blizny.

- To nic.

Opuścił rękaw.

Podwinęła go z powrotem.

- Nie wygląda jak nic.

Ku jego zaskoczeniu pochyliła się i pocałowała ślady po oparzeniach, wszystkie trzy, wolno i zdecydowanie. Wpatrywał się w nią. Chciał poczuć na skórze jej usta, ale wolałby, żeby pominięła tę część jego ciała.

- Miałem trudnych rodziców zastępczych - Wyjaśnił szybko. -

Matka była palaczką i łatwo wpadała w złość.

Wyglądała na przerażoną.

- Zrobiła ci to matka? -

- Nie była moją matką. Była tylko kobietą, z którą mieszkałem jako dziecko. - Mówił tonem tak lekceważącym, że aż niegrzecznym, ale nic nie mógł na to poradzić.

- W takim razie kim była twoja matka?

- Kobieta, która mnie urodziła, była uzależniona od heroiny. Po raz ostatni widziałem ją, kiedy byłem bardzo mały. Za mały, żeby naprawdę ją zapamiętać. - Mówił to obojętnie i tak też się czuł. Znowu pocałowała jego rękę. Poparzenia budziły w niej większy smutek niż w nim, i zapragnął, żeby zrozumiała.

- To bez znaczenia - wytłumaczył. - Bywało gorzej. Ona w ogóle mnie nie obchodziła. Może myślała, że mnie zrani, ale nie była w stanie. *

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Jak możesz tak mówić? Jak możesz mówić, że to bez znaczenia? Byłeś dzieckiem, a ona cię skrzywdziła. Poparzyła ci skórę i zostawiła blizny. Oczywiście, że to ma znaczenie. Dlatego je ukrywasz. "

Pokręcił głową, ogarnięty nagłym poirytowaniem. *Ł

- Nie ukrywam ich. ,

- Ukrywasz! Nie obchodzi mnie, ile razy żyłeś ani co pamiętasz. To boli. To ma znaczenie. - ł:

- Nie takie, jak myślisz. - Był na nią zły. Nie o tym chciał rozmawiać i wolał, żeby już przestała. - Jestem inny niż ty, Sophio.

W tym rzecz. Jestem inny niż wszyscy. Nie rozumiesz tego.

- O, rozumiem, i to doskonale. - Spuściła wzrok. - A tak na i marginesie, mam na imię Lucy. Jestem tu i teraz i mam na imię Lucy. Ty to ty i wcale nie różnisz się od reszty ludzi tak bardzo, jak ci się wydaje. Jesteś tym mężczyzną, który jest tu i teraz. - Dotknęła jego ramienia dwoma rękami. - Z tą skórą, z tymi bliznami na ręce i z tamtą popieprzoną matką. Tacy jesteśmy.

- Mylisz się. - Spojrzał na nią z wściekłością. - Jesteśmy kimś i więcej.

Wydawała się wściekła. „I dobrze” - pomyślał. Wolał wściekłość niż współczucie. Sprowokowała go i w tej chwili jej nienawidził, ale najbardziej nienawidził siebie. Boże, może znowu od niego ucieknie? Może znowu zawałił sprawę? Może 'nawet na całe życie? Może na wszystkie życia? Chyba nie było im pisane, prawda?

Nie wiedział, czy potrafi jeszcze próbować.

Długo się w niego wpatrywała. Była twarda, kiedy chciała.

Położyła dłonie na jego ramionach i wydawało mu się, że za chwilę nim potrząśnie, ale nie. Pochyliła się i zbliżyła, aż poczuł ciepło jej ciała. Poczuł się tak, jakby rzeczywiście nim potrząsnęła,

i nie mógł normalnie oddychać.

- Wiesz co, Danielu?

Wstrzymał oddech.

- Słucham?

Czuł, że za chwilę pożegna „się z nim i odejdzie. Nie wiedział, dokąd, ale był pewien, że to nastąpi. Miał nadzieję, że przynajmniej pozwoli mu odwieźć się w jakieś bezpieczne miejsce.

- jeśli to nie ma znaczenia, to to też nie. - Przechyliła głowę i dotknęła ustami wgłębienia u podstawy jego szyi. Pocałowała go długo i powoli. Czuł wilgoć jej warg. Czuł jej język. Był zbyt wstrząśnięty, żeby zareagować. Zastygł. Nie wiedział, co zrobić. Nagle jego ciało zmieniło się w masę pulsujących nerwów, a mózg przestał pracować. Odsunęła się, spojrzała mu prosto w oczy i zaczęła mu rozpinąć koszulę. Patrzył na nią zdumiony, jakby to wszystko przydarzało się komuś innemu. Ściągnęła mu koszulę z ramion i zostawiła ją na piasku za nim. Ciężko oddychał, ale nie odważył się poruszyć. - Jeśli to nie ma znaczenia, to to też nie - powtórzyła. Pochyliła się do jego piersi i pocałowała ją. Zacisnęła dłonie. Gwałtownie wciągnął powietrze. - I to też. - Przesunęła dłonie na jego plecy i wyprostowała się, żeby pocałować go w usta. Całowała go mocno, a on, z pośpiechem przypląwu, oddawał jej pocałunki. Nie myślał o niczym. Całował ją z całym zaangażowaniem, bo nie mógł się powstrzymać. Nie umiałby się odsunąć, nawet gdyby próbował. Jego wygłodniałe ręce krążyły.. f; po jej biodrach. Odsunęła się. Przytrzymała go W niewielkiej Od-ŁIJEŚ ległości i spojrzała mu w oczy, a wtedy całe jego duże, głupie ciało przeszył ból. Fizycznie nie mógł znieść dłuższej rozłąki. Gdy raz zaczął, pojawiło się zbyt wiele uczuć. Na to też nie mógł nic poradzić. Tonął. Wpatrywała się w niego niewzruszenie, ale jej oczy zaczęły wypełniać się łzami. - Czy to nie ma znaczenia? - Zdał się gbie sprawę, że ona za chwilę się rozplacze. Że rozplacze się przez niego, a tego nie chciał. Zamknął oczy. - Danielu, odpowiedz mi; .

Czy to nie ma znaczenia? Bo jeśli nie ma, przestanę. i i

Nie chciał otwierać oczu. Poczuł, że spod jego powieki wydostaje się łza. Nie potrafił okłamać tej kobiety. Nie potrafił dawniej inie potrafił teraz. "

- Nie przestawaj.

jego głos był ledwie szeptem.

- Dlaczego? i

Czuł, że umrze, jeśli nie będzie mógł jej dotknąć.

- Bo to ma znaczenie.

Gdy znów go pocałowała, ona też płakała, z radości i ze smutku. Leżeli na piasku, W mokrej gmatwaninie pocałunków i łez. Nie próbował już dostrzec W tym sensu. Nie próbował tego poukładać ani zapamiętać z myślą 0 długiej przyszłości. Przeżywał to. To nie tylko miało znaczenie - to było najważniejsze. Całował ją całym sobą, bo tak naprawdę wszystko, co można zrobić, to kochać drugiego człowieka. i r

* i

Nie wiedział, jak długo całowali się na ciemnym piasku ani co jej mówił. Nic już go od niej nie oddzielało. W pewnym momencie, W zasadzie bez zastanowienia, podniósł ją z piasku i wziął na ręce. Nie myślał, po prostu pozwalał działać ciału. Już dawno przestał z tym walczyć. Miał silne ciało i podniósł ją z łatwością, a potem zaniósł do domku, do sypialni. Rozchylił moskitierę j i ułożył Lucy na łóżku. I

Czas przestał się liczyć. Regularne sekwencje, które tak starannie śledził, zniknęły. Krąg jego długiego życia dotarł do punktu wyjścia i na powrót uczynił go nowym człowiekiem.

Rozpiął jej fartuszek z przejmującą delikatnością i odsłoniw-

szyją naga, poczuł przyływ niespodziewanego zachwytu, mimo że wiedział, jaka będzie. Czuł się tak, jakby nigdy wcześniej nie „widział” ciała kobiety, a gdy położył na niej dłoń- jakby nigdy wcześniej nikogo nie dotykał. Odkrywał palcami i ustami każdą część jej ciała, jakby była nowa. Od czasu do czasu unosił się, żeby pocałować jej mokrą twarz, spojrzeć jej w oczy i upewnić się, że nadal z nim jest. Oddawała mu się cała, bezgranicznie.

- Kocham cię - szepnęła do niej, i nawet jeśli kiedykolwiek już i to mówił, niczego takiego nie pamiętał.

Gdy już odnalazł każdą jej część, oplótł ją nogami i wciągnął do środka. Przywarła do niego. Objęła go za szyję i całowała ją, wilgotnie i namiętnie.

Pomyślał, że mógłby się w niej zatracić na zawsze. Mógłby nigdy nie wyjść. Ona jest tutaj i ma na imię Lucy. On jest tym męż+czyną, w tej skórze, i nie istnieje nic więcej. Lucy ma rację. Tacy są.

W końcu dochodził w niej, dochodził i dochodził. Wszystko sprowadziło się do nagich zmysłów. Ta chwila była wystarczająco, i ważna, by skruszyć całą pamięć tego, co wydarzyło się przedtem i wydarzy potem. Może nie zdoła jej zachować. To zawsze prze-rażało go najbardziej. Szalał jednak z radości, wyzwalał swój spalony umysł. Zapomniał o wszystkim. O całej reszcie świata i o wszelkich śladach wszystkiego, co kiedykolwiek go spotkało. Przycisnął swoje spocone ciało do jej pięknej, słodkiej skóry. Przytulił się do niej i poczuł się tak

Jolita, Meksyk, 2009

Obudził ją jakiś dźwięk. Nie jego oddech ani nie sporadyczne j'westchnienie przyjemnie wtopione w jej sen, lecz dźwięk, które- i' go nie była pewna. Z żalem rozplotła ostrożnie ich ciała, przesuwając nogi i ręce. Daniel leżał już w bokserkach. A

Do pokoju przedostawało się słabe światło poranka. Cicho wyslizgnęła się z pościeli. Znalazła fartuszek pokojówki zwiniony a ty w kulkę na podłodze i włożyła go, zapinając powoli, żeby nie zbudzić Daniela. Odwróciła się do okna. Ledwie mogła dostrzec liście mangowca. Wstała zaniepokojona.

Usłyszała ten sam dźwięk dobiegający z tej samej strony. Prawdopodobnie wydawał go ptak albo jakieś inne stworzenie. Ż

Tropikalny krajobraz obfitował w dzikie zwierzęta. Idąc wzdłuż ściany, zbliżyła się do okna i próbowała przywyczaić wzrok do słabego światła.

- Daniel! - zawołała, zanim zdążyła się zastanowić.

Coś tam było. Nie widziała zarysu twarzy, ale była pewna, że za uchylonym oknem majaczy jakiś kształt. Próbowała go rozpo? i znać. Czy to pistolet?

Kilka rzeczy wydarzyło się równocześnie, bez wyn-usnij kàljji ności. Na dźwięk jej głosu Daniel usiadł na łóżku. Podblił Ć@ niego najszybciej, jak umiała, żeby odepchnąć go na bok. Płitêłš wystrzelił, ona krzyknęła, a Daniel z wrzaskiem zerwał się na nogi.

Nie wiedziała, co się dzieje. Trzymał ją i darł się jak opętany. i Zobaczyła krew i wystraszyła się, że dosięgła go kula. Ściągnął ją z łóżka i wyniósł z sypialni do salonu. Z tyłu rozległ się drugi strzał. Płakała. x'

- Jesteś ranny? Nic ci się nie stało? Trafił cię?

Nie była pewna, co mówi ani nawet co myśli.

Biegł przez domek, a potem wypadł drzwiami na pl-ażę. Pędził z nią po piasku. Usłyszała trzeci strzał. Czekala ich śmierć. Dokąd mieli uciec? Nie mogli wrócić do domku. Stanowili łatwy cel na szerokiej plaży. Przed sobą mieli tylko wodę.

Na jego piersi zauważyła krew. O Boże, czyżby był ranny? Wbiegł z nią do spienionej wody. Dopiero gdy spróbowała

płynąć, poczuła, że z trudem porusza ręką. W oddali rozległ się następny huk wystrzału.

- Nabierz dużo powietrza - polecił jej.

Zanurkowali razem. Ciągnął ją za sobą, a ona płynęła najlepiej, jak mogła. Dotarł do niej ból ramienia. Czyżby w jakiś sposób je zraniła? Daniel płynął tak zaciekle, za nich dwoje, że chyba nie mógł być poważnie ranny. Wyciągnął ją na powierzchnię, żeby zaczerpnęła tchu, a potem znowu zanurkowali.

Kiedy ponownie się wynurzyli, tuż przed sobą zobaczyła dok pływający. „Robilibyśmy takie rzeczy, gdybyśmy spędzali wspólne Wakacje” - przypomniała sobie jak przez sen. Podpłynął do doku od drugiej strony, wepchnął ją na platformę i szybko wdrapał się sam.

Gwałtownie łapała powietrze. Zbliżyła rękę do bolącego ramienia. Na plaży zauważyła człowieka z pistoletem. Daniel nazywał go Joaquimem.

Czuła, że Daniel podtrzymuje ją jedną ręką, a drugą rozpiął na jej fartuszek. Ostrożnie zsunął go z ramienia i poczuła ból. Zdejmował z niej ubranie, za chwilę oboje mieli zginać, ale czuła dziwny spokój. i

- Łatwo będzie nas tu zabić - powiedziała, próbując złapać oddech. < _

- Gdyby chciał nas zabić, już byśmy nie żyli.

Obejrzał jej ramię i zdała sobie sprawę, że to ona krwawi; Joaquim cały czas do nich mierzył. _ <

- Myślisz, że nie chce?

- Myślę, że gdyby mu się Spieszyło, już by nas zabił. *

- Postrzelił mnie? - zapytała z niedowierzaniem.

- Drasnęła cię kula, która nie była przeznaczona dla ciebie.

Skoczyłaś prosto na nią i napędziłaś mi niezłego stracha.

Nie mogła uwierzyć, że się do niej uśmiecha, ale robił to.

_ Drasnęła cię głęboko, ale nie utkwiała. Pod tym względem dopisało nam szczęście. `

- Dla kogo była przeznaczona?

Znowu z obawą spojrzała na Joaquina, który stał na plaży i z pistoletem w dłoni.

- Miała nas zastraszyć i podporządkować jego woli, ale nie zamierzała cię zranić. Joaquim nie miałby pewnie nic przeciwko temu, żeby mnie zastrzelić, ale poczułby się trochę rozczarowany. A Chce, żebym był zdany na jego łaskę. To taki typ człowieka. Chce zrobić to, co ja zrobiłem jemu: zabrać cię tak, żebym wiedział, że gdzieś jesteś, ale żebym nie mógł cię mieć. Pewnie uważa, że nadal do niego należysz. Nie twierdzę, że w ostateczności nieza- A f) strzelił mnie ani nas obojga, ale nie taki ma cel. j*

- Dlaczego?

- Bo wtedy znowu by nas stracił. Znalazł nas wtym życiu, ale może nie znaleźć w następnym. On pamięta, lecz nie potrafi rozpoznawać dusz.

- Nie potrafi?

- Nie. W każdym razie dawniej tego nie umiał. *jj

- A ty potrafisz?

- Tak, ale nie bezbłędnie.

- Więc co teraz będzie? `

- Nie wiem i on też nie wie. Kiedy cię tutaj przywiózł, miał chyba nadzieję, że się zjawię, ale nie przypuszczał, że uda mi się z tobą uciec. Jestem prawie pewien, że tego nie przewidział. Wie, że nie mamy teraz żadnych możliwości, ale on też ich nie ma. Nie licząc zastrzelenia nas, może tylko tam stać i czekać na nasz ruch. Nie zostawi nas, żeby pójść po łódkę. Już by nas tu nie znalazł. Nie może też do nas przypląć.

- Więc co zrobimy?
- Na razie mamy sytuację patową. Musimy zaczekać.
- Naprawdę?
- Chyba że znajdziesz inne rozwiązanie.
.- Muszę pomyśleć. -Poczuła, że Daniel ciągnie ją za rąbek fartuszka, i usiadła. - Naprawdę uważasz, że to odpowiednia chwila?
Roześmiał się. g
- Chciałbym. - Przypatrywał się uniformowi pokojówki. - Słuchaj, wiem, że jeśli chodzi o strój, niewiele ci pozostało, ale w czy mógłbym oderwać z dołu wąski pasek materiału? Chcę nim przewiązać twoje ramię. - Skinął W stronę swoich mokrych bokserek. - Ja mam jeszcze mniej do zaoferowania.
- Chyba jednak powinniśmy wykorzystać twoje ubranie - powiedziała.
- W porządku - zgodził się. _
Wstał i zaczął ściągać bokserki, a ona nie mogła się powstrzymać i podziwiała jego piękne ciało, wodząc wzrokiem W górę i w dół. i
Postradała rozum. Była zbyt upojona szczęściem, żeby trzeźwo myśleć. Podejrzewała, że on czuje się podobnie. Świat był za mały, by pomieścić ogrom tego, co zaszło między nimi ostatniej nocy. Na to także brakowało w nim miejsca. Nie chciała, żeby to upojenie minęło.
- Przestań. Żartowałam. Możesz porwać mój fartuszek. Przecież nie chcemy tu siedzieć na golasa.
- Nie chcemy?
- Nie kiedy mamy widownię.
Z wprawą oderwał pasek materiału z dołu fartuszka. Zerkn pod spód. v
- W tym stroju doprowadzasz mnie do szaleństwa. z
Roześmiała się.
- Nie takie ubranie wybrałabym na nasze spotkanie po lataclūs ale przyznaję, że łatwo je włożyć i zdjąć. w
Nie mogła uwierzyć, że nadal pałają do siebie pożądaniem. Ostrożnie i fachowozabandażował jej ramię, żeby powstrzymać krwawienie. i
- Widzę, że wiesz, co robisz. p
- Jestem lekarzem. Wspominałem o tym? . g
_ - Nie, nie wierzę. i
- Jestem. Byłem już kilka razy. i
- Jesteś za młody.
- Skończyłem medycynę. Tym razem trochę przyspieszyłem.
- Trochę? Raczej bardzo. .
- No dobra, bardzo. j'
- Pracujesz w szpitalu?
_ Tak. ~ Zawiązał bandaż, pocałował ją W pierś, przyglądał jej fartuszek i zapiął go z powrotem. - Wyjdzie pani z tego.
- Następna blizna do mojej kolekcji.
- Masz wiele ran postrzałowych?
- Miałam na myśli blizny, które gromadzi się w kolejnych życiach i które zostają z nami po śmierci. Takie jak ta, zgadza się? - (š
Wskazała znamię na ramieniu.
Przechylił głowę.
- Skąd o tym wiesz? if
- Od Constance. .
- Iak się dowiedziałas o Constance?
- Byłam Constance. Al,
- Wiem, ale skąd o tym wiesz? `
- Przeczytałam list, który do mnie napisała.

Spojrzał w stronę Ioquima na plaży, a potem znowu na nią.
- A jak do tego doszło?
- Pojechałam do Hastonbury Hall W Anglii i znalazłam go
W jej dawnym pokoju. -
Z niedowierzaniem pokręcił głową.
- Żartujesz. Nie wiem, co powiedzieć.
Zabawnie było mówić mu o tym wszystkim.
- Pamiętasz tego hipnotyzera, o którym ci wspominałam?
W stanie hipnozy nastąpiła u mnie regresja i cofnęłam się do ży-
cia Constance. Rozpaczliwie pragnęła, żebym odnalazła jej list.
Od tamtej pory nie dawała mi spokoju i zmuszała mnie do przy-
pominania sobie różnych rzeczy.
- Nie do wiary.
' - Właśnie.
~ Wiesz, myliłem się. _
- W jakiej sprawie? _
- Kiedy byłaś Constance, powiedziałem ci, że masz przecięt-
ną pamięć. Teraz widzę, że cię nie doceniłem.
- Ta dziewczyna nie dawała mi spokoju. Nie zaznałaby szczęś-
cia, dopóki nie bylibyśmy znowu razem.
Daniel się roześmiał.
- A teraz jest szczęśliwa? _
Lucy też się roześmiała, ale jednocześnie poczuła, że zaraz się
rozplacze.
- Teraz jest bardzo szczęśliwa. W
' _
Daniel podniósł głowę i spojrzał na niebo. Miał wrażenie, że
widzi, jak słońce przesuwa się po nim łukiem, i naprawdę chciał,
żeby zwolniło. Słyszał plusk wody o platformę. Jedwabisty ko-
smyk jej włosów łaskotał go w pachę. Czuł się tak, jakby wypalił
mnóstwo trawki. Wiedział, że nie ma prawa być szczęśliwy, kie-
dy ktoś mierzy do nich obojga z pistoletu. Wiedział, że powinien
czuć złość i oburzenie, ale nic nie mógł na to poradzić. Strach pra-
wie zawsze tłumił radość, ale dzisiaj nie. «-
- Powiniennem obmyślać jakiś plan - obrócił W palcach i
smyk jej włosów ~ ale potrafię myśleć wyłącznie o tym, jak
gładasz pod tym fartuszkiem. - Przewrócił się na bok i oparł
łokciu. - Nie wytrzymam tego.
- Może powinniśmy to zrobić tu i teraz - powiedziała.
Dostałby za swoje. 'i'
- Prawdopodobnie wściekłby się wystarczająco mocno, by naia
zastrzelić. '
- Ale wrócilibyśmy razem, prawda? A I
Usiadł i spojrzał na nią z powagą.
- Jeśli twoja miłość do mnie choć odrobinę przypomina m0-
ją miłość do ciebie, to tak. Jestem prawie pewien, że wróciliby-
śmy razem. *
- W takim razie wrócilibyśmy - stwierdziła z prostotą. - Bo
cię kocham. - Pomyślała o mniej przyjemnej możliwości. - Może
tym, czego on nie chce, jest właśnie nasze bycie razem?
- Podejrzewam, że tak.
- Może nie pozostawimy mu wyboru - ciągnęła. Usiadła mię-
dzy jego nogami i wtuliła się plecami w jego pierś. - Nie będzie "Śą
mógł dopaść ciebie, jeśli wcześniej nie dopadnie mnie. &f;
- Nie wiem, co o tym myśleć.
Pokręciła głowę. ,i'
- Nigdzie beze mnie nie pójdziesz. - Może brzmiało to jak żart, j
ale nie żartowała. - Dokądkolwiek się wybierzemy, wybierzemy
się razem. - Spojrzał na nią, marszcząc brwi. - Mówię poważnie,
Danielu. - Wziął ją za rękę i oparł brodę o jej zdrowe ramię. - Więc i

jakie mamy możliwości, nie licząc tej, że oboje zginiemy od kuli?

- Moglibyśmy popłynąć do brzegu i zaryzykować.
- Na czym miałyby polegać to ryzyko?

Zacisnął usta.

- Nie wiem. Pewnie skończylibyśmy na łasce Ioaquima.

Osiągnąłby swój cel.

- A co będzie potem? Weźmie mnie jako zakładniczkę. Zrobi mi jakąś krzywdę, a tobie każe na to patrzeć? Upokorzy cię, a potem i tak zabije? Na taką rozgrywkę liczy, zgadza się?
- Jestem tego prawie pewien.
- Nie ma żadnych oporów przed popełnieniem morderstwa, prawda? Jeśli zostanie złapany, będzie mógł się przenieść do innego ciała.

Daniel przytaknął.

- To najgorsze ze Wszystkich rozwiązań. Naprawdę chcielibyśmy podjąć takie ryzyko?

Daniel na chwilę zamknął oczy. Nie chciał wyliczać możliwych zakończeń tej historii, ale jej nie mógł tego zabronić.

- Dokąd moglibyśmy stąd dopłynąć? Może spróbujemy okrążyć cypel?
- Dotarłby tam przed nami.
- Myślisz, że ktokolwiek tu się zjawi?
- To niewykluczone, ale chyba jesteśmy w dość odludnym miejscu.

Zastanowiła się.

- Danielu?
- Tak?

- Jeśli jakimś cudem z tego wyjdziemy, co będzie potem? Czy będziemy mieli szansę cokolwiek zrobić, pojechać gdzieś, gdzie on nas nie znajdzie?
- Prawdopodobnie nie na długo.

Wygłądała na zniechęconą - i ktoś mógł ją za to winić?

- Danielu? i
- Tak?

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że możemy nie być sobie pisani? I

Miała poważną minę, ale on nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nie. Jesteśmy sobie pisani. Po prostu musimy tego bardzo chcieć.

Mimo woli odpowiedziała mu uśmiechem.

~ Kończą mi się pomysły. Ukrywasz coś przede mną? Znałazłeś jakieś rozwiązanie? i Ś

„ Znowu położył głowę na jej ramieniu i spojrzał na niebo. i

- Mój pomysł sprowadza się do tego, żeby pobyć z tobą trochę dłużej. i '7'

*

- Boisz się śmierci? - zapytała go.

Słońce gwałtownie sunęło w stronę zenitu. Leżał na plecach, a ona skuliła się u jego boku, opierając głowę na jego piersi. Czuł się niezwykle odprężony.

- Nie. Umarłem już wiele razy. Ale tylko raz się z tobą kochałem, więc to na tym cudzie się teraz skupiam. Joaquim nie jest 7 w stanie nam tego odebrać. "
- Myślisz, że umrzemy?

Wciągnął powietrze i wypuścił je, wciągnął i wypuścił. Nigdy nie czuł ciepła słońca w tak czystej postaci. i

- Lucy, nie chcę o tym myśleć. Chcę myśleć tylko o tobie. Ale jeśli już muszę, to chyba wydaje mi się, że albo będziemy cierpieć, albo rzeczywiście zginiemy. Ja wolałbym umrzeć i szczerze mówiąc, chyba umarłbym teraz szczęśliwy.

- Naprawdę? i..

- Tak.

Znowu położyła się obok niego.

- Nazwałś mnie Lucy?

' Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, i osłonił oczy przed "i
słońcem, żeby dobrze ją widzieć. ę

- To zabawne. Patrzę na ciebie i nie widzę nikogo innego. i..

Pokręciła głowę. g

- Jesteśmy na platformie otoczonej wodą. Nikogo oprócz
mnie tu nie ma. A

Roześmiał się, wciągnął ją na siebie i przytulił. Pocałował ją
W szyję, a potem W usta.

- Lucy ~ powiedział. - Lucy. - Wzruszył ramionami. - Sam
nie wiem. To imię wydaje mi się wręcz idealne. - Pocałował ją
w brodę. - Lucy. To ty. .

*

Jeszcze zanim słońce rozciągnęło się w górze, Lucy opaliła się
na różowo i poczuła pragnienie. Widziała, że jemu też chce się
pić, ale żadne z nich nie chciało o tym mówić.

- Widzę pewien problem związany z czekaniem - oznajmiła.

~ Mów.

wciągnął ją sobie na kolana.

- Spalę się na skwarę, dopadnie nas potworne pragnienie
i nie będziemy się dobrze czuli. Ja będę próbowała być dzielna, i
a ty zaczniesz się o mnie martwić, a potem zrobisz coś, czego bę-
dziesz żałował.

- Masz rację. - Pocałował ją w policzek. - Więc może powin-
niśmy się rozebrać i cieszyć się z tego, co nam jeszcze zostało?

- Nie chcę, żeby nas zabił.

- Ja też nie chcę. i

- Poza tym nie możemy czekać w nieskończoność.

Pokiwał głową. Nie chciał wspominać o tym, że jego zdaniem
Joaquim nie będzie przedłużał tej sytuacji patowej po zachodzie
słońca. Nigdy nie był cierpliwym człowiekiem.

Przez chwilę milczała. Położył dłonie na jej stopach.

- Mogę cię o coś zapytać? - powiedziała.

- Pytaj o cokolwiek.

- Jak to jest utonąć?

- Spojrzał na nią zaskoczony.

- Co masz na myśli? -

- Chcę się dowiedzieć, jak to jest. Czy to boli? Czy długo trwa?

Czy taka śmierć jest gorsza niż, dajmy na to, śmierć od kuli?

- No cóż. - Zastanowił się. - Utopiłem się dwa razy. Dawno

temu. I dwa razy mnie zastrzelono. To z kolei było znacznie
później. Powiedziałbym, że ogólnie rzecz biorąc, utonięcie jest",
jednak lepsze. " .

Potarła dłonie. Oblizwała suche, spierzchnięte usta. 7

- Więc to najgorsze, co może nas spotkać, tak? Gwarantuję ci,
że chociaż brzmi to dość nieciekawie, to lepsze, niż dać mu przy-s.
jemność odebrania nam życia. Co ty na to? Zeskoczmy do wo-
dy i zacniemy płynąć. - Wykonała gest W stronę otwartego m0-

rza. - Albo 'dopłyniemy do Chin, albo nie. i l;

A Zmrużył oczy i spojrzął w stronę Chin. ,

- Więc jak? - zapytała.

- Chyba psuje się pogoda. ' f

- Jak to? i i

- Tam jest sztorm i wygląda na to, że się do nas zbliża. Nie
wiem, czy to dla nas dobrze czy źle.

- Dlaczego sztorm miałby być dla nas dobry? T**

Zastanowił się.

- Mniej poparzeń słonecznych. Mniejsze pragnienie, gdyby udało nam się złapać trochę deszczówki. - Rozległ się huk wystrzału, który zaskoczył ich oboje. - Chyba nudzi mu się czekanie.

Przytuliła się do niego mocniej. Wiedział dlaczego. 71

- Myślę, że powinniśmy wykonać jakiś ruch - powiedziała. -

Chodź. Wiem, że nie chcesz mu dać tej satysfakcji. *Jl

Miał mętlik w głowie. Chciał jej dotykać, mówić do niej, wą- Ł, chać jej zapach i patrzeć, jak się śmieje. Nie chciał umierać. Nie chciał, żeby to się skończyło. Musiał się jednak otrząsnąć. Nie dbał (75 o to, co się stanie z nim, ale obchodziło go, co stanie się z Lucy. i 3*_

- Naprawdę chcesz to zrobić? - upewnił się.

- Tak. '

Zsunęła stopy na krawędź platformy, a on ruszył za nią.

Zauważył, że trzyma się bardzo blisko niego, że ciągle dotyka którejś części jego ciała.

- Chcesz tego? Naprawdę tak całkowicie wierzysz wto, co ci mówiłem, że chcesz popłynąć do Chin?

Spojrzała mu w oczy, upewniając się.

- Tak.

Nie żartowała. Musiał też potraktować sprawę poważnie.

- Lucy, zatrzymaj się na chwilę. Przemyśl to. Pozwolę, żeby mnie zastrzelił, a ty spokojnie wrócisz na brzeg. Może to na jakiś czas zaspokoi jego żądzę krwi? Może nie zrobi ci krzywdy? Wróciłabyś do Stanów i do normalnego życia. To byłoby najlepsze rozwiązanie.

- Jak w ogóle możesz tak mówić? - Mocno wykręciła mu duży palec u nogi. - Nigdy bym do tego nie dopuściła. Zresztą czy naprawdę myślisz, że zostawiłby mnie w spokoju? Naprawdę myślisz, że pozwoliłby mi wrócić do normalnego życia?

Nie zamierzał jej okłamywać.

- Nie. Nie wydaje mi się. Ale zawsze jest szansa.

Przygryzła dolną wargę.

- Ta szansa podoba mi się równie mocno jak reszta naszych możliwości. W każdym razie nigdzie się bez ciebie nie wybieram. Płyniemy do Chin we dwoje. W najgorszym razie umrę z tobą, zanim zdążymy razem pożyć.

- Powiedziałaś coś podobnego, kiedy byłaś Constance, i przekonalem cię, że to byłby błąd.

Rzuciła mu złowrogie spojrzenie.

- Tylko raz udało ci się mnie wykiwać, Danielu.

Usłyszał jej charakterystyczną dla Wirginii nosową wymowę.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Gotowy?

- Nie chcę, żeby to się skończyło.

- To dopiero początek - odparła z pewnością, której jej zazdrościł.

Zwrócili się na zachód. Przechylił się na bok i pocałował ją.

- Do Chin - powiedział. - Pokiwała głową. Drżała jej broda i widział, że boi się otworzyć usta, bo mogłaby się rozplakać. -

Kocham cię - wyznał. `

Uśmiechnęła się do niego po raz ostatni, ze łzami w oczach.

Tak mocno trzymała go za rękę, że zdrętwiały mu palce, a kiedy skoczyła, skoczył za nią.

*

Gdy się zanurzyli, huknął kolejny wystrzał. Daniel chciał dalej trzymać ją za rękę, ale wiedział, że utrudni jej to pływanie. Pomyślał o jej ramieniu. Płynęli z całych sił i wiedział, że nie wytrzymają zbyt długo.

Słońce nadal świeciło nad wodą, lecz w oddali zobaczył błyskawicę i przyszło mu do głowy, że to będzie ich koniec - je- śli śmierć nie nastąpi wcześniej. Patrzył na jej zaróżowione no- ś

gi W wodzie, na poszarpany fartuszek. Nadal odwlekał ocenę ich szans, która jednak okrutnie zaczynała domagać się jego uwagi. „i ..
Część jego myśli wróciła do Joaquima. Fale robiły się coraz 2:”
większe i bardziej spienione, dzięki czemu trudniej było wyce- 5
lować do nich dwojga z brzegu. Kilkaset metrów dalej byłoby już
poza zasięgiem jego wzroku i pistoletu. Kalkulował - podobnie
jak Joaquim.

Joaquim mógł spróbować dogonić ich łódką, ale pogoda ŚŚ_
utrudniłaby mu zadanie. Żaden rozsądny właściciel łodzi nie wy-
pożyczyłby jej w czasie sztormu. Może Joaquim zdążył już wynaj-
ąć łódkę? Może ją ukradł? Ale gdyby choć na chwilę opuścił pla-
żę, - utraciłby kontrolę nad wybrzeżem. Najwidoczniej uważał, że
W końcu wrócą. Wiedział, że nie mają innego wyjścia. Jediną rze-
czą, której nie mógł kontrolować, była ich zdolność umierania. a

Nie mógłby ich ścigać tam, dokąd się wybierali. A
Przepłynęli kolejne czterysta metrów i wtedy Daniel zauwa-
żył, że Lucy brakuje tchu. Wystraszył się, że boli ją ramię. Zwolnił 4G
i przez chwilę unosili się na powierzchni. Trzeba było się starać, `
żeby nie przykryły ich fale.

- Możemy płynąć powoli - zaproponował. - Chiny nigdzie
się nie wybierają.

- Kule już tu nie dotrą, prawda? '

- Raczej nie. Nawet jego straciłem już z oczu.

- W takim razie jesteśmy tylko my dwoje.

Drżała.

- Tylko my dwoje. - Objął ją ramieniem. - Jak twoja ręka?

- Wydaje mi się, że to najmniejszy z naszych problemów. -

Pokiwał głową. Żałował, że nie mogą pominąć następnej części
tej historii, bo nie zapowiadała się wesoło. Woda robiła się coraz
zimniejszą, a to mogło spowolnić wszystkie procesy, łącznie ze
śmiercią. - Co będzie, jeśli tam nie dopłyniemy? - zapytała, od-
dychając z trudem. - Jak to jest umierać?

Wydawała się nie tyle wystraszona, ile zdeterminowana.

- Nie oddajesz się śmierci - powiedział. - Pozwalasz, żeby ona
cię zabrała. Po prostu żyj esz, dopóki tego nie zrobi.

- Długo to trwa?

Nie chciał wnikać W biologiczne mechanizmy tonięcia. Tylko
by ją wystraszył.

- Kilka minut. Jesteś silna i twoje ciało będzie walczyło, ale
coś ci obiecuję.

- Co?

- W najgorszej chwili, w najbardziej bolesnym, najmroczniejszym
momencie, kiedy pomyślisz, że już dłużej nie wytrzymasz
i zaczniesz się bać, poczujesz spokój i ulgę, jakich jeszcze nigdy
nie zaznałaś.

Spojrzała na niego z nadzieją.

- Każdy je czuje?

- Ty poczujesz.

*

Gdy pokonywali następny odcinek, ogarnął ich dziwny spo-
kój. Płynęli pod wodą, wynurzając się, by zaczerpnąć powietrza.
Trzymał się blisko Lucy i obserwował ją. Był prawie zahipnoty-
zowany powolnym pięknem jej ciała. Walczył ze sobą, zastana-
wiając się, czy jej pomóc, pozwolić odpocząć, czy może nie. Nie
chciał tego przedłużać. Choć to wszystko wydawało się strasz-
ne, dostrzegał pewien urok we wzbierających Wokół falach, przez
które nadal przenikało światło. Wspomniał swoje pierwsze życie
W Antiochii, gdy jako pięcioletek leżał W rzece podczas trzęsie-
nia ziemi. Wtedy myślał, że zobaczył wieczność, a teraz zastana-
Ł
wiał się, czy ujrzy ją znowu, z Lucy.

Była niezwykle silna. Jej ciało dostarczało jej Wielkiego ładunku energii, widział to W jej nogach i na twarzy. Wiedział, że przestała czuć ból.

A potem powoli, z czasem, zaczęła słabnąć. Poruszała się wolniej. Mniej precyzyjnie. Z nim było podobnie. Nie przejmował lef się Własną słabością, ale patrzeć na nią sprawiało mu ból. Nie chciał patrzeć, lecz z drugiej strony nie zamierzał się oszczędzać. 5.;

W końcu to on ją W to wciągnął. A

Wreszcie nadeszła chwila - nieoczekiwanie, choć przecież musiała nadejść - kiedy przestała płynąć. Pod wodą, W rozproszonym świetle, odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Posłała mu nie uśmiech, ale coś podobnego do uśmiechu. Nie była to twarz wyrażająca strach. Malowała się na niej przede wszystkim wiara. i

Wierzyła W niego i W to, co jej obiecał. Ufała mu.

Tak czuł się kochany człowiek. Zamiast jak zwykle odgrodzić się od tego doznania, pozwolił, żeby W niego wsiąknęło. Próbował otworzyć każdą część siebie, by wsiąknęło go jak najwięcej. I Potem, ku jego przerażeniu, uniosła ręce nad głowę i zaczęła tonąć. Patrzył na tę scenę, jakby rozgrywała się W zwolnionym tempie. Słońce wlewało się do wody promieniami, migocząc wokół niej. Jej Włosy były powolną złotą chmurą, dłonie miały otwarte. "i:

Tonęła. Zobaczył czubek jej głowy, jej rozpostarte palce na poziomie swojej piersi. Głódna ciemność dna ciągnęła ją W dół. i Lucy zostawiała światło, zostawiała jego. Ten widok mroził mu krew W żyłach. i

„Musisz pozwolić jej odejść”. .f

„Dlaczego?” - wrzasnął jakiś głos W jego głowie, budząc resztę umysłu.

„Bo W ten sposób się uratujemy. Tak postanowiliśmy. Czekaliśmy na to przez całe Wieki”.

Czym były te wieki? Dniami, latami i miesiącami wspomnień. Były niczym. Myślami w jego głowie i niczym więcej. Czy naprawdę mógł być ich pewien? Czy miał jakiś prawdziwy, namacalny powód, by wiedzieć, że faktycznie powraca po śmierci i że znowu wróci? Ona mu wierzyła. Ale czy on sobie wierzył? Czy był aż tak pewien, że chciał ją poświęcić?

B0 przecież mógł być stuknięty. Może prawda była prosta? On i inni ludzie, którzy podzielali jego przekonania, nadawali się do domu wariatów. Dlaczego uważa się za kogoś lepszego? Tylko dlatego że potrafi zatrzymać swoje szalone pomysły dla siebie? 'i

Skąd mógł mieć pewność, że przed tym życiem były inne? Nie mógł jej mieć. Skąd wiedział, że później czekają go kolejne życia? Nie mógł tego wiedzieć. A jeśli wymyślił sobie tę pamięć, by lepiej radzić sobie z życiem pełnym samotności i przemocy? Okaleczeni ludzie robią dziwne rzeczy. Skąd właściwie mógł wiedzieć, że nie jest stuknięty? Nie mógł tego wiedzieć. Możliwe, że jego życie było

jednym wielkim złudzeniem, a teraz wciągnął w nie jeszcze ją. Wiedział, że jego pamięć to tylko historie. A jeśli te historie nie są prawdziwe? Czy może podjąć aż tak wielkie ryzyko? Czy naprawdę ma pozwolić jej odejść na tak kruchych podstawach?

Myśli były niczym. Wspomnienia były niczym. Nie można było ich dotknąć. Nie zajmowały czasu. Wszystkie mogłyby się zmieścić na czubku szpilki. W ciągu kilku sekund można było podać w wątpliwość cały świat.

Patrzył, jak chmura jej włosów opada do poziomu jego kolan. „Nie przedłużaj tego. Nie każ jej umierać dłuższą śmiercią”. Jej krtań się otworzy i wkrótce serce, płuca i mózg rozpoczną swoją mimowolną walkę, więc podtrzymywanie jej i przeszkadzanie niczego by nie ułatwiło.

To była dziewczyna, którą kochał. Jego silna, piękna dziewczyna.

Kochał się z nią w naj cudowniejszej chwili życia i zaledwie kilka godzin wcześniej całował każdy skrawek jej ciała, a teraz umierała na jego oczach.

„Nie”. W jego głowie pobrzmiwało jedno słowo, które szybko rozprzestrzeniło się w całym ciele. Zelektryzowało każdy mięsień i każdy nerw. „Nie”. Nie może go opuścić. „Nie”. Nie zamierza pozwolić jej odejść.

„Nie”. Wraz z tym słowem przyszło wspomnienie. Już raz patrzył na jej śmierć. Umierała, dlatego że ją zabił. Spalił jej dom i patrzył, jak umiera, a potem myślał o tym z bólem i śnił każdego dnia. „Nie”. Tym razem nie będzie patrzeć na jej śmierć.

„Nie mamy innego wyjścia. Nie ma innej możliwości”.

„Nie!”. Jeśli nie ma wyjścia, trzeba je stworzyć. Nie można pozwalać, by świat po prostu nam się przydarzał. Daniel zbyt długo postępował w ten sposób.

Nie widział wieczności. Widział tę dziewczynę i tę chwilę oraz jedną małą szansę. Jego ciało wyrwało się z tego dziwnego odrętwienia. Wiedziało, co chce zrobić. Dalsze trzymanie się od niej z daleka było dla mózgu czystym wudu, a dla ciała torturą.

Zanurkował i sięgnął po nią. Złapał ją wpół i wyciągnął na powierzchnię. To było jego ciało - dobre, silne ciało. Kochało ją, bo należało do niego. Nic dodać, nic ująć.

Trzymał ją i płynął. Jej głowa opadła mu na ramię. Nie poruszała nogami ani rękami. Jego ciało dostało zastrzyk adrenaliny, a kiedy macał jej szyję i pierś w poszukiwaniu oznak życia.

Nie umarła. Nie nabrała wody w płuca, ale przestała oddychać i na chwilę sparaliżowała go niepewność. Potem otworzyła jednak usta i znowu wciągnęła powietrze.

- Nie umrzesz - powiedział jej. Czuł, że od natłoku emocji łamie mu się głos. - Wiem, obiecałem, że ci pozwolę, ale nie potrafię.

*

Otoczył ręką jej pierś i złapał pod pachy, tak jak go uczono na kursie ratownictwa w Fairfaksie, a następnie pociągnął ją za sobą. Wpływał w sztorm, bo nie było innej drogi. Słońce zniknęło i zaczął padać deszcz. Modlił się, żeby błyskawice przeszły nad ląd i też zniknęły.

Płynął naj zacieklej, jak mógł. Nie wiedział, dokąd zmierza ani czy znajdzie coś oprócz wody i deszczu. Poczuł, że prąd ściąga go na północ i z początku z nim walczył, ale potem się poddał. Skąd miał wiedzieć, w którą stronę płynąć?

Dawniej w chwilach największego napięcia wyobrażał sobie świat z lotu ptaka. Teraz na dole ujrzął jednak ich dwoje, dwie maleńkie białe twarze unoszące się na szerokim, wzburzonym morzu.

Szczypały go płuca, a nogi i ręce zaczynały boleć, ale nie zwalniał. Nie zamierzał się poddać. Zarówno obojętnemu oceanowi, jak i loaquimowi miał ochotę powiedzieć: „Nie dostaniesz jej. Zamierzam ją uratować”.

Nie wiedział, jak mógłby ją uratować inaczej niż płynąc dalej. Musiał walczyć. Tylko to mu pozostało. Nie wspomnienia, nie doświadczenie, nie umiejętności. Miał wolę. A jego wola nakazywała walczyć do utraty sił.

*

Słońce przysłoniły sztormowe chmury, więc zaszło bez większych ceregieli. Zauważył to tylko dlatego, że nagle powietrze zrobiło się ciemne i trudno było przeniknąć je wzrokiem. Jego ciało już dawno przestało cokolwiek odczuwać. Nogi zdrętwiały. Rękę

czuł tylko dlatego że nadal obejmował nią Lucy, ciągnąc ją za sobą. Wiedział, że jego ciało próbuje zachować tlen dla mózgu i najważniejszych organów, ale nawet one były skrajnie osłabione. Mózg wszedł w fazę powolnego zmagania. Daniel powinien był już pójść na dno. jego skołowany umysł prawie tęsknił za chwilą, w której mógłby utonąć w spokoju.

Spojrzał na Lucy i nagle odkrył, że ma szeroko otwarte oczy i jest zdezorientowana. Nie ruszała nogami ani rękami. Pozwalała się holować.

Miał tak zdrętwiała twarz, że ledwie zdołał otworzyć usta i zmusić język do działania.

- Cześć, kochanie - wykrztusił.

Żałował, że nie jest w stanie nadać głosowi normalnego brzmienia, które by jej nie wystraszyło. v

Zamrugła.

- Co my robimy? - spytała. Mówiła ledwo słyszalnym głosem.

- Nie umieramy - odpowiedział.

Odchyliła głowę do tyłu.

- Pada deszcz - zauważyła.

- Wiem.

- Jesteś pewny, że nadal żyjemy?

lego usta trochę się rozluźniły.

- Mam wielką nadzieję, że tak.

*

Zadudnił grzmot, ale błyskawice trzymały się z daleka. Wiał i wiatr, wokół nich wzbierały fale i po przejściu każdej z nich spoglądał do tyłu, patrząc, jak Lucy krztusi się i znowu łapie powietrze.

„Co myśmy narobili?” - zastanawiał się.

Jego nabrzmiałe serce było na granicy eksplozji. Już na początku napompowało się miłością i pożądaniem, a teraz doszły do tego hipotermia i zawał mięśnia sercowego. Zazwyczaj przed rozrwanieniem serca następuje utrata przytomności, ale on kurczowo łapał się jej trzymać. Jego myśli stawały się niewyraźne i pogmatwane, lecz mimo to próbował zachować czujność. Dla niej. „Nie poddawaj się jeszcze” - błagał swoje serce.

Jej głowa opadła do tyłu. Od czasu do czasu chmury przepuszczały trochę światła księżyca, a ona się temu przyglądała. Rysy jej twarzy zwróconej ku niebu wyglądały w tym świetle uroczo. Ufała mu wystarczająco, żeby umrzeć, i najwidoczniej wystarczająco, żeby rozpaczliwie, bez końca pływać we wzburzonym oceanie. .

Wydawało mu się, że słyszy coś oprócz wycia wiatru i szumu wody, ale jego mózg pracował zbyt wolno, by rozpoznać ten dźwięk.

Słyszał, że Lucy coś mówi, ale nie wiedział co.

Chciał, żeby jego zdrętwiałe ramię przyciągnęło ją nieco bliżej.

- Czy to ten najgorszy moment? - wykrztusiła.

Zdał sobie sprawę, że nie panuje nad szczekaniem zębów.

Drżał na całym ciele. - Dla... dlaczego pytasz? .

- Popatrz.

Podążył za jej wzrokiem i spojrzał na niebo. Pośród kropeł deszczu zauważył błysk bieli i znowu usłyszał tamten dźwięk. Gapił się jak tępak. Do jego głowy dobijały się myśli, ale nie był w stanie ich wpuścić.

, - Widzisz to?

- T-to me~mewa.

Ptaka dwa razy zatoczył nad nimi koło, prawdopodobnie zastanawiając się, jak można by ich zjeść. Daniel zobaczył, w którą stronę odfrunął, i popłynął za nim. Nie był w stanie zmusić się do myślenia, ale jego ciało zdawało się wiedzieć, że mewa nie oddalają się zbyt daleko od lądu, zwłaszcza w taką pogodę.

Nie zapuszczały się aż tak daleko w morze, jeśli nie miały gdzie wylądować.

Daniel zdwoił wysiłki. Podskórnie wiedział, że musi płynąć za mewą. Nie mógł jej spuścić z oka. Ptak unosił się, podskakiwał i obracał na porywistym wietrze, i ból zazdrości sprawił, że Daniel trochę się ożywił. „Nie zostaliśmy stworzeni dla wody ani dla nieba - pomyślał. - Jak mamy za tobą nadążyć”?

- Ona gdzieś wyląduje - wykrztusił.

- Skąd wiesz?

- Po-po prostu wiem.

Wpatrywała się w niego i jej spokój zmaćła obawa.

- Jak to możliwe, że nadal płyniesz? - zapytała, przekrzykując huk fal. - Jak możesz nadal się poruszać? Nie rozumiem.

Nie wiedział. Nie był pewien, czy rzeczywiście nadal się porusza. Cieszył się, że jego nogi nadal odpychają wodę, chociaż wcale ichnie czuł. Chciał jej powiedzieć, że muszą przeżyć, ale brakowało mu powietrza, by wymówić te słowa. j:

Miał kłopoty - wyteżał wzrok, lecz z trudem rozpoznawał nawet duże kształty. Miał szczęście, że Lucy też otworzyła oczy.

- Danielu, widzę coś - zawołała. - Odwrócił się i znowu na nią spojrzał. Próbował coś dojrzeć. - Tam, przed nami. Ciemny kształt wychodzący z wody. Wygląda jak wielka skała. Widzisz?

- N-nie wiem. EŚ,

- Dasz radę płynąć dalej? To tak blisko!

Sama też próbowała poruszać nogami, żeby mu pomóc.

Skała wznosiła się niemalże bezpośrednio nad nimi i zanim zdołał ją zobaczyć, prawie w nią uderzył. Z ostatnim tchem skrajnego wycieńczenia podźwignął Lucy na skalisty brzeg i patrzył, jak jej nogi wspinają się po kamiennej powierzchni. Pozostało mu tylko tyle energii psychicznej, by poczuć powolny przyływ ulgi.

Oparł ręce o skałę, żeby się na nią wciągnąć. Zamknął oczy.

„Tylko chwilę odpocznę - pomyślał. - Tylko złapię oddech”.

Zanim zdążył pomyśleć coś jeszcze, usłyszał jej krzyk.

- Danielu! Danielu, chodź tu! A

Odplynał kawałeczek dalej. Uniósł go prąd. „Odpocznę jeszcze chwilę - powiedział sobie jak przez sen - a potem wejdę na i tę skałę”.

- Danielu! Danielu!!! Otwórz oczy. Spójrz na mnie. Chodź.

Wszystko będzie dobrze! Słyszysz mnie?

„Jestem zmęczony”.

- Jeśli tu nie wejdiesz, wracam do wody! - krzyknęła. - Nie i żartuję. Utoniemy razem, jeśli tego chcesz.

Zamrugał. Zobaczył, jak jej białe nogi zsuwają się ze skały.

A Dlaczego to robiła? „Dlaczego to robisz?” - chciał zapytać, ale jego usta się nie otworzyły. Zmaćony umysł uznał, że to zły pomysł.

Próbował do niej dopłynąć. „Nie rób tego”. Dopłynął do niej i poczuł, że jego dłoń zaciska się na jej kostce. A

- U-u-tonieesz.

Bełkotał, a w głowie miał taki mętlik, że prawie nie wiedział, co mówi.

- Wejdz tu, Danielu, bo inaczej przysięgam na Boga, że utonę razem z tobą. - Owinęła dłoń wokół jego nadgarstka. Poczut jej dotyk. Oparła jego ręce na płaskim kawałku skały. - Gotowy? Zostań ze mną! Liczę do trzech. Gotowy? Raz. Dwa. - Poczut, że znowu opadają mu powieki. - Danielu!!! - Tak mocno ścisnęła go za ramię, że musiał znowu otworzyć oczy. Teraz wyraźnie ją zobaczył, tuż przed swoją twarzą. - Raz, dwa, trzy!!!

Podźwignął się i z niezmiernym jękiem podciągnął na skałę.

Nieczym gąsienica miernikowca zgiał się w pół i wepchnął wyżej.

Zrobił to jeszcze raz i gdy w wodzie pozostały już tylko jego nogi, ciało się poddało. Po prostu padło i chyba umarło, a on nie mógł od niego żądać niczego więcej.

Petacalco, Meksyk, 2009

Masowała mu plecy i czekała na poranek. Od czasu do czasu szturchała go lekko albo macała po piersi, żeby sprawdzić, czy nadal żyje. Za każdym razem wydawał z siebie uspokajający jęk.

Było wystarczająco jasno, by mogła zobaczyć zarys ich skały.

Miała trzy wierzchołki i kilka podłużnych wklęsłości, w których zgromadziła się deszczówka. Rozpaczliwie chciała się napić, ale Daniel opadł jej na nogi i wołała go jeszcze nie budzić. Skała była miejscami czerwona, a gdzie indziej czarna. Kilka nieustępliwych pnączy wyrastało z niej pod dziwnym kątem i wokół było mnóstwo ptasich odchodów. Grupka mew narzekła i plotkowała po drugiej stronie. Powietrze było czyste, a światło szybko się rozprzestrzeniało, ale w zasięgu wzroku nie było żadnego ładu.

Daniel przepłynął kawał drogi.

Wspomnienie ostatniej nocy mróziło jej krew w żyłach. Postanowiła jednak przypominać ją sobie kawałek po kawałku. Tylko jeden fragment naraz. Na początku pomyślała o uczuciu towarzyszącym opadaniu na dno. Chciała umrzeć, ale on tego nie chciał.

Nie wiedziała, jak to zrobić. Godzinami, całymi godzinami po tym, jak ona nie mogła się już ruszać, on nadal płynął. Nie tylko sam - ciągnął ją za sobą.

Czuła, że im się uda. Wcześniej nie była w stanie to uwierzyć, ale dzięki niemu im się udało. Mieli wystarczająco dużo wody, by wytrzymać parę dni. Niebo było czyste, a morze spokojne.

Ktoś w końcu się zjawi. W końcu ktoś ich stamtąd zabierze.

„I co potem? Co będzie z nami potem?”

Poruszył się i przewrócił na plecy. Pochyliła się, pocałowała go w usta. Powierzchnia skały nie była wygodna. Podrapała jej całą tylną część nóg. Trzeba było być na wpół martwym, żeby zasnąć

w takich warunkach - ale on był na wpół martwy.

Zastanawiała się, czy śnią mu się koszmary, bo po jego twarzy przemknął wyraz bólu, a ciało zadrżało i zeszywniało. Jego twarz skrzywiła się w okropnym lęku, a potem znów rozluźniła. Koniuszkami palców najdelikatniej jak umiała pomasowała go po brzuchu i piersi. Żałowała, że nie potrafi zrobić czegoś, co przegoniłoby koszmarny sen.

Wczesne słońce wzniosło się wystarczająco wysoko, by dotknąć jego twarzy promieniem i powoli otworzyć mu oczy. Kilka razy opuszczał powieki i z powrotem je podnosił, zanim w końcu udało mu się skupić na niej wzrok.

- To ty - powiedział.

- To ja.

Pocałowała go w środek czoła, a potem w obie skronie.

- Jestem szczęśliwy. Co to za miejsce?

- Popłynęliśmy za mewą i dotarliśmy na skałę. Pamiętasz coś z tego?

Zastanowił się chwilę. Zaciśnął powieki i otworzył je.

- Nie.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się do niego.

- Tracisz swoje czarodziejskie zdolności, kochanie. - Słabo się uśmiechnął. Ze współczuciem pogłaskała go po włosach. - Założę się, że wszystko cię boli. - Przytaknął. Delikatnie ułożyła jego głowę na swoich kolanach i zakolysała nią. - Przysięgam na Boga, *Ł Danielu, nie wiem, jak nas tu przyciągnąłeś. Twoja magiczna moc *Ł, wiązała się z pamięcią, ale chyba ją straciłeś i zdobyłeś nową, ja-

kiś szczególnie rodzaj mocy pływackiej.

- Boli mnie, kiedy się śmieję.

- W takim razie porozmawiamy o smutnych sprawach.

Pokiwał głową twierdząco. Wyciągnął rękę i dotknął suwaka jej fartuszka.

- Pamiętam ten strój. w;

- Masz na myśli fartuszek?

- Tak. jest cudowny. Uwielbiam go zdejmować.

- Ale to nie jest smutne.

Z wysiłkiem pokręcił głową.

- To najlepsza rzecz, jaka kiedykolwiek mnie spotkała. - i'

Pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta, do góry nogami.

Kiedy podniosła głowę, miał otwarte oczy i patrzył na nią z powagą. - Muszę ci coś powiedzieć. i

- Dobrze. i

- Wiesz, co zrobiłem, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy?

- Nie. `

- Byłem żołnierzem i spaliłem ci dom.

- Kiedy?

- W 541 roku.

- Nie pamiętam.

- Zginęłaś. Przepraszam. - Przyciągnął jej głowę do swojej i wtulił twarz w jej szyję. To było prawie tysiąc pięćset lat temu, ale czuła jego dotkliwy wstyd i nie zamierzała go zlekceważyć. Jego oddech się uspokoił Daniel wypuścił jej głowę. - To najważniejsza rzecz, której o mnie nie wiesz. Bez przerwy o tym myślę. Od

dawna chciałem ci to wyznać. <

Czule pogłaskała jego pierś.

- Cieszę się, że już wiem. r

- Naprawdę? '

- Tak, bo teraz mogę ci odpowiedzieć, że nic się nie stało.

- Tak to: nic się nie stało?

Spuściła wzrok na dłonie.

- To, co Daniel odebrał, Daniel dał.

- O czym ty mówisz?

- Dales mi więcej, niż zabrales, kochanie. Jesteśmy kwita.

Teraz możesz o tym zapomnieć.

*

Gdy parę godzin później siedział obok niej, usłyszał warkot silnika na spokojnym morzu.

- Łódź - oznajmił na chwilę przed tym, jak pojawiła się na horyzoncie. ,

To był kuter rybacki i płynął w ich stronę. Obydwoje wstali i zaczęli machać. Okazało się, że Lucy ma opanowany taksówkar-
ski gwizd. Zabolaly go uszy, ale nie mógł ukryć podziwu.

- Nauczysz mnie tego?

Kapitan kutra zauważył ich i podpłynął. Miał dwuosobową za-
łogę i cuchnącą sieć pełną ryb. Natychmiast zaprosił ich na po-
kład. Daniel zapomniał, jak dziwnie wyglądają, lecz nagle ujrzał
to w tych obcych twarzach.

- Mieliśmy pewne kłopoty - wyjaśnił swoim koturnowym
hiszpańskim.

- Właśnie widzę - odpowiedział kapitan. - Nic wam nie jest?

- Nie. Mogłby pan nas, podrzucić na brzeg? \

- Oczywiście. Zostawimy was w Petacalco. Stamtąd możecie
pojechać do Guacamayas albo do Lázaro Cárdenas.

- Byłoby wspaniale. Dziękujemy bardzo. Żałuję, że nie mam
pieniędzy, żeby panu zapłacić. i

Kapitan spojrział na jego bokserki, jakby za chwilę miał się ro-
zeźmiać.

- Widzę, że podróżuje pan W skąpym stroju.
 Usiedli na ruń. Kapitan pożyczył Danielowi swój telefon komórkowy i pod koniec godzinnej podróży do Petacalco Daniel zadzwonił po samochód, który miał ich zawieźć do Guacamayas.:
 Tam zarezerwował następne auto i wyczarterował samolot, ry jeszcze wieczorem miał wystartować z Colimy do Nowego Jorku. A
 Lucy, która nie знаła hiszpańskiego, spojrzała na niego z niedowierzaniem. i g,
 - Nie masz pieniędzy, karty kredytowej ani dokumentów. Jak ci się to udało?
 - Potrzebujesz jedynie numeru karty przyzwoitego połączenia telefonicznego. A
 - A skąd miałeś numer? .
 Wskazał swoją głowę.
 - Zapamiętałem.

Międzynarodowe Lotnisko im. Johna F. Kennedy'ego ' W Nowym Jorku, 2009

Przez dwie godziny siedział na ławce zwrócony do terminalu United Airlines. Przez świeżo zakupioną komórkę załatwiał sprawy związane z podróżą, a Lucy spała z głową na jego kolanach. Kiedy skończył, zczekał, aż się obudzi, a potem zabrał ją do baru obok, gdzie mogli usiąść przy oknie i patrzeć na startujące samoloty. Przez wzgląd na dawne czasy zamówił im obojgu po szklaneczce bourbona. "

Miała na sobie dżinsy i kwiecistą bluzkę, a do tego sweter, długą kamizelkę, skarpetki, buty i porządną bieliznę. Obok niej stała walizka pełna" ubrań, które kupili w ciągu kilku ostatnich godzin. Lotnisko Kennedy'ego przypominało miniaturowe centrum handlowe, choć niezbyt przyjemne. Kazał jej obiecać i przysiąc, j że zatrzyma fartuszek pokojówki na zawsze i gdy znowu się spotkają, włoży go specjalnie dla niego.

Podał jej kartkę.
 - Wszystko napisałem.
 Pokiwała głową. Mówił to nie po raz pierwszy.
 - Wszystkie potrzebne numery zapisałem W twoim telefonie.
 - Dobrze.
 - Zastanawiałaś się, co powiesz rodzicom i Marnie?
 - Jeszcze nad tym myślę - powiedziała.
 Pokiwał głową.
 - Bilety, plan podróży, paszport, czeki podróżne i swoje pieniądze masz W kopercie.
 - Twoje pieniądze - poprawiła go.
 - Daję ci je, więc są twoje. .
 Gotówka, którą jej dał, nie była niczym wielkim. Dzień wcześniej wydał ogromne pieniądze, kupując dwa paszporty na czarnym rynku W Meksyku.
 - Jesteś bogaty? - zapytała go. "
 - Tak.
 - Bardzo?
 - Miałem mnóstwo czasu, żeby odkładać na czarną godzinę.
 - Nie domyślałabym się tego w czasach liceum. `'
 - Cieszę się. Dlaczego?
 - Bo uznałabym, że gdybyś był bogaty, kupiłbyś sobie nową parę butów. `
 Roześmiał się. Wyobraził sobie tamte brązowe zamszowe buty W sypialni domku W Meksyku, gdzie zrzucił je owładnięty gorączką pożądania.
 - Wiesz, żal mi było się z nimi rozstawać. To kolejna rzecz,

z której zamierzam rozliczyć mojego głupiego byłego brata.
Wzięła go za rękę i zbliżyła jego dłoń do swojego policzka.
- Danielu, nie chcę tego robić.
- Wiem. Ja też nie chcę. Nie chcę się z tobą rozstawać i zrobił-
bym wszystko, żeby tego uniknąć, ale to jedyne rozwiązanie. i
- Chyba wołałabym, żebyśmy razem utonęli.
Wziął ją za ręce i pocałował jej dłonie z obu stron. To samo
zrobił z miękką częścią jej nadgarstków i ze wszystkimi palca-
mi po kolei.

- Tam, gdzie się wybierasz, jest pięknie. I obiecuję, że będziesz
bezpieczna.
- Skąd wiesz? „
- Bo to jedyne miejsce na świecie, w którym Joaquim nigdy
nie odważyłby się pokazać. Tam natychmiast by go przejrzał.
- Więc dlaczego nie pojedziesz ze mną?
- Dołączę do ciebie. Kiedy zrobię to, co muszę. Wrócę i cię
stamtąd zabiorę. A wtedy będziemy mogli zamieszkać, gdziekol-
wiek zechcesz. Możesz skończyć studia w Charlottesville, gdziekol-
wiek zechcesz. Możesz skończyć studia w Charlottesville, gdziekol-
wiek zechcesz. Możesz skończyć studia w Charlottesville, gdziekol-
wiek zechcesz. Możesz skończyć studia w Charlottesville, gdziekol-
wiek zechcesz. Możesz wrócić do Waszyngtonu, Kalifornii, Chicago, Pekinu,
Bangladeszu. Możemy wrócić do Hopewood i zamieszkać obok
twoich rodziców. - Roześmiała się wbrew sobie. - Możemy poje-
chać, dokądkolwiek zechcemy.
- I co potem?
- Możemy robić, cokolwiek zechcemy. Możemy wziąć ślub.
Możemy nie brać ślubu i żyć w grzechu. Możemy pójść do pra-
cy. Możemy nie iść do pracy. Możemy się objąć. Możemy za-
mieszkać na najwyższym piętrze wieżowca. Możemy zamiesz-
kać otoczeni wodą, w domu na palach. Możemy się kochać co-
dziennie.
- Dwa razy dziennie. i
- - Trzy razy dziennie.
Uniosła brwi.
- Trzy razy?
- Mamy sporo do nadrobienia.
Przytaknęła.
- Możemy się razem zestarzeć - powiedziała.
- Chciałbym tego. .>
- Może moglibyśmy mieć dziecko albo dwoje.
Była tak pochłonięta tą fantazją, że nie chciał jej sprawić zawo-
du. Wiedział, że trudno odczytać jego wyraz twarzy. i
- Nie wiem, czy ojcostwo jest mi pisane.
Wiedział, że chciałaby go zapytać o powód, ale nagle w głośni-
kach zagrzmiął głos wzywający pasażerów jej samolotu.
Wziął jej walizkę i pospiechali w stronę wyjścia. Kolejka do
pierwszej klasy już prawie się kończyła. '
- To tutaj.
- To kolejka do pierwszej klasy.
- Czyli twoja.
- Nie, nieprawda. Prawda?
- Wielkie pływackie wakacje w Meksyku, na które cię zabra-
łem, nie były zbyt komfortowe. Chciałbym poprawić swoje no- pfi
towania.
- Wołałabym zrezygnować z wygód, bylebyśmy mogli zostać _
razem. _='
- Wiem. Wkrótce będziemy razem. Zamierzam zacząć ukła- '
dać plany naszych pierwszych prawdziwych wakacji. Zabiorę
cię do Budapesztu i do Aten, a potem znowu zobaczysz Turcję.
Chyba nie pamiętasz jej tak dobrze jak ja. - Pokręciła głową. - 'i
Zatrzymamy się w pałacu w Istambule i wrócimy do Pergamonu. A
To będzie wycieczka, jakiej nawet sobie nie wyobrażasz. -

Przytaknęła. W jej oczach zebrały się łzy. Objął ją obiema rękami. - Lucy, kiedy on zniknie, będziemy mogli robić wszystko, co tylko zechcemy. Ale do tego czasu będziemy żyli jak więźniowie i to będzie niemożliwe. Nie chcę już czekać bezczynnie na to, co się wydarzy. Postępowałem tak zbyt długo. Ponoszę klęskę, zniechęcam się i umieram, bo wychodzę z założenia, że zawsze jest i nowe życie i że następnym razem będzie lepiej. Ale nic nie może być lepsze od tego życia, bo teraz mam ciebie. -

Mocno go przytuliła. Poczuli, że popłakuje, wtulona w jego pachę.

- Dokąd pojedziesz?

- Znajdę go. Zniszczę go, zanim on zniszczy nas.

- Jak można zniszczyć kogoś takiego jak on? Czy to w ogóle możliwe?

- Chyba tak. Na pewno. Muszę to rozgryźć. Mam przyjaciela, który chyba zdoła mi pomóc.

Podniosła głowę.

- Przerażasz mnie, kiedy tak mówisz. On jest podły, a ty nie. Boję się, że już nie wrócisz.

- Wrócę.

- W tym życiu?

- W tym Życiu.

- Ale skąd możesz mieć pewność? - Rozplakała się na dobre. Do samolotu wchodził już ostatni pasażerowie.

- Bo mam coś, dla czego warto żyć, a on ma tylko zemstę. Bo ja widzę, a on nie.

- Tak, ale on ma pewnie z dziesięć pistoletów, pięć bomb i cały komplet noży.

- Więc ja też się uzbroję. Jestem mądrzejszy niż on, Lucy. Jeśli zdążę to wszystko przemyśleć, zdobędę przewagę. Jestem większy od niego i nie będę już dłużej ofiarą. Nie będę przed nim uciekał.

- A jeśli nie wrócisz? Będę się czuła jak Constance i Sophia i jak wszystkie inne, które zostały ze złamanym sercem.

- To ja miałem złamane serce, Lucy. Nosilem je w sobie dłużej niż ktokolwiek inny.

Spojrzała na niego i zamyśliła się.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

~ Czy my kiedykolwiek... no wiesz... robiliśmy te rzeczy? Uwielbiał rumieniec na jej twarzy.

- Masz na myśli seks? - zapytał przekornie.

Uśmiechnęła się.

- Tak. Czy kiedykolwiek wcześniej uprawialiśmy seks?

- Nie. Nigdy.

- Nigdy?

Wytarła oczy grzbietem dłoni.

- Myślę, że bym to zapamiętał.

- Ani razu w ciągu tysiąca lat?

- Ani razu.

- Nie chodzi mi wyłącznie o seks jako taki, ale... no wiesz.

Musiła zamilknąć, bo parsknęła śmiechem. - Nie przeszliśmy nawet do trzeciej bazy? A!

- Nie. Nawet do trzeciej bazy. W zasadzie do drugiej też nie. Ledwie zaliczyliśmy pierwszą.

- No dobrze. W takim razie mamy powód do dumy, prawda? i Roześmiał się i podniósł ją.

- Lucy, jeśli to nie wystarczy, żebym utrzymał się przy życiu i do ciebie wrócił, to nic na tym świecie nie jest w stanie tego sprawić.

Paro, Bhutan, 2009

Krajobraz był piękniejszy, niż jej obiecał. Klasztor wznosił się nad odludnym zboczem wzgórz nad doliną rzeki Paro we wschodnich Himalajach. Codziennie rano patrzyła na drugi koniec doliny, na daleki rząd szczytów, które były tak oszałamiająco wysokie, wielowarstwowe i połyskujące bielą, że zaliczała je raczej do nieba niż do ziemi. ~

Mnisi traktowali Lucy jak najwspanialszego gościa i rozumiała, że zawdzięcza to pewnej indyjskiej kobiecie, bliskiej znajomej Daniela, która - co dość dziwne - miała na imię Ben.

Wiedziała, dlaczego Daniel chciał, żeby tu przyjechała. Odanie sprawom ducha było tu głębsze niż cokolwiek, czego dotąd doświadczyła, a u jego podstawy leżała wiara W reinkarnację. Mnisi wybierali najwyższego lamę, nie kierując się dziedzinieniem, lecz szukając chłopca będącego wcieleniem ich dawnego przywódcy. Rozumiała, dlaczego Joaquim nigdy by tu nie przyszedł.

Przeżyła kilka małych przygód. Wraz ze swoim gorliwym przewodnikiem Kinzangiem, zaledwie dwunastolatkiem, odwiedziła stolicę, Thimphu, była na zawodach łuczniczych i na cotygodniowym targu. Wędrowała po dolinie i widziała rzeczy, których nie miała nadziei ujrzeć w całym swoim życiu. Tarasowe pola ryżowe, sady spływające ze stoków, wzniesiony nad urwiskiem klasztor zwany Tygrysim Gniazdem. Pomagała mnichom w klasztornym ogrodzie i poznawała nazwy dziesiątków nieznanych roślin w języku dzongka. Kobieta z wioski nauczyła ją tkactwa, które Lucy opanowała szybko i ochoczo. Zaczęła tkąć tradycyjną kirę.

Przeważnie pozostawała jednak w murach klasztoru, czytała, pisała listy, pielila W ogrodzie i uczyła się medytacji. Mnisi byli dla niej mili i uczyli ją z cierpliwością, ale bardzo rzadko się odzywali, a nawet wtedy nie rozumiała ich nielicznych słów. Była odizolowana i samotna. Tęskniła za rodzicami i za Marnie. Powiedziała im, że W ostatniej chwili dostała stypendium - okazję, której nie mogła przegapić - by uczyć się o himalajskich ogrodach, i że można się z nią kontaktować wyłącznie listownie.

Najbardziej brakowało jej Daniela. Ból tej tęsknoty wisiał nad nią jak chmura i nieodstępował jej na krok. Wnikał do jej oczu, ~ do nosa, ust i uszu, zmieniając powietrze wokół.

Każdy z jego listów czytała setki razy, próbując wycisnąć z nich każde uczucie, każdy skrawek informacji, każdy możliwy zapach i molekułę Daniela, która mogła przyjechać w kopercie. Godzinami siedziała pochylona nad listem, który napisał do niej na lotnisku. Był to zwyczajny, głupi list, ale gdy siedzieli razem w barze, wylał na niego trochę drinka i teraz przyłożyła palec do tej brązowej, rozmazanej plamki, czując się tak, jakby Daniel był przy niej.

Miesiąc po przyjeździe do klasztoru zaczęła mieć mdłości.

Myślała, że to wina mięsa jaka, herbaty z masłem albo ogromnej ilości papryczek chili, które dodawano do każdej potrawy. Jedzenie przeważnie było pyszne, ale myślała, że po prostu jej nie służy. Próbowała eliminować z diety różne składniki, aż w końcu prawie przestała jeść, a mimo to czuła się jeszcze gorzej. W drugim miesiącu zdała sobie sprawę, że od wyjazdu do Meksyku nie miała miesiączki i połączyła fakty W całość.

Wtedy ogarnął ją strach. Dziecko było jedyną rzeczą. t;) które) Daniel nie marzył W kontekście ich Wspólnego życia. Ni@ êhêlił go. Nie Wiedziała dlaczego i nie Wiedziała, co powinna zrobić.

Nie potrafiła mu powiedzieć. Próbowała, ale nie potrafiła. dwadzieścia trzy lata, była niezamężna i sama W obcym áwleęę. Nie mogła urodzić dziecka, ale nie miała pojęcia, jak tego Qñkś

nać. Pisała do Daniela list za listem, zamierzając mu o tym P9: Wiedzieć, ale ostatecznie nie powiedziała. I

Na początku trzeciego miesiąca jej pobytu w Paro listy przestały przychodzić. Sama nadal pisała codziennie, ale z biegiem dni traciła nadzieję, że Daniel kiedykolwiek to przeczyta. Myślała o nim z coraz większym lękiem.

Czas włókł się okropnie, ale pocieszenie przyszło z trzech nieoczekiwanych stron. Najpierw pojawiły się listy od Marnie, pełne pytań i wątpliwości, których Lucy nie mogła rozwiązać, a mimo to przepełnione nieskomplikowaną, bezgraniczną miłością. To, jak Marnie potrafiła kochać, nawet gdy nie rozumiała, było wręcz cudem. Cudem i lekcją.

Po drugie, zaczęły nadchodzić listy od ojca. Z humorem opisywał ostatnią inscenizację wojny secesyjnej, z czułością wyrażał troskę o jej bezpieczeństwo. W dobie telefonów komórkowych i e-maili nigdy nie zdawała sobie sprawy, że listy to jego powołanie. Choć na żywo wydawał się sztywny, na papierze był dziwnie wylewny. Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek napisał list do Dany.

Po trzecie, z upływem tygodni coraz wyraźniej czuła ciężar na dnie brzucha. Każdy smak i zapach przeradzał się w kwaśność, a mimo to zapewniał jej poczucie bliskości. Nie była całkiem sama. To dziecko było jego i jej, bez względu na to, czy go pragnął czy nie. Modliła się, by nie okazało się jedynym, co jej po nim zostanie.

„Obiecałeś mi - powtarzała mu w myślach codziennie rano i wieczorem oraz tysiąc razy w ciągu dnia. - Kocham cię. Nie zrezygnuję z ciebie”.

Nowy Orlean, Luizjana, 2009

Najdroższa Lucy, “

możliwe, że nie uda mi się wysłać tego listu dzisiaj ani nawet jutro, ale w każdej minucie jesteś w moim umyśle i w moim sercu. Nie będę próbował opisać, gdzie dokładnie przebywam. Jestem jednak bezpieczny i opowiem Ci o tym, kiedy już będzie po wszystkim. Mam Ci wiele do przekazania, lecz teraz nie mogę o tym pisać ani nawet myśleć.

Zacząłem rozumieć, do czego jest zdolny nasz wróg, i przekroczyło to moje wyobrażenia. To, co próbuję zrobić, musi zostać zrobione. Teraz wiem o tym jeszcze lepiej. Nie wystarczy go zabić. Przynajmniej nauczyłem się patrzeć na to wszystko z szerszej perspektywy. Wiem, co muszę zrobić i jak tego dokonać.

Pytasz, co robie, żeby się odprężyć? ‘

Myślę o Tobie. Wyobrażam sobie, że nosisz kire i grzebiesz rekami w ziemi ogrodu w Paro. Wyobrażam sobie, jak ściągasz buty i skarpetki i zanurzasz stopy w rybnym stawie. /Wyobrażam sobie, jak zakładasz włosy za uszy. Wyobrażam sobie, jak pijesz herbatę. Jak śpisz (naprawdę to mój sposób na relaks i nie obchodzi mnie, co o tym sadzisz). Wyobrażam sobie różne części Twojego ciała - nie, nie tylko te, o których myślisz, że myślę. Wyobrażam sobie ranę na Twoim ramieniu i wyobrażam sobie, że ja całuję, jakby to miało pomóc jej się zagoić. Wyobrażam sobie nas razem. Wyobrażam sobie, jak kochamy się trzy razy dziennie (Obiecałeś). Wyobrażam sobie, że potem godzinami leżysz w moich ramionach, a ja opowiadam Ci o wszystkim, co się wydarzyło. To wspaniała historia - a później będzie jeszcze lepsza, bo poznam jej zakończenie.

Nie chcę pisać teraz nic więcej. Jesteś ze mną, Lucy, w każdej mojej myśli, we wszystkich kalkulacjach, w każdej żądzy, w każdym potknięciu, każdym sukcesie i każdym smutku. Wszystko, co widzę, widzę także Twoimi oczami, a z Toba jestem bardziej zdetermino-

wany i lepszy, niż kiedykolwiek mógłbym być bez Ciebie.

Wiem, że ten list jest pozbawiony wszelkich konkretnych informacji i przepraszam Cię za to. Później będziesz mogła dać mi kukuśka. Czuję jednak, że piszę go jako coś w rodzaju modlitwy. Modlę się o to, żebyś, nawet jeśli go nie dostaniesz (albo tego, który napisałem wczoraj, albo tego, który napiszę jutro, pojutrze i za dwa dni), wiedziała, co w nim napisałem: że jestem bezpieczny i że przede wszystkim gdziekolwiek się znajdę, jesteś ze mną, że nie ma na tym świecie takiej siły ani tak długiego czasu, które by nas rozłączyły. Wróć. Moja miłość do Ciebie jest prawdziwsza niż cokolwiek, co poznałem w tym długim, bardzo długim życiu.

Mówią, że miłość żąda wszystkiego, ale moja wymaga tylko jednego: byś bez względu na to, co się stanie i jak długo to potrwa, wierzyła we mnie, pamiętała, kim jesteśmy i byś nigdy nie poddała się rozpacz. i .

Twój na zawsze

Daniel

PODZIĘKOWANIA

Wyrazy miłości i podziękowania dla Jennifer Rudolph Walsh, która była mi muzą podczas pisania tej historii. Dziękuję mojej wydawczyni Sarah McGrath za to, że całym sercem dzieliła się ze mną swoim ogromnym talentem. Dziękuję moim dwóm najbardziej entuzjastycznym czytelniczkom i doradczyniom: Margaret Riley i Britton Schey. Mam ogromny dług wdzięczności u Tracy Fisher i Alicji Gordon, wielkich orędowniczek tej książki. Ponadto składam najserdeczniejsze podziękowania wspieranym zespołom wydawnictw Riverhead i Penguin, między innymi Sarah Stein, Stephanie Sorensen, Geoffowi Kloskemu i Susan Petersen Kennedy.

Dziękuję moim cudownym, inspirującym rodzicom lane Easton i Billowi Brasharesom. Najbardziej dziękuję mojej ukończonej rodzinie: Samowi, Natebwi, Susannah i Jacobowi. Jesteśmy pięciorgiem dobrych konstruktorów trampoliny.